

Robert F. Stratton

czas

nietoperza



Wszystkie wydarzenia opisane w tej powieści są całkowicie fikcyjne; wszelkie podobieństwo występujących tu osób do osób realnie istniejących jest całkowicie przypadkowe; to samo odnosi się do systemów obronnych, konstrukcji wojskowych i doktryn wojennych.

Autor pragnie podziękować setkom nieznanych mu osobiście dziennikarzy w wielu krajach, którzy cierpliwie i dociekliwie, niekiedy z odwagą, ujawniają od wielu lat ważne szczegóły, jakie posłużyły za kanwę tej powieści.

Osoby bezpośrednio uczestniczące w wydarzeniach

*Oficerowie i podoficerowie Bundeswehry
oraz Grup Szturmowych Grenzschtzu
nie zwiqzani z Tajnq Organizacjq*

generał-porucznik Kurt SEVERING, lat 65, dowódca 14 Hanowerskiej Dywizji Zmechanizowanej

płk Rudolf ZELLHAGEN, lat 51, komendant Grup Szturmowych Grenzschtzu

płk Adolf RUHMBEIN-WIESER, lat 58, szef sztabu 14 dywizji

mjr Runo von TSCHERSCHKE, lat 44, komendant Tajnej Bazy nr 6

kpt. Lamprecht von GORALSKY, lat 39, dowódca kompanii ochrony sztabu 14 dywizji

kpt. Kuno von RIESENTHAL, lat 30, adiutant wojskowy kanclerza federalnego

kpt. (później mjr) Horst SCHEELER, lat 38, oficer kontrwywiadu 14 dywizji

kpt. Adalbert Richard von WIPRECHT, lat 33, oficer dyżurny Tajnej Bazy nr 6

por. Hans-Peter WEITMARK, lat 31, oficer dyżurny Tajnej Bazy nr 6, zabity przez terrorystów

por. Edwin ENGEL, lat 33, dowódca grupy pościgowej Grup Szturmowych Grenzschtzu, która ujęła terrorystów

ppor. Sebastian MÜLLER, lat 28, adiutant dowódcy 14 dywizji

sierz. sztabowy Willibert PAUSCHKE, lat 25, dowódca patrolu wartowniczego w Tajnej Bazie nr 6, syn pisarza Arnima Pauschke, raniony przez terrorystów

*Oficerowie i podoficerowie Bundeswehry
zwiqzani z Tajnq Organizacjq*

płk Günther SCHLAFFLER, lat 62, szef gabinetu federalnego ministra obrony, komendant Tajnej Organizacji na terenie RFN

płk Paul KRENZLAU, lat 58, szef wydziału zadań specjalnych w Generalnym Inspektoracie Bundeswehry

ppłk Karl-Heinz PIONTECK, lat 62, szef wywiadu polowego 14 dywizji, komendant Tajnej Organizacji w dywizji

ppłk inż. Paul FRETZIG, lat 53, zastępca dowódcy 14 dywizji do spraw technicznych

ppłk Johann SCHMIDT, komendant Tajnej Bazy nr 3

mjr (później ppłk) Ernst STAHM, lat 50, zastępca dowódcy 14 dywizji do spraw liniowych

mjr Günther KIRSCH, lat 45, zastępca szefa sztabu 14 dywizji

mjr Gregor ZOPPKE, lat 40, pilot dyspozycyjnego śmigłowca ministra obrony

kpt. Heinrich WIEBOLD vel GOTTLIEB ZAUSCHMANN, lat 36, dowódca III batalionu 14 dywizji, działający na osobiste polecenie płka Schlafflera

sierż. sztabowy Hansjakob STUHR, lat 31, dowódca konwoju jednostki specjalnej Adlershorst Süd, przewożącego porwane głowy

Politycy RFN

Dagobert LÜTTNER, lat 55, kanclerz federalny

Hans-Viking FÖDLER, lat 53, wicekanclerz i minister spraw zagranicznych RFN

dr Otto PFEIFFER, lat 64, szef Federalnego Urzędu Ochrony Konstytucji

Peter GRAUDER, lat 50, federalny minister obrony

dr Dietrich LAMMHUBER, lat 37, federalny minister spraw wewnętrznych

dr Renata SCHWELLENBERG, lat 44, federalny minister zdrowia i opieki społecznej

Hubert van MERKER, lat 48, szef gabinetu kanclerza federalnego

Grupa M

Chally, komendant grupy, lat 29

Karl-Christian STOEPPE, ps. Ryba, lat 30

dr André PICHON-LALEAUX, lat 35

Łucja Monika VERRAMONTE, lat 23

Rudi STAAR, lat 27

Dziennikarze

Ugo FELSENSTEIN, wiek nie znany, czołowy reporter RFN, pracownik tygodnika

ilustrowanego *Dabei*

dr Wotan PUTTHOFER, lat 66, właściciel i naczelny redaktor *Ostatnich Wiadomości*, ukazujących się w Bambach

Georg PFÖRTNER, lat 24, reporter *Ostatnich Wiadomości*

Cynthia WHITHER, lat 50, korespondentka dziennika *Oregon Daily Examiner* przy Białym Domu

Politycy amerykańscy

Howard Geoffrey HARRISON, lat 51, prezydent Stanów Zjednoczonych

Reginald Matthew PARKER, lat 60, wiceprezydent Stanów Zjednoczonych

dr Nathaniel Abe RUBIN, lat 44, doradca prezydenta USA do spraw bezpieczeństwa narodowego, profesor Columbia University

David Roscoe BROOMAN, lat 52, sekretarz stanu

Nicó Starchos PALAKIS, lat 49, sekretarz obrony

dr Robert Pete MAGORSKI, lat 41, szef sztabu Białego Domu

senator Roland PETERSON, lat 46, przewodniczący Komisji Sit Zbrojnych Senatu

Oficerowie amerykańscy

gen. John Adams TUMBLESON III, lat 56, szef Połączonych Sztabów

gen. Scott Steve FAWLEY, lat 48, dowódca SAC (Strategicznym Sit Lotniczym USA)

gen. Charles York REINHARDT, lat 55, szef sztabu piechoty morskiej, pełniący służbę oficera dyżurnego Pentagonu w nocy z 11 na 12 czerwca

wiceadmirał Robert Henley MACGREGOR, lat 60, dowódca VI Floty amerykańskiej na Morzu Śródziemnym

komandor podporucznik Benjamin MOORE, lat 40, adiutant wojskowy prezydenta

Pracownicy Centralnej Agencji Wywiadowczej

Kontradmirał James Michael PRESCOTT, lat 60, dyrektor CIA

Stanley WHITERIDGE vel „Puffy”, lat 60, szef wydziału operacyjnego CIA

„PALMER II”, szef rezydentury CIA w Monachium

Richard „Dick” GORDY, szef operacji w rezydenturze CIA w Monachium

„STUMPF”, agent CIA, pełniący obowiązki łącznika z policją RFN

mjr William Blair THOMPSON vel Helmut SCHÖRDWAHN, lat 63, były oficer

Abwehry, zastępca szefa operacji w rezydenturze CIA w Monachium

Politycy i oficerowie radzieccy

Witalij Pawłowicz CHOMIENKO, lat 73, Sekretarz Generalny KC KPZR

Rahman Dersu KONOWAJEW, lat 71, sekretarz KC i członek Biura Politycznego KC KPZR

główny marszałek ZSRR Michaił Leonidowicz MANDŻURÓW, lat 71, minister obrony

marszałek wojsk rakietowych Gleb Władimirowicz UDAŁOW, lat 59, dowódca wojsk rakietowych ZSRR

Fiodor Antonowicz BIELAWIN, lat 52, przewodniczący Komitetu Bezpieczeństwa Państwowego ZSRR

Iwan Maksymowicz KOWALEWSKI, lat 58, minister spraw zagranicznych

Wadim Charitonowicz CZEBORIEW, lat 59, ambasador ZSRR w Waszyngtonie.

Inne osoby

Pierre PAYOT, lat 57, prezydent Francji

Khaled BEN-THAMMOUN, lat 48, szef międzynarodowej organizacji terrorystycznej
dr Ronald RAFFERTY, Jr., lat 55, pracownik NASA, twórca satelitów grawitacyjnych, dyżurujący w Tracking Center w nocy z 11 na 12 czerwca

Friedrich Wilhelm KNAUPPE, lat 61, właściciel zakładu pogrzebowego w Maierhof
dr Andreas SCHEITER, lat 46, radca w przedstawicielstwie handlowym NRD w Kolonii

nadkomisarz Siegfried PIELER, lat 51, komendant policji w Maierhof, poufny współpracownik Urzędu Ochrony Konstytucji

„ojciec WEBER“, lat 86, właściciel domu położonego w pobliżu Tajnej Bazy nr 6

I

Piątek, 12 czerwca, godzina 5.58 rano. Kapitan Adalbert Richard von Wiprecht, rocznik 1950, szykuje się do zdania służby. Następca już tu powinien być. Ciekawe, kogo Bóg zdarzy. Zdaje się, że pojawi się dziś ten śmieszny, ulizany jak fryzjerska lalka porucznik Weymark czy Weitmark, bożyszczce okolicznych ekspedientek.

Ale tego oczywiście nigdy nie wiadomo. Dyżury w Tajnej Bazie nr 6 są tak ustalone, że oficer zdający służbę nigdy nie ma pewności, komu przekaze służbę. MAD¹ starannie obserwuje oficerskie przyjaźnie, partyjki bilardu, koleżeńskie popijawy, a także każdą bez wyjątku dziewczynę, jaka się pojawia na skromnym horyzoncie osady Escherpfarr, odległej o sześć kilometrów od Tajnej Bazy. Właśnie tam mieszczą się koszary, jeśli tę grupę całkiem eleganckich willi można nazwać koszarami. Nie bardzo wiadomo, co z tych obserwacji wynika, lecz dywizyjny oficer kontrwywiadu z sobie tylko znanych powodów raz po raz zmienia ustalone plany następstwa służby i potrafi czasem doprowadzić do takiego mętliku, że przez miesiąc nie sposób dojść do ładu. Szczerze mówiąc, kapitan von Wiprecht bardzo tego nie lubi; można by odnieść wrażenie, że każdy jest trochę podejrzany, nie wyłączając von Wiprechta.

Służba w TB 6 jest uciążliwa i pełna napięcia wskutek dziwacznych pomysłów ludzi z MAD, lecz mimo wszystko dużo ciekawsza niż w dywizyjnych koszarach. W każdym razie dla młodego, zdolnego oficera, który ma zamiar przejść do pracy w sztabie, a przedtem musi się wykazać służbą w linii. Dobrze sobie: w linii. Można sobie wyobrazić, co by na to określenie powiedzieli starszacy, pamiętający jeszcze II wojnę światową.

Ale służba w TB 6 ma jednak w sobie naprawdę coś z atmosfery frontu, choć w Europie panuje pokój i nic na razie nie wskazuje, żeby miało być inaczej. Może dlatego, że wszystko, co się w Bazie robi, jest dużo bardziej serio niż te niemądre zajęcia w koszarach. Pełni się tę służbę tylko przez sześć godzin na dobę, ponieważ naczelny psycholog Bundeswehry orzekł, że dłuższe przebywanie w pomieszczeniu kontrolnym Bazy mogłoby osłabić sprawność umysłową oficerów dyżurnych. Od ich pełnej sprawności zależy zbyt wiele, aby dowództwo Paktu chciało sobie pozwolić na jakiegokolwiek ryzyko.

Oficerowi dyżurnemu nie wolno opuścić pomieszczenia kontrolnego nawet na

¹ MAD - kontrwywiad wojskowy w RFN.

sekundę. Co cztery minuty ma obowiązek *sprawdzić wzrokowo* - tak się to pięknie nazywa w regulaminie - każdą z trzydziestu czterech lampek kontrolnych, sygnalizujących działanie Głównego Obwodu Zabezpieczającego. Co pół godziny musi przekazać do dowództwa dywizji meldunek, że nic nowego nie zaszło. Oczywiście nikt żywy tego nie czyta. Gdyby jednak meldunek nie nadszedł w porę, i to z dokładnością do trzydziestu sekund - wiecznie czujny komputer, sprzężony z chronometrem, zaalarmuje natychmiast stanowisko dowodzenia dywizji i na domiar sam wpisze do elektronicznych akt osobowych oficera odpowiednią notatkę. Nazwijmy to notatką.

Wreszcie co godzinę oficer dyżurny musi przyjąć raport od dowódców kolejnych patroli wartowniczych, gdyż *sicher ist sicher*: zewnętrznych obwodów ochronnych. Tajnej Bazy strzegą również żywi ludzie, wyekwipowani w nieprawdopodobną ilość strzelającego żelastwa.

Poza tym nie dzieje się nic. Oficerowi dyżurnemu nie wolno czytać, rozwiązywać krzyżówek, oglądać telewizji, telefonować do panny Vicki w celu usłyszenia jej miłego głosu, ani nawet rysować kotków pod jodełkami. Von Wiprecht przypuszcza, choć nie ma na to żadnych dowodów, że oficerów dyżurnych nieustannie podglądają ukryte kamery zamkniętej sieci telewizyjnej. Sześć godzin takiej służby, zwłaszcza na najgorszej wachcie, między północą i szóstą rano, wystarcza w zupełności, żeby po powrocie do Escherpfarr zwalić się na łóżko i spać bez końca.

Właściwie jedyna prawdziwa atrakcja tej piekielnej służby - bo w żadne tam prawdziwe alarmy nikt już od dawna nie wierzy - polega na tym, że została ona unormowana z dokładnością do minut, właściwie do sekund, a mimo to obfituje w różne niespodzianki. Na przykład takie: na godzinę przed objęciem służby wyznaczony na daną zmianę oficer dyżurny musi się poddać tak zwanym badaniom lekarskim, choć słuszniej byłoby to nazwać przesłuchaniem. Że najmniejszy nawet ślad alkoholu we krwi lub, powiedzmy, nieznaczne ómienie zęba dyskwalifikuje ze służby - to jeszcze można zrozumieć. Trudno jednak wyjaśnić, dlaczego wojskowy psychiatra bez żadnych wyjaśnień orzeka „chwilową niezdolność do pełnienia służby” lub dlaczego dyżurny psycholog wpisuje do oficerskiej książeczki zdrowia jakieś tajemnicze znaczki, których praktyczne znaczenie sprowadza się do tego, że oficer traci kolejną służbę.

Ale może nie ma się czemu dziwić. W podziemiach Tajnej Bazy nr 6 składowane są pewne cacka, które mogłyby pewno obrócić w perzynę pół Europy. Regulamin surowo zabrania wszelkich rozmów na temat *przedmiotów specjalnego przeznaczenia*, toteż oficerowie nazywają je między sobą *nietoperzami*. Nie wiadomo, kto je tak idiotycznie

nazwał. Te obłe, srebrzyste cygara przypominają raczej gigantyczny ogórek niż jakiegokolwiek zwierzę. Chyba że po zamontowaniu w korpusie rakiety nośnej, ale tego nikt jeszcze z załogi TB 6 nie oglądał na własne oczy. Podczas ćwiczeń używano niedbale skonstruowanych atrap, do których odnoszono się z rozbawieniem.

Kapitan von Wiprecht ogarnia okiem lampki kontrolne, po czym spogląda na ukryty za pancerną szybą elektroniczny zegar płatkowy, sterowany centralnie ze stanowiska dowodzenia dywizji.

Nieprawdopodobne. Jest cztery po szóstej, a zmiennika jeszcze nie ma! Co gorsza, nie zgłosił się również z raportem dowódca ostatniego patrolu wartowniczego, sympatyczny, rozgarnięty sierżant Pauschke, syn tego słynnego Pauschke. Odkąd kapitan von Wiprecht został zaliczony do stałej załogi TB 6, taki wypadek jeszcze się nie zdarzył. Zdaje się, że nie zdarzył się w ogóle nigdy, w całej historii Bazy.

Teraz wreszcie przydają się półautomatyczne odruchy, wpajane oficerom całymi tygodniami na kursie *intensywnej psychologizacji*.

Von Wiprecht odpina kaburę pistoletu i przesuwa ją na brzuch. Odwodzi kurek bezpiecznika. Porównuje godzinę na zegarze płatkowym ze wskazaniem służbowego Rolexa. Tak: nie ma wątpliwości. Trzeba działać.

Naciska przycisk *alarmu żółtego*: URUCHOMIĆ W JAKIEJKOLWIEK NIEPEWNEJ SYTUACJI. SYGNAŁ POŁĄCZONY ZE STANOWISKIEM DOWODZENIA DYWIZJI.

Von Wiprecht podchodzi do radiodalekopisu i dwoma palcami lewej ręki (prawa spoczywa na pasie w pobliżu kabury) zaczyna wystukiwać na klawiaturze:

oficer dyżurny tb 6 do dztwa dywizji

12 06 godz 0607

melduję brak oficera dyżurnego przejmującego służbę stop brak raportu od dowódcy patrolu nr 6 stop za 4 minuty ogłoszę alarm zielony stop von Wiprecht kpt

koniec

Perforowana taśma znika w bębnie maszyny szyfrującej. Za jedenaście sekund, kiedy skrzynka deszyfrująca po drugiej stronie linii wypluje depeszę z Tajnej Bazy, w sztabie dywizji zacznie się ruch. Och, żadnej paniki, to oczywiste: *alarm żółty* ogłasza się kilka razy do roku. Oficer dyżurny sztabu dywizji wyda wybranym pododdziałom rozkaz *standby*, czyli gotowości do alarmu. Zostaną obudzeni oficerowie służb technicznych. Dyżurujący pilot

śmigłowca wsiądzie do kabiny. W odległym dowództwie obszaru powietrznego zapłoną sygnały ostrzegawcze. Komputer Generalnego Inspektoratu Bundeswehry zaprogramuje sam siebie na stan gotowości.

Von Wiprecht widział wiele razy, jak się to odbywa, i ma teraz zupełną pewność, że tajemnicze zdarzenia zostaną wkrótce wyjaśnione, jak to zawsze bywało w przeszłości.

Kapitan jest w gruncie rzeczy zadowolony, że zdarzyła mu się taka niezwykła przygoda. Będzie co powspominać, kiedy już przejdzie do pracy w sztabie okręgu, a potem może w sztabie generalnym.

Powodowany wyrobionym przez lata odruchem von Wiprecht rzuca okiem na lampki kontrolne Głównego Obwodu. To, co spostrzega, przyprawia go o osłupienie. Jest to widok, jakiego nie przewiduje żaden regulamin i jakiego nigdy nie pokazywano na żadnym symulatorze.

Tylko dwie z trzydziestu czterech lampek płoną równym, zielonkawym światłem. Reszta zgasła. Po prostu zgasła. A oficerów uczono, że jest to technicznie niemożliwe. Przerwanie Głównego Obwodu w którymkolwiek miejscu sprawia, że w miejsce wygaszonej lampki zielonej zapala się purpurowa, zasilana z własnego źródła, niewygaszalna i niezależna od sieci. Tę sztuczkę chcieli nawet kiedyś kupić Amerykanie i Japończycy - tylko na pozór jest to urządzenie tak prymitywne - jednakże dowództwo Bundeswehry zabroniło sprzedaży licencji. *Sicher ist sicher*, i bardzo dobrze, jeśli to jest niemiecki wynalazek.

Nie pomaga nawet przetarcie oczu. Na tablicy kontrolnej nic się nie zmienia.

Von Wiprecht działa teraz jak maszyna. Najpierw wydobywa z podręcznego zasobnika środków psychotropowych pastylkę „B”. Tak, to ta: czerwono-zielona, czwarta w pierwszym rzędzie. W ciągu 30 sekund pastylka rozjaśnia umysł i usuwa uczucie lęku. Następnie, pomijając *przycisk alarmu zielonego*, kapitan trzyma przez chwilę wyciągnięty palec w powietrzu i jednym energicznym ruchem włącza *alarm czerwony*: UŻYWAĆ TYLKO W RAZIE NIEBEZPIECZEŃSTWA LUB POWAŻNEJ AWARII. ALARM BUDZI DOWÓDCĘ DYWIZJI. NIEUZASADNIONE UŻYCIE PODLEGA KARZE DYSCYPLINARNEJ.

Tak - to jest właśnie ten wypadek, jakiego jeszcze nie było w Tajnej Bazie nr 6. Trzeba obudzić dowódcę dywizji, której podlega TB 6.

Von Wiprecht staje przy radiodalekopisie. Lewa dłoń wystukuje meldunek.

oficer dyżurny tb 6 do dcy dywizji

12 06 godz 0610 gmt

natychmiast

alarm czerwony ogłoszony

awaria głównego układu zabezpieczającego stop czynne tylko punkty 17 i 19 reszta
wygaszona stop brak instrukcji postępowania stop nadal brak oficera przejmującego służbę
stop nadal brak raportu od dowódcy patrolu nr 6 stop czekam na rozkazy stop nic
podejrzanego nie zauważyłem stop von Wiprecht kpt

koniec

Von Wiprecht działa szybko, lecz spokojnie, dokładnie tak, jak to przewidziano w instrukcji. Odbezpieczenie dodatkowych układów przeciwpożarowych. Odblokowanie zapory przy głównej bramie wjazdowej do Bazy. Przełączenie łączności radiowej na tajną częstotliwość, używaną tylko w *wypadku W*, czyli podczas wojny. Podniesienie ołowianych zasłon w pomieszczeniu kontroli promieniowania. Włączenie bezpośredniej radiolinii do naczelnego dowództwa Bundeswehry. Uruchomienie awaryjnej klimatyzacji.

Co jeszcze? Nigdy dotychczas w Tajnej Bazie nie ogłaszano *alarmu czerwonego* i von Wiprecht musi się chwilę zastanowić, czy wykonał wszystkie czynności przewidziane przez instrukcję. Aha: jeszcze trzeba włączyć wszystkie automatyczne mierniki promieniowania na całym terenie Bazy. Pion pierwszy... drugi... trzeci...

Kapitanowi przychodzi na myśl, czy to przypadkiem nie jest niemądry pomysł sztabu dywizji: próbny *alarm czerwony*, ogłoszony tylko po to, aby wypróbować działanie wszystkich instalacji, no i przy okazji sprawdzić, jak sobie radzą oficerowie w nieprzewidzianej sytuacji. Ale nie, to chyba niemożliwe. Wyłączenie Głównego Obwodu byłoby sprawą zbyt ryzykowną.

O szóstej siedemnaście deszyfrator zaczyna mruczeć, chwilę potem z radiodalekopisu wysuwa się bezszelestnie długa, żółtawa taśma.

oficer dyżurny sztabu dywizji do oficera dyżurnego tb 6

12 06 godz 0617 gmt

natychmiast

meldunek przyjęty stop zachować spokój stop ekipa inżynierska w drodze stop
wezwać dowódców patroli od nr 1 do 5 stop ustalić powód opóźnienia stop meldować przyłot
ekipy stop krassner major koniec

Von Wiprecht peszy się. Przecież sam powinien wezwać dowódców poprzednich patroli, skoro Pauschke nie zgłosił się o czasie. No, ale to ostatecznie drobiazg. Za dużo wydarzyło się równocześnie. Poza tym wszystko, jak na razie, dzieje się zgodnie z instrukcją. I to chyba nieźle się dzieje. Przełożeni powinni to docenić. Może sam dowódca dywizji, generał-porucznik Severing, zwróci uwagę na zaradność oficera dyżurnego. Zresztą, nie tylko o to chodzi. Von Wiprecht myślał w swoim czasie o studiach politechnicznych - właściwie tylko za namową ojca zdecydował się na karierę wojskową - i sprawne działanie wszelkich mechanizmów sprawia mu dotąd satysfakcję. A obsługa urządzeń Bazy przypomina sprawny, dobrze działający mechanizm.

Nagle u stalowych drzwi, oddzielających pomieszczenie kontrolne od przedsionka, rozlega się jakieś chrobotanie. To chyba Pauschke dobrnął wreszcie z raportem. Von Wiprecht doznaje ulgi, a nawet radości. Obecność drugiego człowieka w tej głupiej sytuacji jest jednak znacznie bardziej pożądana niż działanie pigułki „B”. Pomieszczenie kontrolne nie ma okien, jest całkowicie izolowane od świata stalowymi blachami i ciężkim ekranem z ołowiu. Nawet system klimatyzacyjny jest niezależny od głównego układu. Co prawda sierżant Pauschke powinien nacisnąć siedem z dwunastu przycisków, znajdujących się w przedsionku, i to w określonej kolejności, zmienianej co sześć godzin, gdyż bez znajomości kodu prąd nie popłynie w obwodzie, a na razie tego nie uczynił. Lampki w pomieszczeniu kontrolnym sygnalizują zamkniętemu od wewnątrz oficerowi dyżurnemu, czy ktoś, kto pragnie wejść, zna kod na dzisiejszą zmianę. Niezły pomysł. Dawniej trzeba było wykrzykiwać hasło, dziś wystarczy spojrzeć, czy zapłonęły lampki.

Widocznie jednak awaria unieruchomiła i tę sygnalizację. Von Wiprecht, nie odrywając się od pulpitu kontrolnego, naciska zamek zwalniający rygle drzwi wejściowych.

I to już jest ostatnia czynność kapitana von Wiprechta w Tajnej Bazie nr 6. Odwraca się gwałtownie, dostrzega jeszcze wysuwającą się przez uchylone drzwi lufę pistoletu maszynowego i błądy snop ognia wokół niej. Potem jest już tylko ciemność.

Jego podziurawione pociskami ciało opada na pulpit z taką siłą, że bezwładna głowa tłucze kryształowy klosz głównego wyłącznika i przesuwą dźwignię blokującą w położenie zerowe.

Tajna Baza nr 6 stoi teraz otworem dla każdego, kto zapragnie tu wejść.

Daleki pradziad kapitana, Johann Adalbert, rocznik 1780, wojował pod Scharnhorstem przeciw Napoleonowi. Jego wnuk, Werner Siegfried, dosłużył się pułkownika u von Moltkego, zdobywał Metz, zwyciężał pod Sedanem. Dziad kapitana, Johann Werner, dwukrotnie otrzymał Krzyż Żelazny za męstwo okazane pod Douaumont. Jeden stryj

kapitana, komandor korwety Gustaw Joachim, poszedł na dno w rejonie Libawy. Drugi, podpułkownik Adalbert Richard, kapitulował z von Paulusem pod Stalingradem i nie wrócił z niewoli. Ojciec kapitana, Johann Jürgen, stracił palec w Polsce, oko pod Kurskiem i połowę szczęki pod Berlinem. Ród von Wiprechtów długo i wiernie służył niemieckiej ojczyźnie, nawet wówczas, gdy wydawało się, że niemieccy żołnierze nie będą już do niczego potrzebni. Herbową dewiza von Wiprechtów brzmiała jak hasło bojowe: „vivere militare est”: życie to walka.

Ale kapitan Adalbert Richard von Wiprecht, rocznik 1950, nie ma rodzeństwa ani potomstwa. Nie zdążył się ożenić i pomyśleć o ciągłości rodu. Z jego śmiercią zakończyła się trwająca prawie siedemset lat historia rycerskiego rodu von Wiprechtów.

II

Piątek, 12 czerwca, godzina 6.38 rano. Z rejonu Tajnej Bazy nr 6 jedzie niepozorna, siwoniebieska furgonetka z francuskimi numerami rejestracyjnymi. Ominęła właśnie miasteczko Escherpfarr i zmierza w kierunku granicy francuskiej.

W furgonetce znajduje się niemal w całości *Grupa M*, postrach policji całej Europy. Ponad dwieście zamachów bombowych w ciągu pięciu lat, czterdzieści dwa porwania, zuchwały napad na gmach parlamentu krajowego w Hesji i na komendę policji w Monachium, wykolejenie ekspresu Bazylea - Paryż... no, sporo. Na każdym z członków grupy ciąży z piętności wyroków śmierci, a lata więzienia należałoby liczyć w tysiącach.

Nie bez powodu nazwali się *Grupą M*. Jest to - o czym nie wie dotąd żaden gliniarz w Europie - pierwsza litera hiszpańskiego słowa *la muerte*, śmierć. Dlaczego akurat hiszpańskiego? Właściwie nie wiadomo. Tak się jakoś złożyło.

A oto pasażerowie furgonetki.

Kierowca: Chally, zwany przez podwładnych *el commandante*, przywódca Grupy. Człowiek bez imienia, nazwiska, adresu, daty urodzenia i w ogóle bez jakichkolwiek wiarygodnych danych personalnych. Wzrost 188 cm, lat około 29. Narodowość niepewna: prawdopodobnie Bawarczyk, Austriak lub Szwajcar. Nie jest też wykluczone, że mówił prawdę, kiedy wspominał mimochodem, że pochodzi z rodziny niemiecko-burskich kolonistów w Afryce Południowo-Zachodniej. Nikt tego nie wie dokładnie i nie powinien się dopytywać.

Pasażer pierwszy: Karl-Christian Stoepe, żeby pozostać przy aktualnym nazwisku, o którym zresztą sam Karl-Christian powiada, że jest ósme z kolei. Matka Włoszka, ojciec niemczony Holender. Dzieciństwo spędził Karl-Christian w Brazylii, szkołę średnią kończył w Pakistanie, studiował w Nanterres i w Berlinie Zachodnim. Lat około 30, wzrost 178 cm. W *Grupie M* Karl-Christian pełni, jak sam mówi, funkcję rzeźnika: celnie, zawsze z jednakową precyzją, strzela do strażników, policjantów i tajniaków. Wykonuje też egzekucje na zakładnikach. W *Grupie* zajmuje się uzbrojeniem i materiałami wybuchowymi. Ponieważ przy mokrej robocie nie doznaje żadnych w ogóle emocji, nazwano go kiedyś Rybą i tak już zostało.

Pasażer drugi: André Pichon-Laleaux, dyżurny geniusz *Grupy M*. Doktor elektroniki, absolwent chemii w Zurychu, stypendysta Forda. Lat 36, wzrost 155 cm. Pięć lat temu pewna smukła i urodziwa panienka miała nieszczęście powiedzieć coś uszczypliwego na temat wzrostu doktora Pichon i uderzających braków jego powierzchowności. A także o tym, że jest nudny w towarzystwie. Doktor Pichon oświadczył, że panna Margot jeszcze o nim usłyszy, po czym znikł z horyzontu tak dokładnie, że oficerowie kontrwywiadu sześciu krajów Paktu zaczęli się nie na żarty denerwować, a podobizna monsieur Pichona trafiła na czołówki listów gończych Interpolu. Ten człowiek miał dostęp do wyjątkowo tajnych badań z pogranicza fizyki i elektroniki wojskowej. Gorzej: przez pewien czas był nawet konsultantem w firmie *Dovegreen Industries Ltd.*, o której byłoby przesadą powiedzieć, że się zajmuje ulepszaniem odkurzaczy.

Chally nie cierpi Pichona, ale wie dobrze, że bez tego cholernego doktora *Grupa M* nie mogłaby odnieść tylu wspaniałych sukcesów. Ten człowiek naprawdę bywa chwilami genialny. Zawsze znajduje wyjście z sytuacji, która wszystkim wydaje się bez wyjścia, niektóre jego pomysły wręcz zapierają dech. To on podpowiedział szefowi wyprawę na Tajną Bazę nr 6. I on przeprowadził wszystkie wstępne przygotowania.

Pasażer trzeci: Łucja Monika Verramonte, lat 23, narodowość włoska. Wychowanka szkoły klasztornej w Mediolanie. W *Grupie M* pełni funkcje dziewczyny do wszystkiego: pisuje listy, przewozi trefne materiały, gromadzi wycinki z prasy, dokonuje zakupów, gotuje, kiedy trzeba. Jej piękne blond włosy i niewinne, niemal dziecięce oczy nieraz już pomagały wyjść z opresji, kiedy sieć policyjna zaciskała się wokół *Grupy*. Tę dziewczynę doprawdy trudno podejrzewać o działalność terrorystyczną.

Pasażer czwarty: Rudi Staar, lat 27, czeladnik malarski z Hamburga, niegdyś wicemistrz Nadrenii-Westfalii w pięściarstwie. Rudi jest wesołym i sympatycznym chłopcem, pięknie śpiewa i ma złote ręce do każdej pracy. Czasem tylko pochmurnieje mu twarz i wtedy

lepiej się do niego nie odzywać. Właśnie w takim przypiływie furii dźgnął nożem swego majstra, no, a potem wołał jednak nie mieć do czynienia z prokuratorem.

W furgonetce znajduje się jeszcze piąty pasażer, nie należący do *Grupy*. Jest to nieprzytomny, broczący krwią sierżant Pauschke. W ostatniej chwili Ryba zauważył, że dowódca patrolu wartowniczego wcale nie zginął podczas pierwszej wymiany strzałów. Ryba chciał go dobić, żeby nie pozostał przy życiu ani jeden świadek wydarzeń w Bazie, ale Chally kazał wrzucić rannego do ciężarówki. Nie wiadomo właściwie po co, kłopotu z nim będzie do diabła i trochę.

Nikt w *Grupie M* nie wie, że ten młodzieńcy blondynek, dyszący ciężko przy każdym wstrząsie furgonetki, jest synem słynnego Arnima Pauschke, pisarza i dramaturga, którego nieprzejednane stanowisko w sprawach zbrojeń neutronowych podzieliło niegdyś Republikę Federalną jak chyba nic innego przedtem. Pauschkemu wytoczono w końcu pod jakimś pretekstem proces, a jego dziewiętnastoletni syn, przejęty bojkotem przyjaciół i nagonką prasy, przerwał studia i wstąpił jako ochotnik do Bundeswehry. Przed rokiem była to dość głośna sprawa. Gazety rozpisywały się z zachwytem, że syn tak wyrodnego ojca okazał tyle charakteru i patriotycznej gotowości. Gdyby Chally wiedział, kogo teraz ze sobą wiozą, wiele spraw mogłoby się potoczyć inaczej. Do spółki z Pichonem na pewno wymyśliliby jakąś fajną sztuczkę na złość rządowi i burżujom.

Nikt jednak, może oprócz Łucji, nie przejmuje się specjalnie tym zdychającym blondaskiem. Ma za swoje, głupi żołdak. Mógł nie strzelać z ukrycia. Przecież o mało nie podziurawił Karla-Christiana. Na szczęście Ryba był szybszy, jak zwykle. Ludzie służący w wojsku i policji nie zasługują na żadne względy *Grupy M*. Należałoby ich likwidować dużo skuteczniej, niż to się dotychczas czyni.

Oczy wszystkich członków *Grupy M* spoczywają co chwila na czymś, co stanowi plon dzisiejszej akcji. Jest to stalowa kratownica o długości 140 centymetrów, z wygodnymi uchwytami do zawieszania na dźwigu, choć wszystko to razem waży zaledwie sześćdziesiąt kilo. Karl-Christian z Rudim bez trudności wynieśli tę sztukę z magazynu i z łatwością załadowali na furgonetkę. Wewnątrz kratownicy spoczywa na gumowych poduszkach smukłe, wyoblone na końcu cygareto o barwie rtęci. Wygląda jak odkute z jednego kawałka metalu, lecz w tylnej, ściętej pionowo części widać pięć śrub dopasowanych precyzyjnie, jak w zegarku. Wystarczy odkręcić pokrywę, aby zobaczyć, co też naprawdę znajduje się w środku. Niemal każdy, kto to widzi po raz pierwszy, odczuwa taką ochotę.

Na prawym boku cygara biegnie jaskrawoczerwony napis: *Keep off - do not touch! Not to be removed except by authorized personnel. Neutron warhead. Yield: 0,5 kT. Serial*

number: 02233-Y5-0063721. Property of the U.S. Army²

Piękne cacko. Warto się było potrudzić, żeby nim zawładnąć.

Rudi zna pewien zarośnięty lasem bunkier po dawnej linii Maginota, zaraz za granicą francuską. Tam właśnie umieści się głowicę na jakiś czas. *Grupa M* rozproszy się i zniknie gliniarzom z oczu. No, a potem, mając do dyspozycji głowicę neutronową, można będzie pogadać z rządem pana kanclerza Lüttnera. I z rządem włoskim, oczywiście, który wsadził do pudła na trzynaście lat dwóch fajnych chłopaków z *Grupy M*. Pichon potrafi się już zająć eksplozowaniem tej zabaweczki. I to w miejscu wybranym przez *Grupę*. Na przykład na dworcu kolejowym we Frankfurcie. Albo na lotnisku Orly. Albo na środku Marienplatz w Monachium.

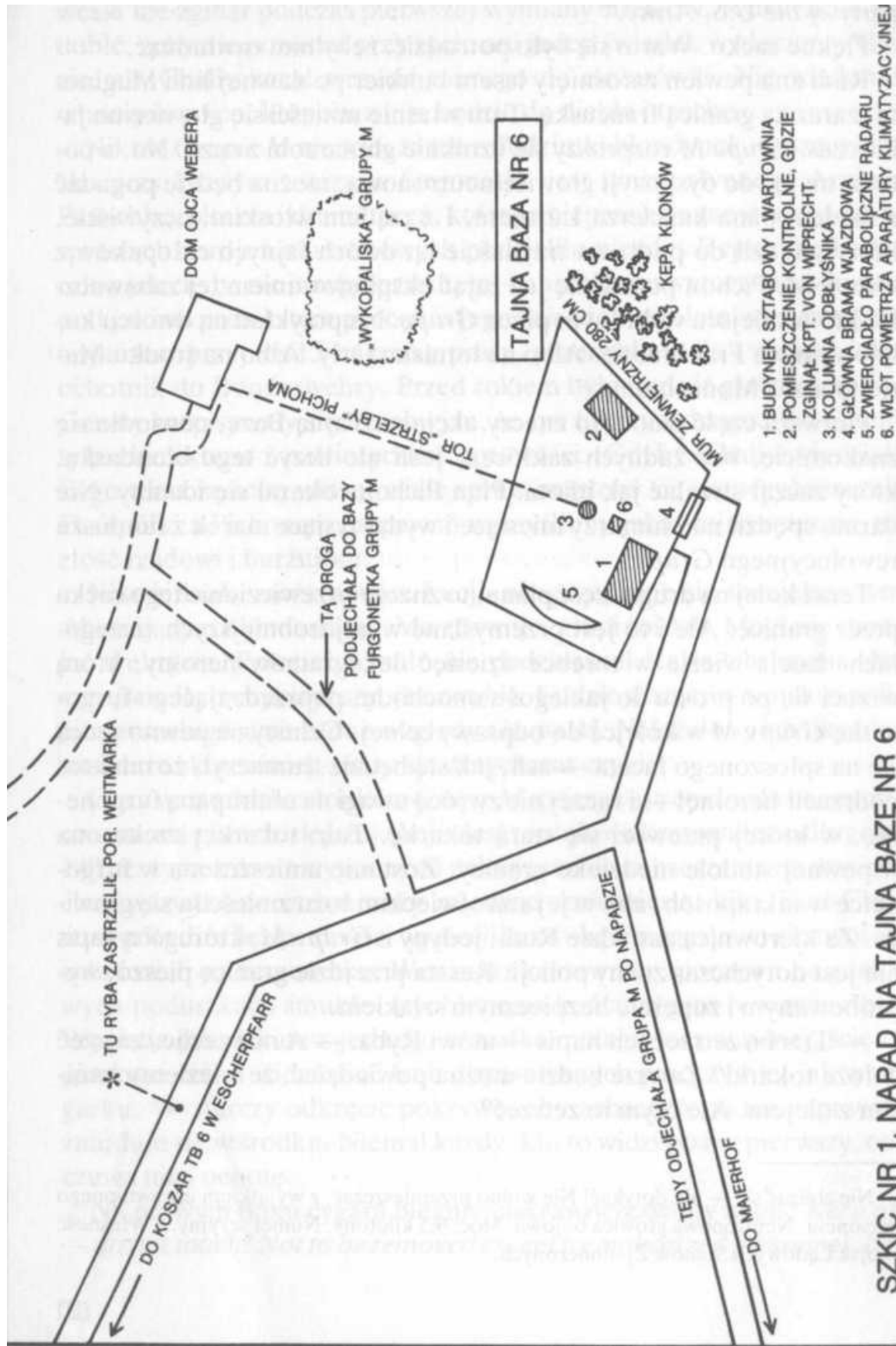
Pierwsza część planu, to znaczy akcja na Tajną Bazę, powiodła się znakomicie, bez żadnych zakłóceń, jeśli nie liczyć tego blondaska, który zaczął strzelać jak idiota. Plan Pichona okazał się idealny. Nie darmo spędził nad nim trzy miesiące i wydał tysiące marek z funduszu rewolucyjnego *Grupy*.

Teraz kolej na drugą część planu, to znaczy przewiezienie tego cacka przez granicę. Ale i to jest przemyślane w najdrobniejszych szczegółach. Łucja wiezie w torebce dziesięć dekagramów heroiny, którą wrzuci się po prostu do jakiegoś samochodu, poprzedzającego furgonetkę *Grupy M* w kolejce do odprawy celnej. Celnicy na pewno rzucą się na spłoszonego faceta - ach, jak się będzie tłumaczył, że mu ktoś podrzucił heroinę! - i raczej nie zwrócą uwagi na obdrapaną furgonetkę, w której przewozi się starą tokarkę. Tak, tokarkę; czeka ona w pewnej stodole niedaleko granicy. Zostanie umieszczona w furgonetce w taki sposób, aby w jej staroświeckim łożu zmieściła się głowica. Za kierownicą zasiądzie Rudi, jedyny z *Grupy M*, którego rysopis nie jest dotychczas znany policji. Reszta przejdzie granicę pieszo, wypróbowanym i zupełnie bezpiecznym szlakiem.

- Trzeba zetrzeć ten napis - mówi Ryba. - A nuż zechcą zajrzeć w łożo tokarki? Zawsze będzie można powiedzieć, że wieziemy kanister z olejem. Ale czym to zetrzeć?

- Są trzy możliwości - odpowiada Pichon i zaczyna je wyliczać, jak gdyby zdawał egzamin. - Aceton, jeśli to jest zwykła farba nitro. Benzyna, jeśli napis wykonano farbą łatwo utleniającą się podczas lotu. No, wiecie, na skutek wzrostu temperatury. Wreszcie może to być farba plastikowa, oparta na syntetycznych żywicach. Wtedy będziemy mieli kłopot. Potrzebny byłby specjalny rozpuszczalnik. Dość kosztowny. Trudny do zdobycia.

² Nie zbliżać się - nie dotykać! Nie wolno przemieszczać, z wyjątkiem uprawnionego personelu. Neutronowa głowica bojowa. Moc: 0,5 kilotony. Numer seryjny... Własność Wojsk Lądowych Stanów Zjednoczonych.



SZKIC NR 1. NAPAD NA TAJNĄ BAZĘ NR 6

Łucja wyjmując z torebki buteleczkę ze zmywaczem do paznokci, zwilża nim chusteczkę i swymi pięknymi, długimi palcami zaczyna pocierać napis na głowicy. Cyfry numeru seryjnego znikają natychmiast, jedna po drugiej, jak gdyby nigdy ich nie było.

Chally nie ukrywa zadowolenia, choć nie należy do ludzi łatwo uzewnętrzniających swoje emocje.

- No, dobrze nam się dziś wiedzie - rzuca zza kierownicy. - Kto by to pomyślał, że takie nieduże świństwo jest tak skuteczne. Więc powiadasz, Pichon, że to nie wydziela teraz żadnego promieniowania, czy jak się tam to nazywa?

- Nic takiego nie powiedziałem - mówi Pichon. - Nie znam szczegółów konstrukcyjnych pocisku. To można by ustalić tylko za pomocą licznika radiacji, którego nie mamy, ponieważ ty, Chally, uznałeś zakup licznika za niepotrzebny wydatek. Nie pierwszy raz napotykam kłopoty. A później masz do mnie pretensję.

Łucja cofa nagle dłoń, odrzuca z przerażeniem chusteczkę i zamiera w bezruchu. W furgonetce zapada chwila głębokiej ciszy, przerywanej tylko jękami Pauschkego.

Ten Pichon jest naprawdę potworem. Wymyślił i zbudował urządzenie, które unieruchomiło Główny Obwód Zabezpieczający w Tajnej Bazie. Ustalił poprzez podsłuch tryb służby wartowniczej w Bazie. Odtworzył dyslokację budynków i magazynów Bazy, złamał szyfr bramy wjazdowej, ogłupił oficera dyżurnego, a teraz najspokojniej powiada, że się nie zna na głowicach neutronowych.

- Czytałam - mówi Łucja roztrzęsionym głosem - że od tego promieniowania umiera się bardzo długo. I że to boli, bo przestają działać środki znieczulające.

- Zamknij pysk! - woła Chally. - Za dużo czytasz tych bredni. Trzeba cię znowu sprać. Możesz na mnie liczyć. No, tak, pan doktor jeszcze raz okazał się geniuszem-kretynem. Słuchaj no, André, jakie są szanse, twoim zdaniem, że w tej chwili to przekłete świństwo promieniuje?

Pichon namyśla się przez chwilę i odpowiada swym flegmatycznym, monotonnym głosem:

- Pięćdziesiąt na pięćdziesiąt. W zasadzie głowica jest fizycznie nieczynna. Promieniowanie powstaje dopiero w momencie eksplozji plutonu. Jednak pewien procent głowic ma zawsze jakiś błąd konstrukcyjny. Dlatego właśnie przy ich składowaniu obowiązują aż tak surowe przepisy. Po drugie, nie mogę wykluczyć, że podczas składowania głowice zabezpiecza się przed... no, przed wywiezieniem ich przez niepowołane do tego osoby. Na stanowisku składowania było trochę za dużo kabli, czujników i sygnalizatorów, żebym mógł się w tym od razu rozeznąć. Sądzę, że oni musieli wymyślić jakiś sposób, żeby

się zabezpieczyć przed, powiedzmy, zdobyciem magazynu przez nieprzyjacielski desant. Najprostszy sposób polegałby na tym, że głowice, wyjęte bez zezwolenia ze stałych stanowisk składowania, mogłyby wykazać promieniowanie, i to o dość znacznym natężeniu. Ale to tylko mój domysł. Nic bliższego na ten temat nie wiem.

- I ty nam dopiero teraz to mówisz? - pyta cicho Rudi, a w jego oczach, ściemniałych z gniewu, pojawia się ów straszny błysk, który przyprawia o lęk nawet samego Rybę. - Na cholere te twoje dyplomy, jeżeli nie wiesz tak zasadniczych rzeczy? Kto nam zagwarantuje, że za godzinę nie zaczniemy pluć krwią?

- Ja będę pierwsza - szepcze Łucja. - Siedzę najbliżej i ścierałam ten napis.

- Nie sądziłem - powiada Pichon z kamiennym spokojem - że wam to robi aż taką różnicę. Przecież i tak któregoś dnia wszyscy zadyndamy na szubienicy albo dostaniemy się do takiego pudła, że będziemy marzyć o cyjanku. Od choroby popromiennej umiera się najwyżej przez tydzień. W razie czego mamy w melinie niezłą porcję morfiny...

Zapada znów chwila milczenia.

- Poza tym - ciągnie Pichon, nie ukrywając ironii - pamiętacie chyba, jak to było pół godziny temu. Domagałem się, żeby razem z tym cackiem zabrać płaszcz ołowiany. No, taką osłonę nasuwaną na kratownicę. Ołów z wtopionymi prętami grafitu. Ale Chally zabronił, ponieważ on się zna na wszystkim. Może nie tak było?

- Coś ty! - kręci głową Rudi. - Ta osłona ważyła z pół tony, ledwo ją zwlekliśmy z kratownicy. Jak można ją było zabrać? Zresztą, w samochodzie zabrakłoby miejsca dla nas.

- Nic na to nie poradzę - odpowiada Pichon. - Praw fizyki oszukać nie można. To tylko nasz *commandante* sądzi, że potrafi cały świat zmusić do tańca. Może w końcu wyciągniecie z tego jakieś wnioski.

- Poczekaj no - powiada Ryba. - To znaczy, że wiedziałeś o groźbie promieniowania i nie ostrzegłeś nas?

- Po pierwsze, możliwość promieniowania nie jest jeszcze dowiedziona. Przed chwilą próbowałem wam to wyjaśnić. Po drugie, wyraźnie żądałem, aby zabrać osłonę, ale mnie się oczywiście nie słucha. Pichon jest dobry do główkowania, ale musi wysłuchiwać niedorzecznych rozkazów jak pierwszy z brzegu żołdak. Po trzecie, jestem zdumiony waszym nagłym umiłowaniem życia. Rewolucjoniści, konspiratorzy, bojownicy, a jak przychodzi co do czego, zaraz z was wyłazi mała, mieszczańska duszyczka.

- Ciebie trzeba rozstrzelać! - wybucha Chally. - Ty wredny łobuzie! Ty nędzny sukinsynu! Może ty pracujesz dla gliniarzy i postanowiłeś nas wykończyć? Dobra. Policzymy się jeszcze. A teraz wszyscy mordy na kłódkę. Zostawiamy majdan i znikamy.

Przejeżdżają właśnie przez senne, niewielkie miasteczko Maierhof. Chally hamuje, skręca w jakąś wąską uliczkę, mija szkołę i kino, skręca jeszcze raz.

Zatrzymuje wóz. Wysiada, rozgląda się uważnie po okolicznych domach. Sklep rzemieślniczy, zakład pogrzebowy, witryna sklepiku filatelistycznego.

- Wysiadać! - woła Chally. - Zostawiamy to świństwo tutaj. Idziemy pieszo do następnej stacji kolejowej, jedziemy w pobliże granicy. Zbiórka w bunkrze... prawda, tylko Rudi zna to miejsce. Więc zrobimy inaczej. Ryba i Rudi pójdą przodem, a ja dopilnuję naszego szanownego doktora.

- Zgłupiałeś, Chally - chrząka Pichon. - Wygląda na to, że chcesz mnie aresztować.

- Nie. Chcę ci roztrzaskać łeb, jeśli komukolwiek z nas krew polecą z nosa.

- Hej, wolnego - powiada Ryba. - A co z tym blondaskiem? Przecież on jeszcze żyje i diabli wiedzą, co zapamięta.

Ryba sięga po pistolet i rozgląda się na wszystkie strony.

- Chcesz tu strzelać, idioto? - mówi półgłosem Chally. - Tu, w tej małej uliczce, gdzie strzał zabrzmi jak salwa pułku artylerii? Nie ma mowy. Łucja! Weź no się w garść i przestań chlupać. Dostyc się już nażyłaś. Wejdz do furgonetki i rozepnij temu blondasowi spodnie. Zdaje się, że dostał w brzuch. Jeśli ma flaki na wierzchu, możemy go spokojnie zostawić, zdechnie za półtorej godziny. Jeśli ma brzuch w porządku, trzeba będzie coś wymyślić.

- Mam tam wejść? - pyta niechętnie Łucja. - Do tej trumny?

Chally chwyta ją za kark i kolanem popycha w kierunku furgonetki.

Ryba przechadza się niespiesznie po przeciwległym chodniku.

Ogląda z zainteresowaniem wystawione w witrynie znaczki. W tej samej chwili zza zakrętu wypada na motocyklu policjant. Krótkim, fachowym spojrzeniem obrzuca grupę stojących mężczyzn, notuje w myśli francuskie numery rejestracyjne furgonetki. Widocznie chce o coś zapytać, bo zwalnia na moment, ale potem dodaje gazu i znika za kolejnym zakrętem.

Z furgonetki wychodzi Łucja, blada jak bielone płótno, potargana i postarzała o piętnaście lat.

- On nie żyje - szepce do Karla-Christiana, który stoi najbliżej.

- Nie ma tętna.

- Czy obejrzałaś jego brzuch? - pyta Chally.

- Nie... to niepotrzebne. On jest zupełnie zimny.

- Dobra - mówi Chally. - Rudi i Ryba w pierwszej parze. Ja z Pichonem w następnej. Wstąpimy jeszcze do jakiegoś baru. Powinniśmy trochę pogadać o naszym pięknym świecie.

- Jest dopiero siódma rano - bąka Pichon.

- Nie szkodzi. To idealna pora. Czy widziałeś miasto w tym kraju, gdzie nie można by się czegoś napić o dowolnej porze doby? Nie marudź. Masz jeszcze szansę. Łucja poradzi sobie sama. Spotykamy się o czternastej zero zero przy kasie biletowej na stacji Werdenberg. Przypominam, że jest to ostatnia stacja przed granicą. Każdy jedzie do Werdenberg w dowolny sposób - pociągiem, autostopem, taksówką - jak wam wygodnie. Gdyby spotkanie nie doszło do skutku, spotykamy się jutro o dziewiątej rano po francuskiej stronie granicy, na rynku w miejscowości Anvers. Na prawo od kościoła jest nieduży bar pod nazwą *Bistro Ravel*. Kto się nie pokaże ani dziś, ani jutro, niech oczekuje najgorszego.

- Chally - powiada niepewnie Rudi - a jeżeli za godzinę czy dwie zaczniemy chorować na tę... no, tę chorobę popromienną? Jak się wtedy spotkamy?

- Wtedy - ucina Chally - będzie mi już wszystko jedno. Kto chce, będzie mógł wrócić do mamusi, żeby umrzeć w domowych betach.

- To jest jednak dość mało prawdopodobne - wtrąca Pichon. - Przemyślałem tę sprawę. Taka forma zabezpieczenia głowic byłaby chyba zbyt kosztowna. Automatyczne wyzwalanie promieniowania musiałoby kosztować więcej niż sama głowica. Chociaż z drugiej strony... nie ma właściwie innego sposobu, aby skutecznie zabezpieczyć głowice przed porwaniem.

- Pichon! - woła Chally. - Przestań z nas robić durniów! Zamknij natychmiast ten swój szpetny pysk. Ile godzin upływa od momentu napromieniowania do pierwszych objawów choroby?

- To zależy od dawki - odpowiada flegmatycznie Pichon. - Ale przy napromieniowaniu powyżej tysiąca radów pierwsze objawy powinny w zasadzie wystąpić po pięciu godzinach.

- Świetnie. Masz jeszcze przed sobą pięć godzin życia, doktoru. A przyrzekam ci, że nie będziesz miał lekkiej i przyjemnej śmierci. Wiesz chyba, jak karzemy za zdradę?

- Głupi jesteś, Chally - odrzuca Pichon. - Nikogo nie zdradziłem. Byłem z wami przez cały czas i jechałem w furgonetce. To raczej ciebie należałoby przesłuchać, dlaczego tak się tu rządysz. Kim ty właściwie jesteś? Skąd się wziąłeś?

- Pewno łyknąłeś jakieś pigułki - patrzy na Pichona Rudi. - Już ja was znam, inżynierkowie. Tobie nic się nie stanie, a z nas zaraz zacznie chlustać krew.

- Ty to mówisz, Rudi? - ironizuje Pichon. - Odkąd to stałeś się taki wrażliwy na ciekącą krew? Co za przemiana! Mnie to osobiście nic nie przeszkadza. Żadnych pigułek nie brałem, po prostu dlatego, że nic takiego nie istnieje.

- Spokój, do cholery! - woła Chally, nakładając na głowę śmieszna, kraciastą czapkę. - Pichon wyjmie nadajnik spod maski. Przy okazji poprzecinaj kable. Ruszamy stąd, bo nas gliniarze przyskrzynią.

W ciągu siedmiu minut *Grupa M* znika z wąskiej uliczki w miasteczku Maierhof.

Dopiero za półtorej godziny pan Friedrich Wilhelm Knauppe, właściciel zakładu pogrzebowego przy ulicy Wschodniej, zauważy wyciekającą z opuszczonej furgonetki strugę krwi i zawiadomi policję.

III

Piątek, 12 czerwca, godzina 7.20 rano. W gabinecie szefa wywiadu polowego 14 Hanowerskiej Dywizji Zmechanizowanej odbywa się odprawa, a właściwie zebranie, zupełnie nieprzewidziane w żadnym regulaminie. Koszary w Rhemsdorf dopiero zaczynają dzień służby.

- Moi panowie - zaczyna podpułkownik Karl-Heinz Pionteck - myślę, że nadeszła chwila zupełnej szczerości. Dla naszej Organizacji wybiła godzina działania. Zdarzyła się nam szansa, jakiej dotychczas nie mieliśmy. Zapewne nieprędko moglibyśmy na podobną szansę liczyć ponownie. Niektórzy z panów wiedzą już, o co chodzi, jednakże dla porządku powtórzę to wszystko jeszcze raz. Otóż półtorej godziny temu nieznaną nam grupą terrorystów, co jest bardziej prawdopodobne, lub agentów strony przeciwnej, w co osobiście mniej wierzę, porwała z Tajnej Bazy nr 6 głowicę neutronową o mocy nominalnej pół kilotony. Nie wiemy dotąd, w jaki sposób udało się sprawcom unieruchomić system ostrzegawczy. Nie wiemy też, dlaczego zabrali tylko jedną głowicę, skoro magazyn Bazy stał otworem i napastnicy mogli wywieźć z niego właściwie wszystko, z głowicą megatonową włącznie. Nie o to jednak w tej chwili chodzi. Istotne jest to, że magazyny Bazy są nadal otwarte i ten stan rzeczy utrzyma się jeszcze przez mniej więcej czterdzieści minut, najwyżej godzinę. Awarię Głównego Układu Zabezpieczającego możemy przecież analizować...

- ...bez zbytecznego pośpiechu - uśmiecha się major Kirsch.

- Właśnie. A teraz do rzeczy. Nie mam możliwości, aby się porozumieć z kierownictwem naszej Organizacji, ufam jednak, że to, co zamierzam uczynić, znajdzie tam pełną aprobatę. Powinniśmy mianowicie natychmiast wywieźć z Tajnej Bazy nr 6 i odpowiednio zabezpieczyć co najmniej dziesięć głowic neutronowych o mocy nie mniejszej

niż pięćdziesiąt kiloton, ale i nie większej niż trzysta kiloton każda, ze względu na zrozumiałe trudności transportowe. Powodów wyjaśniać nie muszę. Panowie są dostatecznie dobrze zorientowani w bieżącej polityce i umieją dostrzec jej niebezpieczeństwo dla interesu narodowego. Zjednoczenie naszego kraju, zwłaszcza zaś wyzwolenie strefy wschodniej, nie nastąpi nigdy, jeśli pozostawimy tę sprawę na zawsze w rękach Amerykanów i Rosjan. Naszym zadaniem jest stworzenie pewnych faktów dokonanych. Z chwilą, kiedy nasza Organizacja będzie dysponować odpowiednio skutecznym środkiem nacisku, będziemy mogli zburzyć ten nikczemny spisek przeciw narodowi niemieckiemu. Nie wiemy jeszcze, w jaki sposób, ale działanie jest konieczne.

- Zwłaszcza - wtrąca podpułkownik von Tressau - że zniknięcie głowic i tak pójdzie na rachunek NRD. Tak zwanej NRD, przepraszam.

- Albo terrorystów, jeśli to byli terroryści - dorzuca major Kirsch.

- Albo po prostu Rosjan, bo oni będą jednak najbardziej podejrzani - dodaje kapitan Wiebold.

- Panowie, dość tych pogawędek, czas ucieka. Chciałbym jeszcze dodać - podpułkownik Pionteck lekko podnosi głos - że nie zamierzam tu wysłuchiwać żadnych komentarzy na temat nielegalności naszych poczynań. Panowie oficerowie! Przypominam, że samo istnienie naszej Organizacji jest nielegalne i sprzeczne z obowiązującą w tym kraju konstytucją, a przysięga, którą panowie składali wstępując do naszej Organizacji, jest w teorii karalna. Mamy jednak czyste sumienie. Nigdy nie uznawaliśmy narzuconej naszemu krajowi przez siły okupacyjne konstytucji. Nie uznajemy rozbioru naszej ojczyzny na pięć części. Odrzuciliśmy stanowczo zdradzieckie układy wschodnie. Albo się jest niemieckim patriotą, albo niewolnikiem Rosjan i klientem Amerykanów równocześnie. Myślę, że innych wyjaśnień tu nie trzeba. Oczekuję teraz od panów krótkich, rzeczowych propozycji w sprawie: punkt pierwszy - sposobu wywiezienia głowic, punkt drugi - zachowania tej operacji w tajemnicy, punkt trzeci - miejsca i sposobu ich tymczasowego składowania, dopóki kierownictwo naszej Organizacji nie podejmie decyzji o sposobie ich użycia. Kto z panów zabiera głos?

- Obawiam się, panie pułkowniku - mówi major Kirsch - że cała ta sprawa jest wprawdzie nadzwyczaj nęcająca, ale technicznie niewykonalna. Na terenie Bazy znajdują się nadal zwłoki czterech zabitych żołnierzy z ostatniego patrolu wartowniczego. Jedenastu pozostałych sprawia wrażenie ciężko zatrutych nieznanym środkiem. Może zresztą są tylko uśpieni. Nie wiadomo, co się stało z porucznikiem Weitmarkiem, który miał objąć służbę o godzinie szóstej. Nie wiemy, gdzie się podział sierżant Pauschke...

- Jak to? - woła Pionteck. - To Pauschke miał służbę w Bazie akurat podczas napadu? Najślynniejszy sierżant Bundeswehry? Bardzo ciekawe.

- Tak jest, panie pułkowniku. Pauschke był dowódcą ostatniego patrolu wartowniczego i mimo że wszyscy jego podwładni zostali zabici seriami z broni maszynowej, Pauschke znikł bez śladu. Ponadto nie wiemy, dlaczego kapitan von Wiprecht, wbrew najsurowszym zakazom, dobrowolnie otworzył napastnikom drzwi do pomieszczenia kontrolnego. Nie znaleziono żadnych śladów walki. Zwłoki von Wiprechta także leżą nadal na pulpicie kontrolnym. Krótko mówiąc, istnieje w tej sprawie zbyt wiele znaków zapytania, o których powinniśmy natychmiast powiadomić oficera kontrwywiadu, bo sami możemy popaść w nieprzyjemne tarapaty. Ale nawet nie tylko o to chodzi. Dziesięciu głowic nie przetransportujemy własnymi siłami. Trzeba w tym celu zebrać co najmniej pluton żołnierzy, a jeszcze lepiej dwa plutony. Trzeba ściągnąć z garaży dywizyjnych co najmniej cztery wozy opancerzone, dostosowane do przewozu głowic. Kierowcom wozów trzeba wypisać rozkazy wyjazdu wraz z podaniem punktu docelowego. W jaki sposób możemy utrzymać w tajemnicy tak skomplikowaną operację? Jak można ukryć przed żołnierzami choćby ślady strzelaniny na terenie Bazy i ciała zabitych? A nuż któryś z uspioanych lub zatrutych wartowników zerwie się nagle i zacznie krzyczeć?

Zapada chwila milczenia.

- Kto następny? - pyta podpułkownik Pionteck, bębniąc palcami po stole.

- Mam pytanie - mówi milcząco dotąd major Stahm. - Ilu oficerów naszej dywizji należy do Organizacji?

- Pan nie ma prawa zadawać takich pytań, majorze! - odpowiada ostro Pionteck.

- Przepraszam. Pragnę jednak wyjaśnić powód, który mnie skłonił do zadania takiego pytania. Otóż gdybyśmy zdołali zebrać, powiedzmy, dwudziestu ludzi, można by ich przebrać w zwykłe żołnierskie mundury - mam pod ręką klucze do alarmowego magazynu mundurowego - i pozorować uformowanie zwykłego plutonu transportowego. Wozy transportowe mogłyby dojechać pod budynek sztabu, a my sami moglibyśmy je poprowadzić dalej.

- Mam chyba lepszy pomysł - przerywa kapitan Wiebold. - O cztery kilometry od Escherpfarr stacjonuje akurat od wczoraj, w szczerym polu, pewna jednostka specjalna, o której właściwie nie powinienem wiedzieć. Tak się jednak składa, że jej dowódcą jest mój kolega szkolny, z którym mamy identyczne poglądy polityczne. Można mu zaufać. A jego chłopcy nie należą do gadatliwych i kiedy usłyszą, że mają trzymać buzię na kłódkę, może być pan pewien, pułkowniku, że ten rozkaz zostanie wykonany. Możemy im powierzyć

wywiezienie głowic. Jednostki specjalne mają w ogóle trochę wariackie papiery. Zajmują się tak tajnymi sprawami, że nikt nie będzie zadawał dowódcy konwoju głupich pytań.

- A jak z ich środkami transportu? - pyta Piontek.

- Niestety, o ile wiem, mają tylko jakieś lekkie pojazdy polowe.

- To czemu nam pan zwraca głowę? Czas płynie, moi panowie.

- Pan wybaczy, pułkowniku - mówi major Stahm - ale chciałbym jeszcze raz wrócić do swojej propozycji, zmodyfikowanej o element, jaki był tu łaskaw wnieść pan kolega Wiebold. Jeżeli skrzyknie dwudziestu zaufanych oficerów, oczywiście członków naszej Organizacji, w ciągu piętnastu minut przebiorę ich w żołnierskie mundury. Jednocześnie oficer dyżurny dywizji, to znaczy kapitan Wiebold, wyda rozkaz, by kierowcy podprowadzili cztery wozy pod budynek sztabu. Następnie łazik sztabowy odwiezie kierowców z powrotem do koszar. W tym czasie my, przebrani w żołnierskie mundury, przejmemy wozy i udamy się do Bazy, gdzie za pomocą dźwigów załadujemy przedmioty specjalnego przeznaczenia. Następnie wyprowadzimy wozy w jakieś umówione, niezbyt odległe miejsce. Skrzynie z głowicami zostaną zaplombowane. Tu przejmą ładunek żołnierze z jednostki specjalnej, o której mówił kapitan Wiebold. My w tym czasie wrócimy do sztabu, zmienimy mundury i rozpoczniemy, że tak to nazwę, energiczne działanie śledcze w związku z napadem na Bazę. Oczywiście konieczna jest do tego zgoda i dyskrecja dowódcy jednostki specjalnej. Czy ten człowiek... no, czy będzie sympatyzował z naszymi celami, jeśli się ich domyśli?

- Nie sądzi pan chyba - śmieje się kapitan Wiebold - że do jednostek specjalnych dobiera się komunizujące elementy lub płaczących pacyfistów.

Oficerowie chóralnie popierają plan majora Stahma. Podpułkownik Piontek też jest już przekonany, ale ma jeszcze kilka pytań.

- Czy głowicom nic nie grozi, kiedy zostaną odłączone od stanowisk składowania?

- W zasadzie nie - odpowiada zastępca dowódcy dywizji do spraw technicznych, podpułkownik Fretzig. - Z tym jednym zastrzeżeniem, że pewna liczba głowic może wykazywać niesprawność konstrukcyjną. Dopóki głowica spoczywa na stanowisku składowania, prawdopodobieństwo nagłego wzrostu promieniowania jest niewielkie, właściwie równe zero. Po odłączeniu głowicy od automatycznej kontroli promieniowania i urządzeń blokujących ładunek plutonowy, niebezpieczeństwo takie może być statystycznie większe.

- Jak pan ocenia, pułkowniku, szanse takiego zdarzenia?

- Normy amerykańskie przewidują, że jedna głowica na sto może wykazywać odchylenia parametrów konstrukcyjnych.

- A nas interesuje tylko dziesięć głowic, czyli że statystyczna szansa wynosi jeden do tysiąca. Czy dobrze liczę?

- Tak jest, panie pułkowniku.

- Dobrze. Wobec tego następne pytanie. Czy cztery wozy opancerzone wystarczą do przewozu dziesięciu głowic?

- Wozy mają nośność po sześć ton każdy. Jeżeli łączny ciężar głowic nie przekroczy pięciu ton, damy sobie radę. Ale oznacza to, że możemy zabrać najwyżej jedną głowicę o mocy trzystu kiloton, która waży nieco ponad osiemset kilogramów. Musimy bowiem pamiętać o ciężarze kratownic, no i przede wszystkim o pancerzach ołowianych do każdej głowicy.

- Właśnie - wykrzykuje major Kirsch. - Czy ci, którzy porwali tę małą głowicę, zabrali też pancerz ołowiany do niej?

- Nie, i to jest właśnie dziwne - powiada podpułkownik Fretzig.

- Sprawiają wrażenie ludzi doskonale obeznanych z techniką nuklearną, a zaniedbali tak elementarny środek bezpieczeństwa.

- Czy to znaczy, że zginą od promieniowania? - pyta Wiebold.

- Nie wiadomo. To zależy od egzemplarza głowicy.

- Ale w takim razie my musimy zabrać porzucony przez nich pancerz. Narobimy sobie kłopotu, jeśli to ktoś znajdzie.

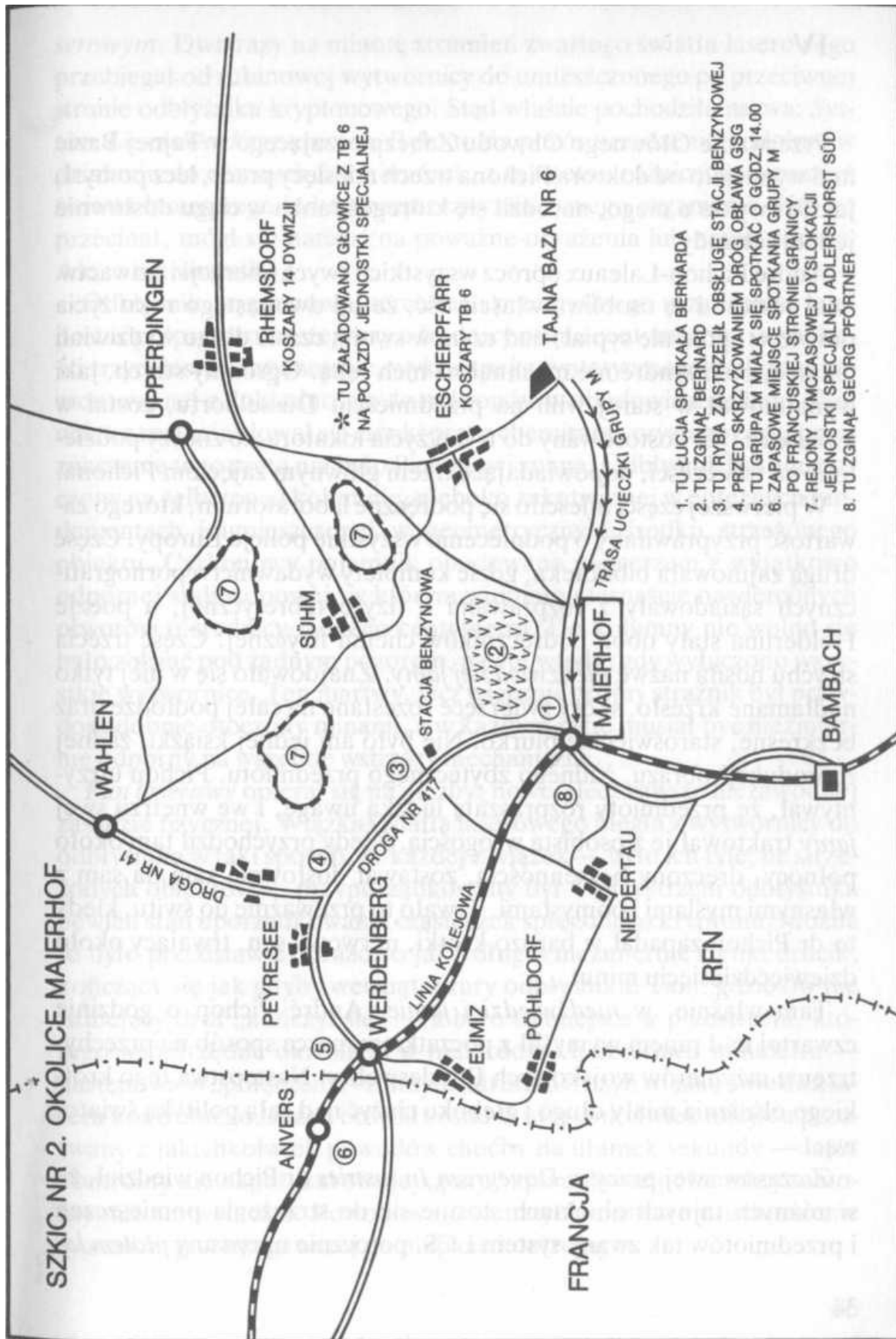
- Słusznie - przerywa Pionteck - ale czas już kończyć tę dyskusję, panowie oficerowie. Wydaję rozkaz bojowy. Tak jest, moi panowie, bojowy. Proszę sprawdzić zegarki. Jest godzina 7.34. O godzinie 8.15, z dokładnością co do minuty, zbiórka w prawym skrzydle budynku sztabowego. Major Stahm przygotowuje mundury żołnierskie...

- Ile, panie pułkowniku? - pyta Stahm, nie ukrywając uśmiechu.

- Powiedzmy, dwadzieścia. Tyle pan sam wyznaczył. A teraz - do pracy.

IV

Przerwanie Głównego Obwodu Zabezpieczającego w Tajnej Bazie nr 6 wymagało od doktora Pichona trzech miesięcy pracy, lecz pomysł, jak to zwykle u niego, narodził się któregoś ranka w ciągu dosłownie jednej sekundy.



1. TU LUCJA SPOTKAŁA BERNARDA
2. TU ZGINAŁ BERNARD
3. TU RYBA ZASTRZELIŁ OBSŁUGĘ STACJI BENZYNOWEJ
4. PRZED SKRZYŻOWANIEM DROG OBLAWA GSG
5. TU GRUPA M MIAŁA SIĘ SPOTKAĆ O GODZ. 14.00
6. ZAPASOWE MIEJSCE SPOTKANIA GRUPY M
PO FRANCUSKIEJ STRONIE GRANICY
7. REJONY TYMCZASOWEJ DYSLOKACJI
JEDNOSTKI SPECJALNEJ ADLERSHORST SÜD
8. TU ZGINAŁ GEORG PFÖRTNER

* TU ZAŁADOWANO GŁOWICE Z TB 6
NA POJAZDY JEDNOSTKI SPECJALNEJ

André Pichon-Laleaux oprócz wszystkich swych aberracji i dziwactw miał jeszcze i tę osobliwą właściwość, że od dwunastego roku życia prawie w ogóle nie sypiał, nad czym w swoim czasie długo wydziwiali lekarze, póki André nie machnął na nich ręką. Ogromny strych, jaki wynajmował w starej willi na przedmieściu Düsseldorfu, został w związku z tym dostosowany do trybu życia lokatora, to znaczy podzielony na trzy części, odpowiadające trzem głównym zajęciom Pichona.

W pierwszej części mieściło się podręczne laboratorium, którego zawartość przyprawiłaby o podniecenie wszystkie policje Europy. Część drugą zajmowała biblioteka, gdzie komplety wydawnictw pornograficznych sąsiadowały z rozprawami o fizyce teoretycznej, a poezje Hölderlina stały obok podręczników chemii fizycznej. Część trzecia strychu nosiła nazwę *niedźwiedziej jamy*. Znajdowało się w niej tylko nadłamane krzesło, skóry zwierzęce rozesłane na całej podłodze oraz bezkresne, staroświeckie biurko. Nie było ani jednej książki, żadnej reprodukcji obrazu, żadnego zbytecznego przedmiotu. Pichon utrzymywał, że przedmioty rozpraszają ludzką uwagę, i we wnętrzu swej *jamy* traktował je z osobistą wrogością. Kiedy przychodził tam około północy, dręczony bezsennością, zostawał dosłownie sam na sam z własnymi myślami i pomysłami. Trwało to przeważnie do świtu, kiedy to dr Pichon zapadał w bardzo krótki, nerwowy sen, trwający około dziewięćdziesięciu minut.

Tam właśnie, w *niedźwiedziej jamie*, André Pichon o godzinie czwartej nad ranem wymyślił z początkiem marca sposób na przechytrzenie inżynierów wojskowych Bundeswehry. Następstwa tego krótkiego olśnienia miały długo i głęboko ciążyć nad całą polityką światową.

Z czasów swej pracy w *Dovegreen Industries* dr Pichon wiedział, że w różnych tajnych obiektach stosuje się do strzeżenia pomieszczeń i przedmiotów tak zwany system LCS, potocznie nazywany *plotem laserowym*. Dwa razy na minutę strumień zwartego światła laserowego przebiegał od rubinowej wytwornicy do umieszczonego po przeciwnej stronie odbłyśnika kryptonowego. Stąd właśnie pochodziła nazwa: *System Laserowo-Kryptonowy*. Było to na pozór urządzenie podobne w działaniu do dawnych fotokomórek, z tą istotną różnicą, że strumień światła laserowego był niebezpieczny dla żywego organizmu. Kto go przecinał, mógł się narazić na poważne obrażenia lub nawet śmierć. Ale to nie wszystko.

Odbłyśnik kryptonowy, serce tego przemysłowego urządzenia, miał postać półprzezroczystej rury o średnicy ośmiu centymetrów i wysokości trzydziestu centymetrów, wykonanej z syntetycznego cyrkonu i zamontowanej z dokładnością do mikronów w obudowie z palladu. Wewnątrz rury znajdował się cienki pręt z chemicznie czystego ceru;

przeznaczenie tego pręta nie było Pichonowi znane. Odbłyśnik był umieszczony na żelbetowej kolumnie, głęboko zakotwionej w potężnych fundamentach i umieszczonej w geometrycznym środku strzeżonego obiektu. Cyrkonowy pojemnik obudowano pancierzem z wyjątkowo odpornej stali stopowej, w którym widniało szesnaście nawierconych otworów o średnicy jednego centymetra. Do kolumny nie wolno się było zbliżać pod żadnym pozorem, nawet wtedy, gdy wyłączono wszystkie wytwornice. Ten martwy, lecz wiecznie czujny strażnik był prawdopodobnie otoczony minami, a w każdym razie musiał być niezmiernie odporny na wszelkie wstrząsy mechaniczne.

Płot laserowy opierał się na niezbyt nowej, lecz zawsze niezawodnej zasadzie fizycznej. Wiązka światła laserowego biegła z wytwornicy do odbłyśnika w taki sposób, że każdej z wiązek - było ich tyle, ile strzeżonych obiektów - przyporządkowany był w przestrzeni odbłyśnika pewien stan uporządkowania cząsteczek sprężonego kryptonu. Można to było przedstawić obrazowo jako długi i niezmiernie cienki drucik, kończący się jak gdyby wewnątrz rury odbłyśnika. Tam, gdzie ów nieistniejący drut „kończył się” - a było to miejsce w przestrzeni, którego współrzędne określano w miliardowych częściach milimetra - następowało „połączenie” z innym „drutem”, czyli wiązką światła z lasera kontrolnego. Jeżeli obwód został w którymkolwiek miejscu przerwany z jakichkolwiek powodów choćby na ułamek sekundy - laser kontrolny nie napotykał swojej „pary” i po upływie pół minuty samoczynnie się wyłączał. Powodowało to natychmiastowe uruchomienie sygnalizacji ostrzegawczej na pulpicie kontrolnym.

Tu właśnie tkwiła najbardziej przebiegła i najbardziej pomysłowa sztuczka w systemie LCS. Odkąd zaczęto wytwarzać wszelkiego rodzaju urządzenia kontrolne - w elektrowniach, zautomatyzowanych fabrykach, na stacjach rozrządowych kolei - nie wymyślono właściwie nic nowego. Zawsze było jakieś tam urządzenie nadawcze, przekaźnik, przewody i taka lub siaka lampka kontrolna. To znaczy konkretne, dotykalne części, które można było przeciąć nożycami, jak kable, zmiażdżyć ciężkim młotem, jak przekaźnik, lub w każdym razie wysadzić w powietrze przy użyciu trotylu czy melinitu.

Dlatego w systemie LCS zastosowano po raz pierwszy jeden z największych wynalazków XX wieku: bezprzewodowe przesyłanie energii. Co prawda dotyczyło to bardzo małych ilości energii, gdyż diody luminescencyjne pochłaniały nikłe ułamki wata, i minimalnych odległości rzędu kilku metrów, lecz fakt pozostawał faktem. System LCS był pierwszym w dziejach techniki należycie funkcjonującym urządzeniem, które urzeczywistniało jedno z odwiecznych marzeń kilku pokoleń fizyków.

Laser kontrolny, czyli mózg całego systemu, znajdował się w głębokich podziemiach,

z dala od ludzkich oczu i od wszelkich nadziemnych wstrząsów. Pokrywały go grube płyty żelbetowe, dodatkowo zbrojone po wierzchu pancerzem ze stali wolframowo-molibdenowej. Zniszczenie lasera kontrolnego było teoretycznie możliwe - na kuli ziemskiej nie ma już niczego, czego w teorii nie można by dziś było zniszczyć - jednakże wymagałoby użycia silnej głowicy jądrowej, przypuszczalnie o mocy kilkunastu kiloton, i to wymierzonej dokładnie w samo centrum strzeżonego obiektu. Żadne inne możliwości nie wchodziły w rachubę. Niezniszczalne wytwornice przesyłały więc swe zabójcze wiązki światła do niezniszczalnego odbłyśnika, a ten uruchamiał niezniszczalny laser kontrolny, który z kolei bez żadnych przewodów przekazywał sygnały do silnie opancerzonego pulpitu kontrolnego.

Plot laserowy był urządzeniem bliskim doskonałości. Zapewniał stosunkowo tanim kosztem stuprocentowe bezpieczeństwo strzeżonego obiektu, pracował przez 24 godziny na dobę w każdych warunkach atmosferycznych, był całkowicie niewidoczny i niepodatny na jakiegokolwiek konwencjonalne wybuchy lub pociski z broni palnej, niezależny od zewnętrznych źródeł zasilania, gdyż uruchamiał automatycznie swe generatory w wypadku awarii normalnej sieci zasilającej, a co najważniejsze - w ogóle nie miał słabych miejsc. To znaczy części, które można by było zniszczyć, przeciąć lub zdemontować.

O tym wszystkim dr Pichon wiedział z grubsza ze swej poprzedniej pracy w *Dovegreen Industries*. Z wyjątkiem pręta cerowego w odbłyśniku wszystkie elementy urządzenia nie stanowiły dla niego tajemnicy. Kiedy jednak po raz pierwszy powziął pomysł złamania systemu LCS, zorientował się, że jest to zadanie praktycznie niewykonalne. System LCS był, jak to określają Amerykanie, *foolproof*: nie do oszukania.

Dopiero wtedy Pichon zrozumiał, że nie zazna spokoju, dopóki nie złamie tego przekłętego systemu.

Pewien psychiatra, do którego zaniepokojeni rodzice zaprowadzili kiedyś małego André, uznał, że jego młodociany pacjent, oprócz wszystkich swych niezliczonych odchyłeń od normy, odznacza się również skłonnością do tak zwanych monomani: jeśli jakaś myśl opanowywała jego umysł, rychło przekształcała się w obsesję i wypierała wszystkie inne motywacje.

Tak było zawsze w niedługim życiu André Pichona. Tak było również i tym razem. Od momentu, w którym podzielił się z Challym pomysłem zdobycia głowicy neutronowej, Pichon nie był w stanie myśleć o czymkolwiek innym. Sypiał już tylko godzinę na dobę. Rankami łykał przyrządzone własnoręcznie pigułki, wieczorami gotował sobie całe garnki kawy i leżał w swej *niedźwiedziej jamie*, patrząc w sufit.

Dość szybko udało się ustalić, że głowice neutronowe są przechowywane między

innymi w Tajnej Bazie nr 6. Pewna dziewczyna z Escherpfarr, kelnerka w jedynej miejscowej gospodzie, wiedziała o tym od młodych oficerów i zwierzyła tę tajemnicę Rybie w chwili, którą potocznie określa się jako chwilę całkowitej szczerości. Meldunek Ryby postawił na nogi całą *Grupę M*. Chally polecił, aby Pichonowi wypłacano bez ograniczeń każdą sumę z funduszu rewolucyjnego, jakiej zażąda. Gdyby fundusz okazał się zbyt ubogi, Chally obiecywał dostarczyć odpowiednich środków. Pojawiła się bowiem szansa, jakiej *Grupa M* nigdy dotychczas nie miała. Porwanie głowicy neutronowej byłoby po stokroć skuteczniejsze niż jeszcze jeden zamach bombowy czy porwanie kolejnego ministra.

Pichon zajął się najpierw studiowaniem topografii Tajnej Bazy nr 6. Przyszło mu to o tyle łatwo, że był pilotem szybowcowym. Pichon umiał właściwie wszystko: prowadził samochód, samolot, lokomotywę, jachty pełnomorskie i bojery, był pletwonurkiem, spadochroniarzem i speleologiem, grał w szachy, wspinał się po Kordylierach, mówił biegle ośmioma językami, znał trzy tysiące chińskich ideogramów, wygrał kiedyś quiz telewizyjny na temat starożytnego Rzymu, a nawet zdał mimochodem egzamin czeladniczy w zakresie cukiernictwa, ponieważ doskonale gotował; jego specjalnością były wypieki. Ten człowiek przypominał wulkan. Cóż, kiedy panna Margot nie umiała tego docenić. Dostrzegła tylko jego wodniste oczy, rzadkie włosy o barwie zgniłej słomy, fatalnie wysuniętą szczękę i nieprawidłowy zgryz przednich zębów.

Doktor Pichon wynajął w pobliskim aeroklubie dwumiejscowy szybowiec wyczynowy typu *Panther* i odbył w towarzystwie Łucji kilka przemyśłych przelotów nad okolicą. Ich trasa wiodła najczęściej nad Tajną Bazą nr 6. Łucja wykonała według instrukcji Pichona tyle zdjęć, ile było trzeba. Pozostali członkowie *Grupy* pracowali w tym czasie nad zebraniem maksymalnie wielkiej ilości informacji o Bazie.

Kiedy Pichon zasiadł w swej *jamie* nad troskliwie sklejonymi zdjęciami Bazy i przestudiował wszystkie dostarczone mu raporty, jeszcze raz opadło go zwątpienie. Sprawa od pierwszej chwili wydawała się trudna, lecz im więcej było na ten temat wiadomo, tym bardziej wydawała się nierealna.

Zniszczenie odbłyśnika lub któregośkolwiek z elementów systemu LCS w ogóle nie wchodziło w rachubę: znajdowały się poza zasięgiem ostrzału z jakiegokolwiek broni, na jaką mogłaby realnie liczyć *Grupa M*. Kolumna odbłyśnika wznosiła się co prawda tylko o 48 metrów od zewnętrznego muru Bazy, jednakże z jednej strony zasłaniała ją kępa wysokich, gęsto rosnących klonów, z drugiej - budynek dowództwa Bazy, z trzeciej - paraboliczne zwierciadło radaru. Tylko z czwartej strony (tak przynajmniej można było wnioskować ze zdjęć lotniczych) kolumna była prawdopodobnie widoczna, ale tylko z odpowiedniego

wzniesienia, gdyż mur Bazy miał 280 centymetrów wysokości. Jedyne samotny dom od tej strony znajdował się aż o 850 metrów od Bazy, co wykluczało możliwość zastosowania nawet karabinu snajperskiego. Zakładając, że można by umieścić Strzelca wyborowego, czyli Rybę, w tym tajemniczym, zaniedbanym domu.

Ponieważ wszystkie wytwornice były potężnie zabezpieczone i dostępne tylko od wewnątrz Bazy - jedyna w praktyce możliwość unieruchomienia systemu LCS sprowadzała się do zniszczenia odbłyśnika.

I to akurat było nieosiągalne.

Pichon rozważał początkowo możliwość ostrzelania kolumny odbłyśnika z powietrza, powiedzmy z pokładu małego samolotu sportowego lub szybowca. Ale i ten zamiar musiał porzucić. Trafienie w pionową rurę o średnicy ośmiu centymetrów z wysokości 40 lub 50 metrów, i to przy szybkości nie mniejszej niż 90 kilometrów na godzinę, graniczyłoby z cudem. A gdyby nawet taki cud się zdarzył, było oczywiste, że pociski z broni palnej, choćby to był kaliber 9 mm, nie wyrządzą żadnej poważnej szkody stalowemu pancierzowi odbłyśnika. Poza tym należało przypuszczać, że system LCS w Bazie był w jakiś sposób sprzężony z innymi systemami alarmowymi - na przykład w dowództwie dywizji lub nawet w dowództwie okręgu wojskowego. W ciągu dwóch minut Pichon miałby na karku myśliwce lub śmigłowce bojowe. Zakładając, oczywiście, że zdołałby uciec przed ogniem drużyny wartowniczej w samej Bazie.

Właśnie wtedy André Pichon doznał olśnienia.

Jeżeli nie możesz ich pobić - przyłącz się do nich.

Tak mówi indiańskie przysłowie, a Pichon znał na pamięć wszystko, co dotyczyło północnoamerykańskich Indian. Skoro system LCS opiera się na laserze - należy go zwalczyć przy użyciu lasera.

Cóż to jest odbłyśnik? Jest to rura z syntetycznego kryształu, zwanego cyrkonem, wewnątrz której znajduje się silnie sprężony gaz szlachetny, zwany kryptonem. Widocznie wysokie ciśnienie gazu wewnątrz rury jest warunkiem funkcjonowania systemu, bo w przeciwnym razie nikt nie zadawałby sobie trudu, aby go sprężyć. Trzeba wobec tego sprawić, aby gaz uleciał z cyrkonowego pojemnika. Skoro całego pojemnika zniszczyć nie można, trzeba w nim wywiercić dziurkę. Czym? Och, to przecież jasne: promieniem lasera!

Zbudowanie taniej wytwornicy laserowej nie przedstawiało dla Pichona żadnych trudności. Popularne czasopisma dla hobbystów co miesiąc zamieszczają dokładne schematy małych laserów na domowy użytek eksperymentatorów. Było to jeszcze o tyle prostsze, że Pichonowi potrzebny był nie laser rubinowy (skąd można by zdobyć pręt z rubinu, a już

zwłaszcza ciekły azot do chłodzenia aparatury?), lecz coś dużo tańszego i prostszego. Na przykład gustowna zabawka z użyciem neodymu lub, jeszcze lepiej, półprzewodnikowy, łatwo przenośny laser oparty na arsenku galu.

Jedyny problem polegał na tym, że promień lasera powinien trafić dokładnie w któryś z owych jednocentymetrowych otworów, nawierconych w pancerzu odbłyśnika. Przebicie stalowego pancerza było wprawdzie teoretycznie też możliwe, wymagałoby jednak dużo większej energii i chyba zbyt skomplikowanej instalacji.

Ba - ale jak trafić w tę przeklętą dziurkę? I skąd mianowicie?

Grupa M przystąpiła najpierw do rozpoznania owego samotnego, niemal opuszczonego domu, znajdującego się w pobliżu Bazy. Okazało się, że dom należy do bardzo starego i zupełnie zdziwaczałego chłopca, znanego niegdyś wśród okolicznych mieszkańców jako ojciec Weber, dopóki w pobliżu mieszkali jeszcze jacyś ludzie. O tym, żeby Weber zgodził się komukolwiek wynająć mieszkanie w swym domu, nie było w ogóle mowy. Zlikwidowanie starucha, z którym to pomysłem wystąpił oczywiście Ryba, także niczego nie rozwiązywało: *Kripo* zaczęłaby się szwendać po okolicy i jedyny punkt zahaczenia byłby spalony.

Rozwiązanie, jak zwykle, wymyślił André Pichon. Pewnego dnia Rudi zakupił używaną furgonetkę marki Renault. Została natychmiast, lecz niedbale przemalowana, zmieniono jej tablice rejestracyjne, a na drzwiczkach pojawił się przepięknie wykaligrafowany napis: *Uniwersytet w Tybindze. Wydział Historii. Ruchoma kolumna archeologiczna.*

Lucja pracowicie potłukła sześć zakupionych w sklepie z pamiątkami garnków glinianych, zdaje się, że pochodzących z Polski lub Bułgarii. Którejś nocy furgonetka zajęła na pole ojca Webera. *Grupa M*, kląć idiotyczne pomysły Pichona, pozakopywała gliniane skorupy na niewielkiej głębokości.

Ale pomysł dyżurnego geniusza *Grupy M* wcale nie był idiotyczny. Następnego ranka niejaki doktor Pfirsch, czyli po prostu Chally, przedstawił ojcu Weberowi członków swojej grupy archeologicznej. Szukali oni, jak twierdził dr Pfirsch, bardzo ważnych śladów starego osadnictwa germańskiego. Istniały wszelkie podstawy do przypuszczania, że właśnie na polu ojca Webera, od dawna już nieuprawianym i zarośniętym mietlicą, mieściło się grodzisko z początków IV wieku przed Chrystusem.

Ojciec Weber miał daleko posuniętą miażdżycę i spędzał dni głównie na kłótniach z urojonymi przeciwnikami. Kiedy jednak usłyszał o kulturze Germanów, w jego sparciałym mózgu otworzyła się jakaś klapka. Udzielił mrukliwie zezwolenia, a potem połączył z

archeologami na pole, pomstując na jakiegoś Müllera, który mu odbił dziewczynę: zdaje się, że chodziło o wydarzenia z roku 1908.

Młodym archeologom sprzyjało nadzwyczajne szczęście. Już pierwszego dnia dokopali się do kilku interesujących skorup. Łucja czyściła je miotelką, Rudi pracowicie otrząsał pylistą ziemię z grabi, Chally z głębokim skupieniem układał koło siebie cudem odnalezione kawałki naczyń. Ojciec Weber asystował początkowo przy każdym wykopalisku, potem znudził się i wrócił do domu, aby się dalej kłócić z Müllerem. *Grupa M* natychmiast porzuciła kopanie. Łucja wyciągnęła kanapki, Chally nalał po kieliszku mocnej, rosyjskiej wódki.

Po trzech dniach młoda ekipa archeologów z Tybingi zadomowiła się u ojca Webera. Jakiś młody kapitan Bundeswehry, który widocznie dostrzegł przybyszów na polu ojca Webera, przyjechał łazikiem, aby się przyjrzeć postępom prac. Zdumiał się przepięknym kształtom odkopanych naczyń glinianych, pogwarzył o pogodzie, przepytał o bieg studiów, obejrzał zaświadczenia z katedry archeologii germańskiej i odjechał.

Ojciec Weber, chrząkając tajemniczo i oglądając się trwożliwie na boki, zawiadomił swych młodych przyjaciół, że ów kapitan - tśś! - pracuje w Gestapo i nazywa się Horst Scheeler. Łucja chciała sprostować, że Gestapo już nie istnieje, ale Chally kopnął ją w kostkę, żeby trzymała język za zębami. To była bardzo cenna wiadomość. Oznaczała, że Baza zauważyła już ruch na polu ojca Webera, ale nie dostrzegła w nim nic podejrzanego.

Szóstego dnia archeolodzy odnaleźli coś niezwykłego. Był to wielki, choć doszczętnie potłuczony dzban na wino. Pech chciał, że pierwszy fragment dna, jaki ujrzał światło dzienne pod łopatą Rudiego, nosił wyraźną nalepkę *Made in Yugoslavia*. Rudi spiorunował wzrokiem Łucję, która dokonała takiego zakupu i nie dostrzegła napisu przy tłuczeniu dzbana, po czym szybko zakopał nieszczęsny kawałek.

Doktor Pfirsch, mówiąc bardzo powoli i dobierając słów, zawiadomił ojca Webera o sensacyjnym znalezisku. Był to bezsporny dowód, zdaniem doktora Pfirscha, że starożytni Germanowie sami uprawiali winorośl, a ta rzymska hołota, te przybłędy zza Apenin, nauczyli się uprawy winnic właśnie od Germanów. Ojciec Weber był wniebowzięty.

Chally nie tracił czasu. Ekipa jego współpracowników, mówił, jest szczęśliwa, lecz bardzo znużona. Czy czcigodny ojciec Weber nie zgodziłby się, zupełnie wyjątkowo, aby ekipa przenocowała dziś w jego domu? Nie trzeba żadnych wygód. Ci młodzi ludzie przywykli do trudów i aż się palą do pracy. Nie ma chyba sensu wracać na wieczór do miasta, skoro trafił się taki bezcenny skarb. Nawiasem mówiąc, doktor Pfirsch pragnąłby zwierzyć ojcu Weberowi pewną tajemnicę. Otóż w owym wspaniałym dzbanie znaleziono... no, trudno,

powie, co znaleziono: garść starych, złotych monet. Prawo co prawda wymaga, aby monety przekazać skarbowi państwa, ale ojciec Weber okazał archeologom tyle uczynności, że może byłoby słuszniej, aby monety pozostały jego własnością. Nie jest tego wiele, zaledwie dwanaście sztuk, ale zawsze przecież przydadzą się w gospodarstwie.

Ojciec Weber chciwie złapał ofiarowane mu monety - były to mosiężne, starannie wyczyszczone żetony z kasyna gry w Evian-les-Bains - i powiedział, że ci sympatyczni młodzi ludzie mogą sobie mieszkać na strychu, jak długo im się podoba. A z Müllerem to już ojciec Weber rozprawi się sam. I tym razem raz na zawsze.

W ten sposób osiemnastego kwietnia, czyli w osiem dni od chwili rozpoczęcia prac archeologicznych na polu ojca Webera, w ekipie pojawił się nowy archeolog: doktor André Pichon-Laleaux, który niósł pod pachą spory, starannie opakowany przedmiot.

Był to tak zwany kolidar, czyli laserowy odległościomierz. Pichon zbudował go w nieprawdopodobnie krótkim czasie, ponieważ od tego urządzenia zależało powodzenie całego planu. Chodziło o to, aby z okna strychu w domu ojca Webera wymierzyć odległość do otworów w panczeru odbłyśnika w Bazie z dokładnością do milimetrów. Żadne inne urządzenie nie może zapewnić tak dokładnego pomiaru.

Budowa kolidaru kosztowała *Grupę M* osiem tysięcy marek. Chally aż jęknął, kiedy się o tym dowiedział, ale podtrzymał swą wcześniejszą decyzję: wydamy tyle, ile będzie trzeba.

O piątej nad ranem Pichon dokonał pomiaru. Przemyślny system soczewek zbliżających umożliwił mu zobaczenie na własne oczy opalizujących przebłysków pojemnika z kryptonem. Pichon nie potrafiłby opisać szczęścia, jakiego doznał patrząc na tę przeklętą kolumnę, na której szczycie połykiwał w porannym słońcu stalowy panczer pojemnika.

André Pichon wiedział, że sforsowanie systemu LCS jest już teraz tylko kwestią czasu.

Cała operacja trwała około dwudziestu minut. *Grupa M* śledziła tajemnicze zabiegi Pichona w milczeniu, z mieszaniną niewiary, podziwu i radości. Tylko Chally skorzystał z okazji, aby coś przygadać Pichonowi. Nie znosił sytuacji, w których tracił pierwszeństwo.

Na parapecie okna został wyłobiony stalowym rysikiem dokładny zarys podstawy kolidaru. Ta sama podstawa miała posłużyć do zamontowania „strzelby laserowej”, jak ją określił Ryba. A parapet oczywiście się zniszczy.

Odległość od parapetu do odbłyśnika w Tajnej Bazie wynosiła 856 metrów, 62 centymetry i 9 milimetrów. Nachylenie katowe osi pomiaru wynosiło niewiele: zaledwie minus trzydzieści pięć sekund. Przez zbieg okoliczności poziom parapetu w domu ojca

Webera i poziom środkowego otworu w pancerzu odbłyśnika były niemal identyczne. Pichon uznał to za pomyślny omen, ponieważ w momencie rozpoczęcia akcji obejdzie się bez przewlekłych zabiegów z ustaleniem niwelety.

Archeologowie wrócili do swych idiotycznych zajęć. Chodziło o utrzymanie przychylności ojca Webera do czasu, kiedy Pichon zbuduje swoją *strzelbę*. Gospodarza częstowano codziennie winem, do którego Pichon polecił dosypywać niezbyt szkodliwego, a przyjemnie działającego narkotyku. Starzec zgłaszał się po swoją porcję wina już o siódmej rano, po czym szybko się oddalał, wygrażając Müllerowi oraz jego bandzie, gdyż Müller, wielokrotnie już zaszytetylowany i zastrzelony, przybierał sobie do pomocy coraz nowych nikczemników przeciw ojcu Weberowi.

Grupa M korzystała z wiosennego słońca i codziennie zakopywała oraz odkopywała coraz bardziej absurdalne przedmioty. Doszło do tego, że któregoś dnia Rudi zakopał pordezwiąły kołpak z koła furgonetki, po czym długo przekonywał Łucję, że znalazł rzymską tarczę bojową. W końcu los spletał im figła: pewnego popołudnia spod łopaty Ryby wystrzeliła niewielka, złota moneta z rysunkiem lilii i nieczytelnym napisem na awersie. Numizmatyk stwierdził, że jest to wenecki floren z XIII wieku, i gotów był zapłacić osiemset marek. Ale potem nie znaleziono już nic, jeśli nie liczyć zgniłej podeszwy i jakiegoś kompletnie zardzewiałego bagnetu.

W połowie maja *Grupa M*, przyzwyczajona do szybkich akcji, ruchu i napięcia, miała już absolutnie dość kretyńskiej zabawy w zakopywanie i wykopywanie. Chally patrzył na to ze złością i w duchu posądzał Pichona o świadomy sabotaż. Każdy dzień opóźnienia niósł ze sobą groźbę, że ta wspaniała grupa rozpadnie się z nudów i wzajemnych swarów.

Kiedyś, w dawnych czasach, gdy *Grupa M* liczyła prawie pięćdziesiąt osób, dyskusje na tematy ideologiczne nie były w *Grupie* rzadkością. Mówiono o konieczności zburzenia burżuazyjnego ładu społecznego, czytano Bakunina i Sorela, komentowano okrucieństwa policji wobec bojowników podziemia. Zastanawiano się, czy wolno wierzyć Kropotkinowi, że straty anarchistów muszą być możliwie najmniejsze, gdyż mają przed sobą Wielki Cel, czy też posłuchać Stirnera z jego uwielbieniem niszczenia i zagłady. Kiedy jednak *Grupa* skurczyła się w wyniku aresztowań do pięciu zaledwie ludzi w oddziale bojowym i ośmiu starannie zakonspirowanych sympatyków, ustały jakoś spory i dyskusje. Już niemal nigdy nie rozmawiano o powodach, które skłaniały *Grupę M* do tylu szaleńczo ryzykownych przedsięwzięć, do zabijania ludzi i podkładania bomb.

Szansa zdobycia głowicy neutronowej otwierała jednakże tak fantastyczne możliwości, że w czasie nudnych, rozleniwiających przerw w wykopaliskach *Grupa M*

zaczęła się zastanawiać nad użytkiem, jaki uczyni z głowicy.

Łucja uważała, że eksplozji należy dokonać oczywiście we Włoszech, najlepiej na Piazza Cinquecento w Rzymie w popołudniowej godzinie szczytu. Albo jeszcze lepiej na placu Świętego Piotra, w niedzielę o jedenastej przed południem. Myśl, że przy okazji zostałyby zniszczona bazylika Świętego Piotra, przyprawiła Łucję o taką radość, że klasnęła w ręce. A byłoby już zupełnie cudownie, gdyby przed bazyliką znalazła się w tym momencie siostra Pia, przełożona szkoły klasztornej. I to w towarzystwie siostry Anuncjaty, wychowawczynie klasowej, która niemal codziennie karała Łucję klęceniem w kaplicy i przez sześć długich lat przysparzała jej nieprzeliczonych upokorzeń. Matka Łucji dawno już nie żyła, a ojciec, głupi bigot, który Łucję oddał do tej znenawidzonej szkoły, mógłby także z powodzeniem znaleźć się przed bazyliką w momencie wybuchu.

Ryba natomiast był zdania, że burżuazję należy bić tam, gdzie najbardziej boli. Głowica powinna wybuchnąć w najbogatszym kraju zachodniej Europy, to znaczy w Republice Federalnej, w samym środku któregoś z najbogatszych miast: Frankfurtu, Hamburga lub Monachium. A można by zrobić jeszcze inaczej. Wystarczy zawiadomić gazety, że głowic jest, powiedzmy, piętnaście i że zostały podłożone równocześnie w piętnastu miastach. Ależ będzie zabawa! Ależ będą uciekać z tych swoich burżuazyjnych domów towarowych, luksusowych restauracji i wytwornych klubów!

Rudi nie miał zdania. Pogwizdywał wesoło i już z góry zacierał ręce na, jak powiadał, wielkie bing-bang. Można w Niemczech, można we Włoszech. Można i w Londynie. Grunt, żeby zdobyć to cacko.

Chally słuchał tych dyskusji w pogardliwym milczeniu i nie zabierał głosu. Zapytany o zdanie, odparł lakonicznie, że czeka na instrukcje. Często tak odpowiadał, choć członkowie *Grupy*, a już szczególnie Pichon, powątpiewali czasami w te tajemnicze instrukcje. Prawda wyglądała tak, że Chally istotnie co pewien czas telefonował do Casablanki, ale tym razem użycie głowicy uzależniał po prostu od tego, co powie ten cholerny doktorek. Przecież nikt oprócz niego nie umiał się obchodzić z tym świństwem.

Tymczasem Pichon szalał, aby zdobyć szkło neodymowe lub przynajmniej neodym w czystej postaci. Musiał bowiem zrezygnować z tańszego i łatwiej dostępnego arsenku galu; moc takiej półprzewodnikowej „strzelby” okazała się zbyt mała, aby przewiercić otwór w dość grubej przypuszczalnie ścianie cyrkonowego pojemnika.

Ale i z neodymem wyłoniły się poważne trudności, których Pichon początkowo nie przewidywał. Neodym (wraz ze swym bratem-bliźniakiem, prazeodymem) jest niezmiernie rzadkim pierwiastkiem, którego większość zawodowych chemików nigdy w życiu nie

widziała na własne oczy. Jest to metal kapryśny jak primadonna. Nie znosi wody, którą błyskawicznie rozkłada; reaguje ostro z azotem; w zwykłym powietrzu niemal całkowicie się utlenia; na domiar wszystkiego jest agresywny jak wściekły pies i atakuje większość pospolitych pierwiastków.

Pichon zorientował się, że w warunkach domowego laboratorium nie zdoła nawet przechować neodymu, gdyby go zdobył, nie mówiąc o jakichkolwiek operacjach. Laser helowo-neonowy nie gwarantował sukcesu, laser rubinowy wymagałby tak ciężkiej i skomplikowanej aparatury dla chłodzenia wytwornicy ciekłym azotem, że dom ojca Webera należałoby zamienić w fabrykę.

Nie pozostawało żadne inne wyjście, jak zdobycie gotowego już elementu ze szkła neodymowego. Ponieważ nic takiego nie znajdowało się w sprzedaży, a gdyby nawet było, Pichon i tak nie mógłby szkła nabyć bez ściągnięcia podejrzeń - trzeba się było przygotować do zbrojnej akcji na jakieś laboratorium fizyczne. Pichon myślał o filii *Dovegreen Industries* w Lubece, gdzie laser neodymowy z całą pewnością był zainstalowany. Ale do samego wtargnięcia na dość dobrze strzeżony teren laboratorium potrzeba było przynajmniej piętnastu ludzi.

A Chally zabronił stanowczo nawiązywania kontaktów z jakimikolwiek pokrewnymi grupami.

I André Pichon raz jeszcze wymyślił rozwiązanie. Z okresu swych studiów amerykańskich zapamiętał, że na południowo-wschodnim Manhattanie mieszczą się dziesiątki sklepów ze złomem elektronicznym dla hobbystów, gdzie raz po raz trafiają się bezcenne przedmioty z demobilu wojskowego. Kiedyś nawet Pichon widział tam na własne oczy prawdziwy sonar, wymontowany z okrętu podwodnego; można go było nabyć za trzysta czy czterysta dolarów, podczas gdy nowy produkt kosztował wówczas osiemdziesiąt tysięcy.

Chally, zgrzytając zębami, wyasygnował trzy tysiące dolarów. Dr Pichon-Laleaux przylepił sobie do twarzy starannie sporządzoną maskę; dysponował jakimś niezwykle plastikiem w kolorze ludzkiej skóry, na którym znajomy grafik wymalował zmarszczki, krostki, ślady zarostu i nawet ledwo widoczne pory. Wziął bezbłędnie sfalszowany paszport, włożył głęboki kapelusz z szerokim rondem, rogowe okulary i nocnym samolotem poleciał do Nowego Jorku. Nieraz już tak podróżował. Maskę zdejmował co dwie godziny w toalecie, aby skóra twarzy mogła pooddychać. Plastik łagodził trochę ostrość wysuniętej szczęki, a także nadawał pewną elegancję łukom brwiowym, które normalnie Pichona nie zdobyły. Doktor lubił oglądać tę swoją nową twarz i myślał nawet, że warto by popracować nad plastikiem. Kto wie, gdyby tę maskę nosił zawsze, może i panna Margot popatrzyłaby na

niego przychylniej.

Następną noc, dzięki różnicy czasu, Pichon był już z powrotem w Düsseldorfie. Szkło neodymowe, wraz z bezcennym uzwojeniem i komorą jonizacyjną, stało na stole w laboratorium Pichona.

W nocy z 26 na 27 maja laser neodymowy był gotów do użycia.

Teraz pozostawało ustalenie takich szczegółów topograficznych Bazy, których nie ukazywały zdjęcia lotnicze. A także rozpoznanie trybu służby wartowniczej, gdyż Bazy, poza systemem LCS, strzegli również żywi żołnierze.

Stosunkowo najłatwiej było ustalić godzinę rozpoczęcia operacji. Musiała ona rozpocząć się przy świetle dziennym, najlepiej w momencie zmiany na stanowisku oficera dyżurnego. Bez kłopotu stwierdzono, że zmiany następowały o szóstej rano, potem o dwunastej i o dwudziestej czwartej z tym, że pluton wartowniczy zmieniał się w południe i o północy. Pełnia dnia mogła przysporzyć różnych niepotrzebnych niespodzianek, ustalono więc godzinę Y na 6.00.

Oficer obejmujący służbę w Bazie na pierwszej porannej zmianie opuszczał Escherpfarr między godziną 5.30 i 5.40. Mniej więcej po siedmiu minutach wjeżdżał w niewielki parów, porośnięty z jednej strony gęstym młodniakiem sosnowym. Tam właśnie, najpóźniej o godzinie 5.20, ułoży się Ryba ze swym niezawodnym pistoletem maszynowym marki Beretta. Nie ma obawy, żeby chybił lub ostrzelał niewłaściwy samochód. Na tym odludziu ruch jest w ogóle niewielki, a zresztą wszystkie samochody prywatne, związane z 14 Dywizją Hanowerską i Tajną Bazą, mają na szybie mały, barwny znaczek: złotego lwa na czerwonym tle. Po wykonaniu zadania Ryba natychmiast powróci własnym samochodem w umówione miejsce pod Bazą, aby wziąć udział w operacji.

Pichon obliczył, że „strzał” z lasera musi nastąpić nie później, niż o godzinie 5.03. Mniej więcej tyle czasu potrzeba, aby krypton uleciał z odbłyśnika przez tę miniaturową dziurkę. Nie było to obliczenie zupełnie dokładne, gdyż Pichon nie znalazł liczbowej wartości nadciśnienia w pojemniku odbłyśnika i nie miał pewności, czy wywiercony w cyrkonie otwór będzie miał dokładnie taką średnicę, jaka była potrzebna. Ale na tak szczegółowe rozważania brakło już czasu: *Grupa M* musiała działać natychmiast. Od połowy lutego nie przeprowadziła żadnej akcji i gazety zaczynały przebąkiwać o rozgromieniu czy rozpadzie najgroźniejszej ze wszystkich grup terrorystycznych Europy.

Stosunkowo łatwe okazało się też ustalenie, czym zajmują się wartownicy podczas swej dwunastogodzinnej służby w Bazie. Dwa razy na dobę przywoził ich z koszar dywizyjnych w Rhemsdorf opancerzony transporter typu *SX-8 Beaver*. Zaatakowanie

transportera byłoby rzeczą bezcelową. Wartownicy byli uzbrojeni po zęby, pancerz był dostosowany nawet do atomowego pola walki, zresztą pozbycie się jednego plutonu wartowniczego nie oznaczało, że drugi pluton, ten pełniący akurat służbę wewnątrz Bazy, zapadnie się z tego powodu pod ziemię. Wszystko wskazywało na to, że po unieruchomieniu systemu LCS *Grupa M* musi się dostać na teren Bazy, gdzie natknie się na uzbrojonych, a pewno i zaalarmowanych już awarią wartowników.

Na polecenie Pichona Rudi nabył w ośmiu sklepach sportowych osiem przenośnych bateryjnych radiotelefonów typu walkie-talkie, używanych przez myśliwych i wędkarzy. Ich zasięg w otwartym terenie wynosił około trzech kilometrów, w rejonach zabudowanych spadał przypuszczalnie do półtora kilometra. Tak czy inaczej był to zasięg wystarczający, aby można się było zorientować, o czym rozmawiają przez swe podręczne radiotelefony członkowie załogi wartowniczey. Nabyte radiotelefony pracowały co prawda w paśmie jedenastu metrów, ale nie była to największa przeszkoda. W ciągu jednego popołudnia Pichon ustalił, że radiotelefony wojskowe w Bazie pracują z częstotliwością 26,355 megaherca. Wymiana kryształów kwarcowych w wędkarskich zabawkach była drobnostką, jeśli nie liczyć kolejnego wydatku w wysokości ośmiuset marek.

Ekipa archeologiczna porozkładała w nocy osiem radiotelefonów w różnych miejscach wokół muru Bazy. Zostały włączone na stały nasłuch. Na strychu ojca Webera zainstalowano centralny odbiornik, połączony z ośmiościeżkowym magnetofonem.

Po dwunastu godzinach Pichon otrzymał taśmę z nagraniem wszystkich bez wyjątku rozmów, meldunków, dowcipów i pogwarek, jakie prowadzili ze sobą żołnierze załogi wartowniczey. Był to materiał w zupełności wystarczający, aby można było odtworzyć przebieg służby. Co prawda aż trzy razy padało w rozmowach niezrozumiałe słowo „nietoperz”, o którym Pichon sądził, że oznacza kryptonim jakiegoś ważnego urzędnika. Zaniepokoił się, ponieważ przyszło mu do głowy, że system LCS mógł zostać ostatnio wzbogacony o jakiś dodatkowy element, o którym nic mu nie wiadomo. Ale czas nie pozwalał już na dalsze rozwiązywanie szarad.

Szesnastoosobowy pluton wartowniczy dzielił się na cztery czteroosobowe drużyny. Dowódca plutonu i jeden z podoficerów pełnili służbę przy bramie wjazdowej, dwaj pozostali spacerowali miarowo wzdłuż muru bazy, po asfaltowej ścieżce, odległej o pięć metrów od muru; tę ostatnią odległość odczytał Pichon ze swych zdjęć lotniczych. Najwidoczniej równoległe do muru przebiegał promień laserowy, odbijany przez umieszczone w narożnikach zwierciadła neodymowe i kierowany do odbłyśnika. Nie można było wykluczyć, że wzdłuż muru, po jego wewnętrznej stronie, rozmieszczono także jakieś podstępne miny, co

ostatecznie czyniło sforsowanie trzymetrowego prawie muru sprawą beznadziejną.

Pozostali żołnierze plutonu wartowniczego przebywali we wspólnej sali budynku wartowniczego, stojącego o 15 metrów od bramy wjazdowej. Wolno im było odpoczywać, grać w karty i słuchać radia, pod warunkiem, że nie zdejmowali z siebie hełmów, mundurów i oporządzenia, a ich broń znajdowała się na wyciągnięcie dłoni. W wypadku jakiegokolwiek zagrożenia potrzeba im było najwyżej czterdziestu sekund, aby zaczęli prowadzić ogień z żelbetowych bunkrów, do których wiodły z wartowni podziemne korytarze. Bundeswehra nie żałowała pieniędzy na odpowiednie zabezpieczenie Tajnej Bazy nr 6. Broń wartowników była oczywiście wyposażona w noktowizory, w każdym bunkrze znajdował się miotacz ognia, a każdy z żołnierzy miał przy pasie dwa samosterujące pociski przeciwpancerne, zapewne na wypadek sforsowania muru Bazy przez ciężkie czołgi nieprzyjaciela.

Pichon uznał ten tryb służby za wyjątkowo korzystny zbieg okoliczności. Wartownia była bowiem podłączona do centralnej klimatyzacji Bazy. Wlot powietrza aparatury klimatyzacyjnej, dokładnie widoczny na zdjęciach lotniczych, znajdował się w odległości 38 metrów od bramy wjazdowej i miał postać niezbyt wysokiego graniastosłupa, zabezpieczonego metalową siatką. Niewielki ładunek termitu wystarczył, aby stopić siatkę w ciągu najwyżej pięciu sekund. A wtedy bez żadnych przeszkód można będzie do aparatury klimatyzacyjnej wrzucić pewien biały proszek.

Najprościej byłoby oczywiście wytruć tę żołdacką hołotę do ostatniego człowieka, czego stanowczo domagał się Ryba. Jednakże Pichon, jak zwykle, był znów odmiennego zdania. Nie miał pod ręką trucizny dostatecznie silnej i działającej tak szybko, aby w ciągu kilku sekund dotarła do wartowni przez filtry aparatury klimatyzacyjnej w odpowiednio wysokim stężeniu. Zresztą przygotowanie takiej trucizny wymagałoby znów sporych wydatków i wielu tygodni niebezpiecznej pracy. Pichon był więc zdania, że dużo skuteczniejszy będzie silny środek odurzający jego własnej kompozycji - tani, łatwo ulegający pulweryzacji, a ponadto odznaczający się tą wspaniałą zaletą, że odurzeni nim ludzie za nic nie chcą się przebudzić ze snu. Pichon dwukrotnie już wypróbował działanie swej wspaniałej mieszanki: raz na pewnym strażniku bankowym w Turynie, drugi - na tym słynnym prokuratorze holenderskim, który zadał tyle ciężkich ciosów dawnej *Grupie M*. Ostatecznie aż ośmioro z *Grupy* dostało dożywocie za jego sprawą. Człowiek, który wchłonął kilkadziesiąt miligramów mieszanki Pichona, staje się natychmiast śmieszoną, żalną szmatą. O tym, żeby chciał nacisnąć spust, nie ma po prostu mowy.

A mieszanka naprawdę nie była niczym skomplikowanym. Składała się głównie z pochodnych kwasu lyzorgenowego: tej łagodniejszej, znanej jako LSD-25, której używali

niegdyś hippisi dla wywołania nieopisywalnych halucynacji, i tej groźniejszej, znanej jako środek bojowy LSD-21, powodującej trudno odwracalne zaburzenia umysłowe typu schizofrenicznego. Do tego odrobina psylocybiny, którą Pichon wytwarzał dla zabawy z oryginalnego meksykańskiego surowca, plus śladowe ilości pewnych silnych psycholeptyków, które można wydestylować z dostępnych w aptece, całkiem niewinnych leków. Aha: i jeszcze pewien aktywator, przyspieszający działanie mieszanki. Był to wynalazek, z którego Pichon był szczególnie dumny, ponieważ określał ów aktywator jako eleganckie rozwiązanie chemiczne. Zresztą, dla człowieka, który zupełnie mimochodem zajmował się wytwarzaniem krystalicznej heroiny z kannabisu w celu podreperowania finansów *Grupy M*, produkcja mieszanki naprawdę nie była niczym skomplikowanym, jeśli to porównać z trudnościami, jakie towarzyszyły skonstruowaniu lasera.

Przygotowano więc ładunek termitu i pięć niewielkich kulek z mieszanki Pichona, starannie opakowanych na razie w folię.

Piątego czerwca *Grupa M* była prawie gotowa do rozpoczęcia akcji.

Prawie. To jedno słowo znów sprawiało, że doktor Pichon zasypiał o wpół do szóstej rano i budził się koło siódmej.

Pozostawał do rozwiązania jeden już tylko, ale zdecydowanie najtrudniejszy problem: jak sprawić, aby brama wjazdowa, czyli jedyne miejsce, przez które *Grupa M* mogła się dostać do wnętrza Bazy, zechciała łaskawie otworzyć się przed nieproszonymi przybyszami.

Tajna Baza była naprawdę doskonale strzeżonym obiektem, przygotowanym na wszelkie możliwe niespodzianki. Brama wjazdowa, wykonana z grubej blachy stalowej, wzmocnionej potężnymi antabami, nie miała w ogóle normalnego zamka, kluczy, a przede wszystkim zawiasów, to znaczy najczulszego punktu wszelkich bram i wrzeczadźwów. Jej skrzydła składały się z trzech pionowych, trzydziestomilimetrowych blach, które w jakiś niepojęty sposób wsysały się jak gdyby jedna w drugą w momencie rozwarcia bramy. Przypuszczalnie sterował tym bardzo skomplikowany układ hydrauliczny, ukryty albo we wzmocnionym narożniku muru, albo w samych wrotach.

Archeolodzy na polu ojca Webera stwierdzili przez silne lornetki, że bramy nie można otworzyć w żaden normalny sposób. Transporter, przywożący żołnierzy plutonu wartowniczego, zatrzymywał się na chwilę przed bramą - trwało to około dwudziestu sekund - i dopiero potem, bez żadnych oznak aktywności po wewnętrznej stronie muru, brama z wolna zaczynała się uchylać. Było oczywiste, że bramę uruchamia sygnał radiowy, wysyłany z transportera lub z samochodu, którym dojeżdżał oficer dyżurny.

Pichonowi zeszło aż dwa dni na ustaleniu częstotliwości, na której nadawano sygnał.

Była ona tak wysoka, że z największą trudnością udało się ją ustalić za pomocą dostępnej na rynku elektronicznym aparatury. Początkowo sygnał wydał się Pichonowi nie do odszyfrowania, czy raczej nie do odtworzenia: na oscyloskopie przypominał bazgraninę małego dziecka. Ale po następnej dobie, spędzonej bezsennie w *niedźwiedziej jamie*, Pichon odkrył tajemnicę sygnału. Była to po prostu długa seria cyfr, tyle że nadawanych z ogromną szybkością. Odczytanie ich było już kwestią minut, przy czym dla Pichona nie było najważniejsze, czy są to cyfry, litery czy jakiegokolwiek inne znaki. Chodziło po prostu o wartości poziomu sygnału, uporządkowane niewątpliwie w systemie dziesiętnym. A może dwunastkowym? Ale nawet przy tym założeniu z odczytu nic sensownego nie wynikało. Pierwszy zarejestrowany sygnał brzmiał tak:

08675734409925

Pichon odczekał jeszcze dwanaście godzin, a kiedy przed bramę wjazdową zajechał następny transporter z plutonem wartowniczym, zarejestrował sygnał ponownie. Tym razem brzmiał on inaczej:

08786095433122015

A więc szyfr zmieniał się dwa razy na dobę! Łatwo było zauważyć, że pierwsza para cyfr pozostała po dwunastu godzinach nie zmieniona, a każda z następnych trzech została powiększona o jedność. Ba, ale sama ilość cyfr wzrosła o dwie. Jak można było przewidzieć następny układ cyfr?

Pichon powtórzył swój eksperyment następnego dnia. Pierwsze dwie cyfry znów pozostały bez zmiany, trzem następnym znów przybyło po jedności. Można więc było uznać, że pierwsza para dotyczy jakiegoś względnie długiego okresu czasu, druga oznacza najprawdopodobniej kolejny numer wjazdu do Bazy czy coś w tym rodzaju - w każdym razie coś, co podlegało kolejnej numeracji.

Pichon odczekał znów sześć godzin i zarejestrował sygnał, który otworzył bramę nie transporterowi, lecz oficerowi dyżurnemu, jadącemu, aby objąć służbę. Pierwsza piątka cyfr pozostała bez zmiany, co rui nowało poprzednią teorię o kolejnej numeracji wjazdów. Natomiast aż cztery następne cyfry zostały... zmniejszone o jedność każda.

Pichon cisnął długopis i zaklął. Po to, aby się zorientować w tym galimatiasie, musiałby mieć sześć miesięcy czasu, wynajęty komputer z dość pojemną pamięcią i głowę nie zaprzątniętą niczym więcej.

Chally skomentował klęskę Pichona szyderstwami. Spytał, co szanowny doktor ma teraz zamiar zrobić z tym swoim idiotycznym żelastwem, na które wydano już prawie dwadzieścia tysięcy marek. Zagroził sądem rewolucyjnym. Wyjaśnił, że nie ma

najmniejszego zamiaru wysłuchiwać jakichkolwiek tłumaczeń Pichona. Zwołał Całą Grupę i zakomunikował jej członkom, że stracili trzy miesiące na skutek nieczytelnych, jak zwykle, pomysłów pana doktora.

Pichon szykował się do decydującej awantury z Challym, żeby raz wreszcie nauczyć go moresu. Ale nagle olśniła go jakaś myśl i pozostał przez chwilę z otwartymi ustami, co doprawdy nie dodawało mu urody i skłoniło Łucję do niepohamowanego śmiechu.

Pichon pojął, że szyfru wjazdowego w ogóle nie można złamać. W pojazdach wojskowych, przyjeżdżających do Bazy, a także w mechanizmie otwierającym bramę musi działać swego rodzaju zegar, prawdopodobnie mający mało wspólnego z czasem astronomicznym. Pichon wyobrażał go sobie jako coś w rodzaju bębna, obracającego się, powiedzmy, z prędkością jednej siódmej obrotu na normalną minutę. Właściwie powinno to być kilkanaście bębnow, osadzonych koncentrycznie na jednej osi, a może na różnych osiach, napędzanych skomplikowanym systemem kół zębatych. Pichon sam potrafiłby zbudować takie urządzenie. Należy jednak przypuszczać, że na każdym bębnie znajdują się wypisane na chybił trafił cyfry, jak w maszynie szyfrującej. Może ich być na obwodzie jednego bębna pięć, a na obwodzie drugiego czternaście albo i dwadzieścia siedem: nikt tego nigdy nie zgadnie. Nie ma komputera, który potrafiłby w jakimś rozsądnym czasie rozwikłać taką ilość permutacji. Każdej z przypadkowych cyfr jest prawdopodobnie przyporządkowana określona wartość poziomu sygnału radiowego. Sztuczka polega na tym, że urządzenie jest zaplombowane lub wręcz nierozbieralne, a szybkość jego obrotu jest zsynchronizowana przez radio z szybkością obrotu bliźniaczego urządzenia w mechanizmie otwierającym bramę. Szyfr zmienia się więc nie co kilka godzin, lecz nieustannie, zapewne kilka razy na minutę. Bez zdobycia oryginalnego urządzenia nie ma co marzyć o otwarciu bramy.

Pichon zapomniał o decydującej awanturze z *el commandante* i nerwowo wyjaśnił Grupie, czym się tak nagle przejął. Dodał natychmiast, że jeśli dostanie do ręki oryginalny nadajnik - gwarantuje za sukces całej akcji, a on, Pichon, słów na wiatr nie rzuca, jak to wszystkim w Grupie wiadomo.

Zapadło krótkie milczenie, po czym Chally wezwał swych ludzi, aby radzili, co robić.

Ryba proponował, aby pod jakimś pozorem wywabić jednego z oficerów dyżurnych z Escherpfarr i sprzątnąć go, powiedzmy, na półtorej godziny przed rozpoczęciem akcji. Potem wymontować z jego samochodu nadajnik i przenieść do furgonetki. Pomysł został zdyskwalifikowany, ponieważ trudno było przypuszczać, że oficerowie z Escherpfarr wożą ze sobą nadajniki podczas prywatnych wyjazdów. Zresztą trzeba by było znać nazwiska ekipy oficerskiej, a to znów zajęłoby kilka dni.

Łucja uważała, że trzeba dać sobie spokój z głowicami neutronowymi i zająć się czymś, co *Grupie* zawsze dobrze wychodzi: porwaniem jakiegoś burżuja lub efektywnym zamachem bombowym. Chally warknął, żeby Łucja przestała pleść bzdury.

Rudi był zdania, że należy wtargnąć na teren Bazy akurat w tym samym momencie, kiedy oficer dyżurny będzie wjeżdżał przez otwartą już bramę. Również i tę propozycję odrzucono. Nie istniała żadna możliwość ukrycia się w pobliżu muru Bazy i oczekiwania na otwarcie bramy. Nawet nocą, gdyż zewnętrzna strona muru była oświetlona silnym światłem lamp rtęciowych, w którym widać było nawet mysz.

Pichon, zgnębiony niepowodzeniem, był zdania, że nadajnik trzeba po prostu kupić od jakiegoś mechanika z warsztatów Bundeswehry, bo kupno samego schematu konstrukcyjnego niewiele pomoże lub przynajmniej opóźni operację o kilka tygodni. Jeżeli suma będzie dostatecznie wysoka...

Chally, nie ukrywając sarkastycznego uśmiechu, przerwał tę, jak powiedział, bzdurną dyskusję i oświadczył, że wyjeżdża na kilka godzin. *Grupa* ma czekać na jego powrót i przygotować się do akcji. Skoro szanowny dr Pichon gwarantuje powodzenie akcji, nie wolno jej dłużej odkładać.

Istotnie. Tuż przed wieczorem Chally wrócił na strych ojca Webera i postawił na stole niewielki metalowy sześciąt o boku dziesięciu centymetrów z kilkoma wystającymi z niego końcówkami do przewodów.

Chally brutalnie przerwał wszystkie zdumione pytania i zapowiedział, że nie ma zamiaru udzielać żadnych wyjaśnień. Faktem jest, że okoliczności, w których Chally z taką łatwością zdobył to supertajne urządzenie, przyprawiłyby o osłupienie całą *Grupę M*, a zapewne i resztę świata.

Noc z 11 na 12 czerwca *Grupa M* spędziła na intensywnych przygotowaniach do akcji.

Ojciec Weber otrzymał dodatkową porcję wina z potrójną dawką narkotyku. Usnął tak mocno, że można go było przewieźć na księżyc i z powrotem.

Na parapecie zamontowano „strzelbę” laserową. Pichon przykręcił nadajnik pod maską furgonetki, przy czym w ostatniej chwili okazało się, że potrzebna jest jeszcze antena. Wykonano ją pośpiesznie z mosiężnego pogrzebacza, znalezionego na strychu. Pichon aż się spocił przy tej operacji. Nie zabrał ze sobą potrzebnych przyrządów pomiarowych i nie miał wcale pewności, czy stary pogrzebacz rzeczywiście będzie pomocny w przekazywaniu sygnału.

Ryba wyczyścił i naoliwił swą niezawodną beretę. Zajął się też bronią pozostałych

członków *Grupy*, przygotował ładunki termitowe i na wszelki wypadek potężny granat, zbudowany według przepisu Pichona.

Rudi sprawdził silnik furgonetki i ustawił gaźnik na maksymalną moc, kosztem zwiększenia zużycia paliwa.

Łucja przygotowała opatrunki i środki uśmierzające ból, potem rozpakowała kulki z mieszanką Pichona i skropiła je aktywatorem, zasłaniając przy tym usta grubą szmatą.

O godzinie 4.15 Ryba wszedł do zagraconej sypialni ojca Webera i podłożył pod drewniany stół bardzo silny ładunek terminowy. Mechanizm zapłonu ustawiony tak, aby pożar zaczął się dokładnie za trzy i pół godziny. Ponieważ gospodarz domu mógł się obudzić wcześniej, Ryba wbił w serce ojca Webera długi, wąski sztylet.

W dziesięć minut później Ryba odjechał swym Mini-Morrisem w kierunku parowu, którym miał jechać do Bazy nieznany z nazwiska oficer dyżurny.

Dzień zapowiadał się piękny. Nad polem ojca Webera szalały skowronki, na łące pachniały wiosenne kwiaty, buczały pszczoły.

O godzinie 5.03 doktor André Pichon-Laleaux uruchomił swą „strzelbę”.

V

Piątek, 12 czerwca, godzina 9.05. Dwudziestoczteroletni dziennikarz Georg Pförtner kończy właśnie golenie w łazience i jak zwykle zaczyna się spieszyć. Pociąg, którym podróżuje codziennie z miasteczka Maierhof do redakcji *Ostatnich Wiadomości* w Bambach, odjeżdża o 9.50, a Georg musi jeszcze zjeść śniadanie i dojść na dworzec, co mu zajmuje jedenaście minut.

Na domiar rozlega się telefon.

- Georg? Tu Peter. Mam dla ciebie coś interesującego.

- Człowieku, spieszę się na pociąg. Stary mnie wyrzuci z redakcji, jeżeli będę się stale spóźniał.

- Jak ci powiem, co się stało, będziesz mógł gwizdać na *Ostatnie Wiadomości* i tego tępego szefa. Posłuchaj. Pół godziny temu na ulicy Wschodniej, wiesz, tuż koło sklepu Kampera, spostrzeżono starą furgonetkę z francuskimi znakami rejestracyjnymi. Z wozu ciekła krew. Czy wiesz, kogo znaleziono wewnątrz? Ciężko rannego sierżanta Bundeswehry. Masz story dla gazety czy nie masz? Jak ci powiem, kim jest ten sierżant, odechce ci się

żartów. On się nazywa Williber Pauschke i chyba wiesz, o kim mowa.

- Jaki Pauschke? Przecież nie syn Arnima Pauschkego?

- Ten sam, przyjacielu, ten sam. Co ty na to?

- Peter, nie wiem, jak ci dziękować. Już biegnę na komendę. Do kogo mam się zgłosić?

- Nigdzie nie biegniesz, przyjacielu. Mówię ci to w największym zaufaniu. Cała sprawa jest supertajna. Komisarz już zawiadomił Urząd Ochrony Konstytucji i nie piśnie nikomu ani słówka.

- No to po co mi to mówisz?

- Po to, żebyś się zachował jak dziennikarz. Napisz sobie, co chcesz, ale nie powołuj się na nikogo. O sobie już nawet nie mówię.

- Kto ustalił tożsamość Pauschkego?

- Niejaki plutonowy Vierstall, jeśli cię to interesuje. Byli jednak przy tym jacyś cywile.

- Czy Pauschke żyje?

- Żyje. Ale podobno bardzo ciężki wypadek. Jest w szpitalu Świętego Jana.

- Dobra, Peter. Dzięki. Proszę cię, zadzwoń wieczorem. Ja się biorę do roboty.

Georg Pförtner zastanawia się przez chwilę, po czym siada do maszyny i wystukuje krótką, ostrożną informację: „Nasz reporter w Maierhof dowiedział się dziś rano z wiarygodnych źródeł, że...”

Przekazuje tę notatkę przez telefon do redaktora dyżurnego *Ostatnich Wiadomości*, po czym, wyłamując sobie palce ze zdenerwowania, telefonuje do doktora Putthoffera, właściciela, wydawcy i redaktora naczelnego *Ostatnich Wiadomości*. O tej porze doktor Putthoffer jest na pewno w domu; nigdy nie wstaje przed jedenastą, ponieważ nocami prowadzi intensywne życie towarzyskie, o którym krążą w Bambach legendy.

- Putthoffer, słucham.

- Dzień dobry, panie doktorze. Tu mówi Georg Pförtner. Przepraszam, że dzwonię do domu, ale zdobyłem...

- Czy pan zwariował, młody człowieku? Co do wszystkich diabłów upoważnia pana, żeby mnie budzić o świcie? Będziemy się musieli rozstać, i to szybciej, niż pan myśli, jeżeli pan w ogóle myśli.

- Przepraszam, panie doktorze. Ale wpadłem na trop zupełnie nadzwyczajnej sprawy.

- Pförtner, pan ma zawsze jakieś nadzwyczajne sprawy, a potem musimy miesiącami naprawiać pańskie głupstwa, tracimy ogłoszenia i mamy kłopoty z władzami. Proszę mi nie

zawracać głowy. Zobaczymy się w redakcji.

- Chwileczkę. Czy pan pamięta Pauschkego?

- Tego renegata, pacyfistę i świńskiego bydlaka?

- No, tego pisarza.

- Dla pana, Pförtner, to może sobie być pisarz. Dla mnie to jest nędzny tchórz, zdrajca, rosyjski agent, deprawator i grafoman. O co chodzi?

- Jego syn został dziś rano zamordowany. To znaczy postrzelony.

- Przez kogo?

- Właśnie próbuję to ustalić i dlatego chcę prosić...

- To niech mi pan nie zawraca głowy. Proszę porozmawiać z policją i na szesnastą dostarczyć materiał na dwie i pół szpalty, na dziewięć lub czternastą stronę. Tylko ostrzegam: bez żadnych tam sensacji w pańskim stylu i bez popisów stylistycznych. Zwięzła, rzeczowa informacja - oto, czego pragnie dzisiejszy czytelnik. A gdybyśmy jeszcze raz mieli potem prostować jakieś pańskie zmyślenia, rozstanie się pan z redakcją jeszcze dziś wieczorem. Takich szpiców jak pan, to ja mogę mieć na dziesiątki.

- Kiedy ja nigdy niczego nie zmyśliłem, panie doktorze. To tylko pan...

- Pförtner, słuchaj pan: dosyć tej bezczelnej gadaniny. Ja tu jestem od tego, żeby orzekać, co jest prawdziwe, a co nie jest. Żegnaj pana. My jeszcze porozmawiamy.

Doktor Putthoffer ziewa i kładzie się z powrotem do łóżka. Ale nie jest mu sądzone pospać tego ranka. Za chwilę znów rozlega się telefon.

Tym razem Putthoffer zrywa się na równe nogi, przybiera postawę zasadniczą nie bacząc, że jest w piżamie, potakuje gorliwie. Potem nakreśla nerwowo numer *Ostatnich Wiadomości* i każe się połączyć z sekretarzem redakcji.

Na skutek tej krótkiej rozmowy redaktor dyżurny otrzymuje polecenie, aby natychmiast posłać do składania podyktowaną przez Putthoffera wiadomość następującej treści:

„Kolejny humbug komunistyczny. Plotka - nowe narzędzie walki z łaodem społecznym. (Od naszego korespondenta G. P.) Maierhof, 12 czerwca. Opinia publiczna tego nadgranicznego miasta została dziś rano poruszona pogłoską, jakoby na jednej z ulic dokonano morderstwa podoficera Bundeswehry. Nasz korespondent uzyskał w tej mierze wyczerpujące informacje. Pozwalają one z całą stanowczością zdementować krążące w Maierhof pogłoski, których kolportowaniem zajmują się, jak można sądzić, elementy wyraźnie antypaństwowe i prokomunistyczne. Nie brak ich, niestety, w naszej Republice.

Fakty zaś przedstawiają się inaczej. Na ulicy Wschodniej istotnie znaleziono

porzuconą furgonetkę marki Renault, z francuskimi znakami rejestracyjnymi. Wewnątrz znajdowały się zwłoki dwudziestoletniego mężczyzny nazwiskiem Winnifred Paukasch. Jest to znany władzom policyjnym przestępca kryminalny, poszukiwany za przemyt narkotyków i drobne kradzieże. Padł on zapewne ofiarą porachunków bandyckich. Wydział śledczy komendy policji jest już na tropie sprawców.

Znamiennym przykładem cynicznej perfidii bandytów jest fakt, że zwłoki Paukascha zostały już po dokonaniu zabójstwa przebrane w (skradziony oczywiście) mundur wyższego oficera Luftwaffe. Raz jeszcze potwierdza się prawda, której pismo nasze pozostaje zawsze wierne: nie ma tak cynicznego kłamstwa, do którego nie uciekaliby się wrogowie Republiki Federalnej i porządku w naszym kraju“.

Dr Putthoffer nie ma zwyczaju opowiadać się swym pracownikom z podejmowanych przez siebie decyzji. Nie uważa też za celowe dyskutować z nimi o tekstach, jakie pod ich nazwiskiem lub kryptonimem zamieszczają *Ostatnie Wiadomości*.

Georg Pförtner dowiaduje się wprawdzie od kolegów o treści notatki, zanim jeszcze ukaże się ona w druku, nie ma jednak żadnych złudzeń, żeby awantura z Putthofferem mogła przynieść jakiegokolwiek rezultaty. Dlatego postanawia prowadzić śledztwo na własną rękę, posługując się bardzo wygodną w tej chwili legitymacją służbową *Wiadomości*. Kiedy się dowie już wszystkiego, czego się można dowiedzieć - sprzeda tę *story* któremuś z wielkich magazynów. Zarobi sporo forsy i przy okazji zdobędzie rozgłos, bardzo w tym zawodzie potrzebny, żeby się przebić i nie zależeć wiecznie od takiej kanaalii, jak Putthoffer.

Ale od samego początku nie jest to łatwa sprawa dla detektywa-amatora. Lekarz dyżurny w szpitalu Św. Jana oświadcza krótko, że w ciągu ostatniej doby nie przyjęto żadnego pacjenta nazwiskiem Pauschke lub Paukasch. Urzędniczka z wydziału kadr naczelnego dowództwa Bundeswehry odmawia informacji o jednostce, w której odbywa służbę sierżant Willibert Pauschke. Komenda policji w Maierhof trzyma się twardo wersji, jaka wkrótce zostanie opublikowana przez *Ostatnie Wiadomości*. Peter, najlepszy przyjaciel, został z rana wysłany służbowo poza Maierhof - ostatecznie młodemu aspirantowi często przydziela się zadania połączone z wyjazdem i może to być kwestia zwykłego przypadku. Placówka Urzędu Ochrony Konstytucji w Bambach stanowczo zaprzecza, jakoby wiedziała cokolwiek o porzuconej furgonetce, gdyż jak powiadają, sprawy kryminalne nie wchodzą w zakres kompetencji Urzędu.

Georg Pförtner ma właściwie tylko jeden jedyny punkt oparcia. Jest to właściciel zakładu pogrzebowego na ulicy Wschodniej, pan Friedrich Wilhelm Knauppe, który pierwszy zawiadomił policję o krwi ciekącej z furgonetki i był obecny przy jej otwieraniu. Widział też

na własne oczy wojskowy dowód tożsamości Williberta Pauschke i nie ma żadnych wątpliwości, że chodzi o syna Arnima Pauschke. Zdjęcie sierżanta obiegało w swoim czasie całą prasę, a ten młody człowiek ma twarz tak charakterystyczną, że nie sposób się pomylić.

Pan Knauppe, jak przystało na lojalnego obywatela, i do tego przedsiębiorcę, pomagał policjantowi wydobyć rannego z furgonetki i asystował przy oględzinach miejsca wypadku, zanim przyjechała ekipa śledcza. Pan Knauppe pamięta na przykład, że na podłodze wozu leżała damska chusteczka do nosa o dziwnym, odurzającym zapachu, a całe niemal wnętrze zajmowało jakieś urządzenie techniczne, trochę podobne do bomby. No, coś w rodzaju skrzynki czy klatki, wewnątrz której znajdowało się jak gdyby cygaro, silnie błyszczące i zamocowane w tej klatce.

- To ciekawe - mówi Georg i częstuje pana Knauppe cygaretką.

Pan Knauppe nie czytał jeszcze dzisiejszego wydania *Ostatnich Wiadomości* i nie wie, że został określony jako element antypaństwowy i prokomunistyczny, ponieważ zajmuje się kolportowaniem plotek.

- To ciekawe, nie sądzi pan, panie Knauppe? - pyta Pförtner. - To dziwne urządzenie może stanowić najlepszy trop do wykrycia sprawców, ale policja udaje, że nic o tym nie wie. Czy ekipa śledcza zainteresowała się tym przedmiotem?

- Ach, oczywiście, nawet bardzo żywo. Zaczęli mierzyć, fotografować, potem przyjechały jeszcze posiłki policyjne i odgrodziły kordonem całą ulicę.

- A czy pan wie, co się stało z tą furgonetką?

- Oczywiście. Przecież stała tuż naprzeciw mojego zakładu. W jakieś 20 minut po zabraniu Pauschkego przyjechał dźwig policyjny i odholował furgonetkę. Miała rozmontowaną czy zniszczoną instalację elektryczną. Ciekawe, że poprzedzało ją dwóch policjantów na motocyklach, a z tyłu jechały aż trzy samochody z tajniakami. To musi być grubsza sprawa, panie Pförtner. Nie jestem policjantem, ale powiem panu tyle, że ktoś kto strzela do sierżanta Bundeswehry, musi mieć bardzo brudne łapy. Pan wie, co mam na myśli.

- Wiem, panie Knauppe. I muszę panu coś powiedzieć. Chciałem napisać prawdę o tym, co się tutaj stało. Ale mój szef, doktor Putthoffer, napisał za mnie zupełnie inny tekst, który za kilka godzin przeczyta pan ze zdumieniem. Prawdopodobnie zostanę wyrzucony z redakcji, ale to nic nie szkodzi. Proponuję, żebyśmy to wszystko spróbowali wyjaśnić, na razie we dwóch.

W tym momencie przed zakładem pana Knauppe zatrzymuje się gwałtownie samochód, z którego wysiada szczupły, ponury mężczyzna.

- Pan Knauppe? Jestem z komendy okręgowej policji w Bambach. Przywiozłem panu

do podpisania oświadczenia dla sędziego śledczego. Jest pan bardzo ważnym świadkiem w śledztwie federalnym i krajowym. Proszę to podpisać.

Knauppe nakłada okulary i zaczyna czytać: „Zobowiązuję się niniejszym, ze względu na dobro śledztwa, do zachowania całkowitej i bezwzględnej tajemnicy w sprawie, w której jestem świadkiem. Zobowiązuję się nie rozmawiać z osobami postronnymi, bez zgody sędziego śledczego lub upoważnionych przedstawicieli komendy okręgowej, na żaden temat bezpośrednio lub pośrednio związany z przedmiotem śledztwa. Przyjmuję do wiadomości, że naruszenie tajemnicy jest karane pozbawieniem wolności”.

- Co pan na to, panie Pförtner? - pyta Knauppe, rozkładając bezradnie ręce. - Co to ma znaczyć?

- Dokładnie to, o czym przed chwilą mówiliśmy - odpowiada Georg. - Teraz już wiem dokładnie, co mam robić.

- O czym panowie rozmawiali? - pyta ostro urzędnik policji. - Jeżeli o sprawie będącej przedmiotem śledztwa, pan również zostanie zaprzysiężony dla zachowania tajemnicy. Jest to sprawa federalna wielkiej wagi.

- Ach, nie - powiada Georg, przeciągając się. - Rozmawialiśmy z panem Knauppe o stosunkach politycznych w naszym kraju. To znaczy o sprawach, które nie powinny interesować policji.

VI

Piątek, 12 czerwca, godzina 9.05 rano. Gabinet dowódcy 14 dywizji generała-porucznika Kurta Severinga. Obecni:

1. Zastępca dowódcy do spraw liniowych, major Ernst Stahm;
2. Zastępca dowódcy do spraw technicznych, podpułkownik Paul Fretzig;
3. Szef sztabu, pułkownik Adolf Ruhmbein-Wieser;
4. Zastępca szefa sztabu, major Günther Kirsch;
5. Szef wywiadu polowego, podpułkownik Karl-Heinz Pionteck;
6. Komendant Tajnej Bazy nr 6, major Runo von Tschierschke;
7. Oficer kontrwywiadu dywizji, kapitan Horst Scheeler;
8. Dowódca kompanii ochrony sztabu, kapitan Lamprecht von Goralsky;
9. Adiutant dowódcy dywizji, podporucznik Sebastian Müller.

Na dziesięciu obecnych oficerów sześciu należy do Organizacji. Tych sześciu zdążyło przed kwadransem wrócić z wyprawy do Tajnej Bazy nr 6, przebrać się w mundury oficerskie i ochłonąć z wrażeń. Plan majora Stahma powiódł się całkowicie. Właśnie w tej chwili żołnierze z zaprzyjaźnionej jednostki specjalnej przewożą głowice do położonej na zupełnym odludziu Tajnej Bazy nr 3. Jej komendantem jest członek Organizacji, który we wczesnej młodości służył w SS i nauczył się milczeć. Można mu spokojnie powierzyć tę sekretną przesyłkę do czasu, kiedy zostanie użyta zgodnie z decyzją Organizacji.

- Zaczynamy, panowie oficerowie - mówi generał Severing. - Czas ucieka. Mamy zaledwie 20 minut na omówienie całej tej niesłychanej sprawy. Około godziny dziewiątej trzydzieści spodziewam się przylotu inspektora z naczelnego dowództwa Bundeswehry i muszę wiedzieć wszystko, co mamy do powiedzenia. Generalny Inspektor życzy sobie mieć raport najpóźniej o dziesiątej, ponieważ o jedenastej minister obrony uczestniczy w posiedzeniu gabinetu i musi złożyć sprawozdanie.

Generał obrzuca surowym wzrokiem zgromadzonych oficerów i na chwilę zawiesza głos.

- Zanim przejdziemy do wydarzeń w Tajnej Bazie nr 6 - mówi Severing bardzo powoli, co zawsze oznacza u niego stan wzburzenia - muszę przede wszystkim wyrazić swoje głębokie niezadowolenie z powodu ślamazarnego, żeby nie rzec, że skandalicznie powolnego tempa wstępnych czynności, jakie panowie podjęli. Specjalna komisja zbada wszystkie dokumenty w tej sprawie. Winni zostaną ukarani. Pragnę przypomnieć, że kradzież tak silnie strzeżonych głowic neutronowych zdarzyła się po raz pierwszy w historii i nie wiadomo jeszcze, jakie przyniesie rezultaty. Każdy zawodowy oficer powinien zdawać sobie sprawę, co to może oznaczać. W ogóle, moi panowie, zauważam w naszej dywizji oznaki znacznego rozprężenia dyscypliny i zapowiadam, że nie będę tego tolerował. Na przykład major Kirsch ma na nogach zwykle żołnierskie buty zamiast oficerskich pantofli. Major Stahm jest nie ogolony, co uważam za osobisty afront pod moim adresem. Czymże to się panowie zajmowali, że zostałem zawiadomiony o napadzie na bazę dopiero w godzinę po wydarzeniu? Dlaczego oficera kontrwywiadu obudzono dopiero na pięć minut przed powrotem pierwszej ekipy inżynierskiej? No, na razie mniejsza z tym. Proszę o raporty. Major von Tschierschke, proszę.

- Cóż, panie generale - mówi komendant TB 6 - fakty są z grubsza znane. Nie było mnie na miejscu, ale zdołałem prowizorycznie odtworzyć przebieg wydarzeń. Około godziny szóstej rano, akurat w momencie, kiedy miała nastąpić zmiana oficera dyżurnego Bazy, został dokonany zuchwały napad na Bazę, w wyniku którego zamordowano oficera dyżurnego i

czterech wartowników, po czym wywieziono z magazynu jedenaście głowic neutronowych o mocy od pół kilotony do trzystu kiloton. Szczegółowa specyfikacja w załączeniu. Sądzymy, że grupa napastników musiała się składać z około trzydziestu osób, doskonale wyszkolonych pod względem wojskowym i na pewno pozostających w zмовie z kimś spośród załogi Bazy, gdyż niczym innym nie można wytłumaczyć całkowitego unieruchomienia Głównego Obwodu Zabezpieczającego i bezkarnego wtargnięcia na wartownię w celu otrucia wartowników, którzy odpoczywali po służbie. Ściśle biorąc, nie są oni zatruci śmiertelnie, lecz odurzeni jakimś silnym środkiem psychotropowym lub psychochemicznym. Do bilansu strat należy również doliczyć tajemnicze zniknięcie dowódcy plutonu, sierżanta Pauschke. Biorąc pod uwagę osobowość tego podoficera i znaną działalność jego ojca, należy do tego zniknięcia przywiązać największą wagę. Poza tym nie jest znany los porucznika Weitmarka, który o przepisowej godzinie opuścił koszary w Escherpfarr, ale nigdy nie dojechał do Bazy.

- Owszem, panie majorze - przerywa oficer kontrwywiadu. - Los Weitmarka jest, niestety, znany. Został zastrzelony serią z beretty o dwa kilometry od Escherpfarr o godzinie 5.47. Tę godzinę wskazuje zegarek na przegubie. Przepraszam, że przerwałem.

- Co jeszcze ustalił nasz kontrwywiad? - pyta generał.

- Niewiele, ale za kilka godzin będziemy wiedzieli więcej. Wykluczamy, aby oficer dyżurny, kapitan von Wiprecht, mógł pozostawać w zмовie z napastnikami...

- A to dlaczego? - pyta rozzłoszczony major Stahm.

- Panie majorze! - ostro przerywa generał. - Ja tu jestem od zadawania pytań. Kapitanie Scheeler, proszę referować dalej.

- Otóż wykluczamy współdziałanie kapitana von Wiprechta dla tej prostej przyczyny, że wysłał do sztabu dywizji wszystkie przewidziane instrukcją meldunki, a drzwi do pomieszczenia kontrolnego otworzył dlatego, że przestała działać jakakolwiek sygnalizacja. Co się tyczy liczby uczestników napadu, to jesteśmy zupełnie pewni na podstawie śladów i pewnych innych oznak, że ich ilość wynosiła pięć lub sześć osób, z tym, że była wśród nich jedna kobieta.

- Kobieta? - mówi major Stahm, nie ukrywając złości. - Pan chce nam wmówić, że Rosjanie nie mają już mężczyzn do takiej roboty? Ładnie pracuje ten nasz kontrwywiad, ani słowa.

- Major Stahm otrzymuje naganę - cedzi przez zęby generał. - Chyba wyraźnie zabroniłem przerywać? Kapitanie Scheeler, proszę referować dalej.

- Co się tyczy zniknięcia sierżanta Pauschke, to sprawa jest rzeczywiście zastanawiająca - ciągnie oficer kontrwywiadu. - Z jednej strony są oznaki, że Pauschke

prowadził ogień do napastników. Z drugiej jednak strony cienka struga krwi urywa się nagle w pobliżu bramy wjazdowej, a potem pojawia się znowu o sześćdziesiąt metrów dalej. Należałoby wnioskować, że albo jest to krew jednego z napastników, czego nie zdążyliśmy jeszcze zbadać, albo też Pauschke, ciężko ranny, był wleczony do jakiegoś pojazdu przez 60 metrów, co wydaje się mało prawdopodobne. Jeżeli sprawę uda się utrzymać w tajemnicy do wieczora, będziemy mieli dokładniejszą rekonstrukcję sytuacji. I wreszcie ostatnia sprawa: z dotychczasowego naszego rozpoznania wynika, że unieruchomienie Głównego Obwodu zostało spowodowane przez jakieś nieznanne urządzenie elektroniczne, którego zbudowanie musiało być sprawą niezmiernie skomplikowaną i dość kosztowną. Podważa to przypuszczenie o terrorystach, ponieważ z tego, co nam wiadomo, nie ma wśród nich osób o tak nieprzeciętnym talencie konstruktorskim i tak rozległej wiedzy fachowej. Skończyłem, panie generale.

- Kto dalej? - pyta Severing. - Zostało nam jeszcze dziesięć minut.

- Czy pan generał pozwoli? - pyta major Stahm, nie zrażony naganą. - Chciałbym przedstawić swoją wersję wydarzeń.

- Nie interesują mnie pańskie wersje, Stahm. Interesują mnie fakty. Proszę, kapitan von Goralsky.

- Pragnę zameldować - mówi niepewnie dowódca ochrony sztabu - że natychmiast po uzyskaniu informacji o wydarzeniach w Tajnej Bazie podjąłem wszelkie niezbędne kroki dla umocnienia bezpieczeństwa sztabu i dowództwa dywizji. Zauważyłem, niestety, wiele niedociągnięć i niezbyt dla mnie jasnych zaniedbań. Na przykład nieobecność kilku oficerów na wyznaczonych stanowiskach, a także nieuprawnione wzywianie kierowców wozów dywizyjnych. Ale nie wiem, czy to jest pora, aby meldować o takich wydarzeniach...

- Nie - przerywa generał. - Nie mamy czasu. Potem pan się do mnie zgłosi z raportem. Kto jeszcze?

Cisza.

- Kończymy w takim razie odprawę. Nie powiem, żebym się od panów wiele dowiedział. Mam nadzieję, że panowie będą bardziej rozmowni, kiedy tu zjedzie komisja śledcza z rozkazu Generalnego Inspektora, a także i komisja specjalna Bundestagu, bo tego chyba możemy oczekiwać. Nie sądzę, żeby ktokolwiek z nas utrzymał się długo na swoim stanowisku. Panowie chyba nie zdają sobie jeszcze sprawy z tego, co się stało w naszej dywizji.

W tym momencie otwierają się drzwi, wkracza - nie wchodzi, lecz właśnie wkracza - inspektor z naczelnego dowództwa. Obrzuca nieprzyjaznym wzrokiem zgromadzonych

oficerów i uśmiecha się ironicznie:

- Witam bohaterów dnia. Oprócz wszystkich możliwych pytań, jakie zostaną postawione, mam do panów jedno dość istotne. Czy nikt z panów nie pamięta, że jesteśmy członkami Paktu? Czy nikomu nie przyszło do głowy, żeby natychmiast po stwierdzeniu napadu zawiadomić oficera dyżurnego w kwaterze głównej Paktu?

- Przepraszam - mówi podniesionym głosem szef sztabu dywizji. - Osobiście przekazałem tę informację o godzinie 8.45, jednakże nie została przyjęta.

- Jak to nie została przyjęta? Czy to jest wojsko, czy zabawa w głuchy telefon?

- Raczej to drugie. Telefon odebrał oficer dyżurny Kwatery Głównej Paktu, niejaki kapitan Reseaux czy Resault. Zapewne Belg, gdyż mówił potwornie po angielsku i ani słowa po niemiecku. Ponieważ włączyłem oczywiście demodulator, aby się zabezpieczyć przed podsłuchem, na linii pojawiły się jakieś zakłócenia i musiałem mówić bardzo głośno. Kiedy mu powiedziałem, że dokonano napadu na Bazę i zrabowano głowice neutronowe, wybuchnął śmiechem i powiedział... przepraszam, ale muszę to dosłownie powtórzyć. Powiedział, że Niemcy nabrali wreszcie poczucia humoru i że jest to najlepszy dowcip, jaki od dawna słyszał. Potem zapytał, czy nasza dywizja ma etatowego psychiatrę. Przerwałem mu ostro i zapowiedziałem, że cała odpowiedzialność za przetrzymanie informacji spadnie na niego, a ja zwrócę się do dowódcy dywizji, aby wystąpił ze skargą do Naczelnego Dowódcy Paktu. Belg śmiał się nadal na całe gardło i spytał, czy naprawdę się domagam, aby poszedł z meldunkiem do Naczelnego Dowódcy i zameldował, że w Republice Federalnej ukradziono głowice neutronowe. Uznałem dalszą rozmowę za bezcelową.

- Moi panowie - wzrusza ramionami inspektor - przecież to jest cyrk, a nie wojsko! Jeżeli na pierwsze pytanie pada odpowiedź, która mi przypomina te różne komunizujące kabarety hamburskie, to wyobrażam sobie, jak będą brzmieć następne odpowiedzi.

VII

Piątek, 12 czerwca, godzina 10.05 rano. Na biurku szefa gabinetu kanclerza federalnego Lüttnera rozlega się przyciszony brzęczyk telefonu. Jest to niewielka skrzyneczka o barwie pomidorowej mrożonki, pozbawiona tarczy i słuchawki; w tej sieci, stuprocentowo zabezpieczonej przed podsłuchem i zakłóceniami, jest zaledwie ośmiu abonentów.

- Czy to gabinet kanclerza? Tu mówi Pfeiffer, szef Urzędu Ochrony Konstytucji³. W ciągu najbliższych dziesięciu minut muszę się natychmiast zobaczyć z kanclerzem.

- Panie doktorze Pfeiffer - odpowiada szef gabinetu - obawiam się, że to jest niemożliwe. Kanclerz rozmawia w tej chwili z ambasadorem brytyjskim, następnie zapowiedziana jest pani minister Schwellenberg, potem mamy krótką wizytę grupy młodzieżowej z Moguncji, o jedenastej posiedzenie gabinetu...

- Wykluczone - orzeka doktor Pfeiffer. - Jest to sprawa takiej wagi i takiej pilności, że nie mogę czekać ani minuty. Proszę zameldować kanclerzowi, że będę za dziesięć minut.

Istotnie. Punktualnie o godzinie 10.15 doktor Pfeiffer - rosły, brzydki, powolny - wchodzi do sekretariatu kanclerza, zderzając się w drzwiach z panią minister.

- Właśnie idę do kanclerza - mówi pani Schwellenberg.

- Damy powinny mieć pierwszeństwo - mruczy przez zęby Pfeiffer - ale tym razem nie mogę, niestety, zapewnić go pani minister. To ja idę teraz do kanclerza.

- Ależ ja jestem umówiona z kanclerzem, czekam na tę rozmowę już od dwóch tygodni!

- Przykro mi, pani minister. Zdarzają się jednak sytuacje, wobec których wszystkie inne sprawy...

- A cóż się takiego stało? - wykrzykuje pani Schwellenberg i w tym samym momencie zdaje sobie sprawę z nedorzeczości swego pytania. Kto jak kto, ale doktor Pfeiffer nie należy do osób gadatliwych.

Kanclerz Dagobert Lüttner podnosi się zza bezkresnego biurka i wyciąga dłoń do Pfeiffera.

- Cóż to pana sprowadza, doktorze? I to w tak nagłym trybie, że rujnuje mi pan plan zajęć na dzień dzisiejszy?

- Przepraszam, panie kanclerzu. Ale sprawa, która mnie tu sprowadza, wydaje mi się tak ważna, że pozwoliłem sobie zakłócić tok pańskich zajęć. Zwłaszcza że można oczekiwać nieobliczalnych wprost komplikacji międzynarodowych, kto wie, czy nie wojny.

Kanclerz Lüttner marszczy brwi i odsuwa się z fotelem od biurka. Sprawuje swój urząd dopiero od półtora roku, lecz zdążył się już nauczyć, że słów doktora Pfeiffera należy słuchać tak, aby każdemu z nich przeczyć w myśli.

- Pan to mówi serio, doktorze? - pyta, patrząc na Pfeiffera z niedowierzaniem. - Odkąd to Urząd Ochrony Konstytucji informuje mnie o sprawach, które zawsze interesowały wojskowych?

³ Zachodniemiecki kontrwywiad cywilny, pełniący funkcje policji politycznej.

Lüttner ma chwilę porywczego gniewu, który tłumi w sobie wysiłkiem woli. Nigdy nie dowierzał ludziom z Ochrony Konstytucji, przypuszczał, że prędzej czy później wplączę go w jakąś aferę. No i doczekał się wreszcie próby sił.

- Dziś rano - mówi spokojnie Pfeiffer - w małym miasteczku Maierhof, niedaleko granicy francuskiej, nasi ludzie znaleźli porzuconą furgonetkę z francuskimi znakami rejestracyjnymi. Wewnątrz pojazdu znajdował się ciężko ranny sierżant Willibert Pauschke, syn Arnima Pauschke. Znajduje się w tej chwili w szpitalu pod najtroskliwszą opieką, ale nie odzyskał jeszcze przytomności. Co jednak ważniejsze, w furgonetce znaleziono głowicę neutronową o mocy pół kilotony.

- Co takiego?! - Lüttner zrywa się zza biurka. - Co to za głowica? Skąd pochodzi?

- Niestety, jeszcze nie wiemy. Numer seryjny głowicy został zatarty i dlatego nie możemy zapytać Amerykanów, gdzie głowica się znajdowała i czy w ogóle została przez nich wyprodukowana. Zresztą, na zwrócenie się do Amerykanów w takiej sprawie musiałbym i tak mieć pańską zgodę, panie kanclerzu.

- Co pan o tym myśli, doktorze?

- Nie mamy na razie żadnej teorii, która by to wyjaśniała. Sądzę jednak, że pod koniec dnia będę mógł przedstawić panu jakieś bliższe wyjaśnienia.

- Czy ten Pauschke może mieć coś wspólnego z przewożeniem głowicy?

- Z pewnością. Służył w ochronie pewnej tajnej bazy, gdzie przechowuje się głowice neutronowe.

- No, wyobrażam sobie, co się będzie działo, kiedy się o tym dowie prasa. A skąd wiecie, że to jest głowica neutronowa?

- Po pierwsze, na panczerzu znajduje się angielski napis, częściowo tylko zatarty. Po wtóre, pewien nasz pracownik, który służył niegdyś w wojskach raketowych, stwierdził to na podstawie obserwacji.

- Czy kontaktowaliście się już z ministerstwem obrony?

- Ależ skąd, panie kanclerzu. Pan jest pierwszym człowiekiem spoza Urzędu, a w ogóle dopiero siódmym, który uzyskuje tę informację. Komisarz policji w Maierhof, który prowadził wstępne śledztwo w tej sprawie, jest także naszym pracownikiem.

Przez uchylone drzwi zagląda szef gabinetu. Jego oczy są zupełnie okrągłe.

- Przepraszam, panie kanclerzu. Minister obrony prosi o natychmiastowe przyjęcie w sprawie najwyższej wagi, koniecznie przed posiedzeniem gabinetu ministrów. Co mam odpowiedzieć?

Lüttner pociera czoło. Teraz już wie na pewno, że toczy się tutaj wielka gra o

najwyższą stawkę, ale nadal nie może uchwycić jej sensu. Szkoda, że już nie żyje stary, mądry prezydent Westermann; ten niewątpliwie wiedziałby, jak postąpić.

- Po pierwsze - zwraca się kanclerz do szefa gabinetu - niech pan przesunie posiedzenie rządu na jedenastą trzydzieści. Po drugie, niech minister obrony będzie tu jak najszybciej. Po trzecie, proszę wezwać mojego adiutanta wojskowego i trzech dyżurnych tłumaczy: na angielski, na francuski... tak, i na rosyjski.

W twarzy doktora Pfeiffera nie drga ani jeden mięsień. Ten człowiek zrobiłby majątek, grywając w pokera.

- No dobrze, panie doktorze - mówi Lüttner. - Dziękuję za tę szybką informację. Podzielam pański pogląd, że sprawa jest ważna, choć, szczerze mówiąc, nie widzę na razie powodu do paniki.

Lüttner bardzo pragnie, aby w oczach Urzędu Ochrony Konstytucji wypadł jako człowiek opanowany, zdolny do szybkich reakcji w momencie kryzysu i całkowicie pewny siebie.

- Ale zanim się rozstaniemy, chciałbym usłyszeć od pana jakąś najpierwszą, roboczą teorię na temat tego dziwnego wypadku. Czy pan jest pewien, że głowica, jeśli to rzeczywiście jest głowica, została wyprodukowana przez Amerykanów, czy też może być innego, to znaczy obcego pochodzenia? Co mogło sprawić, że znalazła się nagle w Maierhof, gdzie, o ile wiem, nie ma żadnych instalacji wojskowych. Skąd i dokąd ją przewożono i kto to mógł uczynić? Dlaczego ten młody Pauschke znalazł się w furgonetce razem z głowicą?

- Co do pierwszej sprawy - odpowiada Pfeiffer - będziemy się mogli wiążąco wypowiedzieć dopiero wtedy, gdy głowicę obejrzą eksperci. Co się zaś tyczy okoliczności znalezienia głowicy w Maierhof, to powiem szczerze, że obawiam się najgorszego. W furgonetce znaleziono na przykład damską chusteczkę do nosa, która, jak wiadomo, nie wchodzi w skład wyposażenia wojskowego. Poza tym są pewne inne oznaki, które każą przypuszczać, że głowica... no, zaryzykuję bezpodstawne na razie domniemanie: została wykradzona przez terrorystów. Może nawet przez *Grupę M*, z którą, niestety, wojujemy już kilka lat z częściowymi tylko rezultatami.

Lüttner spogląda uważnie na Pfeiffera. Ciekawe: ile jest w tym humbugu, a ile prawdy? Ale teoria o terrorystach wydaje się chyba najbardziej prawdopodobna. Komuż innemu mogłoby zależeć na posiadaniu głowicy neutronowej? Zakładając, oczywiście, że Pfeiffer mówi prawdę i że Urząd Ochrony Konstytucji nie wymyślił tego wszystkiego dla swych mętnych celów. Po nich można się tego spodziewać. Nawet tego.

Problem polega tylko na tym, skąd właściwie pochodzi ta przeklęta głowica,

znaleziona w Maierhof. Jeżeli w jakikolwiek sposób wykradziono ją z magazynów Bundeswehry lub z amerykańskich stanowisk składowania na terenie RFN, zarządzi się takie śledztwo, które będzie musiało doprowadzić do ustalenia prawdy, a winnych, bez względu na funkcję lub stopień, postawi się przed sądem. W końcu, te wszystkie kosztowne zabezpieczenia, którymi się tak przechwala wojsko, powinny przynajmniej chronić głowice przed rabunkiem. Jeżeli jednak głowica została w jakiś tajemniczy sposób przesmuglowana z zewnątrz na terytorium RFN - strach po prostu pomyśleć, co się tu będzie działo, kiedy dorwie się do tego prasa. Nikt przecież nie zagwarantuje, że w tej chwili jest w RFN tylko ta jedna głowica z Maierhof. Z równym powodzeniem może być ich pięć albo pięćdziesiąt. I żadne zaprzeczenia nic już wtedy nie pomogą. Ludzie porzucą swe normalne zajęcia i zaczną szukać głowic nawet pod łóżkiem sąsiada. Może dojść do samosądów, starć ulicznych i takiego wybuchu hysterii, któremu nie będzie już można zapobiec. Tak: gorzej już nie mógł się zacząć ten feralny piątek.

- Czy możecie w jakiś skuteczny sposób zabezpieczyć granicę francusko-niemiecką na całej długości? - pyta Lüttner. - Nie powinniśmy chyba wykluczać i takiej możliwości, że głowica ta została przesmuglowana z Francji.

- Własnymi siłami zrobić tego nie możemy - odpowiada Pfeiffer. - Jeśli jednak wyda pan polecenie ministrowi spraw wewnętrznych, jednostki Grenzschtzu będą mogły ustanowić coś w rodzaju częściowej ochrony granicy. Częściowej, podkreślam. Jediną skuteczną gwarancję mogłoby dawać wojsko.

- Ale Bundeswehra, jak pan wie, nie może stacjonować ani być rozlokowana w pasie granicznym. Takie są przepisy układów paryskich z 1954 roku.

- Ach tak, istotnie. Zapomniałem o tym - mówi Pfeiffer i w jego oczach pojawia się lekki cień szyderstwa, który na nowo rozbudza w kanclerzu podejrzliwość i gniew. Diabli wiedzą, co ten Pfeiffer naprawdę knuje. Całe szczęście, że wkrótce wypowie się na ten temat wojsko. A wojskowym kanclerz wierzy bez zastrzeżeń.

- Dobrze - Lüttner wyciąga rękę do Pfeiffera. - Żegnam pana, doktorze. Proszę mnie informować na bieżąco. Możemy tylko mieć obaj nadzieję, że pański domysł na temat terrorystów okaże się mylny. Obaj zapłacilibyśmy dymisją i niesławą, gdyby to była prawda. Nie mówiąc już o nieszczęściu dla kraju.

Punktualnie o godzinie 10.35, ku zgrozie czekającej cierpliwie pani minister Schwellenberg i rozgoryczonej młodzieży z Moguncji, wchodzi do gabinetu kanclerskiego minister obrony, Peter Grauder. Nie czekając na zaproszenie zasiada w fotelu naprzeciw kanclerskiego biurka, potem wstaje, jak gdyby speszony swym brakiem dobrych manier, i

podniesionym głosem zaczyna swój referat.

- Panie kanclerzu federalny! Mam smutny obowiązek zameldować panu o nieprawdopodobnym wprost wydarzeniu, które, w moim przynajmniej rozumieniu, zagraża losom Republiki Federalnej. Uważam, że powinien pan o tym wiedzieć jeszcze przed dzisiejszym posiedzeniem rządu. Otóż dziś rano grupa nieznanych sprawców dokonała napadu na Tajną Bazę nr 6, znajdującą się na obszarze operacyjnym 14 Hanowerskiej Dywizji Zmechanizowanej. Sprawcy zastrzelili oficera dyżurnego Bazy oraz czterech żołnierzy. Pozostała część załogi wartowniczej, która odpoczywała po służbie, ciężko zatruli nieznanym środkiem chemicznym. Systemy zabezpieczające Bazy zostały całkowicie zniszczone, czego w żaden sposób nie umiemy wyjaśnić, ponieważ w teorii są niezniszczalne. Uprowadzono też jednego podoficera, który - co całej sprawie dodaje akcentów - był synem Arnima Pauschke. Sądzymy, że go uprowadzono, gdyż przebieg jego służby był dotychczas bez zarzutu i nic na razie nie wskazuje, aby pozostawał w zмовie z napastnikami. Wnioskując z precyzyjnego przeprowadzenia całej operacji i z bardzo skomplikowanego wyposażenia technicznego, jakim posługiwali się sprawcy, mamy podstawy do przypuszczenia, że napad był dziełem grupy nieprzyjacielskich komandosów lub cywilnych dywersantów w służbie przeciwnika. Najgroźniejsze jest jednak to, że sprawcy wywieźli z Bazy jedenaście głowic neutronowych o mocy od pół kilotony do trzystu kiloton.

Lüttner blednie i zrywa się z biurka.

- Co pan powiedział? Ile było tych głowic?

- Jedenaście, panie kanclerzu.

- Czy pan jest tego zupełnie pewien?

- Oczywiście, panie kanclerzu. Na miejscu znajduje się inspektor z Generalnego Inspektoratu Bundeswehry, zaufany i doświadczony oficer. Przed kwadransiem przekazał mi tę informację w oparciu o raport dowództwa dywizji i własne obserwacje.

- Czy pan wyklucza możliwość pomyłki lub nieporozumienia?

- W tych sprawach wyżsi oficerowie raczej się nie mylą.

Więc tak, myśli Lüttner. Mam w ręku bezsporny dowód, że Urząd Ochrony Konstytucji szykuje spisek. Korzystając z jakiegoś nie wytłumaczonego dotąd przypadku, postanowili sobie przywłaszczyć dziesięć głowic neutronowych. Bo wojsko na pewno mówi prawdę.

Nie. To jest jednak niemożliwe. Przecież nie wdaliby się w taką aferę, wiedząc doskonale, że najpierw zasięgnę opinii ministerstwa obrony. Coś się tutaj nie zgadza. Ale co? Co?

- Panie ministrze - mówi kanclerz głosem spokojnym i tylko odrobinę zbyt powolnym
- gdzie znajduje się Tajna Baza nr 6?

- Między Bambach i Upperdingen, o sześć kilometrów na południowy wschód od niewielkiej osady Escherpfarr, nie opodal granicy francuskiej.

- Proszę jeszcze dokładniej. Jakie jest najbliższe większe miasto?

Minister Grauder rozgląda się za mapą, ale kanclerz mu gwałtownie przerywa:

- Czy miasteczko Maierhof znajduje się niedaleko stamtąd?

- Około trzydziestu kilometrów na zachód od Escherpfarr. Bardzo niedaleko granicy francuskiej.

- To jest na zachód od Escherpfarr?

- Tak, dokładnie na zachód. Ale czemu pan pyta o Maierhof, panie kanclerzu?

- Mam swoje powody. Słucham dalej, panie ministrze.

- Nie mam już zbyt wiele do powiedzenia - ciągnie Grauder. - W całej tej niepojętej sprawie istnieje bardzo wiele niejasnych punktów, ale dopiero za jakiś czas, powiedzmy za kilka godzin, będę mógł panu złożyć szczegółowy raport.

- Na przykład? Jakie są te niejasne punkty?

- Trudno mi to referować na wrywki, panie kanclerzu. Mogę podać dwa pierwsze przykłady, jakie mi się nasuwają. Nie wiemy, dlaczego kapitan von Wiprecht, oficer dyżurny Bazy, wbrew najsurowszym zakazom, otworzył dobrowolnie drzwi od pomieszczenia kontrolnego, co przypłacił życiem. Był to oficer zdyscyplinowany i w pełni godny zaufania, potomek bardzo starego rodu rycerskiego. Nie wiemy również, dlaczego *alarm czerwony*, ogłoszony przez von Wiprechta, nie obudził dowódcy dywizji, generała Severinga, i nie został odnotowany w pamięci dywizyjnego komputera. No i na razie nie mamy pojęcia, dlaczego nasz naprawdę niezawodny system ochrony LCS przestał działać jak popsuta zabawka. Odbłyśnik kryptonowy jest nienaruszony, wytwornice działają bez zarzutu. Zdumiewające jest też, że napastnicy opanowali szyfr otwierający bramę wjazdową. Teoretycznie jest to jedna szansa na dwadzieścia trylionów.

- Mniejsza o to. Proszę mi powiedzieć, czy uprowadzone z Bazy głowice mogą wydzielać jakieś promieniowanie, groźne dla otoczenia?

- W zasadzie nie, panie kanclerzu, z tym, że według norm amerykańskich mniej więcej co setny egzemplarz może wykazywać pewne trudne do wcześniejszego ustalenia niesprawności konstrukcyjne. Materiały rozszczepialne są rzeczą piekielnie kapryśną i mało jeszcze znaną. Dlatego właśnie warunki składowania głowic podlegają tak surowym przepisom. Każde usunięcie głowicy ze stanowiska składowania niesie ze sobą pewne trudne

do skalkulowania ryzyko.

- Ile mamy łącznie głowic neutronowych?

Grauder przetyka ślinę i milczy przez dwie, najwyżej trzy sekundy, jak zawsze, kiedy przychodzi mu wypowiedzieć na głos najtajniejszą z tajnych informacji.

- Tysiąc czterysta osiemdziesiąt cztery sztuki - powiada ściszym głosem. - Łączna ich moc przekracza dwadzieścia megaton, z tym jednak, że głowic o największej mocy mamy zaledwie dziesięć. Te na szczęście są jeszcze pod kontrolą. Broń strategiczna pozostaje nadal w niemal wyłącznej dyspozycji Amerykanów. My dysponujemy głównie drobnicą taktyczną i częściowo operacyjną. To znaczy, przepraszam, zostało nam już tylko tysiąc czterysta siedemdziesiąt trzy sztuki.

- Jaka jest łączna moc skradzionych głowic?

- Około sześciuset kiloton.

- Jaka moc głowic jest potrzebna do zniszczenia średniej wielkości miasta?

- Panie kanclerzu, muszę tu przypomnieć jeszcze raz to, co mówiłem w kwietniu na tajnym posiedzeniu ścisłego gabinetu. Moc burząca głowic neutronowych jest bardzo mała. Cały nasz własny, niemiecki arsenał głowic taktycznych nie wystarczyłby nawet do zniszczenia Hamburga lub Frankfurtu. Natomiast zabójcze promieniowanie twarde jest w przypadku głowic neutronowych setki razy silniejsze niż przy poprzednich modelach broni A.

- Dobrze. Tyle wiem. Proszę mi więc powiedzieć, ile osób może ulec napromieniowaniu, jeżeli bomba o mocy jednej kilotony wybuchnie, powiedzmy, na ulicy Szpitalnej w Hamburgu?

- Oczywiście to zależy od pory dnia lub nocy, ale w każdym razie nie mniej niż jakieś dziesięć do piętnastu tysięcy, biorąc pod uwagę, że jest to najruchliwszy punkt miasta.

- Dziesięć do piętnastu tysięcy, powiada pan? Jaki procent ofiar śmiertelnych?

- No, w granicach trzech czwartych.

- Czy eksplozowanie głowicy neutronowej, ukrytej, powiedzmy, na dworcu kolejowym lub w porzuconym samochodzie, jest technicznie wykonalne?

- Bez żadnych trudności. Wystarczy niewielki ładunek wybuchowy, przylepiony do zewnętrznego pancerza głowicy.

Lüttner i Grauder patrzą sobie przez chwilę prosto w oczy, bez zbytecznych słów. Jedenaście skradzionych głowic może oznaczać śmierć kilkuset tysięcy ludzi, jeśli głowice zostałyby rozmieszczone w różnych miastach i eksplodowane równocześnie.

- Panie ministrze - mówi Lüttner - nie mamy czasu do stracenia. Zwalniam pana z posiedzenia rządu. Proszę natychmiast, bez zwłoki, zająć się nadzorowaniem śledztwa.

Zobowiązuję pana do zachowania całkowitej, bezwzględnej tajemnicy wobec jakichkolwiek osób postronnych, w tym także wobec Urzędu Ochrony Konstytucji. A propos, czy pan już z nimi rozmawiał?

- Nie, panie kanclerzu. Musiałbym mieć pańskie zezwolenie. Właśnie chciałem o nie prosić.

- Nie widzę takiej konieczności. Na razie niech pan prowadzi śledztwo we własnym zakresie. Proszę zaprzysiąc wszystkich oficerów, mających związek z tą sprawą. Proszę użyć wszelkich środków, jakie ma pan do dyspozycji, aby prasa nie powzięła na razie najmniejszego nawet podejrzenia o tym, co się stało. Musimy sami wiedzieć najpierw, co się za tym kryje. Mam nadzieję, że Główna Kwatera Paktu została już powiadomiona?

- Otóż właśnie, panie kanclerzu... Jest to sprawa rzeczywiście kompromitująca, ale muszę ją jednak przedstawić. Odpowiedni meldunek został przekazany, jednakże nie został przyjęty do wiadomości.

- Jak to możliwe?

- Oficer dyżurny Kwatery Głównej nie uwierzył po prostu w prawdziwość informacji.

- Szczerze mówiąc, nie bardzo mu się dziwię. Ale to znaczy, że Naczelny Dowódca Paktu nadal nic nie wie o tej całej aferze?

- Tak jest, panie kanclerzu. Chyba że Amerykanie mają własne źródła informacji. Ale raczej nie sądzę.

- To straszne, panie ministrze. Jak im to wytłumaczymy? Przecież nasz system LCS - tak się to u was nazywa? - miał być zupełnie niezawodny. No, dobrze. Zaczniemy teraz działać. Aha, jeszcze jedno: jakie jest pańskie zupełnie prywatne i nieoficjalne zdanie w tej sprawie? Kto i dlaczego dokonał napadu na Bazę i skradł głowice?

Grauder milczy przez chwilę, ponieważ podejrzewa, że od odpowiedzi na to pytanie zależą losy jego dalszej kariery politycznej, a nie jest to człowiek pozbawiony wyższych ambicji.

- Mówiąc najzupełniej prywatnie - powiada - i bez wystarczających dowodów na poparcie mojego przypuszczenia, skłaniałbym się do wniosku, że napad był dziełem agentów służb specjalnych strefy wschodniej. Nikt inny nie umiałby przechytrzyć systemu LCS. Nie sądzę, żeby mieli zamiar dokonać eksplozji tych głowic w miastach RFN. Chcą raczej zobaczyć, jak zareagujemy. Chcą rozpoznać nasz system alarmowy i mechanizm podejmowania decyzji. Chcą zdeorganizować porządek społeczny u nas, skompromitować system władzy, pokazać opinii europejskiej, że powierzanie nam taktycznej broni neutronowej było błędem.

- Czy pan wyklucza, że porwanie głowic mogło być dziełem terrorystów?

- Wykluczam to, panie kanclerzu. Unieruchomienie systemów ochronnych Bazy było tak skomplikowanym zadaniem technicznym, że żadna ze znanych grup terrorystycznych nie mogłaby go wykonać. Przewiezienie jedenastu głowic jest również zbyt skomplikowane pod względem transportowym, jak na możliwości którejkolwiek grupy terrorystycznej, zwłaszcza że największa z porwanych głowic, ta o mocy trzystu kiloton, ma ciężar ośmiuset kilogramów.

- Czy pan również wyklucza, że porwane głowice mogły być przewiezione do Francji?

- Do Francji? Nie, tego nie mogę wykluczyć. Ale szczerze mówiąc nie bardzo mogę to sobie wyobrazić. Jest w końcu służba celna, istnieje obowiązek przedstawiania dokumentów na większe ładunki... Nie wiem. Ale wykluczyć tego nie mogę. Czy miał pan może jakieś informacje z tego Maierhof? Bardzo by dla nas były przydatne w prowadzeniu śledztwa...

- Cóż, dziękuję, panie ministrze. Proszę jak najszybciej przedstawić mi raport. Nie. Zróbmy to inaczej. Proszę przedstawiać mi kolejne raporty w miarę postępów śledztwa. W jednym egzemplarzu, tylko przez oficera, bez żadnych cywilnych maszynistek, bez kopii. Ponadto proszę, żeby pan zgłosił się do mnie wieczorem, powiedzmy o dwudziestej pierwszej.

- Zrozumiałem, panie kanclerzu. Wykonam. Dowidzenia.

Ledwo zamykają się drzwi za Grauderem, kanclerz wzywa do siebie szefa gabinetu.

- Panie Merker, od tej chwili obowiązuje pana bezwzględna tajemnica co do wszystkich moich poczynań, spotkań i rozmów telefonicznych. Nasz kraj znalazł się w niebezpieczeństwie. Zabraniam panu rozmów z kimkolwiek - a włączam w to również mojego rzecznika prasowego, Urząd Ochrony Konstytucji i wszystkich członków rządu - na temat wszystkiego, co pan tu widzi i słyszy. Rozumiemy się? Dobrze. Proszę teraz przeprosić panią minister Schwellenberg i odwołać spotkanie bezterminowo. Proszę również przeprosić delegację młodzieżową z Moguncji i powiedzieć im, że osobiście przyjadę do nich, powiedzmy, w sierpniu. Czy tłumacze są w pogotowiu?

- Tak jest, panie kanclerzu.

- Czy są to ludzie bezwzględnie godni zaufania?

- Otrzymali najwyższe świadectwo lojalności, wystawione przez Urząd Ochrony Konstytucji. Z wyjątkiem tłumacza na francuski, który jest oficerem lotnictwa.

- Rozumiem. Proszę odprawić tłumaczy dostarczonych przez Urząd Ochrony Konstytucji i ściągnąć natychmiast biegłych tłumaczy wojskowych. Tłumacz francuski niech siada w kabinie. I proszę mnie niezwłocznie połączyć z Pałacem Elizejskim.

W trzydzieści sekund później z głośnika na biurku kanclerskim rozlega się cichy gwizd - znak, że demodulatory uniemożliwiające podsłuch zostały włączone - a potem niski, chropawy głos prezydenta Francji:

- Halo! Tu Payot. Słucham.

Z głośnika dobiega miękki, młodzieńczy głos tłumacza.

- Pierre? Tu Lüttner. Mój drogi, oszczędzę sobie wszelkich wyjaśnień i powitań. Mam nadzieję, że wysłuchasz mnie uważnie, bardzo uważnie. Nie mogę ci w tej chwili podać żadnych bliższych szczegółów, ale muszę cię uprzedzić, że nad Francją zawisło poważne niebezpieczeństwo.

- Niebezpieczeństwo? Jakiej natury, przyjacielu?

- Natury wojskowej.

- Nie rozumiem cię, Dagobercie. Francja nie należy do struktury wojskowej Paktu, a o polityce zagranicznej i wojskowej mojego kraju decyduję sam. I nic mi na razie nie wiadomo o żadnym niebezpieczeństwie.

- Istnieją różne rodzaje zagrożenia. Nie mogę ci nic więcej powiedzieć, dopóki nasi wspólni sojusznicy nie podejmą odpowiednich decyzji, ale w imię przyjaźni niemiecko-francuskiej muszę, zrozum: muszę uprzedzić cię zawczasu.

- Ale o czym, Dagobercie? Jeśli nie wiem, o co chodzi, jakże mogę podejmować jakiegokolwiek działania?

- Posłuchaj mnie, Pierre. Za kilka godzin będę mógł ci powiedzieć więcej. Ale na razie, w imię naszych wspólnych interesów, gorąco cię proszę, żebyś zarządził formalną blokadę granicy francusko-niemieckiej w południowym odcinku. Rozumiesz: najdokładniejsza kontrola wszystkich podróźnych, a zwłaszcza pedantyczna kontrola każdego ładunku na ciężarówkach, furgonetkach, barkach rzecznych i promach. Ściągnij wszystkie siły, jakie masz do dyspozycji. To naprawdę bardzo ważne.

- Mój drogi Dagobercie, to mi wygląda na powieść kryminalną, nie na politykę. Czy zechciałbyś mi łaskawie powiedzieć, czego mianowicie mają szukać moi celnicy?

- Powiedzmy, że wszystkich podejrzanych przedmiotów, a zwłaszcza sprzętu wojskowego.

- Dział? Karabinów? A może bomby atomowej?

- Coś w tym rodzaju.

- Ach, Dagobercie, dziękuję ci za to ostrzeżenie. Pragniesz mi pewno powiedzieć, że zginęła wam jakaś bomba lub coś w tym rodzaju. Czy zdajesz sobie sprawę, co napisze jutro moja prasa, jeżeli zamknę granicę wschodnią bez słowa wyjaśnienia?

- Trudno, Pierre. Rób, jak uważasz. Postaram się zadzwonić do ciebie, jak tylko będę mógł powiedzieć ci coś więcej. Do widzenia.

- Do widzenia, przyjacielu.

Lüttner ociera pot z czoła. Oczywiście, był to niepotrzebny i szkodliwy telefon. Payot rozpapie teraz tę sprawę po Paryżu, a głowice bez żadnych przeszkód zostaną przewiezione do Francji. W jakimż innym celu sprawcy porwania mogliby przewozić je w kierunku granicy? Trudno. Lüttner zrobił wszystko, co mógł zrobić w tej sytuacji.

Kanclerz wzywa szefa gabinetu.

- Czy jest mój adiutant wojskowy?

- Oczekuje od pół godziny.

- Wezwać.

Wysoki, przystojny, elegancki kapitan Kuno von Riesenthal melduje się na rozkaz.

- Panie kapitanie - mówi Lüttner, patrząc prosto w bystre, inteligentne oczy młodego oficera - czeka pana ciężkie, bardzo ciężkie zadanie. Jak brzmiał tekst przysięgi, którą pan składał przy opuszczeniu szkoły oficerskiej? Komu pan przysięgał wierność i posłuszeństwo?

Kuno von Riesenthal nie peszy się nawet na sekundę. Nauczono go w szkole oficerskiej nie tylko nienaganych manier. Nauczono również panowania nad sobą w każdej, ale to w każdej sytuacji.

- Przysięgałem na wierność Republice Federalnej, panie kanclerzu federalny - odpowiada jak na egzaminie. - Na wierność konstytucji i prawom narodu niemieckiego.

- To dobrze, Kuno, to bardzo dobrze. Właśnie nadszedł moment, aby pan tę przysięgę wypełnił. Nie mogę pana wtajemniczać w żadne szczegóły, ale jako kanclerz federalny mogę pana zapewnić, że nad naszym krajem zawisło poważnie niebezpieczeństwo. Pańskie zadanie jest następujące. W moim imieniu zażąda pan natychmiast dyspozycyjnego śmigłowca Generalnego Inspektoratu Bundeswehry, po czym, również powołując się na moje polecenie, zażąda pan wykazu wszystkich tajnych baz, w których składowane są głowice neutronowe.

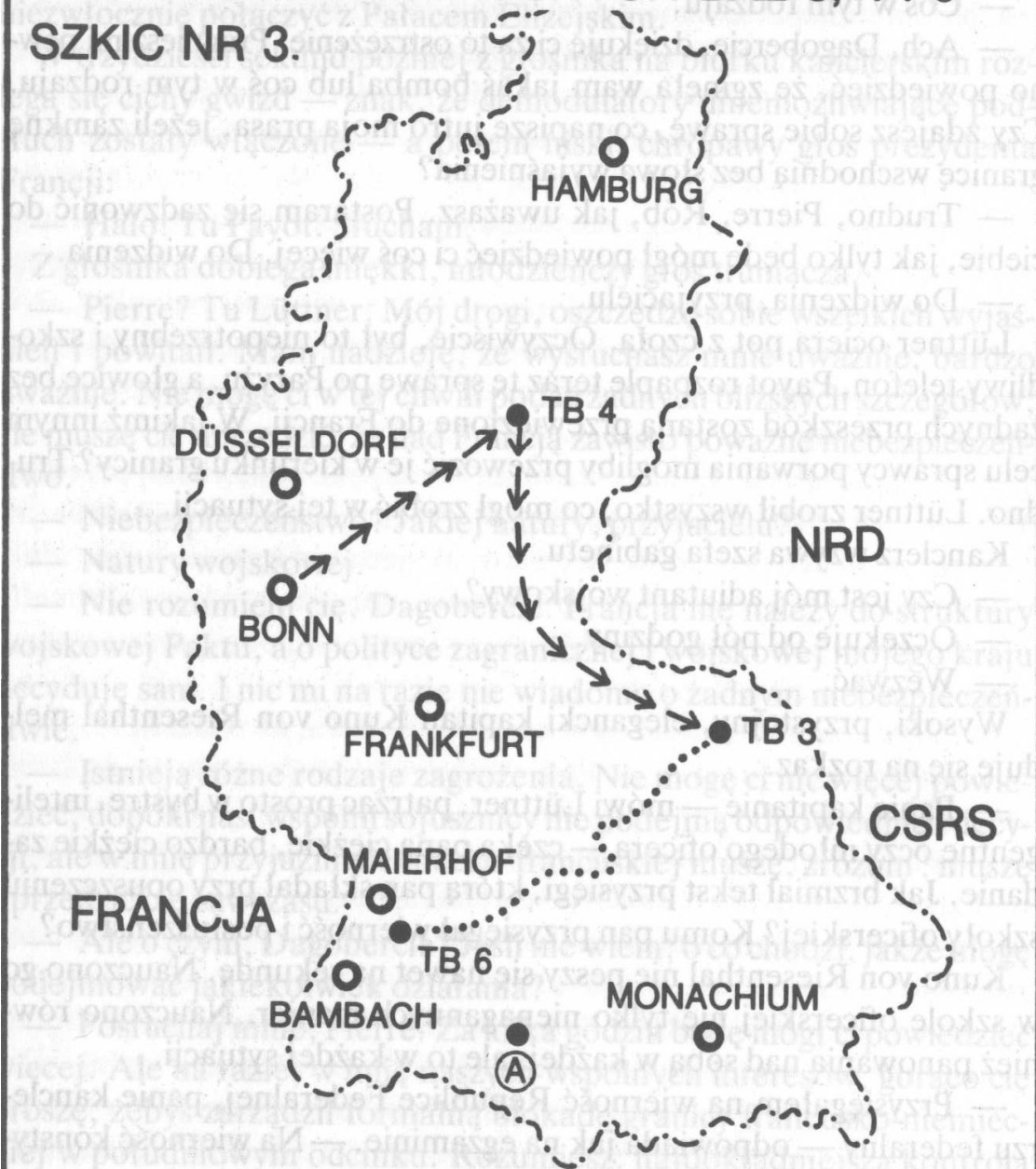
- Przepraszam, panie kanclerzu - przerywa von Riesenthal - ale nikt mi takiego wykazu nie udostępni. Jest to dokument najwyższej, szóstej klasy tajności, do którego dostęp ma tylko dziewięciu ludzi w Republice Federalnej. Moje uprawnienia dotyczą tylko czwartej klasy tajności.

- Nie szkodzi. Zażądam, aby minister Grauder wystawił panu odpowiedni dokument.

- Takiego dokumentu nie może wystawić nawet minister obrony bez zgody MAD.

REPUBLIKA FEDERALNA NIEMIEC,
DYSLOKACJA TAJNYCH BAZ 3, 4 i 6

SZKIC NR 3.



- → → TRASA LOTU INSPEKCYJNEGO
KAPITANA VON RIESENTHALA
- TRASA KONWOJU JEDNOSTEK SPECJALNYCH,
PRZEWOŻĄCEGO 10 PORWANYCH GŁOWIC
- Ⓐ MIEJSCE RZEKOMEGO UKRYCIA DRUGIEJ
Z PORWANYCH GŁOWIC
(MIEJSCE POSTOJU JEDNOSTKI SAPERSKIEJ W BAWARII)

- Jak pan zarządzi, panie kanclerzu federalny.

- Otóż mając w ręku wykaz tajnych baz i śmigłowiec do dyspozycji, wybierze pan - ale już po starcie - dowolną tajną bazę i rozkaże pan pilotowi, aby tam pana dostarczył. Po przylocie musi się pan dokładnie rozejrzeć w systemie zabezpieczenia, w rozkładzie służby wartowniczej, w ewidencji dokumentów, no, praktycznie we wszystkim. Czy to jest jasne?

- Panie kanclerzu federalny, mój stopień wojskowy jest zbyt niski, żebym mógł wywiązać się z takiego zadania. Komendantami baz są zazwyczaj oficerowie starsi, i to liniowi.

- Otrzyma pan specjalne, podpisane przeze mnie pełnomocnictwo.

- Rozumiem. Czy po powrocie mam złożyć raport?

- Tak. Wyczerpujący, dokładny raport. Proszę sobie wyobrazić, że jest pan na przykład terrorystą albo agentem tamtej strony i pragnie pan porwać głowicę neutronową. Proszę patrzeć na funkcjonowanie wybranej przez pana tajnej bazy nie pod kątem widzenia oficera Bundeswehry, lecz wroga naszego systemu, dywersanta, szpiega, terrorysty. Niech pan dokładnie patrzy, kapitanie. I niech mi pan wyraźnie napisze w raporcie, gdzie są słabe ogniwa.

- Zrozumiałem, panie kanclerzu federalny. Nie jest to prosta sprawa, ponieważ moja wiedza techniczna jest uboga, ale postaram się uczynić, co będę mógł. Czy mogę odejść?

- Tak. Proszę powiedzieć szefowi gabinetu, żeby do mnie natychmiast przyszedł wicekanclerz Födler.

Na dwie minuty Lüttner zostaje sam w gabinecie. Patrzy na kryształowe klosze pod sufitem i na palisandrowe regały biblioteki. Wygląda przez okno, zakratowane od lat przeciwko granatom lub pociskom terrorystów: - ach, co za cudowna, czerwcową pogodą! Potem bawi się orzechowym Ganeszem, który podarował mu kiedyś premier Indii.

To straszne, myśli kanclerz Lüttner. To naprawdę straszne. Jeżeli natychmiast nie podejmę jakichś radykalnych kroków, nieprzeliczona ilość ludzi może już dziś wieczorem rozpocząć okrutne umieranie. Przecież nie porywa się tylu głowic dla zabawy. Przecież jacyś ludzie - kimkolwiek byli - musieli mieć świadomość, że głowica neutronowa nie jest zwykłą bombą trotylową. Że kąsa jak wściekły pies, podstępnie, okrutnie, bez żadnej nadziei na ratunek. Kim byli ci ludzie, na Boga? Co chcieli osiągnąć i dokąd właściwie zmierzają?

Do kanclerskiego gabinetu wtacza się na swych krótkich nóżkach krągły, promieniający wicekanclerz i minister spraw zagranicznych, Hans-Viking Födler.

- Witam kochanego kanclerza - woła od progu. - Cóż to za nadzwyczajne wydarzenie skłania naszego kochanego kanclerza federalnego, żeby mnie przywołać na pięć minut przed

posiedzeniem rządu? Jakież to troski zasnuwają czoło naszego ulubionego przywódcy? Co mogę uczynić, aby pomóc interesom naszej drogiej Republiki Federalnej?

- Przestań błaznować, Födler - mówi ostro kanclerz. - Nie pora na żarty. Usiądź i wysłuchaj, co mam ci do powiedzenia.

Jak za dotknięciem różdżki czarownika Födler zmienia się z puciołowatego błazna w skupionego męża stanu. Tej umiejętności zawdzięcza swą karierę polityczną; tylko swym bystrym, zimnym oczom może przypisać zdumiewające zwycięstwa wyborcze.

- Jest to najgroźniejsza sprawa, o której kiedykolwiek ze sobą rozmawialiśmy, Födler - zaczyna kanclerz. - Mam nadzieję, że mnie nie posądzisz o histerię. Dziś rano grupa nieznanych sprawców porwała z Tajnej Bazy nr 6 jedenaście głowic neutronowych o łącznej mocy sześciuset kiloton. Tak przynajmniej twierdzi wojsko. Natomiast Urząd Ochrony Konstytucji jest zdania, że zginęła tylko jedna głowica o mocy pół kilotony. Tę jedną miniaturową, znaleziono w miasteczku Maierhof nad granicą francuską, wraz z ciężko rannym sierżantem Pauschke. Chyba wiesz, o kim mówię. To syn Arnima Pauschkego, z którym w ubiegłym roku toczyłeś krwawe boje propagandowe. Słuchaj dalej. Wszystko to zdarzyło się wczesnym rankiem, zdaje mi się, że około szóstej rano, a tymczasem do tej pory nie wie o tym fakcie ani naczelne dowództwo Paktu, ani nasi amerykańscy przyjaciele. Minęły ponad cztery godziny od napadu na Bazę. Pamiętasz, jak nas pouczano na tajnym szkoleniu Paktu, że czas, jaki mamy do dyspozycji w wypadku zagrożenia, nie przekracza osiemnastu minut? Co prawda mamy do czynienia tylko z porwaniem głowicy, a nie z napadem raketowo-jądrowym, ale czy to znów taka wielka różnica? No, mniejsza z tym. Istota sprawy polega na tym, że wiemy tylko o jednej z porwanych jedenastu głowic. Gdzie jest pozostałe dziesięć? Kto i co chce osiągnąć za pomocą tego szantażu? Czy możesz sobie wyobrazić, jak będzie wyglądał ten kraj za kilka godzin, jeśli prasa coś wywęszy?

- Pismakom zawsze można założyć, że tak powiem, malutki kaganiec - mruczy Födler.

- Nie w takiej sprawie, mój drogi. Musielibyśmy rozmawiać z prezesami koncernów wydawniczych i chyba z setką niezależnych redaktorów naczelnych. Na to jest po prostu za późno.

- Podejmę się tego.

- Nie wiesz, co mówisz. Ale mniejsza już o prasę. Może nic nie wywęszą. Czy masz jakiś pogląd na temat rozbieżności między tym, co twierdzi Urząd Ochrony Konstytucji, i raportem Graudera?

- On złożył formalny raport? Dziwne. Nie jest to zawodnik skłonny do gadulstwa. Drobiazg. Może być i tak, że Urząd wie jedno, a wojsko drugie.

- Jak zamierzasz przedstawić tę sprawę na forum zagranicznym?

- Ja? Nic nie zamierzam. Mówienie szkodzi. Pisanie szkodzi. Porwanie głowic neutronowych? Nie słyszeliśmy. Nie wiemy. Nie mamy pojęcia. Wszystko plotka, humbug, oszustwo, komunistyczna propaganda. Wyciągniemy konsekwencje wobec pism i osób, które świadomie lub mimowolnie służą obcym interesom.

- To jest dobre na dziś. A co powiemy jutro? Co powiesz, jeżeli dziś wieczorem ludzie zaczną umierać z powodu choroby popromiennej?

- Ależ nie ma sprawy, kanclerzu federalny. Składamy uroczyste oświadczenie rządowe, transmitowane przez wszystkie stacje radiowe i telewizyjne. Strefa wschodnia dokonała bezprzykładnego zamachu na Republikę Federalną. Masowy gniew ludu. Spontaniczne manifestacje na ulicach. Konieczna mobilizacja rezerw Bundeswehry dla zachowania porządku. Skarga w ONZ, natychmiastowe posiedzenie Rady Bezpieczeństwa. Mamy w ręku wszystkie karty do gry, żadne protesty z Berlina nikogo nie przekonają. W końcu, czy można dokonać atomowego zamachu na samego siebie? Krótko mówiąc: zachowujemy całkowite milczenie, dopóki to będzie możliwe lub dopóki nie ustalimy losu tych cholernych głowic. Jeśli oni nas uprzedzą - wszystko jedno, jacy „oni” - urządzamy przedstawienie na dwadzieścia cztery fajerki. Czyżbym źle mówił?

- Źle, Födler. Tym, którzy porwali głowice, może chodzić o taki właśnie rozwój wydarzeń. Dlaczego mielibyśmy ułatwiać ich plan? Poza tym nie jesteśmy sami. Amerykanie przeprowadzą śledztwo na własną rękę, sprawa nabierze takiego rozgłosu jak kiedyś Watergate. Przecież przechwalaliśmy się, że nasz system zabezpieczenia głowic jest niezawodny, i odmówiliśmy zakupienia ich systemu. Kongres powie, że nie zasługujemy na zaufanie, i zażąda, żeby nam odebrać głowice neutronowe. Ty nie wiesz, jaki potrafi być ten przeklęty Kongres.

- Ależ wiem, kanclerzu federalny. Wiem bardzo dobrze, ponieważ kowboje płacili kiedyś za moje studia, i tego jednego nauczyłem się bardzo dokładnie. Wystarczy uruchomić kilku doświadczonych i dobrze opłaconych lobbystów. Nie chcę się przechwalać, boś właśnie zganił nasze niewczesne samochwalstwo, ale miałbym takie możliwości. W Ameryce, mój kanclerzu, można kupić wszystko, a już szczególnie ludzi. To zależy tylko od ceny. Zapewniam cię, że moi ludzie przekonają siedmiu na dziesięciu kongresmenów i trzy czwarte senatorów, że Czerwoni znów coś uknuli i że my tutaj jesteśmy najlepszą gwarancją bezpieczeństwa wolnego świata. W takich wypadkach cały ten Kongres staje się miękki jak to ich solone masło. Chyba nie muszę ci przypominać Ameryki Łacińskiej. Więc jak, kanclerzu, czy mam porozmawiać ze swymi amerykańskimi znajomymi?

- Födler, nie mamy już czasu. Pomyśl lepiej, co powiesz na posiedzeniu gabinetu. A na razie proszę cię, żebyś całą tę sprawę zachował dla siebie.

- Czyżbym miał milczeć na posiedzeniu gabinetu?

- Nie. Postanowiłem opóźnić posiedzenie jeszcze o pół godziny. Chodzi mi właśnie o te trzydzieści minut.

- Co masz jeszcze do załatwienia, kanclerzu federalny?

- Muszę przedtem porozmawiać z Białym Domem.

VIII

Wicekanclerz Födler wytacza się na swych krótkich nóżkach z gabinetu kanclerskiego, posapując i pogwizdując przez zęby.

Lüttner po raz chyba pięćsetny stwierdza, że nie wie, co naprawdę myśleć o tej karykaturalnej, lecz strasznej figurze. Hans-Viking Födler sprawia chwilami wrażenie małego, powiatowego durnia, który tylko przez jakieś niedocieczone kombinacje partyjne dorwał się do tak kluczowej pozycji w rządzie federalnym. Lecz w innych sytuacjach przypomina diabła wcielonego, którego cynizm i przebiegłość nie mają granic. Stanowi przedmiot pośmiewiska korpusu dyplomatycznego w Bonn, gdyż jest wulgarny, śmieszny, niechlujny, pozbawiony choć jednej sympatycznej cechy, a w ogóle stanowi sobą wyzwanie dla potocznych wyobrażeń o sylwetce i manierach dyplomaty, choć kieruje polityką zagraniczną drugiego po Stanach Zjednoczonych mocarstwa Zachodu. Ale kiedy Födler przemawia na wiecu, występuje w Bundestagu lub prowadzi konferencję prasową - nie ma nikogo, kto by go nie słuchał z zapartym tchem.

Födler doskonale zdaje sobie sprawę ze swej komicznej postury, okropnego akcentu i fatalnego gustu, toteż przy wszelkich ceremonialnych okazjach wyłącza się swym pierwszym zastępcą, hrabią Konstantinem von Dolgohanyi, który cudownie nadaje się do reprezentacji, ale mówiąc szczerze jest niczym więcej niż dobrze ubraną kukłą. Kiedy jednak w najważniejszym kręgu elity władzy omawia się sprawy naprawdę zasadnicze - Födler jest niezbędny jak tlen w powietrzu. Jego przenikliwe spostrzeżenia i głębokie analizy budzą po prostu podziw.

Kanclerz Lüttner uświadamia sobie z rezygnacją, że nawet w takiej groźnej chwili nie potrafi powiedzieć nic pewnego o swym zastępcy. Rozmowa z Födlerem znów była

właściwie niepotrzebna; jego propozycje były w najoczywistszy sposób pozorne, bo trudno przypuścić, aby polityk tej miary zamierzał całą tę aferę przemilczeć lub utopić w naiwnych zaprzeczeniach, jak małe dziecko przyłapanie na kłamstwie.

Dagobert Lüttner nie zna prawdziwych poglądów Födlera na żaden właściwie temat. Ten człowiek potrafi kpić ze wszystkiego, nie ma żadnych stałych zasad, nie pozwala się zacytować przeciwnikom, nie ma stałych przyjaciół. Trudno nawet ocenić, czy rzeczywiście okaże lojalność wobec kanclerza w momencie kryzysu. A nuż Födler trzyma skrycie z ludźmi Pfeiffera i uczestniczy w jakiejś mętnej rozgrywce? Może wiedział o porwaniu głowic od pierwszej chwili i swoim zwyczajem nie zdradził się z tym? Może to wszystko, co powiedział, stanowi po prostu część starannie ukartowanego planu? Jeśli porwania głowic naprawdę dokonała tamta strona, wielki kryzys międzynarodowy jest sprawą godzin. Födler na pewno zdaje sobie z tego sprawę. Czemu przypisać jego kamienny spokój i momentalnie przedstawioną koncepcję całkowitej defensywy?

Lüttner przeżywa chwilę bezgranicznej, przygniatającej do ziemi samotności. Nikomu, naprawdę nikomu, nie można ufać, kiedy wszystkie te sztuczki techniczne wymykają się spod kontroli. Kanclerz postanawia jednak, że nie okaże się słabszy od żadnego z partnerów tej nieludzkiej gry.

Hans-Viking Födler jest rzeczywiście człowiekiem pozbawionym zasad w potocznym rozumieniu tego słowa. Z jednakową pogardą odnosi się do komunizmu, zachodniej demokracji, chadeckiej pisaniny, gadania socjaldemokratów, mrzonek liberalizmu, a także do dość jednak idiotycznych haseł skrajnego nacjonalizmu. Nie wierzy w żadne ideologie i doktryny, ponieważ nie zauważył, żeby je gdziekolwiek naprawdę wcielono w życie. Födler sądzi, że świat toczy się z dnia na dzień po nieznanym drogach, a ludźmi kierują stale te same motywy. Nie można uniknąć wojen, rywalizacji, nierówności i podstępów, ponieważ tkwią one w samej naturze człowieka, a wszelkie próby zmiany tego stanu rzeczy kończą się zawsze jednakowo żałośnie. Nie można z ludzi wykorzystać ani instynktu agresji, ani dążenia do dominacji nad innymi; trudno oczekiwać, żeby jakiegokolwiek państwo było od tych cech wolne. Cała historia, zdaniem Födlera, a także życiorys każdego człowieka z osobna, składa się tylko z dwóch form walki: z ataku i obrony. Czasem najwyżej zdarza się chwila przerwy.

Dlatego Hans-Viking Födler jest przez całe swe życie wierny jednej tylko zasadzie: wiedzieć, pamiętać i milczeć. I oczywiście czynić z tego maksymalny użytek. Niekoniecznie tylko dla siebie; Födler lubi wypić kufel piwa w bawarskiej knajpie, powalać się wieczorem po hamburskim Reeperbahnie, popatrzeć w październikowy poranek na przełom Renu w Czarnym Lesie. Odczuwa coś w rodzaju więzi ze swymi rodakami i nie zamierza się jej

wypierać. Nigdy jednak nie dopuszcza, aby ta sentymentalna mgiełka przesłoniła mu trzeźwą aż do cynizmu ocenę prawdziwych problemów, z jakimi się codziennie styka. Födler nie żywi żadnej nienawiści do innych narodów. Gardzi wszystkimi jednakowo i ocenia je tylko na podstawie statystyk oraz raportów wywiadu. Mieszkańców Republiki Federalnej nie wyłącza.

Wiedzieć, pamiętać, milczeć.

Födler istotnie wie dużo więcej niż jakikolwiek inny polityk w RFN. Już z początków swej kariery politycznej, w małym powiatowym miasteczku Niederbrücken, Födler zaczął budować swą własną sieć informacyjną, aby się uniezależnić od kanałów własnej partii, a potem rządu krajowego i w końcu rządu federalnego. Wyświadczał małe przysługi tym, którzy mu dostarczali plotek, zwierzanych szeptem skandali i poufnych wiadomości. Gromadził wycinki i oficjalne życiorysy, które cierpliwie opatrywał przez lata coraz nowymi komentarzami. Wymyślonym przez siebie szyfrem wpisywał do akt personalnych różnych osób każdy drobiazg, który mógł się przydać. Nie istnieją politycy pozbawieni słabostek ani tacy, którzy mówią wyłącznie prawdę. Nie ma takich, którzy nie mają nic do ukrycia.

Pamięć Födlera - słynna, straszna, fotograficzna pamięć - jest jego najpotężniejszą bronią. Ten człowiek wie wszystko o wszystkich, a jeśli nawet w tym powszechnym mniemaniu jest sporo przesady, to jednak jest rzeczą stwierdzoną, że lęk przed Födlerem odczuwają właściwie wszyscy, których opinia zalicza do ścisłego kręgu elity władzy. Tyle tylko, że Födler milczy i nigdy nie zdarzyło się, aby wyszła od niego jakaś nieprzyjemna plotka, jeśli nie jest mu to potrzebne.

Dlatego punkt widzenia Födlera na czołowych polityków Republiki Federalnej jest zupełnie inny niż punkt widzenia prasy, Bundestagu lub opinii publicznej.

Födler na przykład nie ma żadnych złudzeń co do osoby kanclerza Lüttnera. Ten wymuskany paniczek, pozujący na prawicowego socjaldemokratę, ma za sobą zbyt burzliwą przeszłość, aby mógł się okazać mężem stanu, jakiego naprawdę potrzebuje Republika. Jako młody student brał udział w różnych radykalnych zgromadzeniach, a gdyby był nieco młodszy, na pewno uczestniczyłby w awanturach, organizowanych przez Dutschkego w Berlinie Zachodnim. Miał przyjaciół wśród notorycznych komunistów; pewna dziewczyna, z którą sypiał, kręciła się przez jakiś czas w środowisku terrorystów. Potem, w szkole oficerów rezerwy, Lüttner stemperował trochę swe radykalne zapatrywania, a po odbyciu służby wojskowej reprezentował w swej partii tak zwane umiarkowane centrum. Ale to ostatecznie drobiazg. Wielu ludzi w tym kraju ma pogmatwane życiorysy i nie ma nad czym wydziwiać. Każdy chce zrobić karierę. Gorzej, że Lüttner wyznaje serio różne poglądy ideologiczne.

Uważa, że wojna byłaby nieszczęściem dla narodu i że należy jej zapobiegać nawet za cenę kompromisów. Pewno, że byłaby nieszczęściem jak każda wojna. Ale kompromisy mają to do siebie, że wojnę raczej przyspieszają, niż jej zapobiegają. Poza tym Lüttner wierzy, zdaje się, w celowość tych swoich programów socjalno-reformatorskich. W sprawiedliwy podział dochodów, pomoc państwa dla upośledzonych ekonomicznie i w różne takie trele-morele, do czego Födler odnosi się ze zniecierpliwieniem. Na pogardę Födlera w ogóle łatwo sobie zasłużyć, a już takie dziecinne bajeczki dyskwalifikują polityka w oczach Födlera na zawsze.

Wicekanclerz nie lubi również najpotężniejszego człowieka w Republice Federalnej, to znaczy szefa Urzędu Konstytucji, doktora Ottona Pfeiffera. Jest to wprawdzie człowiek niegłupi, pozbawiony naiwnych złudzeń i nieskłony do łzawych sentymentów, a przy tym doskonały organizator, ale za długo już kieruje swym urzędem. Stał się szpiegiem z usposobienia, a powinien być politykiem. Jak to się często przydarza zawodowcom z wywiadu, zbyt już przesiąkł regułami gry w swej tajnej branży, aby się zdobyć na niezależność myślenia. Prowadzi grę dla gry, patrzy na świat jak na wielką arenę zmagających wywiadowczych i nie widzi w nim nic poza tym.

Co do ministra obrony, Graudera, opinia Födlera jest krótka i treściwa: dureń. Podstarzały sybaryta o ptasim mózdzku, ze skłonnościami do kabotyńskich deklamacji. Pod względem umysłowym zero. Rządzi już swym ministerstwem czwarty rok i nie ma dotąd pojęcia o istnieniu Tajnej Organizacji. Födler wie oczywiście o jej istnieniu - trudno nie wiedzieć, skoro ćwierkają o tym wszystkie wróble w Bad Godesberg - a nawet sprzyja jej poczynaniom, oczywiście do pewnych granic. Dawka militarne fanatyzmu, trzaskania obcasami i komend, wyrzaskiwanych gardłowym głosem, doskonale robi każdemu systemowi. Ponurzy pułkownicy w charakterze jedynych stróżów patriotyzmu są wręcz niezbędni, przynajmniej jako lekarstwo na zniewieściałość mas. Ale Födler trzyma się z daleka od Tajnej Organizacji. To niepoprawne żołdactwo budzi lekceważenie wicekanclerza swą jałową, tępawą gadaniną o zranionej niemieckiej ojczyźnie i potrzebie odwetu. A zwłaszcza zamiarem przywrócenia jedności Niemiec. Kto jak kto, ale Födler wie najlepiej, że jest to kolejna dziecinna mrzonka, nikomu do niczego niepotrzebna.

Pozostałym kolegom z gabinetu Födler poświęca tylko tyle uwagi, ile jej wymagają ich nowe romansy, małe szwindle podatkowe i ustronne wille w Garmisch-Partenkirchen lub Kitzbühel, budowane przez pokątnych przedsiębiorców z poufnych funduszy na fikcyjne zlecenia. Mniej więcej to samo odnosi się do generalnych dyrektorów największych koncernów przemysłowych i rekinów życia bankowego Republiki Federalnej. Śmieszne, doprawdy, jak ci ludzie są do siebie podobni. Nie potrafią przeżyć jednego sezonu bez

nowego mercedesa i nowego kociaka. A ich szlachetne w rysunku łby zawierają głównie sieczkę, jeżeli chodzi o myślenie na tematy *Realpolitik*.

Owszem: jest ktoś, kogo Födler byłby skłonny uznać za partnera i o kim nie ma właściwie nic złego do powiedzenia, pomijając oczywiście różne śmieszne drobnostki w rodzaju pewnej skłonności do młodych, pięknych chłopców. Jest to pułkownik Theodor Roderich-Teutsch, były szef kontrwywiadu wojskowego, a obecny ambasador Republiki Federalnej w Pekinie. Łebski człowiek. Na pewno zdolny do tego, aby wyrwać się z tych nędznych biurokratycznych opłotków w Bonn i pomyśleć w trochę szerszej skali. Jeżeli Födler zostanie kiedyś kanclerzem - a nigdzie nie jest powiedziane, że nim nie może zostać, to jest w końcu tylko kwestia odpowiednich przygotowań i nieco zwiększonego wysiłku - pułkownik Roderich-Teutsch może liczyć, że zostanie w rządzie Födlera wicekanclerzem i ministrem spraw zagranicznych. No dobrze: z tymi skłonnościami nie miałyby szans na objęcie tak eksponowanego stanowiska. Ale z powodzeniem mógłby objąć kierownictwo Urzędu Ochrony Konstytucji.

Hans-Viking Födler od dawna interesuje się Chinami. Był tam pięć razy z oficjalną wizytą, trzy razy prywatnie i dwa razy zupełnie incognito. Początkowo Chińczycy denerwowali go swoją powolnością, antytalentem do języków obcych i monotonnym recytowaniem frazesów na wstępie do każdej rozmowy. Ale potem zaczęli go naprawdę interesować. Do nich trzeba mieć po prostu trochę cierpliwości. Födler nie wierzy wprawdzie w żadne tam mrzonki w sprawie zjednoczenia Niemiec, musi jednak przyznać, że jedyne sensowne rozmowy na ten temat udało mu się przeprowadzić w Pekinie. Lubił gimnastykę umysłową, odświeżenie skojarzeń, ten rodzaj nowości intelektualnej, który chroni przed zurzędnieniem i nadmiarem doraźności. Polityk, który nie dba o własną wyobraźnię jest skończony, zanim jeszcze zaczął działać.

Ambasador chiński w Bonn, Li Xien-zhen, jest jednym z niewielu ludzi, których kanclerz przyjmuje u siebie w domu. Chińczyk jest równie niski jak Födler, ópa wszystko, co mu się poda, nie przejmuje się konwenansami przy stole i nie gardzi tak zwanym wzmacniaczem, czyli kuflem mocnego piwa, do którego dolewa się pięćdziesiątkę kminkówki. Ilekroć Li Xien-zhen przychodzi z wizytą, Födler daje wolny wieczór swej gospodyni, pani Martens, ponieważ jest to dama o zbyt wygórowanych poglądach na życie towarzyskie wicekanclerza.

Li Xien-zhen przyprowadza czasem ze sobą swego attaché wojskowego, pana Wai Ku-cin, o którego stopień wojskowy nigdy nie można się było dopytać. Ni to brygadier, ni generał. Ale to nie ma znów tak wielkiego znaczenia. Ludy Wschodu, przy całym swym

zamiłowaniu do hierarchii, potrafiły jednak stworzyć coś ważniejszego niż biurokratyczne rangi: nieformalne kompetencje ludzi, którzy otrzymali upoważnienie, aby dyskutować o polityce. Wtedy rozmowy z obu Chińczykami są najciekawsze i nierzadko przeciągają się do rana.

Hans-Viking Födler nabył ostatnio pewnego nawyku: jeśli pojawia się w polityce federalnej jakikolwiek nowy problem, wicekanclerz podświadomie przymierza go do czegoś, co na własny użytek nazwał *chińską miarką*. Jego znajomi Chińczycy mają czasami piekielnie bystre pomysły, a bywa, że nie szczędzą i nader zajmujących informacji. Nie oczekują, że wicekanclerz będzie w zamian za to zdradzał im tajemnice państwowe Republiki Federalnej. Wystarcza im w zupełności, że się nawzajem z Födlerem rozumieją.

Födlerowi przemyka przez myśl, że może warto by było wezwać z Pekinu pułkownika, to znaczy ambasadora, Roderich-Teutscha. We dwóch prędzej by się uporali z tą śmierdzącą kaszą, która zaczyna się gotować w naszej kochanej Republice Federalnej.

Rosjanie porwali jedenaście głowic neutronowych. Oczywiście, że to byli Rosjanie, bo kto inny mógł dysponować dostatecznie sprawną techniką, aby złamać system LCS?

Ciekawe, co by też na to powiedzieli Chińczycy?

Wiedzieć, pamiętać, milczeć.

W oczekiwaniu na posiedzenie gabinetu wicekanclerz Hans-Viking Födler zagłębia się w lekturę tygodnika ilustrowanego *Dabei* z zeszłego tygodnia, dotychczas nie miał jeszcze czasu, aby go przeczytać.

IX

Relację o tym, co zdarzyło się w Waszyngtonie rankiem 12 czerwca, należy poprzedzić prologiem.

O godzinie 4.10 nad ranem czasu wschodnioamerykańskiego - była to godzina 9.10 czasu środkowoeuropejskiego - w sali operacyjnej Centralnej Agencji Wywiadowczej w Langley koło Waszyngtonu zaterkotał znieacka radiodalekopis linii europejskiej. Zaspany i ziewający pracownik sekcji szyfrów potwierdził gotowość odbioru. Włączył deszyfrator. Okazało się wtedy, że z maszyny spływa tekst składający się znów z pięciocyfrowych grup szyfrowych. Pracownik niechętnie sięgnął po książkę kodów, aby w niej sprawdzić uwidoczniiony w nagłówku depeszy numer klucza - i dopiero wtedy raptownie otrzeźwiał ze

snu. Rezydentura CIA w Monachium użyła specjalnego, podwójnego kodu jednorazowego użytku, zastrzeżonego do spraw najwyższej wagi. Trzeba było obudzić i ściągnąć do sali operacyjnej oficera dyżurnego Agencji, który przechowywał w swym sejfie drugą połowę kodu.

O godzinie 4.40 depesza została odszyfrowana i brzmiała tak:

palmer II do centrali

natychmiast - najwyższa pilność - tylko dla dyrektora - ściśle tajne monachium 12 06
godz 09 00 gmt nasz agent w urzędzie ochrony konstytucji informuje, że o godz 08 30 gmt policja niemiecka znalazła w miasteczku maierhof (mapa 1055 słup f pas 6 sekcja 21) samochód ciężarowy z francuskimi znakami rejestracyjnymi tpf7 3808654 porzucony tego samego dnia stop wewnątrz samochodu znajduje się zdaniem policji głowica neutronowa o mocy 0,5 kt numery seryjne zatarte pochodzenie głowicy nieznane istnieje podejrzenie o zamach ze strony nrd lub akcję terrorystyczną stop proponuję odebrać głowicę z rąk policji przy pomocy najbliższej jednostki us army w bambach stop głowica nadal znajduje się w ciężarówce na wewnętrznym dziedzińcu komendy policji w maierhof lütowstrasse 12 stop śledztwo prowadzi nadkomisarz pieler, poufny współpracownik urzędu ochrony konstytucji stop jedynym świadkiem odnalezienia głowicy był friedrich wilhelm knauppe właściciel zakładu pogrzebowego oststrasse 10 stop konieczny pośpiech policja czeka na wojskowego eksperta stop pfeiffer już zawiadomiony stop czekam na instrukcje palmer dwa koniec.

Oficer dyżurny, zanim jeszcze odszyfrował depeszę do końca, nacisnął przycisk bezpośredniego połączenia z domem dyrektora Agencji, kontradmirała Prescottta, i odczytał mu dwa pierwsze zdania depeszy z Monachium.

Prescott polecił natychmiast odpowiedzieć Palmerowi II, aby był w pogotowiu, czekał na instrukcje i na bieżąco informował o rozwoju wydarzeń. Palmer II otrzymał też wolną rękę co do działań wobec świadka Knauppe, pod warunkiem, że działania te nie spowodują zadrażnień w stosunkach z władzami niemieckimi.

Admirał Prescott po przyjeździe do biura raz jeszcze przeczytał depeszę Palmera II i uznał, że sytuacja uzasadnia ogłoszenie *alarmu żółtego* oraz obudzenie prezydenta. W ten sposób o godzinie 5.05 czasu wschodnioamerykańskiego, to znaczy w tej samej chwili, kiedy doktor Pfeiffer zaczynał referować kanclerzowi Lüttnerowi sprawę znaleziska w Maierhof, wydarzyły się w Waszyngtonie trzy rzeczy równocześnie.

Po pierwsze, wyrwany z łóżka szef Połączonych Sztabów, generał John Tumbleson,

ogłosił *alarm żółty* we wszystkich amerykańskich siłach zbrojnych na całym świecie, dodatkowo zaś w siłach powietrznych zarządził *alarm zielony*.

Po drugie, adiutant wojskowy prezydenta, komandor podporucznik Benjamin Moore, który zgodnie z przepisem ustawy kongresowej siedział w fotelu przed sypialnią prezydenta („nie dalej niż 30 stóp od osoby prezydenta”), usłyszał brzęczenie w swej słynnej czarnej walizeczce. Była ona przytroczona do jego pasa głównego i lewego przegubu ręki za pomocą łańcuszka ze stopowej stali, powleczonej tytanem i wzmocnionej przy karabińczykach wkładkami z węglików wolframu. Adiutant wojskowy prezydenta jest zobowiązany nawet z narażeniem własnego życia nie odstępować prezydenta w żadnej sytuacji i nie rozstawać się z czarną walizeczką, co zresztą byłoby i tak niemożliwe, ponieważ klucze do zamków, umożliwiających rozłączenie przegubu ręki z okuciami walizki, przynosi ze sobą dopiero następny adiutant, obejmujący kolejną służbę. Kiedy komandor Moore otworzył pokrywę walizeczki, dostrzegł migoczące, jasnożółte światło. Oznaczało ono, że w siłach zbrojnych ogłoszony został *alarm żółty*. Instrukcja nakazywała adiutantowi w tej sytuacji „zachowanie wzmożonej czujności“ i przełączenie przekaźników systemu kodowego z pozycji neutralnej na pozycję wyczekiwania.

Po trzecie wreszcie, przy łóżku prezydenta Stanów Zjednoczonych, Howarda Geoffreya Harrisona, rozległ się delikatny, wibrujący ton. Prezydent miał zwyczaj pracować późno w noc i nie znosił zbyt wczesnego budzenia; jeśli ktoś naruszał jego zwyczaje, sprawa musiała być naprawdę ważna. I tak istotnie było. Po wysłuchaniu przez telefon krótkiego raportu kontradmirała Prescotta, prezydent Harrison zarządził, aby Narodowa Rada Bezpieczeństwa zebrała się o godzinie 6.30 w Sali Owalnej Białego Domu. Jednocześnie polecił, aby admirał Prescott porozumiał się ze swymi współpracownikami i przygotował *position paper*, czyli wstępny dokument roboczy, na godzinę 6.10.

Harrison był człowiekiem opanowanym, trochę nawet flegmatycznym, czym często irytował swych współpracowników. Wychodził z założenia, że pośpiech jest złym doradcą, i wolał raczej punktualność niż improwizację.

Nie przywiązywał zresztą zbyt wielkiej wagi do znalezionej nad Renem główicy. Odkąd Stany Zjednoczone przekazały swym sojusznikom taktyczną i operacyjną broń neutronową, był to już trzeci kolejny wypadek zawieruszenia się główicy bojowej. Dwa poprzednie - jeden we Włoszech, drugi w jednostce lotniczej USAF⁴ stacjonowanej na Grenlandii - udało się szczęśliwie ukryć przed prasą i wścibstwem kongresmenów, poza tym oba wypadki zostały wyjaśnione w ciągu kilku godzin. Tak na pewno będzie i tym razem. Ale

⁴ USAF - wojska lotnicze Stanów Zjednoczonych.

Howard Harrison zbyt dobrze wiedział, że wszystko, co dotyczy broni jądrowej, musi mieć bezwzględne pierwszeństwo przed każdą inną sprawą. W tej dziedzinie ostrożności nigdy nie jest za wiele.

Goląc się w łazience Harrison pomyślał przez chwilę nie bez zniechęcenia, że trzeba będzie porozmawiać przy najbliższej okazji bardzo serio z kanclerzem Lüttnerem. Bardzo to dobrze świadczy o sprężystości amerykańskiego wywiadu, że w ciągu godziny Biały Dom dowiaduje się o jakiejś podejrzanym historii z głowicą, ale taka wiadomość powinna jednak pochodzić bezpośrednio od Lüttnera. Przecież nie mogą o tym nie wiedzieć. Harrison opowiadał się wprawdzie podczas kampanii wyborczej za oddaniem broni neutronowej do dyspozycji sojuszników, jednak w głębi serca nigdy nie wyzbył się wątpliwości na ten temat.

Do łazienki zajrzała rozespana pani Harrison - słynna, piękna, mądra, podziwiana Lucy Harrison - i zapytała męża, czemu się tak wcześnie zerwał. Prezydent zbył ją zdawkowym wyjaśnieniem, że z różnych powodów posiedzenie Narodowej Rady Bezpieczeństwa odbędzie się tego dnia o godzinę wcześniej niż zwykle. Pani Harrison ziewnęła i spytała, czy coś się stało.

- Nie - odpowiedział prezydent. - Nic się nie stało.

Pani Harrison przypomniała wobec tego mężowi, że o jedenastej ma on przyjąć delegację Cór Rewolucji Amerykańskiej, tych strasznych, krwiożerczych wiedźm, które znów grożą bojkotem i innymi okropnościami, jeśli prezydent nie okaże „męskiej twardości” wobec czerwonych. Pani Harrison prosiła, aby mąż zachował zupełny spokój i nie wdawał się w żadne polemiki z tymi babsztyłami, ponieważ byłoby to zupełnie bezcelowe.

Prezydent Harrison obiecał rozpatrzyć tę propozycję.

X

Piątek, 12 czerwca, godzina 10.30 czasu środkowoeuropejskiego. Samochodem Volkswagen Blitz, skradzionym z przedmiejskiego parkingu w Maierhof, jadą w stronę granicy francuskiej, a ściśle w kierunku granicznego miasteczka Werdenberg, dwaj członkowie *Grupy M*: Chally i Pichon.

- Rozumiem - mówi Chally, zerkając w lusterko wsteczne - że nie chciałeś mówić prawdy przy wszystkich. Ale ze mną możesz być szczery. W końcu, naprawdę tylko my dwaj... no, wiesz, o czym mówię. Powiedz mi, Pichon, jak naprawdę wygląda sprawa z tym

promieniowaniem? Czy rzeczywiście mogliśmy się tym zarazić... no, wiesz, dostać dawkę promieniowania?

- Ty znów o tym? - powiada Pichon, nie ukrywając ironii. - Stary, śmierć jest biologicznie nieuchronna dla każdego egzemplarza każdego gatunku zoologicznego. Co ci w gruncie rzeczy za różnica, czy umrzesz wcześniej czy później? Co ty chcesz jeszcze przeżyć, czego doświadczyć, co zobaczyć? Opanuj się, Chally. Zabijanie i umieranie to są dwie strony tego samego zjawiska. Albo ty zabijesz, albo ciebie zabijają. Życie jest niczym więcej, jak umieraniem rozłożonym na raty. A jeżeli już chodzi o tę głowicę, to powiem ci całą prawdę. Nie wiem. Po prostu nie wiem. Zupełnie mnie to nie interesowało. Jedyna rzecz, która mnie przez te trzy miesiące interesowała, to była gra. Wygram - czy przegram? Złamię ten cholerny system czy będę się musiał poddać? Nie lubię takich gadek, mój drogi, ale skoro już się domagasz wyjaśnień, mogę ci powiedzieć, że taka gra jest jedyną rzeczą godną człowieka. I mężczyzny. Czy ty kiedy czytałeś Maxa Stirnera?

Pichon łapie króciutkie, pogardliwe spojrzenie Chally'ego i to wystarcza, aby nagle zmienił ton.

- O co ci chodzi? - mówi zaczepnie Pichon - o statystyczne prawdopodobieństwo? Proszę bardzo, mogę ci udzielić wyczerpujących odpowiedzi, chociaż próbowałem już wyjaśnić tę sprawę całej *Grupie*. Chally, może ty byś się wreszcie nauczył słuchać, a nie tylko wydawać rozkazy? Punkt pierwszy: istnieje teoretyczne prawdopodobieństwo, że nasza głowica wydzielała szkodliwe dla zdrowia czy życia promieniowanie. Wynosi ono, według mojej oceny, około jednej tysięcznej. Prawda, ty przecież zupełnie nie znasz rachunku prawdopodobieństwa. Dobrze. Spróbuję ci to wytłumaczyć inaczej. Gdybyśmy wywieźli tysiąc głowic, jest rzeczą zupełnie pewną, że jedna wśród nich musiałaby wydzielać niebezpieczne promieniowanie. Tak wynika z amerykańskich norm. Punkt drugi: istnieje bardzo nikłe prawdopodobieństwo, że również zupełnie prawidłowo skonstruowane głowice mogą wydzielać takie promieniowanie po usunięciu ich z legalnego, że tak powiem, stanowiska składowania. Jest to szansa statystyczna znacznie wyższego rzędu. Ale to także już wyjaśniłem. Czego ty jeszcze chcesz? Punkt trzeci: najważniejsze jest to, że zawładnęliśmy tą głowicą, a nie to, że ją porzuciliśmy. Sam fakt, że udało się nam złamać system LCS, napędzi takiego stracha Bundeswehrze, że... Poza tym chcę ci przypomnieć, że dobry ogrodnik więcej wrywa i przycina, niż sadi i sieje. Moją filozofią jest niszczenie i tylko dlatego do was przystałem, nie wpytując o szczegóły. Osobiście czuję się w pełni zadowolony z naszej akcji. Dowiodłem, że potrafię. Na drugi raz zrobię to szybciej i dokładniej.

- Czekaj no - przerywa Chally. - Wydaliśmy dwadzieścia tysięcy marek z funduszu rewolucyjnego, a właściwie nawet trzydzieści tysięcy, i coś z tego powinno wynikać dla Centrali.

- Chally - śmieje się Pichon - czy może zechciałbyś łaskawie wyjaśnić w końcu, co to za Centrala, o której stale bąkasz pod nosem? Czego ci ludzie chcą? Ja nie mam nic przeciwko temu, żeby zrobić parę paskudnych figli burżuazyjnemu systemowi w tym kraju, ale przestań ty w końcu udawać egipskiego kapłana. Powiedz wreszcie, kto i dlaczego finansuje nasze operacje, kiedy potrzebujemy forsy, i kto zabiera wszystkie nasze miliony, zdobyte w akcjach ekspropriacyjnych. Jak wiesz, moje osobiste potrzeby są niewielkie i mogłoby mnie to wszystko mniej obchodzić. Ale chciałbym raz nareszcie wiedzieć, komu i dlaczego służę.

- Nie sądzę, Pichon, żebyś się tego kiedykolwiek dowiedział - odpowiada cierpko Chally. - Tacy, co pytają za wiele, giną u nas w tak zwany tajemniczy sposób.

- Chyba że przywożą nie wiadomo skąd pewien nadajnik - odrzuca Pichon. - Czyli przedmiot, którego nie można kupić.

- Nie masz większych zmartwień?

- Ano nie mam. Powiem ci otwarcie, co o tym myślę. Nie wierzę, żebyś to pudełeczko kupił ot, tak sobie, od jakiegoś chciwego na forszę chłopaczka. Musisz mieć bardzo zagadkowe koneksje, Chally.

- A jeżeli je mam?

- Drobiazg. Mnie to nie przeszkadza. Ale myślę, że Ryba z chęcią wysłucha moich domysłów. Czy to pierwszy raz prowokator policyjny dostał się do ruchu rewolucyjnego?

Chally milczy przez moment, dodaje gazu, potem zwalnia.

- Coś ty powiedział, doktoruku? Nazwałeś mnie prowokatorem policji?

- Nie. Myślę na głos. Próbuję znaleźć wyjaśnienie.

- Dobrze, Pichon. Chcę ci powiedzieć coś bardzo ważnego. Nie usłyszysz ode mnie ani słowa wyjaśnienia na temat tego nadajnika. Są sprawy ważniejsze niż dobre samopoczucie doktora Pichona.

- To mi w zupełności wystarcza. To ja ciebie, drogi przyjacielu, postawię przed sąd rewolucyjny. Wykonawcą wyroków, jak wiesz, jest u nas Ryba. Nasz drogi, serdeczny przyjaciel Ryba. Niech cię broni przed nim ta twoja Centrala.

- Głupi jesteś, Pichon. Boże, jaki głupi. Ryba najpierw załatwi ciebie, doktoruku, ponieważ żywi nieprzezwyciężalną wrogość do takich mądrali jak ty.

- Dla mnie osobiście rodzaj śmierci nie ma żadnego znaczenia. Mogę zginąć od

napromieniowania, mogę zginać od strzału, który wymierzy mi w plecy nasz przyjaciel Ryba. Czy ci jednak nie przyszło do głowy, drogi przyjacielu, że razem ze mną skończy się ta twoja *Grupa M*, a właściwie jej żalosne szczątki?

Chally zapala papierosa, choć w zasadzie nie pali, gdyż palenie tytoniu uważa, jak to kiedyś powiedział, za jedną z burżuazyjnych metod ogłupiania ludu.

- Ty, Pichon - mówi - jesteś łobuzem i kanalią.

- Jestem, Chally. Nie da się ukryć. Ale czy możesz mi powiedzieć, co z tego wynika?

- Owszem. Zdam sprawę z tej rozmowy w Centrali.

- Chally, jesteś śmieszny. Nie ma żadnej Centrali. Przecież sam o tym wiesz najlepiej.

- Wobec tego nadajnik dla ciebie kupiłem na pchlim targu?

- Nie, kochany. Dostałeś go w prezencie od wojska albo policji, żeby nam zamydlić oczy.

- Pichon, licz się ze słowami, ty wredny kurduplu!

- A niby dlaczego? Czy może nie mówię prawdy? Co mi możesz zrobić? Zastrzelisz mnie? Jesteś podwójnie śmieszny. Strzelaj, proszę. No, wyciągnij tę swoją spluwę.

- Głupi kretyn.

- To najłatwiej powiedzieć, Chally. Dopóki mi nie opowiesz choćby jakiegokolwiek bajeczki na temat tego nadajnika, możesz nie liczyć na moje dalsze wyjaśnienia. Nie powiem ci, dlaczego nie domagałem się z dostateczną stanowczością, abyście zabrali płaszcz ołowiany z Bazy. Nie powiem ci, co naprawdę myślę o szansie napromieniowania nas przez głowicę, choć, jak wiesz, jestem doktorem chemii i wiem na ten temat sto razy więcej od ciebie. No, szybko, rusz głową, wymyśl jakąś bajkę, idioto!

- Z tobą trzeba zrobić porządek - syczy Chally. - Przewróciło ci się w głowie od tych dyplomów, doktoratów i mądrości.

Nagle Chally przerywa w pół słowa, hamuje, zjeżdża na pobocze.

- Gliniarze - szeptem. - Pewno znów obława na terrorystów.

Istotnie. W dalekiej perspektywie widać długi rząd samochodów, lewe pasmo zostało przegrodzone prowizoryczną zaporą. W złotym słońcu czerwcowego poranka migają mundury policji, a także - tak, na pewno - zielonkawe mundury GSG⁵.

- No to ja znikam - rzuca Chally. - Bądź łaskaw pojawić się w Werdenberg nie później niż o pół do pierwszej. Zjemy razem obiad w restauracji *Pod Złotym Dzwonem*. Słyszysz? *Pod Złotym Dzwonem*. Jakies trzysta metrów od rynku. Znajdziesz, mam nadzieję.

I już go nie ma. Ten człowiek ma dar znikania dosłownie pod ziemią, choć po prawej

⁵ GSG - specjalne jednostki antyterrorystyczne w RFN.

stromie drogi jest tylko jakiś sad, otoczony kolczastym płotem, i dwa lub trzy domy chłopskie, zanurzone w bujnej zieleni dzikiego wina.

Pichon zastanawia się przez chwilę, co zrobić z nadajnikiem. Rozgląda się po skradzionym wozie, spostrzega w nim czyjeś rękawiczki, wełniany pled, książki, ogrodniczy sekator, a także podrózną apteczkę. Tak. Apteczka będzie bardzo przydatna. Pichon wyciąga z niej długą wstęgę bandaża, odkręca wlew zbiornika z paliwem (na szczęście nie jest zamknięty na kluczyk), zanurza bandaż w benzynie.

Mijające Pichona samochody dają znaki światłami, trąbią, hamują. Kolejka do kontroli wydłuża się co sekundę. Kierowca skradzionego samochodu zachowuje zupełny, stuprocentowy spokój. Owija nadajnik zmoczonym w benzynie bandażem - to najlepsza metoda, aby zmylić psy policyjne - i niespiesznie idzie w kierunku przydrożnego sadu. Dźwignią do śrub felgi wygrzebuje za płotem niewielki dołek. Wkłada do dołka nadajnik owinięty w bandaże. Na poboczu drogi wbija klucz do świec; kiedy trzeba będzie odzyskać nadajnik - któż wie, kiedy może się przydać ponownie - poszukiwania nie będą trwały zbyt długo.

Po czym dr Pichon-Laleaux nakłada na twarz swą cudowną, niezawodną maskę. W takim tempie i przy użyciu takich metod GSG może sobie poszukiwać terrorystów jeszcze przez najbliższe sto lat.

XI

Piątek, 12 czerwca. Oficer kontrwywiadu 14 Hanowerskiej Dywizji Zmechanizowanej, kapitan Horst Scheeler, składa drugi w ciągu dzisiejszego dnia raport swemu dowódcy. Generał-porucznik Kurt Severing ma wprawdzie urwanie głowy z inspekcją, musi podpisywać protokoły, udzielać wyjaśnień i podejmować decyzje równie trudne, jak na wojnie, ale kapitan Scheeler tak stanowczo domagał się przyjęcia, że generał uległ.

- Daję panu pięć minut, kapitanie - mówi Severing. - Czy ustalił pan coś naprawdę nowego i ważnego?

- Tak jest, panie generale. Czy zna pan w naszej dywizji niejakiego majora Krassnera?

- Nie.

- Czy jest pan pewien?

- Jestem pewien. Mogę zapomnieć nazwisko jakiegoś młodego podporucznika, ale wszystkich majorów znam na pewno.

- Czy za pańskiej pamięci był ktokolwiek w dywizji o tym nazwisku?

- W każdym razie nie było żadnego oficera starszego o takim nazwisku. A czemu pan o to pyta?

- Ponieważ dzisiejsze wypadki w Tajnej Bazie budzą coraz więcej wątpliwości. Zostało ustalone, że nieżyjący kapitan von Wiprecht niemal do ostatniej chwili swego życia postępował zgodnie z instrukcją. Nie wiemy nadal, dlaczego otworzył napastnikom drzwi do pomieszczenia kontrolnego, ale to zostanie też wyjaśnione. Istotniejsze jest to, że von Wiprecht o godzinie 6.10 ogłosił *alarm czerwony*...

- Jak to? Ogłosił *alarm czerwony* i ja nic o tym nie wiem? Przecież jedna końcówki linii alarmowej znajduje się tu, na moim biurku, a druga przy moim łóżku!

- Urządzenie zostało albo uszkodzone podczas napadu, choć na razie nic na to nie wskazuje, albo też celowo rozłączone w mufie rozdzielczej w sztabie dywizji. Ta druga możliwość wydaje mi się w tej chwili znacznie bardziej prawdopodobna. Powiem za chwilę, dlaczego tak sądzę. Na półtorej minuty przed śmiercią - ściśle o godzinie 6.18 - von Wiprecht otrzymał potwierdzenie *alarmu czerwonego* od oficera dyżurnego dywizji i pewne wstępne instrukcje. Problem polega na tym, że depeszę podpisał nie istniejący major Krassner. Jest więc rzeczą jasną, że sprawcy napadu na Bazę mieli współników lub współnika w sztabie dywizji.

- To chyba niemożliwe, kapitanie. Kto pełnił służbę oficera dyżurnego dywizji?

- Kapitan Heinrich Wiebold.

- Co ma do powiedzenia na ten temat?

- Nic, panie generale. Kapitan Wiebold znikł bez śladu przed godziną. Zostawił w koszarach mundur i pewną część rzeczy osobistych. Znaleźliśmy również książeczkę oficerską, z czego można wnioskować, że posługuje się sfalszowanym dowodem osobistym, a najpewniej i paszportem zagranicznym. Jego zniknięcie nie może być kwestią przypadku, ponieważ znał wydany przez pana rozkaz zabraniający oficerom wydalania się ze stałego miejsca służby.

Generał Severing przeciera czoło.

- No to chyba nie ma wątpliwości, że Wiebold pracował dla nieprzyjaciela?

- Ja też tak sądzę, panie generale.

- Niepojęte. Nie do wiary.

- Zostało też ustalone, że około godziny ósmej Wiebold wezwał z parku dywizyjnego

cztery wozy bojowe, przystosowane do przewozu głowic. Wozy te polecono kierowcom dostarczyć pod sztab dywizji, po czym łaźnik odwiózł kierowców z powrotem do koszar. Kapitan von Goralsky stwierdził, że wozy prowadzone przez nie znanych nam jeszcze kierowców, przejechały około czternastu kilometrów i nie później niż o godzinie 8.50 zostały ponownie podstawione pod sztab dywizji, tyle że w nieco innych miejscach, co łatwo było stwierdzić po śladach.

- To znaczy, że do wywiezienia głowic z Bazy użyto naszego własnego sprzętu?

- Na to wygląda, panie generale.

- Wygląda przede wszystkim na to, że nieprzyjaciel buszuje sobie po tajnych bazach, jak gdyby to była jego prywatna własność. Co się do diabła dzieje w tym kraju? Skąd mogę wiedzieć, czy pan także dla nich nie pracuje? Jaką pan ma pewność, że ja nie jestem ich agentem?

Na podręcznym pulpicie dyspeczerskim migocze zielone światelko. Bezpośrednia linia z Generalnego Inspektoratu, omijająca adiutanturę i nie podłączona do magnetofonu.

- Severing, słucham - mówi generał, polecając Scheelerowi pozostać na swoim miejscu.

Rozmowa trwa nie więcej niż półtorej minuty. W miarę jej trwania Severingowi tężeje twarz.

- No, to koniec - rzuca słuchawkę. - Wie pan co, Scheeler? Właściwie pozostało nam już tylko jedno: zrobić użytek z naszych pistoletów. Moja kariera jest skończona, ale i pana nie pochwalę, że nie odkrył pan w porę obcego agenta w sztabie dywizji. Czy pan sobie może wyobrazić, czego się dowiedziałem? Po pierwsze, jedną z tych przeklętych głowic już znaleziono, nawet niedaleko stąd, w Maierhof. To jest ta najmniejsza, pół kilotony. Odnaleźli ją ci szpicle z Urzędu Ochrony Konstytucji, którym nie wierzę... no, mniejsza z tym. Po drugie, całą tę sprawę wywąchał już jakiś młody dziennikarz. Co prawda, jak twierdzą ci z Urzędu, wzięto za pysk naczelnego redaktora i wiadomość się nie ukaże, ale ten cholerny gówniarz gdzieś znikł i kto wie, czy w tej chwili nie drukują się dodatki nadzwyczajne innych gazet. Przecież on taką sensację sprzeda na pniu każdemu. Za dwie godziny będziemy mieli taki pasztet, jakiego pan jeszcze nie widział w swoim krótkim życiu, Scheeler.

Zapada chwila milczenia.

- Dobrze - podnosi się Severing. - Proszę iść i robić swoje. Niech pan wpadnie do mnie ponownie wczesnym popołudniem. Proszę mi też dostarczyć akta personalne byłego kapitana Wiebolda.

W tym momencie zaczyna cichutko terkotać dalekopis, ustawiony w rogu gabinetu

dowódcy. Severing podchodzi i zaczyna czytać:

bonn 12 06

zarządzenie personalne nr 653/83/IV-S

w związku z karygodnym niedopełnieniem obowiązków służbowych, zawieszam niniejszym dowódcę 14 hanowerskiej dywizji zmechanizowanej, generała-porucznika kurta severinga w czynnościach dowódcy dywizji i pozbawiam go wszystkich uprawnień służbowych ze skutkiem natychmiastowym stop dochodzenie karne w toku stop gen severing pozostaje w areszcie domowym aż do otrzymania następnych instrukcji stop dowództwo dywizji obejmuje tymczasowo zastępcą do spraw liniowych major stahm stop przekazać kody i instrukcje stop minister obrony grauder z upoważnienia szef gabinetu günther schlaffler pułkownik

ciąg dalszy nastąpi

ciąg dalszy nastąpi

uwaga nadaję dalej

bonn 12 06

zarządzenie personalne nr 654/83/IV-P

do pełniącego obowiązki dowódcy 14 dywizji zmechanizowanej majora Stahma i mianuję pana podpułkownikiem ze starszeństwem liczonym od dnia dzisiejszego

2 odwołuję pułkownika ruhmbain-wiesera ze stanowiska szefa sztabu dywizji i przenoszę go do dyspozycji generalnego inspektoratu

3 stanowisko szefa sztabu dywizji obejmuje z dniem dzisiejszym major kirsch

4 w uznaniu szczególnych zasług położonych w dotychczasowym przebiegu śledztwa awansuję kapitana horsta scheelera do stopnia majora i zarządzam jego niezwłoczne przeniesienie do wydziału zadań specjalnych generalnego inspektoratu major scheeler zamelduje się w siedzibie inspektoratu w bonn pokój 3404 dziś najpóźniej o godz 14 00

5 z uwagi na poważne zaniedbanie obowiązków służbowych w zakresie ochrony sztabu kapitan von goralsky otrzymuje pięć dni aresztu domowego, którego rozpoczęcie winno natychmiast nastąpić

z upoważnienia ministra obrony szef gabinetu günther schlaffler pułkownik

koniec

Severing pedantycznie oddziera taśmę z rolki dalekopisu, mruży oczy i daje Scheelerowi do przeczytania oba zarządzenia. Potem wyciąga dłoń do zdumionego oficera kontrwywiadu.

- Gratuluję awansu, majorze - mówi spokojnym, miarowym głosem. - Szczerze mówiąc, nie bardzo rozumiem, co się za tym wszystkim kryje. Ale w szkole oficerskiej nauczono mnie nie zadawać zbędnych pytań.

- Bardzo mi przykro, panie generale - bąka Scheeler. - Jeżeli rzeczywiście dojdzie do rozprawy sądowej, będę za panem świadczą.

- Zawsze wydawałeś mi się porządnym i rozumnym chłopakiem, Scheeler, choć mogłeś sobie wybrać trochę bardziej męski rodzaj służby wojskowej. Chyba że ty też, tak samo jak Wiebold, pracujesz dla tamtych. No, przecież żartuję.

Zapada znów chwila dręczącej ciszy.

- Wiem, że się spieszysz - mówi Severing. - Ale coś jeszcze muszę ci powiedzieć. Bardzo dawno temu, jako młodziutki chłopak, zostałem ciężko ranny w bitwie pancernej pod Kurskiem. Piętnaście godzin leżałem nieprzytomny pod rozbitym czołgiem. Potem dostałem się do niewoli, gdzie spędziłem sześć lat. Zapewniam cię, młody przyjacielu, że to nie były łatwe lata. Miałem czas pomyśleć. I posłuchać, co mówią moi koledzy. Powiedziałem sobie wtedy, że jeżeli kiedyś znów zostanę żołnierzem - a zostałem nim, ponieważ nic innego nie umiem robić - będę musiał dać się trochę we znaki wielbicielom naszego Adolfa. Oni niczego nie zrozumieli wtedy i niczego nie chcą się nauczyć do dziś. Widocznie przeholowałem w swoim zamiarze. Oni są mocniejsi, niż sądziłem. Nie wiem zresztą. Gdzieś, kiedyś popełniłem jakiś błąd. Jest już za późno, żeby go naprawiać. Chyba nie sądzisz, że pozwolę się ciągać po sądach. No, dobrze, Scheeler. Idź już, pakuj się, rezerwuj sobie miejsce w samolocie. Nie masz zbyt wiele czasu. Twoi nowi przełożeni na pewno mają dla ciebie jakieś ważne zadania.

Scheeler zwiera obcasy, pochyla głowę przed człowiekiem, który jeszcze pięć minut temu był dowódcą dywizji i zasłużonym żołnierzem, ścisną jego dłoń, po czym zbiega po dwa stopnie ze schodów. Znajduje się właśnie przy posterunku wartowniczym, kiedy z otwartego okna na pierwszym piętrze, z gabinetu generała-porucznika Severinga, rozlega się strzał.

Major Scheeler dostatecznie dobrze zna swe rzemiosło, aby wiedzieć, że był to strzał z pistoletu Parabellum, kaliber 9 mm. Człowiek, który kieruje lufę tego pistoletu w stronę własnej głowy, nie ma żadnych szans na przeżycie.

XII

Piątek, 12 czerwca, godzina 10.40 czasu środkowoeuropejskiego. Łucja Verramonte idzie po poboczu drogi nr 417, wiodącej z miasteczka Maierhof na zachód, w kierunku granicy francuskiej. Idzie bosy, jak każe młodzieżowy obyczaj, na ramieniu ma płócienną torbę, w rękę niesie koszyczek z indyjskiej rafii.

Na drugim kilometrze za Maierhof hamuje nagle mijający ją samochód Porsche Gloria - ultraszybki, wspaniały do ostateczności, godny prawdziwego mężczyzny. Hamowanie jest prawidłowe: kłęby kurzu, pisk opon, ostry odrzut. Z okna wychyla się mężczyzna o młodej twarzy i mocno szpakowatej czuprynie.

- Dokąd tak idziesz samotnie, piękna panienko? Czy mogę cię podwieźć?

- Idę do cioci Franciszki, daleko stąd. Ale nie mam zwyczaju zawierać znajomości z obcymi mężczyznami, szczególnie, gdy jeżdżą samochodami typu Porsche Gloria. Ciocia mnie przed tym przestrzegala.

- Grzeczna jesteś, dziewczynko. Tym bardziej chcę ci pomóc.

- Dobry człowieku, niech wam policzą w niebie ten dobry uczynek.

- Jesteś cudzoziemką?

- Tak. Z Paflagonii.

- Niech żyje przyjaźń niemiecko-paflagońska! Siadaj szybko koło mnie i nie marudź więcej, bo zgrzeszysz.

- Chce mi się pić.

- Mam termos z kawą.

- Koc masz też?

- Nigdy nie rozstaję się z przedmiotami pierwszej potrzeby.

Łucja siada koło kierowcy i obrzuca go krótkim, uważnym spojrzeniem. Kierowca dodaje gazu, aż wóz miota się, wyjąc, po nierównej drodze nr 417.

- Dobry człowieku - powiada Łucja - mam na imię Weronika, a ty będziesz się nazywał Bernard. Jesteś nudny, brzydki i głupi, ale dobry jak pies świętego Bernarda, co się dziś rzadko zdarza.

- Mylisz się, Weroniko. Strasznie się mylisz. Jestem piękny i zły, ale bardzo interesujący. Sama nawet nie wiesz, jaki potrafię być interesujący.

- Każdy tak mówi, Bernardzie. A potem na dziewczyny przychodzą tylko rozczarowania.

Bernard bierze zakręt tak, jak to się rzadko zdarza rajdowym kierowcom.

- Nie boisz się, Weroniko?

- Boję się. Jesteś nie tylko głupi, ale również nieodpowiedzialny. Czy naprawdę sądzisz, że samochód typu Porsche Gloria czyni mężczyznę mężczyzną? Każdy potrafi rzucać dziewczynami na zakręcie. Żadna sztuka.

- Jesteś nieznośna, Weroniko.

- To prawda. I trudno ze mną wytrzymać. Wszyscy moi kochankowie powtarzali mi to od rana do nocy. Tylko w nocy zmieniali zdanie.

- Ilu ich było?

- Mnóstwo. Nie liczyłam. Dobrze ponad setkę.

- Usiłujesz zrobić ze mnie idiotę.

- Oczywiście. Na nic innego nie zasługujesz. Mogłabym się oddać twojemu samochodowi, ponieważ miałby więcej ludzkich cech niż ty, biedny playboyu. Czy musisz farbować tę swoją czuprynę na kolor numer 103?

- Dziękuję za wyrafinowany komplement. Muszę cię zmartwić, Weroniko, ale najbliższy las jest stąd odległy aż o trzy kilometry. To jeszcze potrwa około dwóch minut.

- Może jakoś wytrzymam. Chyba że przyspieszysz. Ciągniesz na razie sto siedemdziesiąt kilometrów na godzinę, co uwłacza mojej kobiecej godności. Niczego poniżej dwustu nie przyjmuję.

- Przepraszam cię, Weroniko. To bardzo słaby samochód.

- Nie kłam, Bernardzie. Jego silnik ma pięć litrów pojemności. Znane mi dziewczyny dostają orgazmu na samą myśl o pięciu litrach. Dlaczego nie miałbyś się okazać mężczyzną i dołożyć jeszcze trochę gazu? Tu są bardzo piękne, zupełnie śmiertelne zakręty. Paru chłopców rozstało się tutaj z głupim życiem. Nie tchórz, Bernardzie.

- Znasz tę drogę?

- Niemądre pytanie. Co drugi dzień ją przemierzam ze swymi kochankami. Ale oni lepiej prowadzą niż ty. Dwieście dwadzieścia nie schodzi im z licznika.

- Gdzieś ty była przez całe moje życie, Weroniko? Nie spotkałem jeszcze takiej dziewczyny jak ty.

- O, to już lepiej, Bernardzie. Dużo lepiej. Powinieneś jeszcze powiedzieć coś o moich oczach. I koniecznie o moich palcach, które porównywano dotychczas do klawiatury fortepianu. Masz jakiś lepszy pomysł?

- Owszem. Jesteś wredną suką, która gra w kiepskiej sztuce napisanej przez grafomanów.

- Bernardzie, jeszcze minutę i zakocham się w tobie bez pamięci. Zaczynasz mówić jak człowiek. Czy nie mógłbyś dla mnie spalić tego samochodu? Mam w torbie zapalki.

- Nie, kochanie. Kupiłem go trzy dni temu. Nie mam takiego zamiaru. Jest to cudo, nie samochód.

- Oświadczam ci, że mężczyzna z takim samochodem jest gównem, zerem oraz nicością.

- Jak również mydłkiem, który dobiera sobie fatalne towarzystwo.

- Istotnie. No i co?

- Ano nic. Dojeżdżamy do lasu.

Bernard skręca tak gwałtownie, że Łucja spada na niego jak pocisk. Mijają tablicę z napisem WŁASNOŚĆ PRYWATNA WSTĘP SUROWO WZBRONIONY, pędzą po wyboistym leśnym dukcie, skręcają w następną przesiekę, wóz dudni po wykrotach, rzuca na boki, w końcu Bernard wyłącza zapłon.

- Do roboty, piękna panienko - powiada, zrzucając z ramion zamszową kurtkę. - Nie ma czasu do stracenia.

- Ja też tak myślę, piękny panie - odpowiada Łucja i zdejmuje z siebie dzinsową bluzkę, pod którą nie ma stanika. - Czas jest najgorszym wrogiem miłości.

- Chciałaś chyba powiedzieć, że jest jej najlepszym przyjacielem. Skoro mówimy, że nie ma czasu do stracenia...

Bernard sięga do pełnych, smagłych piersi Łucji.

- Okropność! - krzyczy Łucja. - Cham! Zwierzę! Mały podrywacz! Czy cię nigdy nie nauczono, Bernardzie, że dżentelmen nie uprzedza naturalnego biegu wydarzeń? Bardzo cię proszę, podaj mi kawę, ponieważ jestem spragniona, a następnie oddal się stąd na dwie lub trzy minuty, abym mogła się przygotować psychicznie na ucztę miłości, która nas czeka.

Bernard podaje Łucji termos z kawą, zrzuca z siebie spodnie i leniwym krokiem oddala się w las.

Łucja wydobywa z torby niewielką porcję mieszaniny Pichona, kruszy ją starannie i wysypuje do termosu. Następnie sprawdza, czy kluczyk tkwi w stacyjce samochodu, wygładza rozłożony przez Bernarda koc, przeczesuje włosy i zdejmuje spodnie.

Bernard wraca.

- Więc przygotowałaś się psychicznie na przyjęcie twego pana - konstatuje ze spokojem. - Bardzo jesteś posłuszna, dziewczynko. Oczekuję nadzwyczajnych ewenementów, Weroniko. Przeczuwam skrawek prawdziwego nieba w tym, co się za chwilę zdarzy.

- Zapewne masz rację. Bernardzie. Ale proszę cię, wypij najpierw kawę. Szczęście

lubi cierpliwość.

Bernard sączy kawę, spoglądając na kształtne biodra Łucji, odziane tylko w barwne, sportowe slipki.

- Można by z tobą poszaleć - powiada - ale jesteś za mądra, piękna panienko. Twój język przypomina żądło żmii. Pan Bóg dał ci ciało anioła i duszę diablicy...

Bernard klęka nagle na kocu, chwieje się, zatacza.

- Dziwne - mówi szeptem. - Co się ze mną dzieje? Opadła mnie senność... jestem słaby... Weroniko, co to jest? O, jak mi dobrze...

Przewraca się na koc i zasypia pięknym, głębokim snem.

Łucja czeka przez dwie minuty, jak ją nauczył Pichon, patrzy na siwą czuprynę Bernarda, na jego połyskujące slipy z filuternym ptaszkiem, na znużone czoło. Rozsypuje starannie heroinę na kocu, strząsa biały proszek na twarz Bernarda, a resztę po okolicznych zaroślach. Psy policyjne oszaleją, kiedy wywąchają narkotyk w tylu miejscach równocześnie. Łucja uśmiecha się w milczeniu.

Potem wstaje, podbiega do samochodu Bernarda i odjeżdża z lasu w kierunku granicznego miasta Werdenberg.

XIII

Między godziną 10.05 i 10.48 czasu środkowoeuropejskiego ludzie Palmera II - a są to ludzie szybcy w działaniu, pozbawieni skrupułów i nie mający zwyczaju dyskutować nad poleceniami rezydentury w Monachium - wykonali trzy następujące operacje.

Po pierwsze, przed zakład pogrzebowy pana Knauppego przy ulicy Wschodniej pod numerem dziesiątym zajeżdża błękitny Opel Express, z którego wysiadło dwóch leniwie poruszających się młodzieńców o twarzach tak idealnie banalnych, że nie można by było sporządzić ich dokładnego rysopisu. Dołączył do nich trzeci, o identycznej twarzy, który od pewnego czasu przechadzał się po ulicy Wschodniej i z głębokim zainteresowaniem wpatrywał się w witrynę sklepu filatelistycznego.

Żując gumę i szeroko rozstawiając nogi - mikropistolety maszynowe trochę jednak przeszkadzają przy chodzeniu - trzech młodzi ludzie wkroczyli do zakładu pana Knauppe i odbyli z nim bardzo krótką rozmowę, która trwała najwyżej piętnaście sekund. Pan Knauppe został następnie bez żadnych wyjaśnień wystawiony zaa biurka, doprowadzony do drzwi, a

ponieważ opierał się trochę i próbował krzyczeć, otrzymał celny cios kantem dłoni między piąte i szóste żebro. Wystarczyło, aby na chwilę stracił oddech. Umieszczenie go we wnętrzu Opla trwało nie więcej niż trzy sekundy. Młodzi ludzie nie przestali żuć gumy przez cały czas jazdy. Raz tylko parsknęli śmiechem, kiedy pan Knauppe próbował im wyjaśnić, że żaden okup ze strony jego rodziny nie wchodzi w rachubę, ponieważ interes kiepsko ostatnio prosperuje; cały majątek przedsiębiorstwa składa się obecnie z dwunastu trumien i jednego, niezbyt zresztą sprawnego karawanu samochodowego.

Po drugie, do nadkomisarza Pielera z komendy w Maierhof - osobiście nadzorował on śledztwo i miał już w nim spore osiągnięcia, po których wiele się spodziewał - zgłosił się niejaki Stumpf, pół-Niemiec, pół-Amerykanin. Nie zwracając uwagi na protesty sekretarki, Stumpf kazał komisarzowi zamknąć podwójne, obite materacem drzwi.

Była to, mówiąc szczerze, mętna i podejrzana figura. Stumpf zajmował się handlem bronią, szmugłem alkoholu i werbował najemników, ale policja otrzymała w swoim czasie surowy zakaz wtrącania się do jego interesów.

- Porozmawiamy teraz szczerze, panie nadkomisarzu - powiedział Stumpf bez żadnych wstępów. - Pobiera pan dwie pensje: jedną z komendy policji, drugą po cichutku z Urzędu Ochrony Konstytucji, w formie comiesięcznej gratyfikacji bez pokwitowania. Jest to sprzeczne z prawem, ponieważ jako urzędnik policji może pan współpracować z Urzędem Ochrony Konstytucji tylko służbowo i bez wynagrodzenia. Ujawnienie tego faktu przysporzy panu kolosalnych zmartwień z urzędem skarbowym i raczej nie pomoże w dalszej karierze.

Jest pan małym, chciwym groszorem, panie nadkomisarzu. To fatalne, jak na człowieka z ambicjami. Nie interesują mnie jednak pańskie zarobki, zwłaszcza że wiem o pańskiej nieodpartej skłonności do wyścigów konnych. No i znajome dziewczęta, o ile wiem, też się nie skarżą na pańskie skąpstwo. Proponuję coś konkretnego, co nie tylko uchroni pana od kłopotów, lecz przyniesie panu, powiedzmy, dziesięć tysięcy marek, wpłaconych na dowolne, wskazane przez pana konto. Tę decyzję musi pan podjąć w ciągu najbliższej minuty i będzie ona nieodwołalna. Odpowiednie dokumenty o pańskim podwójnym życiu są już zdeponowane w sejfie bankowym. Wystarczy przesłać kluczyk do sejfu wraz z odpowiednim listem do pańskich przełożonych. Natomiast czek na dziesięć tysięcy marek mam tutaj. Tu zaś mam książeczkę przelewów, do wyboru. Chodzi o następującą sprawę. Przypuszczalnie za godzinę otrzyma pan meldunek o tajemniczym zniknięciu Friedricha Wilhelma Knauppe, właściciela zakładu pogrzebowego przy ulicy Wschodniej...

Pieler wykrzyknął, że Knauppe jest jego najważniejszym świadkiem, na co Stumpf odparł, że tylko dlatego jest on wart dziesięć tysięcy marek. Stumpf nie dał komisarzowi

dojść do słowa i zakończył swoją przemowę następująco:

- Otóż pewni ludzie, których wpływów nie chciałbym nie doceniać, życzą sobie, aby wiadomość o zniknięciu Knauppego pozostała na razie pańską tajemnicą. Mam nadzieję, że pański autorytet wystarczy, aby i pańscy podwładni zapomnieli o tym fakcie, jeśli dojdzie do ich wiadomości. Że trudno ukryć porwanie znanego w mieście przedsiębiorcy w biały dzień? Owszem, trudno. Czy ja mówię, że to jest łatwe? Ale dla ratowania własnej skóry ludzie dokonywali już trudniejszych rzeczy. Pan pyta, czy Knauppemu stanie się jakaś krzywda? Och, nie, zapewniam pana, że nie. Spędzi jakiś czas w komfortowej willi z telewizorem, obficie zaopatrzonym barkiem i wszelkimi wygodami. No, świetnie, widzę, że się rozumiemy. Czek czy przelew? Woli pan jednak czek. Proszę bardzo. Żegnam pana, nadkomisarzu Pieler.

Po trzecie, ludzie Palmera II, przebrani za monterów *General Telephone and Communications Company*, dokonali kilku niezbyt skomplikowanych zabiegów technicznych, które sprawiły, że wszystkie rozmowy telefoniczne, a także depesze dalekopisowe, przychodzące do komendy policji w Bambach i komendy w Maierhof, nie stanowiły odtąd tajemnicy dla rezydentury CIA w Monachium.

Natychmiast po zakończeniu wszystkich tych operacji Palmer II wysłał do centrali w Langley odpowiedni raport i ponowił żądanie, aby mu natychmiast przekazano dalsze instrukcje.

XIV

Kapitan Kuno von Riesenthal spędził w Generalnym Inspektoracie prawie dwie godziny, zanim mógł przystąpić do wykonywania poleceń kanclerza Lüttnera. Mimo że legitymował się specjalnym pełnomocnictwem kanclerza federalnego i rozkazem federalnego ministra obrony, odsyłano go w Inspektoracie z piętra na piętro, ze skrzydła na skrzydło, nieoczekiwane przeszkody zaczęły się mnożyć, czas płynął. Kiedy Kuno doznał w końcu do szefa gabinetu ministra obrony, to znaczy pułkownika Schlafflera, kazano mu poczekać w sekretariacie. Pięć minut. Siedem. Dziesięć.

Z upływem piętnastej minuty Kuno wstał z fotela: tego było już naprawdę za dużo, jak na cierpliwość potomka von Riesenthalów. Odsunął z drogi tłustego poruczniczykę z adiutantury i nieco zbyt gwałtownie otworzył drzwi do pokoju Schlafflera. Szef gabinetu

rozmawiał właśnie przez któryś ze swych niezliczonych telefonów.

- Cóż to za nowe obyczaje, kapitanie? - wycedził przez zęby, zasłaniając mikrofon słuchawki dłonią. - Czy nie polecono panu w adiutanturze, aby czekać na moje wezwanie?

- Jestem adiutantem wojskowym kanclerza federalnego - powiedział von Riesenthal, nie ukrywając złości. - Wykonuję bardzo pilne zadanie wagi państwowej i nie mam czasu czekać, aż pan skończy swoje pogawędki.

Schlafler rzucił słuchawkę i spojrzał na wysokiego kapitana wzrokiem, od którego przed czterdziestu laty pluton Wehrmachtu zamieniał się w worek wypełniony strachem. Von Riesenthal z wysokości swych stu dziewięćdziesięciu centymetrów odwzajemnił spojrzenie pułkownika Schlaflera. Cały ten pojedynek na miny odbył się bez jednego słowa, ale Schlafler musiał się uznać za pokonanego.

- To się panu wyda dziwne - powiedział Schlafler - ale ja pamiętam jeszcze czasy, gdy w niemieckim wojsku młodzi oficerowie, bez względu na przydział służbowy, nie pozwalali sobie na bezczelność wobec oficerów wyższych stopniem. Przełożeni cieszyli się wówczas niezbędnym szacunkiem...

- Ma pan na myśli Keitla czy Reichsführera SS, Himmlera? - przerwał von Riesenthal. Schlafler po raz drugi zagryzł wargi.

- Nie sądzę - odparł - abym mógł z panem dyskutować o historii Niemiec. A na dyskotekach się nie znam, młody panie.

- Panie baronie, jeśli to panu nie robi różnicy.

- Przepraszam. Pan baron zechce wybaczyć prymitywne maniery prostego żołnierza. Zbyt wiele czasu spędziłem w okopach, aby mieć czas na studiowanie podręczników etykiety dworskiej.

- Pan mówi o okopach na Bendlerstrasse?⁶

Schlafler po raz trzeci spojrzał na kapitana wzrokiem, od którego należałoby natychmiast umrzeć.

- Mógłbym pana aresztować za obrazę osobistą oficera oraz zniewagę urzędu.

- Proszę.

- Riesenthal, czego pan naprawdę chce ode mnie?

- Von Riesenthal, jeśli łaska.

- Kapitanie von Riesenthal, czego pan sobie życzy?

- Życzę sobie przede wszystkim, aby ten bezwstydnym sabotaż rozkazów kanclerza federalnego skończył się bez chwili zwłoki. W ciągu najbliższych piętnastu minut muszę mieć

⁶ Siedziba Naczelnego Dowództwa Wehrmachtu w Berlinie.

w ręku wykaz wszystkich tajnych baz, gdzie przechowywane są głowice neutronowe...

- Pan nie ma takich uprawnień.

- Mam je w ręku i pan, pułkowniku, został o tym zawiadomiony godzinę temu. Opóźnia pan wydanie mi tego wykazu z sobie tylko znanych powodów, o czym nie omieszkać poinformować kanclerza. Poza wykazem, o którym mówię, w ciągu tego samego kwadransu ma na mnie czekać dyspozycyjny śmigłowiec ministra obrony, czego też podobno nie można załatwić bez pańskiej zgody.

- Które bazy zamierza pan odwiedzić?

- Nie wolno mi udzielać takich wyjaśnień! Poza tym nie mogę tego wiedzieć, dopóki nie otrzymam wykazu.

- Czego tam pan będzie szukał?

- Pułkowniku, został pan chyba wyczerpująco poinformowany przez ministra, że moja misja ma charakter tajny i że nie będę panu udzielał żadnych wyjaśnień.

- Przykro mi, ale nie zostanie pan wpuszczony do żadnej z tajnych baz, ponieważ nie ma takich technicznych możliwości. Istnieje pewne urządzenie techniczne, które to uniemożliwia.

- Bardzo interesujące, panie pułkowniku. Wracam wobec tego do pałacu kanclerskiego i zamelduję kanclerzowi, że nie mogłem wykonać jego polecenia, gdyż Bundeswehra nie umie się w żaden sposób dostać do własnych baz.

- Tego nie powiedziałem. Urządzenie, o którym mówię, jest sprzężone z systemem zabezpieczającym w każdej bazie z osobna. Jeśli umożliwi wjazd do jednej bazy, to zarazem nie przydaje się do niczego we wszystkich innych. Muszę zatem z góry wiedzieć, którą bazę zamierza pan odwiedzić, aby wyposażyć pana w odpowiedni, że tak to nazwę, klucz do bramy. Radiowy, oczywiście.

- Nie. Nie potrzeba mi żadnych kluczy, zwłaszcza wydawanych przez pana.

Pucułowaty poruczniczyna z adiutantury zameldował się szefowi gabinetu, nachylił się do jego ucha i wyszeptał coś półgłosem.

- No, wreszcie - mówi Schlaffler. - Pański śmigłowiec jest gotowy. Będzie go pilotował major Zoppke, bardzo dobry pilot. Więc, którą bazę zamierza pan odwiedzić?

- Wszystkie.

- Kapitanie, wolałbym nie żartować w takich sprawach.

- Proszę mi dostarczyć wykaz tajnych baz i przypomnieć temu majorowi, że bez żadnych dyskusji ma wykonywać moje rozkazy. Zostało już tylko jedenaście minut.

- Jak pan sobie życzy, baronie.

- Kapitanie.

- Jak pan sobie życzy, kapitanie von Riesenthal. Proszę tylko pamiętać, że ostrzegąłem lojalnie przed trudnościami takiej misji.

Dopiero o godzinie 12.08 kapitan Kuno von Riesenthal zasiadł w kabinie śmigłowca. Nad wyborem pierwszej bazy zastanawiał się tylko przez chwilę. Trzeba było wybrać taką, która znajdowała się mniej więcej pośrodku kraju, dostatecznie daleko od granicy wschodniej, gdzie rygory były zapewne zaostrzone, a jednocześnie taką, która nie leży w całkowitym ustroniu. Najlepiej spełniała te warunki Tajna Baza nr 4, położona na wschodnim krańcu Nadrenii-Westfalii, o dwanaście kilometrów od miasteczka Schiemen. Natomiast następną w kolejności będzie Tajna Baza nr 3, leżąca niemal na granicy NRD.

Major Zoppke kiwnął w milczeniu głową, kiedy usłyszał nazwę punktu docelowego. Wyszukał odpowiednie arkusze mapy, nakreślił coś szybko na oleacie i wzbił się w powietrze.

Von Riesenthal polecił mu wylądować w odległości kilometra od muru Bazy i oczekiwać na dalsze rozkazy. Pieszko poszedł pod widoczną z daleka bramę wjazdową.

W chwili, kiedy znajdował się mniej więcej o pięć metrów od stalowych wrót, u zwieńczenia muru zapłonęły bardzo silne światła, a z niewidocznego głośnika, zapewne ukrytego w murze, rozległ się nagrany na taśmę głos:

- Stać! Zatrzymać się natychmiast w miejscu i nie wykonywać żadnych ruchów. Słuchający tego ostrzeżenia popełnił wykroczenie przeciw ustawom federalnym, zbliżając się, mimo zakazów, na niedozwoloną odległość do obiektu wojskowego. Proszę patrzeć prosto przed siebie, w czarny punkt na prawej wierzei, podać swoje nazwisko i przyczynę naruszenia zakazu zbliżania się.

Kapitan von Riesenthal wyprostował swą smukłą, szczupłą postać, nadał swej rasowej twarzy możliwie najbardziej stanowczy wyraz i głośno, bardzo wyraźnie powiedział:

- Jestem kapitan von Riesenthal, adiutant wojskowy kanclerza federalnego. Przybywam na polecenie kanclerza i federalnego ministra obrony w celu przeprowadzenia inspekcji. Proszę otworzyć bramę. Dokumenty okażą wartownikowi.

Milczenie trwało nieco ponad minutę. Potem z głośnika rozległ się chropowaty głos:

- Nie mamy zawiadomienia służbowego o inspekcji. Otwarcie bramy jest niemożliwe. Proszę oddalić się na pięćdziesiąt metrów od wejścia i oczekiwać na patrol, który sprawdzi dokumenty i zadecyduje o dalszym postępowaniu.

Von Riesenthal odwrócił się plecami i biegiem wrócił do stojącego na łące śmigłowca. Przebiegając wzdłuż kadłuba, schylił się mimowolnie, aby nie zawadzić głową o zwisającą

łopatę wirnika. Dzięki temu dostrzegł, że major Zoppke manipuluje pokrętłem radiostacji pokładowej i gorączkowo, z wyraźnym pośpiechem, szepcze coś do mikrofonu.

- Startujemy, ale już! - krzyknął von Riesenthal do pilota, patrząc mu prosto w twarz, w której dostrzegł trudny do ukrycia ślad za skoczenia. - Szybko, powiedziałem!

Śmigłowiec wzbił się w powietrze, wzniesając kłęby gorącego kurzu. Kiedy kurz opadł, von Riesenthal zobaczył z powietrza dwa łaziki wyładowane żandarmerią, zmierzające w pobliże bramy wjazdowej.

Przelecieli nad murem TB 4 na wysokości pięciu metrów.

- Tu! - ryknął kapitan, przekrzykując hałas wirnika. - Tu lądujemy!

Przelot trwał mniej więcej osiemdziesiąt sekund, razem ze startem i lądowaniem.

Kapitan wyskoczył z kabiny i błyskawicznym ruchem sięgnął do radiostacji pokładowej. Na oczach ogłupiałego majora Zoppke wyciągnął z płyty czołowej bezpiecznik sieciowy i schował go do kieszeni. Radiostacja została unieruchomiona, przynajmniej chwilowo.

- Proszę nie oddalać się od maszyny i oczekiwać na mnie.

Do śmigłowca podbiegło dwóch żołnierzy w hełmach, z palcami na spustach pistoletów maszynowych.

- Gdzie jest komendant Bazy? Szybko! Dlaczego się ruszacie jak zdechłe szczury? To ma być służba wartownicza?

Żołnierze zaniemówili. Ten nieznaną kapitan poruszał się po Bazie z taką pewnością siebie, jaką widzieli dotychczas tylko u pułkowników. Przyjęli postawę zasadniczą, opuścili broń, złożyli przepisowy meldunek.

Z budynku sztabowego wybiegł niemłody, szpakowaty podpułkownik z brzuszkiem.

- Witam, panie kapitanie - wydyszał, odprawiając ruchem ręki wrośniętych w ziemię wartowników. - Czy akcję przyspieszono? Przecież miał się pan zgłosić dopiero pojutrze? Ale to nie szkodzi, nic nie szkodzi. Już się bierzemy do roboty. Czy pańskie środki transportu są tu w pobliżu?

Von Riesenthal spojrział na podpułkownika uważnie i zapewne zbyt przeciągle, ponieważ komendantowi Bazy ścierpła nagle twarz.

- Przepraszam... czy to pan kapitan Lamch? - spytał niepewnie.

- Nie. Kuno von Riesenthal, adiutant kanclerza federalnego.

- Co takiego? Przecież przed chwilą odprawiliśmy sprzed bramy tego durnia zgodnie z rozkazem. Nic nie rozumiem. Co się tu dzieje, na Boga? Kim pan jest? Warta pod broń! Alarm! Alarm!!!

Von Riesenthal podniósł rękę tak władczym ruchem, że żołnierze wybiegający ponownie z wartowni zatrzymali się w miejscu.

- Pan się rzeczywiście pomylił, pułkowniku. Ale to drobiazg. Mamy czas, porozmawiamy sobie spokojnie, wszystko wyjaśnimy. Proszę odprawić wartę i zaprosić mnie do swego gabinetu. Nie miałbym nic przeciwko kieliszkowi koniaku. Aha, jeszcze jedno. Majorze Zoppke! Proszę zamknąć kabinę na klucz - tak, właśnie tak. I proszę mi ten klucz oddać. Dziękuję. Komendancie, czy macie tu jakąś mesę dla oficerów i przyjezdnych specjalistów? Co prawda dostać się do was trudno, ale chyba jednak kiedyś otwieracie te wasze żelazne wrota. Proszę rozkazać, aby tam zaprowadzono majora Zoppke, dostarczono mu jakiegoś uczciwego posiłku i lektury. Nawet doświadczonemu pilotowi przyda się na pewno godzinka odprężenia. Zwłaszcza że mamy jeszcze sporo drogi przed sobą.

Komendant TB 4 zrozumiał, że dał się podejść jak małe dziecko i sam, wskutek własnej głupoty, wplątał się w aferę, która nic dobrego przynieść nie może. Rozkaz pułkownika Schlafflera brzmiał zupełnie niedwuznacznie: nie wpuszczać inspektora na teren Bazy pod żadnym pozorem, przetrzymać przynajmniej godzinę pod pretekstem sprawdzenia tożsamości, odwlec maksymalnie moment otwarcia bramy, informować o przebiegu operacji wyłącznie majora Zoppke, nie używać normalnej łączności. Ten rozkaz nie został wykonany w żadnym punkcie, a pułkownik Schlaffler ma ciężką rękę. Ale kto, na miłość boską, mógł przypuszczać, że adiutant wojskowy kanclerza przeskoczy przez trzymetrowy prawie mur Bazy jak kangur? Że w minutę po odpędzeniu go sprzed bramy wjazdowej spadnie z nieba akurat pomiędzy magazynem głowic i budynkiem sztabowym - tak szybko, że nawet nie było czasu na zawiadomienie kontroli obszaru powietrznego?

Komendant TB 3 był jednak zbyt długo oficerem, żeby nie wiedzieć, że w wojsku nie ma sytuacji bez wyjścia. Zanim jeszcze doszedł ze swym gościem do swego gabinetu, miał już pewien pomysł na wybrnięcie przynajmniej z jednego kłopotu. Z Schefflerem będzie na pewno trudniej. Ale też się w końcu coś wykombinuje.

XV

Bonn, 12 czerwca, godz. 10.49 GMT

AKCJA NIETOPERZ - RAPORT NR 1

Tajne najwyższego znaczenia - jeden egzemplarz

Tylko przez oficera!

Tylko dla kanclerza federalnego!

1. Informuję, że według ostatnich ustaleń porwania głowic z TB 6 dokonali agenci nieprzyjaciela. Grupa dywersyjna współdziałała ze swymi agentami w sztabie 14 dywizji. W obawie przed zdemaskowaniem dowódca dywizji, gen. Severing, popełnił samobójstwo. Dowódca III batalionu, kapitan Wiebold, zdezerterował. Poszukiwania trwają. Zmiany kadrowe w dowództwie dywizji zarządzane. Istnieje podejrzenie, że agenci strony przeciwnej mieli pomocników również w służbie łączności okręgu wojskowego.

2. Ekipa śledcza Generalnego Inspektoratu stwierdziła, że jedna z porwanych głowic wykazywała podwyższony poziom promieniowania. Ze względu na zniszczenie przewodów i urządzeń pomiarowych podczas porwania nie można obecnie ustalić, o którą głowicę chodzi. Prawdopodobnie o jedną z mniejszych. Promieniowanie w chwili porwania przekraczało dopuszczalną normę o 6 - 8%, obecnie może być wyższe. Stwierdzono poważne zaniedbania w obsłudze stanowisk składowania. Podwyższony poziom promieniowania powinien być wykryty co najmniej trzy dni temu. Proponuję aresztowanie komendanta TB 6, majora von Tschierschke, i niezwłoczne wytoczenie mu procesu przed sądem wojskowym.

3. Proszę o wydanie polecenia Urzędowi Ochrony Konstytucji, aby udostępnił odnalezioną w Maierhof głowicę ekspertom wojskowym. Głowica nadal znajduje się w komendzie policji i jeśli to ona wykazuje podwyższone promieniowanie, stwarza zagrożenie życia. Dr Pfeiffer odmówił zgody.

4. Czołowy reporter tygodnika *Dabei*, Ugo Felsenstein, zażądał od rzecznika prasowego ministerstwa obrony odpowiedzi na kilka pytań, z których wynika, że wydarzenia w Maierhof są już znane prasie. Sprawy nie uda się utrzymać w tajemnicy dłużej niż kilka godzin. Proponuję natychmiastowe działanie polityczne.

Peter Grauder, minister obrony Republiki Federalnej

XVI

Piątek, 12 czerwca, godzina 10.51 czasu środkowoeuropejskiego. Karl-Christian Stoeppé, zwany Rybą, podjeżdża swym Mini-Morrisem pod stację benzynową *Statoil* na skrzyżowaniu drogi nr 417 i lokalnej drogi, wiodącej ze wsi Niedertau do osady Sühm.

Przed dystrybutorem nie ma nikogo. Ryba czeka przez chwilę w wozie. Wreszcie

ukazuje się zaspany, ziewający młodzieniec o rozwichrzonej czuprynie, tak wspaniale kędzierzawej, że Ryba nie może nie uznać go za potencjalnego sympatyka wszelkich rewolucyjnych poczynań. Zwłaszcza że młody człowiek nosi w klapie błękitnego kombinezonu mały, czerwony kwiatek z emalii. To nowa moda: nie jestem z nikim, ale jestem ze wszystkimi, którzy chcą tu coś zmienić. Te czerwone kwiatki zazwyczaj przyprawiają Rybę o wrogość, ale teraz sądzi, że nie jest źle.

- Do pełna. I poproszę o klucz od toalety - mówi Ryba, zastanawiając się, czy nie powinien być serdeczniejszy wobec pracującego ciężko kolegi.

Młodzieniec wręcza Rybie klucz, lecz jego ręka przez chwilę zawisa w powietrzu. To jest tylko ledwo dostrzegalne wahanie i Ryba gotów jest sądzić, że doznał halucynacji. Kiedy jednak po umyciu rąk wraca do swego samochodu, instynkt ostrzega go, że dzieje się coś niedobrego. Zakrzywiona końcówka węża leży na ziemi, zamiast wisieć na kabłąku w dystrybutorze. Młodzieńca nie ma - ani przy samochodzie, ani za szybą budynku. Poza tym... tak. Ryba nie może się mylić: w stacyjce Mini-Morrisa nie ma kluczyka, który sam zostawił, jak ostatni, totalny, bezgraniczny idiota.

Zewrzeć akumulator z pominięciem stacyjki? Tak. Ale to wymaga dwóch lub trzech minut. Uciekać pieszo? Nie ma sensu na tym pustkowiu - w promieniu sześciuset metrów będzie widać uciekającego człowieka jak na dłoni.

Ryba sięga do prawej kieszeni spodni, odbezpiecza pistolet kciukiem, nabiera rozpędu i wbiega do pomieszczenia, w którym pięć minut temu siedział ten przekłety gówniarz.

Nie ma nikogo. Płoną jeszcze cyfry na elektrycznym kalkulatorze, leżą na stole jakieś papiery, dwa banknoty dziesięciomarkowe, pęk kluczy od mieszkania, zapalniczka. Na ścianie wisi list gończy. Jako trzeci w pierwszym rzędzie patrzy na Rybę niejaki Karl-Christian Stoeppé: wzrost 178, lat około 30, twarz owalna, lekka łysina, uszy małe, znak szczególnie - brunatne znamię na prawym policzku o trzy centymetry od łuku brwiowego. **UWAGA! NIEBEZPIECZNY PRZESTĘPCA! UŻYWA BRONI BEZ OSTRZEŻENIA!**

Ryba rozgląda się wokół i rozumie nagle, że jest rzeczą niemożliwą, aby ten kędzierzawy chłopuś rozpląnął się w powietrzu, ponieważ w pomieszczeniu są tylko jedne drzwi, przez które wpadł właśnie z całym impetem Ryba. Dwie ściany są zupełnie puste, na trzeciej stoi półka z olejami, płynem hamulcowym, drobnymi częściami zamiennymi.

Ryba rzuca się na tę półkę. Oczywiście. To są ukryte drzwi. Ukryte w obawie przed nastolatkami, którzy wieczorami biorą do ręki drewniany pistolet i buszują po stacjach benzynowych w poszukiwaniu przeżyć i kilkunastu marek. Ale te drzwi są zamknięte. Nie widać żadnego zamka. Strzelać wzdłuż całej ościeżnicy? Przestrzelić na wylot w jednym

miejscu i wyłamać zamek z tamtej strony? Ryba nie ma aż tylu naboju w magazynku.

Tak głupio wpaść! Tak się idiotycznie wpakować w sytuację bez wyjścia! Przecież Ryba, nie mówiąc nic Chally'emu, wrócił z Maierhof w pobliże Tajnej Bazy, żeby odzyskać swego ulubionego Mini-Morrisa i spokojnie, na własny rachunek, dojechać do Werdenberg. Pojechał na wschód, zamiast na zachód, uwierzył w swoją szczęśliwą gwiazdę. I teraz ma to się tak idiotycznie skończyć? Policja będzie tu lada moment. Może nawet GSG, a z nimi strzelać się ciężko.

Ryba postanawia uruchomić swój samochód bez kluczyka. Wychodzi przez te same drzwi, przez które wszedł. Otwiera maskę. Zawija rękawy koszuli.

Przez moment odnosi wrażenie, że zwariował. Z jakiegoś okna, którego do tej pory nie zauważył, wychyla się dziewczyna w ciemnozielonym swetrze, ciemna, rozgniona, pełna uniesienia. Wyciąga w jego stronę pęk jakichś kluczyków od samochodu - ale nie są to klucze Ryby - i szeptem, jakby recytowała wyuczoną lekcję:

- On zadzwonił po policję. Zaraz tu będą. Leży teraz plackiem na podłodze, żebyś go nie postrzelił. Ja tego sukinsyna nienawidzę. On ciebie zobaczył na liście gończym. Weź jego klucze, uciekaj. Przyjedź po mnie, kiedy będziesz bezpieczny. Kocham cię.

- Gdzie jest ten wóz? - pyta szeptem Ryba.

- Z drugiej strony. No, tam, za budynkiem. Prędko! Pamiętaj, przyjedź po mnie!

Ryba chwytając klucze, biegnie na palcach na drugą stronę budynku, powtarzając sobie w myśli, że jest stuprocentowym, totalnym durniem i idiotą. Wskakuje do wozu, dobiera nerwowo kluczyk do stacyjki, słyszy błogie chrobotanie rozrusznika. Na pierwszym biegu przyciska pedał gazu z taką siłą, że silnik aż się dławi z nadmiaru mocy. Ryba przerzuca bieg i nadal powtarza sobie, że jest to najgłupsza sytuacja, jaka mu się kiedykolwiek zdarzyła. Przecież nie zauważył nawet, że z drugiej strony tego małego budynku stoi jakiś samochód. Ach, wstyd, wstyd, konspiratorze!

Na moment Ryba wysprzęgła i naciska pedał hamulca. Przecież pod siedzeniem Mini-Morrisa zostawił swą ulubioną berettę! Och, co za dureń! Mniejsza już o berettę, znajdzie się następna. Ale gliniarze z łatwością ustalą teraz, z jakiej broni zostały wystrzelone różne celne pociski. I kto naciskał spust. Co gorsza, Rybie został teraz tylko pistolet FN i dziesięć, nie, dwanaście naboju. Trochę za mało.

Ale wracać nie można. Ryba dodaje gazu. Jedzie oczywiście znów na wschód, jak najdalej od granicy francuskiej. Co to za dziewczyna! Pierwsza dziewczyna na świecie, która mu uratowała życie. Jakie miała oczy? Była ciemna, smagła, trochę nietutejsza, ale jej niemiecki był bezbłędny. Co ją skłoniło, żeby pomóc Rybie?

Czwarty bieg. Gaz. Gaz! Jeszcze więcej gazu. Oh, là-là. Po przeciwnym paśmie pędzą dwa, nie, trzy wozy policyjne. Zwolnić. Ostro przyhamować.

- To po mnie - myśli Ryba, redukując szybkość do przepisowych osiemdziesięciu na godzinę. - Wozy policyjne, a w środku na pewno ludzie z GSG. Uszedłem grabarzowi spod łopaty. Co to za dziewczyna? Nawet nie wiem, jak ma na imię. Jak ona mu się wytłumaczy, że zginęły kluczyki od jego własnego samochodu?

MAIERHOF 16 KM.

Ryba odczytuje ten przydrożny napis, zwalnia, zjeżdża na pobocze. Zbyt blisko tego cholernego miasteczka nie należy się pętać, to oczywiste. Ale z kolei wracać w kierunku tej przeklętej stacji benzynowej...

W samochodzie nie ma żadnych map, żeby można było znaleźć na nich jakąś określoną drogę na zachód. Ryba spogląda na zegarek. Ma jeszcze pełne trzy godziny, żeby dotrzeć do Werdenberg. Mnóstwo czasu, jak na tę odległość.

Uświadamia sobie nagle, że jedzie skradzionym samochodem, którego w tej chwili poszukuje policja, a numery rejestracyjne nie zostały zmienione. W każdej chwili może z bocznej drogi wypaść jakiś gliniarz. A może i GSG, ponieważ ci chłopcy lubią obławy i tak zwane przeczesywanie terenu.

Ryba wprowadza skradzionego Mercedesa na polną dróżkę, rozbija deskę rozdzielczą, wyrывa kable, tłucze przednią szybę. Ten gnojek ze stacji benzynowej nie ujdzie przed zemstą Ryby, to jasne. Ale na razie trzeba mu dać tylko sygnał ostrzegawczy. Nie ma czasu na nic innego.

Ryba wraca na drogę nr 417 i idzie po poboczu, pogwizdując najmodniejszy przebój *Kochaj mnie lub zabij*. Jak to jest po angielsku - *Love me or kill me?*

Po sześciu minutach zatrzymuje się wielki Buick, prowadzony przez starszą, korpulentną damę. Okazuje się, że dama jedzie do Maierhof, to znaczy w tym samym kierunku, dokąd wybiera się Ryba. - *No problem, madame* - mówi po angielsku Ryba. - Będę rad...

Bliskie, serdeczne kontakty ze starszą damą zajmują Rybie godzinę i dziesięć minut. Jest to czas wystarczająco długi, aby zapanowała między tą dwójką intensywna, głęboka więź dusz. Tak głęboka, że korpulentna dama pożycza Rybie swój opasły, amerykański wóz, aby Ryba zdążył na bardzo ważne spotkanie w sprawach bardzo ważnych interesów, jakie prowadzi.

Ryba, czując pod nogą sto osiemdziesiąt koni, jedzie z powrotem na zachód. Kiedy dostrzeżę na horyzoncie stację benzynową firmy *Statoil*, zwalnia raptownie i podjeżdża pod

dystrybutor. Nie ma już policji, GSG, nie ma nikogo. Jakiś mały samochód właśnie przed chwilą odjechał. Mini-Morrisa z beretką też nie ma. Widocznie zabrali.

Rozczochrany młodzieniec stoi tym razem przy dystrybutorze... Kłania się, lecz zanim zdążył zapytać ile, Ryba pakuje mu dwa, tylko dwa pociski: jeden w prawą komorę serca, drugi w brzuch.

Sekundę potem wybiega przed stację ciemna, rozgorączkowana dziewczyna w zielonym swetrze. Ryba mruży oko i ładuje jej trzy sztuki o centymetr ponad lewą pierś, żeby nie męczyła się długo.

Najlepiej, kiedy nie ma żadnych żyjących świadków.

Była zresztą sentymentalna, na pewno czytywała nędzne romansidła i z całą pewnością przysporzyłaby Rybie okropnych kłopotów.

Po czym Ryba dodaje gazu i pędzi jak oszalała na zachód, w kierunku miasteczka Werdenberg.

Co za dzień - myśli ze zdumieniem. - Cztery sztuki w ciągu jednego dnia, to nawet mnie rzadko się zdarza. Nad ranem ojciec Weber, potem ten oficerek, który jechał do Bazy, a teraz ta dwójka. Zobaczymy, ile zaliczę do wieczora.

Na czwartym kilometrze przed Werdenberg Ryba zostawia przy drodze swój amerykański krążownik i idzie do miasta pieszo.

XVII

Piątek, 12 czerwca, godzina 10.59. W gabinecie szefa wywiadu polowego 14 dywizji odbywa się drugie tego dnia spotkanie członków Organizacji.

- Moi panowie - zaciera ręce podpułkownik Karl-Heinz Pionteck - nie jestem przesądny, ale mimo wszystko nie chciałbym zapeszyć. W ciągu zaledwie trzech godzin udało nam się bez przeszkód przeprowadzić tyle skomplikowanych operacji, że historia kiedyś wyrazi nam podziw. Wszystkim panom wyrażam podziękowanie w imieniu służby. Najpierw może podsumuję w punktach dotychczasowe wydarzenia. Otóż dziesięć głowic neutronowych jedzie w tej chwili w kierunku Tajnej Bazy nr 3, gdzie powinny się znaleźć późnym popołudniem. Są one przewożone przez żołnierzy jednostki specjalnej, którzy nie znają zawartości ładunku, nie wiedzą nic o jego pochodzeniu i nie mają pojęcia, dlaczego wiozą go akurat do TB 3, co gwarantuje pełne bezpieczeństwo w razie przypadkowej

dekonspiracji, wypadku czy jakiejś kontroli. Po drugie, ani Generalny Inspektorat, ani Ministerstwo Obrony nie powzięły żadnych podejrzeń, że zniknięcie głowic mogłoby mieć związek z działalnością naszej Organizacji, o której istnieniu oczywiście mówi się tu i tam półgębkiem. Początkowo przypuszczenia szły w kierunku terrorystów, ale i temu potrafiliśmy zaradzić. Jak panowie wiedzą, musieliśmy się z wielkim żalem pozbyć z naszego grona dzielnego, odważnego, patriotycznego oficera, kapitana Wiebolda. W tej chwili, jeśli dobrze obliczam, czeka on w ubraniu cywilnym, z eleganckim neseserkiem i starannie podrobionym paszportem w ręku na połączenie do Johannesburga, skąd uda się... no, mniejsza o to.

- Przecież i tak wszyscy wiemy - śmieją się oficerowie. - Wiebold leci do Windhoek.

- Afryka Południowo-Zachodnia jest teraz bez porównania dla nas bezpieczniejsza niż Argentyna czy kraje arabskie - dodaje major Kirsch, który nieraz już taką trasę pokonywał jako łącznik Organizacji.

- Proszę o spokój, panowie - mówi stanowczo Pionteck - zebraliśmy się na krótką naradę operacyjną, a nie na towarzyskie pogawędki. Musieliśmy pozbyć się naszego ulubionego kapitana Wiebolda w taki właśnie sposób, gdyż z jednej strony mógł on mieć poważne przykrości z powodu, że tak to nazwę, pewnych regulaminowych zaniedbań na stanowisku oficera dyżurnego dziś rano, z drugiej zaś strony jego zniknięcie przekona zapewne nawet tego durnia Graudera, że porwanie głowic było dziełem agentów komunistycznych. Ostatecznie, młody, rokujący wszelkie nadzieje oficer o pięknym niemieckim nazwisku nie znika przecież bez powodu w biały dzień. Rzecz mówi chyba sama za siebie. To są dwa ważne punkty naszego bilansu na godzinę jedenastą. Punkt trzeci: Urząd Ochrony Konstytucji znalazł tę najmniejszą głowicę, czyli że wszelkie niebezpieczeństwo zostało w praktyce zażegnane. Z tego jednak, co mi wiadomo, nasi wężyciele są głęboko przekonani, że głowicę przerzucono na nasze terytorium z Francji.

Oficerowie śmieją się hałaśliwie.

- Z Francji? To nasz wspaniały kontrwywiad cywilny nie potrafi nawet zidentyfikować numerów seryjnych głowicy?

- Prasa będzie się tarzać ze śmiechu, kiedy to wyjdzie na jaw.

- Z Francji! Pyszne! A dlaczego nie z Holandii?

- Spokój, panowie - upomina Pionteck. - Pozwólcie mi skończyć referowanie sytuacji, choć przyznaję, że i mnie się zbiera na chichoty. Punkt czwarty jest nieco mniej rozśmieszający. Kanclerz Lüttner, którego sylwetki politycznej przypominać tu nie muszę, powziął na pewno jakieś podejrzania, ponieważ wyprawił swego adiutanta i oficera do zleceń, kapitana von Riesenthala, z misją inspekcyjną do wszystkich siedemnastu tajnych baz, gdzie

przechowuje się naszą broń neutronową. Ściśle biorąc, nasz wspaniały arystokrata nie będzie mógł odwiedzić wszystkich baz, lecz zamierza się poszwendać po dwóch czy czterech. Nie można było jego misji całkowicie uniemożliwić. Dowiaduję się jednak z bardzo kompetentnych źródeł w ministerstwie obrony, że von Riesenthal nie będzie miał łatwego zadania. Pewne formalności w wojsku mogą trwać niesłychanie długo, zwłaszcza gdy dotyczą spraw o takim stopniu tajności...

Przez salę znów przebiega śmiech.

- Poza tym - ciągnie Pionteck, rozkładając ręce - trudności z wjazdem do każdej bazy są panom doskonale znane. Sam fakt, że nasz piękny Kuno dostał do dyspozycji osobisty śmigłowiec ministra Graudera, nie oznacza jeszcze, że będzie nim lądował wszędzie, gdzie mu się podoba. Kontrola obszaru powietrznego działa u nas dość sprawnie. Nie mówiąc już o tym, że pilot tego śmigłowca, znany mi osobiście pewien zasłużony major, ma dobrze poukładane w głowie. No, ale to są już szczegóły, które panów interesować nie powinny. Wspominam o nich tylko dlatego, że tę misję von Riesenthala musimy wziąć pod uwagę. Oczywiście w żadnym razie nie dopuści się, aby próbował przeprowadzać swą inspekcję w trójce, to znaczy Tajnej Bazy nr 3, dokąd zmierza obecnie nasz cenny ładunek. Ale proszę się porozumieć prywatnie - podkreślam: zupełnie prywatnie - z kolegami w innych bazach i uprzedzić ich zawczasu o tej komicznej inspekcji barona von Riesenthala. Kładę zwłaszcza nacisk na Tajną Bazę nr 4. Trzeba raz jeszcze przypomnieć komendantowi czwórki, że hasło „kapitan Lamch“ zostaje unieważnione. Kto był odpowiedzialny za zawiadomienie TB 4?

- Kapitan Wiebold.

- Co takiego? To znaczy, że nikt do tej pory nie ostrzegł komendanta czwórki? Niesłychane. Tylko nam tego trzeba, żeby Riesenthal wybrał sobie czwórkę na pierwszy etap swej inspekcji. Majorze Kirsch, proszę natychmiast wyjść i zatelefonować do komendanta TB 4.

- Rozkaz, panie pułkowniku. Ale szczerze mówiąc, nie wiem, co oznacza hasło „kapitan Lamch”.

- To nie pańska sprawa, majorze Kirsch. Komendant będzie wiedział. Proszę powiedzieć, że dzwoni pan z mojego polecenia.

- Czy mi uwierzy? Przecież nie znamy się osobiście.

- Niech pan powie, że skład win Hellmana i Grossigka nie może przysłać zamówionego soternu, a pan kapitan Lamch zgłosi się kiedy indziej.

- Zrozumiałem.

Major Kirsch wychodzi. Pionteck ciągnie dalej.

- W punkcie piątym chciałem panów zawiadomić, że w ciągu najbliższych godzin spodziewam się usunięcia z naszej dywizji oficera kontrwywiadu, kapitana Scheelera. Z naszego punktu widzenia źle pojmuje on wykonywanie swych obowiązków i zaczął nam na dobre deptać po piętach. Będzie dużo pożyteczniejszy w tropieniu czerwonych szpiegów tam, na górze. Nie będziemy także rozpaczać, kiedy nas opuści kapitan von Goralsky, który, jak to każdy cholerny Polaczek, zaczął wsadzać nos w nie swoje sprawy. Ładna mi ochrona sztabu, która tropi głównie niemieckich patriotów.

- Von Goralsky nie jest Polakiem - poprawia podpułkownik Fretzig. - Znam tę rodzinę. To stara szlachta niemiecka z Besarabii.

- Dla mnie - powiada spokojnie Pionteck - każdy oficer, który odmówił przystąpienia do Organizacji i na domiar pisze jakieś kretyńskie raporty, zasługuje tylko na to, żeby go nazwać słowiańsko-żydowskim bydlakiem. A w ogóle, moi panowie, nasza dywizja stanie się niebawem pierwszą w pełni narodowo uświadomioną jednostką Bundeswehry. Po zmianach, o których mówiłem, nastąpią dalsze. Będziemy kierować dywizją bez tych wszystkich mięczaków, liberałów i trwożliwych serduszek.

U drzwi gabinetu Piontecka rozlega się pukanie, po czym, nie czekając na regulaminowe „wejść“, wpada roztrzęsiony, pobladły adiutant dowódcy dywizji, podporucznik Müller. Zwraca się do majora Stahma, przybiera postawę zasadniczą i łamiącym się głosem mówi:

- Panie pułkowniku! Melduję, że przed pięcioma minutami...

- Milczeć! - ryczy Pionteck. - Po pierwsze, co się właściwie dzieje do jasnej cholery w tym tak zwanym niemieckim wojsku? Odkąd to, podporuczniku, zwraca się pan do oficera młodszego stopniem bez zezwolenia oficerów starszych? Po drugie, kto panu pozwolił wsadzać nos do mojego gabinetu bez zezwolenia? Po trzecie, czy pan już zgłupiał do tego stopnia, że nie odróżnia pan wojskowych dystynkcji? Co to ma znaczyć, że zwraca się pan do majora Stahma per „pułkowniku“?

- Melduję - powiada Müller ledwo słyszalnym głosem - że pan major Stahm został przed chwilą mianowany podpułkownikiem i... i dowódcą naszej dywizji.

Stahm aż unosi ręce ze zdumienia. Na twarz Piontecka występują brunatne plamy.

- Skąd pan to wie? Co to za kretyńskie pogłoski?

Zamiast odpowiedzi Müller wręcza Pionteckowi zerwane z dalekopisu zarządzenie personalne ministerstwa obrony. Widnieją jeszcze na nich świeże, wilgotne plamy krwi.

Stahm wyciąga rękę równocześnie z Pionteckiem, ale szef wywiadu polowego odtrąca go brutalnie.

Milczenie trwa kilkanaście sekund, lecz wszystkim wydaje się, że trwa wieki.

- Tak - mówi zdławionym głosem Pionteck. - Gratuluję, panie majorze. To jest, panie pułkowniku. Szybki awans. Na dowódcę dywizji! No, no. Müller! Czy dowódca dywizji już to czytał?

- Właśnie o tym chciałem zameldować - szepcze Müller. - Przed pięcioma minutami generał Severing popełnił samobójstwo. Leży jeszcze w swym gabinecie. Ale wzywanie lekarza jest zbyt późne.

Znów chwila głębokiej, intensywnej ciszy.

- Może pan odejść - mówi władcym tonem Pionteck, jak gdyby to on został mianowany nowym dowódcą dywizji. - Wezwać lekarza sądowego z okręgu, przygotować propozycję składu oficerskiej komisji śledczej. Niczego nie dotykać w gabinecie Severinga. Wystawić warty wokół budynku sztabu. Będziemy tam za chwilę.

Kiedy drzwi zamykają się za adiutantem, Pionteck wśród zupełnego milczenia podnosi się, aby sprawdzić, czy drzwi są dokładnie zamknięte, a potem wracając za biurko, mówi:

- No więc, panowie oficerowie, mamy punkt szósty, którego nikt z nas nie oczekiwał. Ze mną włącznie, przyznaję. Istnieje już pełna jasność co do tego, jaką wersję dzisiejszych wydarzeń w Bazie powinna przyjąć komisja śledcza Generalnego Inspektoratu i której musimy się trzymać jak alpejskiej skały. Jest rzeczą oczywistą, że zamach na TB 6 był planowany od dawna. W tym celu strefa wschodnia przysłała tu swych wypróbowanych agentów, mianowicie kapitana Wiebolda i generała Severinga, którzy zmylili czujność kontrwywiadu, a w momencie X umożliwili przysłanej z zewnątrz grupie dywersyjnej opanowanie Bazy i porwanie głowic. Po wykonaniu zadania pierwszy z agentów ucieka za granicę, to znaczy za Łabę, drugi zaś popełnia samobójstwo w obawie przed dekonspiracją i aresztowaniem, co mu grozi - tak jest, panowie, proszę uważnie słuchać - w wyniku energicznej, patriotycznej działalności naszego wspaniałego oficera kontrwywiadu, kapitana Scheelera. Czy to jest jasne? Czy wszyscy rozumieją, jak mają rozmawiać z członkami komisji śledczej? Dobrze. Pragnę teraz uświadomić panom sprawę następującą. Dowództwo naszej dywizji dużo szybciej niż myślałem dostało się bez wyjątku w ręce członków naszej Organizacji. Widocznie zdecydowano, że czas działań nadchodzi. Dzięki ludziom z naszej Organizacji, którzy pracują wprawdzie w Ministerstwie Obrony, ale robią, co do nich należy, nasza 14 dywizja jest od dziś pierwszą jednostką Bundeswehry, gotową do działań zgodnych z interesem narodu niemieckiego i gotową wypełnić z honorem wszelkie rozkazy, jakie może wydać Organizacja.

Pionteck milknie na moment, na jego twarzy znów pojawiają się brunatne plamy.

- Nie muszę wyjaśniać - ciągnie - że awans majora Stahma, przepraszam, podpułkownika Stahma, zawdzięczamy wyłącznie działaniom naszej Organizacji. Ze zrozumiałych powodów konspiracyjnych awans ten nie mógł przypaść mnie. Pragnę jednak uniknąć wszelkich nieporozumień i stwierdzić zupełnie wyraźnie, że z ramienia Organizacji ja nadal sprawuję w tej dywizji pełną władzę rozkazodawczą. Moja formalna zależność służbowa od podpułkownika Stahma w niczym oczywiście nie zmienia tego stanu rzeczy. Czy to jest jasne?

- Jasne - odpowiada ktoś niechętnie po sekundzie milczenia.

- Czy major... przepraszam, podpułkownik Stahm również to dokładnie rozumie? - pyta Pionteck, wyciągając palec w stronę nowego dowódcy dywizji.

- Tak - odpowiada niepewnie Stahm - jakkolwiek przyznaję, że to trochę absurda sytuacja...

- Nie interesuje mnie poezja, Stahm - przerywa Pionteck. - Interesują mnie tylko takie sprawy, które są dla naszej Organizacji korzystne lub szkodliwe. Czy to jest jasne?

- Tak jest, panie pułkowniku - odpowiada Stahm, zaciskając zęby.

- No to świetnie. I nie życzę sobie żadnych niejasności na tym tle. Ja tu wydaję rozkazy w imieniu Organizacji, a pan, jako dowódca dywizji, może sobie na własną rękę radzić z tymi durniami z Generalnego Inspektoratu. Dobrze. Czy są inne pytania?

- Tak jest - wyciąga rękę podpułkownik Fretzig. - Mam dwa pytania. Po pierwsze, czy nie wyrządzamy zbyt dużej krzywdy kapitanowi Wieboldowi, przedstawiając go jako agenta tamtej strony? Jego życie będzie przecież zmienione na zawsze...

- Pragnę panu przypomnieć - mówi chłodno Pionteck - że oficerowie niemieccy poświęcali już dużo więcej dla sprawy swego narodu. Kapitan Wiebold otrzyma w Windhoek sowitą zapomogę pieniężną, komplet wszelkich możliwych dokumentów, luksusową rezydencję, dowolną ilość czarnej służby. Za dwa lata pod zmienionym nazwiskiem i z odpowiednimi referencjami będzie mógł swobodnie podróżować po całym świecie, za cztery lata przyjedzie, żeby nas odwiedzić. A że na zawsze zmieni nazwisko i dotychczasowy życiorys... panowie, przypomnijcie sobie oficerów Abwehry, którzy po siedem razy musieli przybierać nowe wcielenia. Jakie jest pańskie następne pytanie, pułkowniku?

- Dotyczy ono istoty sprawy. Kto właściwie porwał tę pierwszą głowicę?

- Do tej pory nie wiemy - odpowiada z satysfakcją Pionteck - i, mówiąc szczerze, wcale nie chcemy się dowiedzieć, skoro głowica znajduje się w niemieckich rękach. Osobiście uważam to za szczególnie sympatyczną okoliczność. Niech ci tępi kapusie z

Ochrony Konstytucji pomęczą się trochę nad rozwiązaniem zagadki. Niech pokażą, co potrafią. Nam to może być tylko na rękę.

- A jeżeli uczynili to jacyś terroryści?

- Uważam to za wykluczone. Przecież pan wie lepiej niż ja, że złamanie systemu LCS wymaga najnowocześniejszej techniki. Te czerwone bandy dysponują głównie pukawkami. Ale gdyby nawet to rzeczywiście oni dokonali napadu, niech im będzie na zdrowie. Wszystko i tak pójdzie na rachunek strefy wschodniej. To jest nam bardziej na rękę, niż cokolwiek innego.

- A jeżeli to byli naprawdę ludzie stamtąd, ze strefy wschodniej?

- Zupełnie prywatnie powiem panu, pułkowniku, że w to nie wierzę. Po co by mieli to robić? Nie mają żadnego interesu, żeby wzmacniać w Republice Federalnej nastroje, jak to nazywają, militarystyczne. Zresztą nawet dla celów wojskowych jedna głowica byłaby im do niczego niepotrzebna. Rosjanie od roku mają własną broń neutronową, a my znów przegapiliśmy te dwa lata, kiedy jej nie mieli, bo liczyli, że wytargują amerykańską rezygnację z produkcji taktycznych głowic neutronowych.

- Przepraszam, że jestem natrętny - kręci głową Fretzig - ale cudów jednak nie ma. Ktoś w końcu naprawdę dokonał napadu na Bazę, ktoś wywiózł tę pierwszą głowicę, ktoś zamordował nam dwóch oficerów i czterech żołnierzy, ktoś uprowadził Pauschkego. To wszystko zdarzyło się naprawdę. A pan, pułkowniku, okazuje tyle bez troski.

- Przede wszystkim - powiada Pionteck, bawiąc się popielniczką z łuski artyleryjskiej - nie mam obowiązku odpowiadania na pańskie pytania. Panowie, zdaje się, zapominają, że w naszej Organizacji tylko przełożeni mają prawo zadawania pytań, zupełnie na odwrót niż w tym świńskim wojsku, które teraz mamy. Ale dobrze, odpowiem, żeby wyjaśnić sprawę. Otóż mój osobisty pogląd jest taki, że maczali w tym palce Francuzi. Pan ich nie zna, pułkowniku, a ja ich znam. Że tak powiem, od tyłu, ponieważ jako bardzo młody chłopak kopałem ich ostro po tyłkach w maju 1940 roku. Te przeklęte zabojady mają w polu jedno tylko zmartwienie: żeby się nie znaleźć zbyt blisko miejsca, gdzie strzelają. Ale ich przebiegłość jest nie do wyobrażenia. Dlatego myślę, że wykombinowali sobie jakąś chytrą sztukę, żeby nas skompromitować i ośmieszyć. Przecież aż sobie język przygryzali razem z Iwanami, żeby nam uniemożliwić otrzymanie głowic N. Może już jutro polecą do Amerykanów i powiedzą: no tak, a przecież ostrzegaliśmy, żeby Niemcom nie ufać. Żeby im nie dawać broni neutronowej. Żeby nie wierzyć w te ich przechwałki o niezawodności systemu LCS. Nie przewidzieli tylko, że rąbną nam jedną głowicę, a my im odpowiemy dziesięcioma. Zdębiają, kiedy się o tym dowiedzą. Czy jest jasne?

- Jasne, panie pułkowniku - odpowiada Fretzig, zachowując dla siebie komentarz. Fretzig jest inżynierem wojskowym z zawodu, jego ścisły umysł nieraz już buntował się przeciw nedorzecznym teoriom Piontecka, ale w Organizacji dyscyplina jest jednak o wiele surowsza niż w Bundeswehrze.

- Kończymy - powiada Pionteck, nie zwracając najmniejszej uwagi na nowego dowódcę dywizji. - Dzień, który się tak dobrze zaczął, musi się udać do końca. *Sieg heil, meine Herren!*

XVIII

Bonn, 12 czerwca, godz. 11.18 GMT

AKCJA NIETOPERZ - RAPORT NR 2

Tajne najwyższego znaczenia - jeden egzemplarz

Tylko przez oficera!

Tylko dla kanclerza federalnego!

1. Informuję, że unieruchomienie systemu LCS w Tajnej Bazie nr 6 nastąpiło wskutek przebicia pojemnika z kryptonem, do czego napastnicy użyli wiązki promieni lasera. Wskazuje to bezspornie, że sprawcami napadu byli agenci nieprzyjaciela, gdyż zbudowanie lasera o takiej dokładności jest technicznie niemożliwe w warunkach amatorskich.

2. Wywiad wojskowy nie ma chwilowo wiadomości o innych poczynaniach nieprzyjaciela, jednakże wobec nieprzyjaznego ataku strony przeciwnej proszę o zezwolenie, aby zarządzić alarm średniego stopnia we wszystkich siłach zbrojnych.

3. Los porwanych głowic jest nadal nieznan.

4. Podczas czynności śledczych, prowadzonych przez specjalną ekipę techniczną Generalnego Inspektoratu w Tajnej Bazie nr 6, wybuchł gwałtowny pożar w domu prywatnym, odległym o 850 m od terenu Bazy. W płomieniach zginął właściciel, 86-letni Kurt Weber, który przypuszczalnie udostępnił swój dom zamachowcom. Pożar nastąpił w wyniku bardzo silnej eksplozji ładunku zapalającego. Proponuję wykorzystać tę okoliczność dla potrzeb kampanii propagandowej. Szczegóły w następnym raporcie, w miarę potrzeby.

5. Informuję, że wczoraj, tzn. 11 bm., z dobrze strzeżonego magazynu części zamiennych 14 dywizji znikł w niewyjaśnionych okolicznościach specjalny nadajnik radiowy tajnej konstrukcji, umożliwiający otwarcie bramy wjazdowej do Bazy. Nadajnik znajdował

się w stalowym schowku, który nie wykazuje śladów włamania. Jest niemal pewne, że został on użyty podczas zamachu. Klucz do magazynu oraz elektroniczny klucz do sejfów miał w chwili popełnienia kradzieży kapitan Wiebold, który zdezerterował dziś rano. Potwierdza to ostatecznie, że grupa napastnicza współdziałała z zakonspirowanymi agentami obcymi w sztabie 14 dywizji.

6. Ekipa śledcza stwierdziła, że przy połączeniach pulpitu głównego w pomieszczeniu kontrolnym Bazy dokonywano niedawno bez wiedzy służb technicznych nieuprawnionych przeróbek. Tym należy tłumaczyć, że mimo całkowitego unieruchomienia systemu LCS, na pulpicie płoną nadal dwie lampki kontrolne, sygnalizujące prawidłową pracę stanowisk nr 17 i 19, podczas gdy oba te stanowiska zostały przez napastników odłączone od systemu LCS. Wskazuje to, że już na kilka tygodni przed napadem agenci nieprzyjaciela w sztabie dywizji próbowali uszkodzić system i zostali prawdopodobnie spłoszeni.

7. Ślady pozostawione przez napastników na terenie Bazy są bardzo liczne, lecz trudne do rozszyfrowania w obecnej chwili. Grupa liczyła prawdopodobnie około trzydziestu osób. Część napastników nosiła obuwie cywilne, większość jednak miała na nogach zwykłe buty żołnierskie Bundeswehry, co wskazuje, że dywersanci mogli się przebrać również w żołnierskie mundury.

8. Mimo intensywnej pomocy lekarskiej, żaden z zatrutych wartowników nie odzyskał dotąd przytomności. Zdaniem lekarzy zostali oni odurzeni bardzo silnym środkiem psychotropowym o nieznanym składzie, przy czym jest już pewne, że środek ten zawiera psylocybinę, czyli bojowy środek psychochemiczny, niedostępny dla osób prywatnych.

9. Informuję, że w składzie ekipy śledczej powstały ostre rozdziewięki na tle sposobu prowadzenia śledztwa. Oficerowie 14 dywizji w niektórych wypadkach utrudniają śledztwo, choć istnieje wiele podejrzanych okoliczności. W porozumieniu z moim szefem gabinetu, pułkownikiem Schlaflerem, zamierzam powołać nową ekipę i wysłać ją natychmiast do TB 6.

Peter Grauder, minister obrony

XIX

Człowiek, który jeszcze godzinę temu nazywał się Heinrich Wiebolda i był kapitanem piechoty zmotoryzowanej, a obecnie nazywa się Gottlieb Zauschmann i jest biznesmenem

branży chemicznej, ściślej, przedstawicielem firmy *Demax AG* - otóż ten człowiek siedzi samotnie w restauracji na lotnisku międzynarodowym we Frankfurcie nad Menem, pije czwarte piwo, dłubie w talerzu i czeka na samolot do Johannesburga. Samolot odlatuje dopiero za sześć godzin, ale pan Zauschmann woli jednak w tej sytuacji nie kręcić się po mieście, gdzie ma mnóstwo znajomych dziewcząt, ani też nie spacerować po ogromnym holu.

Pan Zauschmann nie jest szczególnie przejęty nieoczekiwanym rozkazem, jaki otrzymał od podpułkownika Piontecka. W gruncie rzeczy jest mu wszystko jedno, gdzie będzie mieszkał, a w tym całym Windhoek warunki zapowiadają się całkiem niezłe. Były tylko były uczynne dziewczęta, paru dobrych kompanów do brydża, skata i butelki, tenis, ruch, basen i trochę grosza, a żyć można nawet na Antarktydzie lub nad Amazonką. A w Windhoek ma czekać własna willa ze służbą, spory pieniądz na początek, samochód i koń wierzchowy na dokładkę. I do tego wszystkiego jeszcze sława bohatera, ponieważ człowiek, który musiał uciekać z Republiki Federalnej z powodu swych przekonań politycznych, musi być w tamtych stronach bohaterem. To jest podobno dalszy ciąg III Rzeszy, nawet flagi ze swastyką wywieszają się z okien w rocznicę urodzin Führera. Szkoda tylko, że koledzy, którzy znają Afrykę Południowo-Zachodnią, narzekali na tamtejsze niemieckie dziewczyny; podobno są trzymane bardzo krótko i zaraz chcą galopować do ołtarza. No, zobaczymy. Różne się już fortece zdobywało.

Nowo upieczony przemysłowiec rozmarza się na moment, ale zaraz sprowadza go na ziemię przykra, dokuczliwa myśl, która nie daje mu spokoju, odkąd przyjechał na lotnisko. Pan Zauschmann jest człowiekiem szczupłym, niezbyt wysokim, o zabójczym spojrzeniu wesołych, brązowych oczu i ślicznych rzęsach. Jego twarz jest może nieco zbyt owalna, lecz lśniąca, starannie uczesana czupryna i czarny, szelmowski wąsik dodają tej twarzy tyleż chłopięcej zalotności, co męskiej, stanowczej zdobywczości. Doświadczenie wskazuje, że damy wprost szaleją za taką kombinacją.

Właśnie ten troskliwie pielęgnowany wąsik byłego kapitana Wiebolda jest przyczyną zmartwień pana Zauschmanna. Zabrakło czasu, aby zgolić tę chlubę kawalerskich lat w koszarach lub podczas szaleńczej jazdy na lotnisko, a teraz byłoby rzeczą mocno ryzykowną udać się do fryzjera i zażądać, aby użył brzytwy akurat w tym celu. Pełno tu agentów, węszących terrorystów i szmuglerów narkotyków. Fryzjerowi może się wydać podejrzan, że młody, piękny mężczyzna akurat przed odlotem w jakieś dalekie kraje decyduje się na tak niecodzienny zabieg. A nuż mrugnie na pomocnika, aby sprowadził gliniarzy? Albo, co jeszcze gorsze, patrol żandarmerii? Ten wąsik pozwalał zawsze rozpoznać Heinricha Wiebolda, nawet w najgęstszym tłumie. Najpobieżniejszy rysopis, z rodzaju tych, jakie się

przekazuje telefonicznie, musi zawierać ten szczegół na pierwszym miejscu.

Jest przecież pewne, że rysopis został już podany żandarmom i policjantom na wszystkich dworcach, lotniskach i punktach granicznych. Ostatecznie, kapitan Wiebold zdezerterował podczas pełnienia służby, jest zamieszany w dość jednak niesłychaną sprawę z tymi głowicami, nie ma czystego sumienia w sprawie nadajnika, uchodzi w tej chwili za agenta *Stasi*⁷. Nie, nie. Pan Zauschmann naprawdę wolałby nie mieć do czynienia z żadnym sędzią śledczym i żadnym sądem. Jeśli skłamię - dostanie co najmniej piętnaście lat za pracę dla strefy wschodniej, bo wszystkie dowody zostały już przez kolegów zebrane i podsunięte pod nos komisji śledczej. Jeżeli powie prawdę - Tajna Organizacja postara się już, żeby urokami życia nie cieszył się zbyt długo. Zna już takie wypadki.

Były kapitan podejmuje desperacką decyzję. Płaci rachunek (kelner zaczynał już rzucać podejrzliwe spojrzenia w stronę swego zagadkowego klienta), szybkim, zdecydowanym krokiem przechodzi do hali lotniskowej. Ponieważ jego osobiste przybory do golenia znajdują się w walizce, którą pochłonał już transporter automatycznej sortowni bagażu, Zauschmann kupuje w trafice krem do golenia, maszynkę Schicka z podwójnym ostrzem, pędzel, podręczne lusterko i wodę kolońską. W kiosku spożywczym nabywa butelkę wody sodowej. Upycha to wszystko po kieszeniach swego cywilnego garnituru i wchodzi do toalety, starannie zamykając za sobą drzwi kabiny.

W chwili, kiedy zaczyna mydlić twarz, uświadamia sobie nagle, że w paszporcie Zauschmanna widnieje zdjęcie Wiebolda z wąsami. Oczywiście, mógł je zgolić w okresie między wystawieniem paszportu i dniem odlotu do Johannesburga. Ale czujne oko kontroli granicznej na pewno wykryje ten szczegół. To całkowicie wystarczy, żeby się zainteresowali twarzą pasażera.

Zauschmann opuszcza toaletę, czując, że nogi uginają się pod nim jak po skoku ze spadochronem. Kupuje największą gazetę, jaką widzi w kiosku - zdaje się, że jest to londyński *Times* - zasłania twarz rozwartą płachtą i zapada w najbliższy fotel. Po minucie zmienia miejsce. Lepiej jednak siedzieć w pobliżu drzwi, prowadzących na taras obserwacyjny.

Przez mózg byłego kapitana przewija się w przyspieszonym tempie film z wydarzeń ostatnich dni, a właściwie ostatnich miesięcy.

Heinrich Wiebold przez całe swe życie nie interesował się polityką i byłoby mu trudno odpowiedzieć, dlaczego właściwie wstąpił do Tajnej Organizacji, kiedy mu to zaproponowano, i dlaczego składał tę dość jednak rozśmieszającą przysięgę. Nie cierpiał

⁷ Używana w RFN nazwa organów bezpieczeństwa państwowego NRD.

Czerwonych, to oczywiste; wypędzili jego rodziców z małego pomorskiego miasteczka, gdzie Wieboldowie mieli ponoć piękny pałacyk, stary ogród i sad z jakimiś nadzwyczajnymi gruszkami. Nie żywił nic oprócz niechęci i lekceważenia dla NRD. W szkolnych latach wolał grać w piłkę, niż spotykać się z kolegami, którzy czytali Marksa i - jak on się tam nazywał - aha, Lasalle'a. Ojciec mówił zresztą, że obaj ci panowie byli Żydami. Nic złego, pewnie, ale w rodzinie Wieboldów rozmawiało się na ten temat z wieloznacznym uśmiechem, więc widocznie coś w tym musiało być. Po śmierci rodziców w wypadku samochodowym Heinrich nie zastanawiał się długo nad wyborem zawodu. Nie miał głowy do książek, nie chciał otwierać kancelarii adwokackiej, budować mądrych maszyn ani ślęczyć nad mikroskopem. Był wysportowany, miły w obejściu, lecz stanowczy, kiedy trzeba, nie nudził się w koszarach. Został oficerem. Awansował w przewidzianych terminach, w wojnę nie wierzył, liczył, że jeszcze przed pięćdziesiątką dochrapie się podpułkownika i przejdzie na wczesną emeryturę. Nie jest to najgorsza recepta na życie.

Tajna Organizacja zajmowała się jakimiś sprawami, których Wiebold nigdy nie mógł zrozumieć do końca. Ale wystarczało mu, że kierunek działań Organizacji odpowiadał z grubsza poglądom głoszonym niegdyś przez ojca. Zresztą, dawni oficerowie frontowi w rodzaju Piontecka dawali gwarancję, że Organizacja nic szkodliwego nie czyni. Wielu znajomych ojca uważało Republikę Federalną za kraj ciągle jeszcze okupowany czy jakoś tam zmuszony do obcych narodowi form życia społecznego, więc i koledzy z Organizacji, tak niechętnie ustosunkowani do kapitulancckiego postępowania rządu federalnego, nie budzili w Wieboldzie dociekań. Było zresztą zbyt wiele ślicznych dziewcząt dokoła i zbyt wielu dobrych kolegów, aby sobie zaprzętać głowę takimi rozmyślaniami.

Wiebold brał udział w tajnych odprawach w dywizji, sumiennie wykonywał różne drobne polecenia, słuchał nawet wykładów ideologicznych pułkownika Piontecka, choć to akurat przychodziło mu z wielkim trudem. Znajdował zresztą swoistą przyjemność w uprawianiu konspiracji; chwilami wydawało mu się, że uwzniośla ona jego nieskomplikowane i dość przecież wygodne życie, jeśli je porównać z życiem oficerów starszej generacji.

Po raz pierwszy zagościł w duszy Wiebolda pewien niepokój w lutym bieżącego roku, kiedy to w trybie nagłym wysłano go na pół nocy do Tajnej Bazy nr 6 jako oficera dyżurnego. Początkowo wzdragał się przed wykonaniem tego polecenia; oficerów Bazy szkolono długo i dokładnie, w pomieszczeniu kontrolnym można było dostać zawrotu głowy od guziczków i światełek. Ale podpułkownik Fretzig, członek Organizacji, który przyjechał razem z Wieboldem na dyżur, szybko nauczył go podstawowych czynności: wysyłania raportów i

odbierania meldunków od patroli. Sam Fretzig odkręcił pokrywę pulpitu i prawie do końca zmiany dłużył w jakichś niepojętych kabelkach, przełącznikach i wtyczkach. Wiebold nie wiedział wprawdzie, czym zajmował się Fretzig - wyglądało to na konserwację lub poszukiwanie błędnego połączenia - ale nie mógł się uwolnić od niejasnego poczucia, że uczestniczy w czymś jakby niezbyt czystym. Potem jednak zapomniał o swych wątpliwościach. Zwłaszcza że do Rhemsdorf zjechała zupełnie wyjątkowa czarnulka imieniem Urszula, którą zatrudniono jako kelnerkę w kasynie.

Uczucie niepewności wróciło z nową siłą w marcu, kiedy to porucznika Wiebolda wezwano do Ministerstwa Obrony w Bonn. Przyjął go sam szef gabinetu ministra, pułkownik Schlaffler, w którym Wiebold od pierwszej chwili podejrzewał szefa Tajnej Organizacji, choć nie właściwie, może oprócz sposobu bycia pułkownika, nie uzasadniało takiego przypuszczenia.

Schlaffler nie szczędził pochwał. Zwracał uwagę na ładne osobiste cechy porucznika Wiebolda - szczerść, koleżeńskość, ofiarność w służbie, patriotyzm, staranny dobór przyjaciół. Wiebold nie sądził, że w ministerstwie aż tak dużo na jego temat wiadomo. Po czym Schlaffler przeszedł do ogólniejszych rozważań i oświadczył, że u każdego mężczyzny, a już u oficera w szczególności, umiejętność zachowania tajemnicy jest podstawową cechą, która pozwala odróżnić prawdziwego mężczyznę od tych głupich, rozplotkowanych gadułów, których tyle widzimy dokoła. Schlaffler wie, jakie są poglądy polityczne Wiebolda i ma dowody, że wobec swych podobnie myślących przyjaciół w dywizji zachowywał zawsze całkowitą lojalność. To bardzo ważne, że nigdy, w żadnych okolicznościach, z ust Wiebolda nie wyszła nawet najmniejsza aluzja do różnych spotkań czy poczynań, jakie odbywają się w zaufanym gronie oficerskim 14 dywizji. Jest to ważne, ponieważ Schlaffler zamierza mu powierzyć jeszcze tajniejsze zadanie, o którym nie wolno powiedzieć nigdy, nikomu i pod żadnym pozorem. Co więcej, Wiebold - ach, przy okazji: oto nominacja na stopień kapitana, gratuluję! - nie może dopuścić, aby którykolwiek z jego przyjaciół w dywizji powziął najmniejsze nawet podejrzenie, że Wieboldowi zlecono jakieś zadanie specjalne. Trzeba mieć uszy otwarte, ale usta zamknięte. Chodzi o sprawy wielkiej wagi państwowej, o których wywiad nieprzyjacielski chciałby się dowiedzieć za wszelką cenę.

Zadanie, które Schlaffler powierzył Wieboldowi, było co najmniej zadziwiające. W bliżej nieokreślonej przyszłości - mógł to być miesiąc, rok lub trzy lata - miał się do niego zgłosić telefonicznie ktoś, kto powie, że jest przyjacielem kapitana Lamcha. Należy wtedy odpowiedzieć, że kapitan Lamch wyjechał służbowo do Hamburga. Nieznajomy odpowie, że bardzo tego żałuje, lecz sądzi, że mógłby swą sprawę załatwić z żoną Lamcha, Małgorzatą.

Dopiero wtedy Wiebold ma oświadczyć, że jest gotów. Powinien wtedy wykonać każde, ale to każde, polecenie nieznajomego, nawet gdyby było najdziwniejsze i najbardziej sprzeczne z regulaminem wojskowym. Nawet wówczas, gdyby nieznajomy domagał się wysadzenia czegoś w powietrze. Jeśli w rezultacie wykonania rozkazu Wieboldowi groziłoby jakieś niebezpieczeństwo lub sankcje, są sprawne i bezbłędnie działające siły, które załatwią Wieboldowi wszystko, co będzie niezbędne. Pułkownik Schlaffler nie musi dodawać, że i dzisiejsza rozmowa stanowi tajemnicę najwyższej wagi.

Wiebold odebrał swą nominację, odmeldował się przepisowo i wrócił do Rhemsdorf, gdzie rozpoczęła się tego samego wieczoru długa i dość jednak wyczerpująca seria uroczystości koleżeńskich związanych z awansem. Wkrótce zresztą zapomniał o rozmowie ze Schlafflerem.

Kiedy otrzymał pocztą przekaz na dwa tysiące marek z fikcyjnym adresem nadawcy, także zastanawiał się tylko przez chwilę. W ogóle myślenie nie było jego ulubionym zajęciem, a pieniądze bardzo się przydały, gdyż koleżeńskie spotkania z okazji awansu poważnie nadszarpnęły jego oszczędności.

A potem wszystko potoczyło się błyskawicznie.

W czwartek przed południem, chyba około jedenastej, wywołano Wiebolda z toru przeszkód, gdzie doglądał treningu żołnierzy, do telefonu w koszarach. Niski, nieprzyjemny głos spytał o kapitana Lamcha, a potem od niechcienia powiedział coś o Małgorzacie Lamch. Wiebold poczuł nagle, że oblewa go pot, dzień był zresztą upalny i duszny. Nieznajomy spytał, czy Wiebold jest sam w dyżurce, a kiedy otrzymał potwierdzenie, polecił kapitanowi wziąć do ręki ołówek i zanotować polecenie. Nie było specjalnie skomplikowane. Trzeba było wejść wieczorem do węzła łączności pod gmachem sztabu dywizji, otworzyć szóstą skrzynkę po prawej stronie, licząc od wejścia, a następnie rozłączyć dwa kable - biało-czarny i szarozielony - przykręcone tak zwanym oczkiem do gniazdka. Pokrywę skrzynki należało starannie umocować na powrót, a całą tę operację trzeba było zakończyć nie później niż do godziny 4.00 w nocy z czwartku na piątek.

Wiebold odetchnął. Jeśli tylko takie polecenia miały przychodzić od nieznajomego, można było wytrzymać. Ponieważ rozpoczynał o godzinie osiemnastej służbę oficera dyżurnego dywizji, postanowił spokojnie poczekać do wieczora. Pogwizdując wesoło, wrócił na tor przeszkód.

Jednakże o godzinie siedemnastej, kiedy odpoczywał w swym koszarowym pokoju przed objęciem służby i czytał bardzo zajmujący kryminał, znów zadzwonił telefon. Nieznajomy głos - zupełnie inny niż ten przed południem, niewolny od zdenerwowania -

spytał o kapitana Lamcha i jego żonę, po czym zażądał, aby za dziesięć minut Wiebold zjawił się w kawiarni *U Piotrusia*, znajdującej się o pięćset metrów od koszar.

Tym razem Wiebold przestraszył się nie na żarty. Wkładając mundur pomyślał, że może warto by było zawiadomić wartownika, dokąd się udaje, ale musiał porzucić tę myśl. O takich kontaktach nie miał prawa wiedzieć nikt - dosłownie nikt.

Wszedł do kawiarni, rozejrzał się i pomyślał, że padł ofiarą halucynacji lub głupiego dowcipu. W niewielkiej salce było pusto. Tylko w kącie siedział jakiś hippisowaty, młody człowiek, bardzo wysoki, zarośnięty, nachylony nad kuflem piwa Löwenbräu.

Minęła minuta. Dwie minuty. Cztery minuty. Wiebold zapłacił za kawę i chciał już wyjść. Ale nagle ów młody człowiek podniósł się i podszedł do stolika Wiebolda tak szybko, jak gdyby został wystrzelony.

- To ja pytałem o kapitana Lamcha - powiedział, nie podając Wieboldowi ręki. Był wyraźnie zdenerwowany, choć w jego twarzy tkwiło jakieś okrucieństwo czy po prostu brutalność. - Sprawa jest taka. Najpóźniej za godzinę potrzebuję od pana nadajnika radiowego, jaki jest montowany w pojazdach wojskowych, jadących do bazy... no, do tej bazy, gdzie są przechowywane głowice. Pan wie, o jakich głowicach mówię.

Wiebold zaniemówił. Nadajniki, przechowywane w specjalnym schowku, były prawdopodobnie najtajniejszym przedmiotem, jaki w ogóle istniał w Bundeswehrze. Były numerowane, pieczętowane, plombowane i coś tam jeszcze. Kim jest ten dziwny człowiek, budzący w Wieboldzie nieodpartą odrazę? Skąd zdobył hasło? Co go może łączyć ze Schlaflerem? Skąd ten pośpiech?

- Nie wiem - powiedział niepewnie Wiebold. - Za godzinę zaczynam służbę oficera dyżurnego, nie będę mógł opuścić pomieszczeń sztabowych.

- Nic mnie to nie obchodzi - powiedział ostro nieznajomy. - Proszę wykonać rozkaz i nie mądrzyć się!

Słowo „rozkaz“ rozproszyło na chwilę wątpliwości Wiebolda. Hippisi pewno w ogóle nie znają takich słów.

- Tak, rozumiem - powiedział. - Ale musimy wspólnie wymyślić sposób na przekazanie tego przedmiotu.

- Proszę, niech pan myśli.

- Czy może tu pan być o godzinie osiemnastej trzydzieści?

- Mogę. Ale punktualnie, co do minuty.

- Zgoda. Proszę siedzieć przy tym samym stoliku i być w tym samym stroju. Podejdzie do pana niewysoka, urodziwa czarnulka i spyta, czy jest pan, powiedzmy,

Robertem Wiesenblumem. Pan potwierdzi i odbierze przesyłkę. Gdyby nie udało mi się przysłać tej dziewczyny, proszę zadzwonić do mnie jeszcze raz, tylko na inny numer, do pokoju oficera dyżurnego.

Nieznajomy mruknął coś pod nosem, zapisał numer na dłoni i znikł równie szybko, jak się pojawił.

Wiebold musnął wąsy i nieco niepewnym krokiem wrócił do koszar. W kasynie poszukał Urszuli.

- Kotku - powiedział, całując ją w łokieć - musisz mi wyświadczyć pewną przysługę. Jest to trochę głupia sprawa i muszę cię prosić o dyskrecję. Otóż mój siostrzeniec... ach, rzeczywiście nie mówiłem ci, że mam siostrę? Ano mam. Dużo ode mnie starszą. Ale nie za bardzo się lubimy. A już jej syn jest, delikatnie mówiąc, nieporozumieniem. Głupi, wykolejony oberwaniec. Mniejsza z tym, kiedyś ci to opowiem. Posłuchaj. Ten gówniarz zjawił się w Rhemsdorf z najdziwniejszą sprawą pod słońcem. Pożyczył od kogoś lornetkę polową Zeissa i zgubił ją, choć osobiście sędzę, że sprzedał. To jest dość droga zabawka, a teraz tamten właściciel domaga się zwrotu. Siostra błaga, abym jej synowi na razie pożyczył swoją, bo w przeciwnym razie sprawa trafi na policję i ten cholerny gnojek wykolei się do reszty. Z różnych względów nie mogę tej prośbie odmówić. Czy będziesz tak dobra i wpadniesz na chwilę do *Piotrusia* punktualnie o osiemnastej trzydzieści? Ja mam dziś służbę i nie mogę pójść sam.

- Dla ciebie wszystko, Heinrichu, choć naprawdę na to nie zasługujesz. Zaczęłeś się kręcić koło Barbary!

- Ohydne, bezpodstawne oszczerstwo. Tylko ciebie kocham, Urszulo. Wpadnę do ciebie z lornetką jakieś dwadzieścia po szóstej.

I tak się zaczęły zwariowane godziny, które sprawiły, że niejaki Gottlieb Zauschmann siedzi obecnie na lotnisku i przeklina pomysł zapuszczenia wąsów.

Wiebold już na pierwszej odprawie zorientował się, do czego posłużył nadajnik. W żaden sposób nie mógł jednak pojąć, dlaczego podpułkownik Pionteck i wszyscy inni oficerowie nie wiedzieli nic o sprawach porwania pierwszej główicy.

Najgorsze, że tę zawikłaną grę, z której nic nie można było zrozumieć, przypłacił życiem sympatyczny kapitan von Wiprecht i czterech żołnierzy. No i pewno ten cały Pauschke. Głupia sprawa. Boże, jaka głupia. Ciekawe, do czego właściwie zmierza pułkownik Schlaffler.

Wiebolda opada nagle straszna, potworna myśl. A może to właśnie Schlaffler pracuje dla Berlina wschodniego? Może Wiebold posłużył po prostu jako bezwolne narzędzie i

umożliwił przez swą głupotę porwanie głowy? Co to za nadzwyczajne konspiracje, o których nie wiedzą tak doświadczeni oficerowie z Tajnej Organizacji?

Zwariować można od takich myśli. Zauschmann odkłada na chwilę *Timesa*, ale jeszcze szybciej zakrywa się gazetą z powrotem. Przez halę dworcową idzie miarowo dwóch ludzi z GSG. Mikropistolety kołyszają się rytmicznie przy pasach. Ciekawe: GSG w pasach? Przecież ich mundury nie mają zewnętrznych kieszeni, a pasów się w tej służbie nie nosi; przeszkadzają przy walce wręcz. Czy to nie przebrana żandarmeria?

Przeszli. Samolot do Johannesburga odlatuje za pięć godzin i dwadzieścia osiem minut. Gottlieb Zauschmann nie odczuwa już żadnego podniecenia przed tą wspianą podróżą. Nie wie, jak przetrwa tyle czasu. Myśl, że ktokolwiek mógłby go zacząć wypytywać o wydarzenia ostatnich dwunastu godzin, przyprawia go o mdłości.

XX

Piątek, 12 czerwca, godzina 11.45 czasu środkowoeuropejskiego. Chally siedzi w małej wiejskiej gospodzie, o trzy kilometry przed miasteczkiem Werdenberg. Kontrolę drogową oczywiście udało się bez kłopotu ominąć, jak zawsze, ale coś trzeba zrobić z czasem, który jeszcze został do spotkania *Grupy M*.

Chally pije już trzecią porcję maślanki i ponownie oświadcza grubej, natrętej gospodyni, że jest to najlepsza maślanka, jaką pił w życiu. Coś przecież musi powiedzieć, aby się nie dziwiła, że spędza tu tyle czasu, zwłaszcza że pojawił się pieszo i nie odpowiada na żadne wścibskie pytania. Teraz nawet po wsiach mają w oczach fotografie z listów gończych. Chally co prawda różni się trochę od tego starannie ogolonego pana, którego podobizna widnieje w liście gończym. Ale tym ludziom, znudzonym wsią i łaknącym sensacji, wiele nie trzeba.

- Cudo nie maślanka - mówi jeszcze raz Chally i zamawia rogalik z masłem, choć ma ochotę na setkę rosyjskiej wódki.

Chally chyba po raz pierwszy w życiu czuje się znużony i przygnębiony. Gorzej. Odczuwa coś w rodzaju lęku. Och, nie przed gliniarzami. To się po nim nie pokaże. Jest to lęk przed tym cholernym, szpetnym karłem, Pichonem. Po co właściwie Chally wdawał się w tę aferę z nadajnikiem? Przecież Pichon naprawdę gotów jest rozrobić tę sprawę. A zginać z rąk własnej *Grupy* otrzymać wyrok za zdradę, patrzeć w lufę beretty i czekać, aż Ryba naciśnie

spust... nie, to nie jest wizja, którą Chally może przełknąć przy maślanec. Z kolei sprzątnięcie Pichona nie stanowi technicznego problemu, ale kto będzie wtedy wymyślał te wszystkie szatańskie plany działania dla *Grupy*? I jak to potem wytłumaczyć Khaledowi?

Chally nigdy jeszcze nie miał tak złego samopoczucia i przez moment przychodzi mu do głowy, że może to jest właśnie początek choroby popromiennej. Niby jeszcze za wcześnie, Pichon mówił, że dopiero po pięciu godzinach, ale może dawka była silniejsza?

- Właściwie wszystko jedno - myśli Chally. - Palnąłem koszmarny błąd i teraz muszę z tego jakoś wybrnąć.

A tej historii z nadajnikiem naprawdę nie można nikomu opowiedzieć. W końcu marca był w Düsseldorfie szef szefów, Khaled. Zainteresował się pomysłem Pichona na temat złamania systemu LCS i kazał Chally'emu dokładnie opowiedzieć o wstępnych przygotowaniach. Następnego dnia - co nie zdarzyło się jeszcze nigdy dotąd - Khaled znów zaprosił Chally'ego na obiad, i to do najdroższej restauracji w mieście. Wręczył mu pięćdziesiąt tysięcy marek na koszty przygotowań i kazał się informować w wiadomy sposób o postępach przygotowań do ataku na Bazę. Potem wrócił do Casablanki i zamilkł, jak zwykle.

Ale z początkiem maja łącznik przywiózł z Casablanki nie podpisany list, opatrzony umownym znakiem w nagłówku. Chally odczytywał ten list z piętnaście razy, aż w końcu nauczył się całego na pamięć.

„Prowadzić przygotowania maksymalnie we własnym zakresie. Na tydzień przed planowaną akcją zatelefonować pod numer 08-751-854-3 w Bonn i zapytać o pułkownika Schlafflera. Jeśli potwierdzi, że to on, spytać, czy kapitan Lamch jest na miejscu. Odpowie, że kapitan wyjechał służbowo do Hamburga. Powiedzieć, że sprawę może załatwić pani Małgorzata Lamch, żona kapitana. Wtedy podać numer telefonu pewnego człowieka w interesującym was miejscu, który udzieli pomocy, jeśli sam sobie nie poradzisz. Obowiązuje to samo hasło. Polecenia dla tego człowieka mają być krótkie i konkretne. Wchodzi w rachubę tylko jedno spotkanie, umówione w bardzo krótkim terminie. Uciec się do pomocy tego człowieka tylko w ostateczności. Ten list natychmiast zniszczyć. Nie powiadamiać o nim nikogo z przyjaciół, bo rozwalę łeb osobiście lub przez pełnomocnika. Spieszyć się z robotą“.

Chally doszedł do wniosku, że ów tajemniczy pułkownik Schlaffler, jeśli w ogóle istnieje i jeśli jest naprawdę pułkownikiem, musi pracować dla Khaleda na dużo wyższym szczeblu niż on, mała figura od brudnej roboty. Ale w jaki znów sposób pułkownik Bundeswehry mógłby działać dla Centrali? A może Centrala nawiązała jakiś kontakt z tymi zza Łaby? W każdym wypadku sprawa byłaby niejasna i podejrzana. Lecz Chally miał już

dawno za sobą okres dociekań, zadawania pytań i refleksji, które kiedyś w *Grupie M* nosiły nazwę konfrontacji ideologicznych.

Piątego czerwca, kiedy najważniejsze przygotowania zostały ukończone, Chally zadzwonił pod wskazany przez szefa numer i niezbyt pewnym głosem zaczął się dopytywać o kapitana Lamcha. Człowiek z drugiej strony odpowiedział bez chwili wahania, że ów człowiek na miejscu nazywa się Heinrich Wiebold, a numery telefonów są następujące. Po czym zapowiedział, że więcej do niego, Schlaflera, telefonować nie należy.

W czwartek, 11 czerwca, w obliczu groźby załamania się całego planu, Chally zdecydował się zadzwonić do Wiebolda i zażądać nadajnika. Pierwsze spotkanie z kapitanem w kawiarni *U Piotrusia* kosztowało go więcej niż wszystkie razem wzięte obławy, urządzone przez gliniarzy. Peszył go mundur rozmówcy, bliskość koszar, niewytłumaczalny rodzaj kontaktu. Czyżby ten ulizany picuś z wąsikiem miał być naprawdę związany z prawdziwą rewolucją?

Dopiero kiedy punktualnie o wpół do siódmej pojawiła się w kawiarni pulchna, czarnowłosa dziewczyna i powiedziała, że przynosi lornetkę od kapitana Wiebolda - Chally uwierzył, że nikt na niego nie zastawił pułapki. Ale cała ta sprawa tym bardziej przerastała jego wyobraźnię. Próba wytłumaczenia Pichonowi, że ma prywatne znajomości z oficerami Bundeswehry, byłaby nedorzecznością. Mogłaby w to ewentualnie uwierzyć Łucja, ale nikt poza tym.

Fakt jednak pozostawał faktem. Prosto z magazynu Bundeswehry dostarczono nadajnik, który umożliwił włamanie do tajnej bazy tejże Bundeswehry i porwanie głowicy.

Chally odstawia maślanekę i czuje, że musi wyjść na powietrze. Przychodzi mu na myśl, że z całej Grupy M tylko on jeden zna sposób komunikowania się z Khaledem i że w gruncie rzeczy mógłby nie pojawić się w Werdenberg. Tyle tylko, że Chally miał przy sobie czternaście marek, a resztę kasy trzymał Ryba. A Khaled znajdzie go nawet pod ziemią, gdyby porzucił *Grupę M* bez wyjaśnień.

XXI

Alarm żółty ogłasza się w amerykańskich siłach powietrznych trzy lub cztery razy do roku, *alarm zielony* - średnio raz na trzy lata. Ogłoszenie *alarmu zielonego* ujęte jest w szczegółowe instrukcje i wielokrotnie wypróbowane pod względem następstw. Każda minuta

jego trwania kosztuje 2,3 miliona dolarów, ponieważ obowiązuje on równocześnie we wszystkich bazach lotniczych, od wyspy Guam poprzez Okinawę i Grenlandię aż po Colorado i Kalifornię, a także na wszystkich lotniskowcach, w składach amunicyjnych i paliwowych, na stanowiskach dowodzenia wojsk raketowych, w węzłach łączności satelitarnej i na wysuniętych posterunkach dalekiego rozpoznania.

Alarm żółty ma zazwyczaj zasięg lokalny i ogranicza się do jednego obszaru operacyjnego. Może go ogłosić dowódca obszaru, dowódca którejkolwiek z flot morskich, a nawet oficer dyżurny wysuniętych stacji radarowych. Natomiast *alarm zielony* obejmuje całą kulę ziemską i może być ogłoszony tylko przez szefa Połączonych Sztabów - dla wszystkich sił zbrojnych równocześnie lub też dla któregośkolwiek z rodzajów wojsk. Nie istnieje techniczna możliwość, aby dowódca niższego szczebla mógł na własną rękę ogłosić *alarm zielony* poza własnym obszarem lub rodzajem wojsk. Ale i szef Połączonych Sztabów nie ma technicznej możliwości, aby na własną rękę ogłosić *alarm czerwony*, to znaczy przekroczyć ostatni próg gotowości, poza którym jest już tylko wojna. Ogłoszenie *alarmu czerwonego* (jedna minuta jego trwania kosztuje prawie 11 milionów dolarów) może nastąpić tylko w tym wypadku, jeśli zostaną równocześnie uruchomione aż trzy niezależne od siebie ogniwa systemu rozkazodawczego.

Pierwsze z nich znajduje się na głębokości 1200 metrów pod ziemią, niedaleko miejscowości Omaha w stanie Nebraska. Jest to centralne stanowisko dowodzenia Strategicznych Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych, zwanych w skrócie SAC. Właśnie tam umieszczono ów legendarny „klucz do losów świata“, jak to pisują rozentuzjzmowani dziennikarze. Jest to oczywiście przesada. Wewnątrz pomieszczenia dowódczego, po dwóch stronach pancерnej, niezniszczalnej szyby, izolowani od siebie nawzajem i zarazem odcięci od wszelkiego kontaktu ze światem zewnętrznym, siedzą dwaj oficerowie dyżurni - zawsze dwaj, ponieważ natura ludzka jest ułomna, najwytrawniejsi zaś znawcy ciała i duszy człowieka orzekli, że będzie jednak lepiej, jeśli klucze od piekła powierzy się dwóm żywym mężczyznom, a nie jednemu.

Oficerowie mają przed sobą niewielkie pulpity z kilkoma lampkami kontrolnymi, radiotelefonem, zegarem płatkowym i modulatorem częstotliwości. W centralnym miejscu pulpitu, otoczony jaskrawoczerwonym kołem, tkwi w zwykłym zamku typu *Yale* ów nadzwyczajny klucz. Ma on tylko pięć możliwych położeń, ale przekręcenie go z jednego położenia w inne wymaga równoczesnej akcji obu oficerów, co, jak twierdzą specjaliści, wyklucza pomyłkę, napad szалу, przypadek, samowolę, spisek, żart i każdy z osobna najfatalniejszy zbieg okoliczności.

Skrajne lewe położenie kluczyka oznacza sytuację normalną i nie jest oznaczone żadnym kolorem. System rozkazodawczy na całym globie ziemskim jest wtedy wyłączony; siły zbrojne, bazy, lotniska i znajdujące się w gotowości okręty i samoloty, a także i latające stacje namiarowe posługują się własnymi środkami łączności.

Pierwsza pozycja na prawo jest oznaczona kolorem niebieskim. Oficerowie przekręcają kluczyk na tę pozycję kilka razy w miesiącu, kiedy dokonuje się próbnych alarmów korpusu łączności lub okresowej konserwacji urządzeń.

Druga pozycja na prawo odpowiada *alarmowi żółtemu*, który można by przyrównać do lekkiego zaniepokojenia u człowieka. W eterze milkną wtedy wszelkie rozmowy wojskowe, poza tymi, które w tablicach kodowych oznaczone są specjalnym symbolem. W pomieszczeniu dowódczym automatycznie włączają się kamery wideofoniczne. Każde słowo oficerów dyżurnych i każdy grymas ich twarzy są odtąd notowane. Specjalne chronografy rejestrują przebieg alarmu z dokładnością do jednej sekundy i co sześć minut, na polecenie komputera, samoczynnie odwołują alarm, chyba że kluczyk zostanie ponownie przekręcony na pozycję drugą. Ustalono bowiem, że wszelkie niejasne sytuacje - a do takich odnosi się *alarm żółty* - nie mogą trwać dłużej niż sześć minut, ze względu na szybkość nowoczesnych środków przenoszenia broni jądrowej. Po sześciu minutach sytuacja albo musi się wyjaśnić, albo też konieczne są dalsze kroki.

Pozycja trzecia odpowiada *alarmowi zielonemu*. Zaczyna wtedy działać specjalna sieć łączności satelitarnej. Wszystkie stacjonowane w kraju i za granicą jednostki przechodzą na nową częstotliwość. Silniki dyżurujących bombowców zostają uruchomione, a piloci tych, które już znajdują się w powietrzu, odbezpieczają pancerne kasety z marszrutami bojowymi, nie otwierając jednak samych kaset, ponieważ może to uczynić tylko centralny komputer. Obsługa wyrzutni raketowych nakłada hełmy i biegnie na stanowiska. Okręty podwodne, pływające w długotrwałym zanurzeniu, przerywają łączność z bazami i obierają kurs przewidziany na *wypadek W*. Posterunki dalekiego rozpoznania otrzymują wzmocnioną załogę i zostają podłączone - wszystkie równocześnie - do ogromnej mapy świata, znajdującej się również w Omaha, tyle że w innej sali, o dwa piętra powyżej pomieszczenia dowódczego. Każdy ich meldunek pojawia się na mapie w postaci punktu świetlnego, którego intensywność i barwę reguluje komputer w zależności od stopnia zagrożenia.

Położenia kluczyka od zerowego do trzeciego objęte są na pulpicie białym łukiem, po którym biegnie wyraźny napis PEACE - pokój. Tylko w tym zakresie dowództwo SAC może działać na własną odpowiedzialność i według własnego rozeznania.

Na prawo od napisu POKÓJ znajduje się pozycja czwarta. Ściśle biorąc, są to

właściwie dwie pozycje. W skrajnym prawym położeniu kluczyk zatrzymuje się na pozycji *alarmu czerwonego* i nie można go przekreślić jeszcze dalej, ponieważ opiera się o gruby, stalowy sworzeń wystający z pulpitu. Sworzeń automatycznie usuwa się w głąb pulpitu tylko wtedy, kiedy dwa pozostałe ogniwa systemu rozkazodawczego nadadzą równocześnie sygnał zwalniający. Wówczas kluczyk można obrócić jeszcze bardziej w prawo, na ostatnią pozycję, oznaczoną czerwonym łukiem i wyraźnym, czytelnym napisem WAR - wojna.

W całej historii SAC zanotowano jeden wypadek, kiedy kluczyk znalazł się w tej pozycji. Było to 22 października 1962 roku podczas tak zwanego kryzysu karaibskiego.

Dowództwo SAC nie może polecić oficerom dyżurnym, aby przekreślili kluczyk na pozycję *czerwonego alarmu* czy tym bardziej na pozycję WOJNA, po prostu dlatego, że po osiągnięciu pozycji trzeciej, to znaczy *alarmu zielonego*, ulega on automatycznej blokadzie. Mechanizm powodujący tę blokadę jest zaplombowany, ukryty wewnątrz zaspawanej skrzynki, opatrzony ładunkiem nadzwyczaj silnego materiału miotającego, który wybuchą przy próbie nieuprawnionego demontażu skrzynki.

Zwolnienie blokady następuje dopiero wtedy, gdy nadejdzie sygnał radiowy od prezydenta, a może on nadejść bez względu na miejsce, w którym prezydent znajduje się w danej chwili. Właśnie do tego celu służy czarna walizeczka, którą nosi za prezydentem nawet na końcu świata jego adiutant wojskowy. Jeśli wewnątrz niej zapłonie zielone światelko, adiutant uruchamia specjalny rodzaj łączności, nie podlegający żadnym zakłóceniom i funkcjonujący na bliżej nieznanym zasadzie fizycznej. Prezydent wyjmując z zapieczętowanej koperty wiązkę niewielkich blaszek i jedną z nich na chybił trafił wkłada do czytnika w walizce. Następnie naciska na klawiaturze rząd cyfr. Ich kolejność jest najściślej strzeżoną tajemnicą Stanów Zjednoczonych. Tylko trzech ludzi w całej Ameryce musi się tych ośmiu cyfr nauczyć na pamięć: prezydent, wiceprezydent oraz szef Połączonych Sztabów. Żeby zagwarantować ich całkowitą przypadkowość, powierzono im wylosowanie małym dzieciom w wieku przedszkolnym.

Dopiero wtedy zainstalowany w walizce adiutanta komputer analizuje zapis na przypadkowo wybranym module programowym i wysyła do Omaha sygnał pozwalający na ogłoszenie *alarmu czerwonego*.

W ciągu ostatniego ćwierćwiecza *alarm czerwony* ogłaszano w amerykańskich siłach zbrojnych sześciokrotnie.

Ale nawet prezydent Stanów Zjednoczonych i dowództwo Strategicznych Sił Powietrznych nie mogą wspólnie spowodować cofnięcia się sworzni na pulpicie w Omaha ani przekreślenia kluczyka w położenie WOJNA. Potrzebny jest do tego jeszcze trzeci partner

- stanowisko dowodzenia w Pentagonie, zrosnięte niewidzialnymi nerwami ze stanowiskiem dowodzenia Naczelnej Kwatery Paktu po drugiej stronie oceanu. W praktyce - choć głośno się o tym nie mówi - oznacza to tylko szefa Połączonych Sztabów lub jego upoważnionego zastępcę, czyli szefa sztabu marynarki, lotnictwa, piechoty morskiej, wojsk lądowych lub straży przybrzeżnej. Mowa oczywiście o armii Stanów Zjednoczonych.

Tylko równoczesne - z dokładnością do pięciu sekund - wysłanie sygnałów z trzech ogniw systemu rozkazodawczego pozwala oficerom dyżurnym w Omaha rozpocząć wojnę nuklearno-rakietową. To znaczy wojnę, w której atakuje się cele strategiczne. Odkąd wprowadzono do uzbrojenia Paktu taktyczną broń neutronową o niewielkiej mocy, w Europie Zachodniej i w Stanach istnieje 276 ludzi, którzy na własną rękę, bez żadnych właściwie ograniczeń, mogą użyć głowic neutronowych o mocy do 100 kiloton, w tym aż czterdziestu sześciu, którzy mają prawo decydować o użyciu głowic od 100 do 300 kiloton. Sądzi się bowiem, że użycie taktycznej broni neutronowej nie spowoduje użycia broni strategicznej przez stronę przeciwną. Dlatego cały wysiłek amerykańskich inżynierów wojskowych szedł w kierunku zbudowania szczelnego, jak to nazwano, systemu rozkazodawczego dla broni strategicznej.

Jest to system przemyślny, niezawodny, zbudowany przez najzdolniejszych wśród utalentowanych, oparty na najnowocześniejszych zdobyczach nauki i stanowiący chlubę amerykańskich sił zbrojnych. To właśnie on pozwala obywatelom Stanów Zjednoczonych spokojnie spać.

Jednakże tak zwane prawo Petera powiada, że jeśli jakiś mechanizm może się popsuć, to należy przyjąć, że popsuje się na pewno, w najmniej odpowiednim momencie i w możliwie najzłośliwszy sposób.

Tak właśnie stało się w ów pamiętny piątek, 12 czerwca, choć w zasadzie nie zawiódł żaden mechanizm i żadne urządzenie elektroniczne.

Około godziny 3.10 nad ranem czasu zachodnioamerykańskiego (w Waszyngtonie dochodziła 6.10 rano, w Europie Zachodniej 11.10) dwaj oficerowie dyżurni centrum radarowego NORAD⁸ na Alasce, w najdalej na północ wysuniętym stanowisku dalekiego rozpoznania, dostrzegli na ekranie kilka niewyraźnych punktów, zgrupowanych w dość nieregularny trójkąt. Normalnie obserwację prowadzi jeden oficer, ponieważ jednak od pewnego czasu obowiązywał *alarm zielony*, służbę pełniło dwóch oficerów - Amerykanin i Kanadyjczyk.

Punkty przesuwaly się od strony Cieśniny Beringa na południe, w kierunku

⁸ NORAD - amerykańsko-kanadyjskie dowództwo północnego obszaru powietrznego.

zachodniego wybrzeża Alaski, z szybkością 450 mil na godzinę. Nie mogły to być w żadnym razie samoloty komunikacyjne, ponieważ na tym odludziu nie przebiegają żadne korytarze powietrzne dla cywilnej komunikacji lotniczej. Trudno też było orzec, aby to były samoloty bojowe - poruszały się zbyt wolno i zbyt wysoko, chyba że pilotom specjalnie zależałoby na tym, aby ich dostrzeżono, ale i to było wątpliwe, gdyż w tej pustej i niebezpiecznej strefie świata nikt na ogół nie uprawia cyrkowych popisów. Poza tym tor lotu punktów przeczył wszelkim zasadom lotnictwa: zbliżały się do siebie i oddalały, czasem niektóre wyskakiwały nagle w górę na tysiące stóp, inne zawracały, jakby zniechęcone bałaganem w szyku.

Kanadyjczyk zażartował, że oto wreszcie pojawiły się UFO i że warto by to sfotografować.

Amerikanin odparł, że obowiązuje *alarm zielony* i nie pora na żarty - Kanadyjczyk, wzruszając ramionami, opowiedział koledze dowcip o tym, jak pewnej pani przywidział się wilk i co z tego później wynikło.

Amerikanin przypomniał, że w kwietniu 1961 roku na tym samym posterunku zdarzył się głośny później i kompromitujący wypadek. Od strony Cieśniny Beringa nadlatywał, jak to odczytano na radarze, klucz ciężkich bombowców. Było mnóstwo zamętu, budzono kolejnych generałów, w końcu obudzono i prezydenta, aż wreszcie stwierdzono, że leciał po prostu klucz dzikich gęsi, które na krótko przedtem przecięły smugę zorzy polarnej. Na ich piórach osiadła taka ilość ładunków elektrostatycznych, że ciała gęsi odbijały wiązkę fal radarowych tak samo, jak ją odbijają przedmioty metalowe. Dzisiejsze radary są już uodpornione na takie pomyłki, więc sprawa jest tym bardziej zagadkowa.

Kanadyjczyk w końcu spoważniał i zaproponował, żeby obudzić komendanta posterunku.

Tak też uczyniono.

Zaspany komendant, w futrzanej kurtce narzuconej na piżamę, ziewnął hałaśliwie, wchodząc do sali radarowej i tak już pozostał z otwartymi ustami, kiedy rzucił okiem na ekran. Licznik komputera, umieszczony nad ekranem, zaczął właśnie migotać i po chwili zatrzymał się na cyfrze 688. W ciągu kilku sekund, a więc z nieprawdopodobnym przyspieszeniem, tajemnicze punkty zwiększyły swą szybkość o połowę; leciały teraz z szybkością 1100 km/godz., tuż pod granicą prędkości dźwięku. Ciągłe jeszcze wolniej niż samoloty bojowe, ale już dużo szybciej niż poddźwiękowe samoloty komunikacyjne.

Komendant uznał, że jest to sytuacja usprawiedliwiająca ogłoszenie lokalnego *alarmu żółtego*. Komputer przekazał parametry nadlatujących obiektów do kontroli obszaru NORAD w pobliżu Fairbanks. Dyżurne myśliwce otrzymały rozkaz rozpoznania kwadratu E6-E7 i w

ciągu minuty pojawiły się na ekranie. Wysłano rozkaz do stacjonarnego satelity, aby obfotografował ten sam kwadrat w promieniach podczerwonych i zawiadomił Ziemię o wynikach.

W osiem minut po zauważeniu punktów myśliwce zameldowały, że nic nie dostrzegły i wracają do bazy. Satelita milczał. Tymczasem świetliste punkty, zbite teraz w ciasną gromadkę, zbliżały się nadal do terytorium amerykańskiego.

Komendant połączył się z dowództwem SAC w Omaha i spytał, czy widzą na swojej mapie świata nadlatujące punkty. Nie widzieli. Mapa w wielu miejscach pulsowała łagodnymi światełkami, ale akurat rejon Alaski był zupełnie ciemny.

Wobec tego komendant zażądał wyjaśnień z drugiego końca Ameryki, to znaczy z miejscowości Greenbelt w stanie Maryland. Mieści się tam tak zwany *Tracking Center*, specjalny ośrodek kontroli, rejestrowania i wykrywania wszelkich obiektów latających w przestrzeni kosmicznej. Komendant pragnął się dowiedzieć, czy im przypadkiem coś nie zginęło lub czy nie wiedzą czegoś bliższego o uszkodzonych satelitach innych państw, lecz nie uzyskał odpowiedzi. Po prostu po tamtej stronie nikt nie podnosił słuchawki. *Tracking Center* jest instytucją cywilną, a wszyscy wiemy, jak to jest z dyscypliną wśród cywilów. Może dyżurujący specjalista usnął przy telefonie, a może po prostu wyszedł do holu, żeby sobie kupić w automacie coca-cole.

W dziesiątej minucie komendant zrozumiał, że dzieje się coś niezwykłego i że dalsza zwłoka jest niemożliwa. Jeśli w Waszyngtonie ogłoszono *alarm zielony*, to znaczy, że spodziewano się jakiegoś nadzwyczajnego wydarzenia. Pech chciał, że ma ono miejsce właśnie tu, na tym beznadziejnym pustkowiu. W normalnych warunkach komendant próbowałby dalej sprawdzać tę dziwną anomalię, lecz w warunkach *alarmu zielonego* liczy się przede wszystkim pośpiech i zdecydowane działanie.

Jednym naciśnięciem palca komendant odpalił sześć małych rakiet, zawierających paski srebrnej i aluminiowej folii. Jest to nadal najtańszy i najbardziej niezawodny sposób zakłócenia łączności radiowej. Rakiety wybuchły po 30 sekundach, rozsypując na ekranie radaru miliony miniaturowych błysków. Tajemnicze punkty rozpięchły się na chwilę, zawirowały, po czym znów zbiegły się w gromadkę i zaczęły z jeszcze większą szybkością kontynuować lot w kierunku południowej Alaski, tyle że lekko zmienionym kursem. Jednocześnie na wskaźniku wysokości pojawił się na krótką chwilę odczyt: 175000, czyli prawie 58 kilometrów. Natychmiast jednak licznik wskazał ponownie zero.

Sytuacja stała się groźna. Kanadyjczyk, zobowiązany do tego instrukcją służbową, powiadomił telefonicznie Ottawę, nie ukrywając podniecenia. Komendant, po sekundzie

namysłu, zerwał plombę z przełącznika bezpośredniej linii radiowej do dowódcy SAC. Było to jednak o tyle zbyteczne, że w tym samym momencie na mapie w Omaha pojawiły się również tajemnicze punkty.

Dowództwo Strategicznych Sił Powietrznych zażądało ogłoszenia *alarmu czerwonego*.

O godzinie 6.26 czasu waszyngtońskiego, na cztery minuty przed rozpoczęciem posiedzenia Narodowej Rady Bezpieczeństwa, adiutant prezydenta, komandor podporucznik Benjamin Moore, usłyszał w swej czarnej walizeczce już nie delikatne brzęczenie, lecz wysoki, przenikliwy gwizd. Przetastawił niezwłocznie wszystkie przełączniki na pozycję *wyczekiwanie-odbiór*, po czym z płaskiego jak blaszka głośnika rozległ się tubalny głos dowódcy SAC, generała Fawleya. Zażądał on natychmiastowej rozmowy z prezydentem. Na drugim kanale wibrował pulsujący, regularny ton - znak, że wszystkie urządzenia łączności specjalnej, obejmującej kulę ziemską i niemalą część pobliskiego Kosmosu, działają należycie.

Komandor Moore odpowiedział, jak nakazuje regulamin, że przyjął zgłoszenie i za chwilę przekaze je prezydentowi. Nie mógł jednak uczynić tego naprawdę niezwłocznie. Prezydent Harrison przed posiedzeniem Rady udał się bowiem do toalety, a Moore stał przed jej drzwiami.

Po minucie generał Fawley zapytał ostro, dlaczego prezydent nadal się nie zgłasza. Komandor Moore odparł, że potrwa to jeszcze chwilę. Fawley krzyknął, że nie ma ani sekundy do stracenia. Moore zwilżył wargi językiem - taka sytuacja zdarzała się w ogóle po raz pierwszy - i niepewnym głosem wyjaśnił, że prezydent znajduje się w toalecie, w związku z czym...

Fawley spytał, kto będzie odpowiadał za opóźnienie w połączeniu z prezydentem, zwłaszcza że według przepisów kongresowych prezydent nie może znajdować się dalej niż o 30 stóp, to znaczy dziesięć metrów od adiutanta.

O godzinie 6.29 prezydent Harrison wyszedł z toalety. Spojrzał ze zdumieniem na przejętą, poszarzałą twarz adiutanta (Moore był Murzynem), stojącego przed drzwiami toalety. Dopiero po chwili spostrzegł, że walizka adiutanta jest otwarta, wydaje dziwne odgłosy i jarzy się mnóstwem kolorowych światełek.

Howard Geoffrey Harrison zdenerwował się po raz pierwszy w życiu.

Dwadzieścia minut po rozpoczęciu posiedzenia rządu RFN, wicekanclerz Födler, pod pozorem niezmiernie pilnych zajęć, poprosił kanclerza o zwolnienie z dalszego uczestnictwa w obradach. Była to czysta strata czasu. Występowała głównie pani minister Schwellenberg, a im dłużej mówiła, tym głębsza okazywała się otchłań jej głupoty. Kanclerz odbierał pilne telefony, pospiesznie coś notował, wchodził szef gabinetu z tajnymi papierami.

W ciągu trzydziestu minut, poprzedzających posiedzenie gabinetu, Födler dowiedział się zbyt wiele i zbyt ważnych rzeczy, żeby miał trwonić cenne minuty na wysłuchiwanie babskiego gadania o przedszkolach czy czymś takim. Początkowo Födler skłonny był nie przywiązywać zbyt wielkiego znaczenia do porwania głowic, ale teraz nie miał już wątpliwości, że zaczyna się wielka, może największa gra, jaką kiedykolwiek miał możliwość obserwować. Nie zamierzał pozostawać na uboczu, choć partnerzy gry wcale go nie zapraszali do udziału. Dla Födlera było od dawna oczywiste, że polityk, który pozwala się wymanewrować z kręgu podejmujących decyzje, powinien jak najrychlej zająć się sadzeniem pomidorów w ogródku. Miejsce na górze jest piekielnie ciasne, a wszelkie kryzysy, zakręty i przełomy zmniejszają jeszcze tę niewielką przestrzeń o połowę.

Jako pierwszego Födler wezwał do siebie pułkownika Schlafflera. Szef gabinetu Graudera zasłaniał się przez chwilę nawałem pilnych obowiązków, ale wystarczyło, żeby Födler podniósł głos. Po sześciu minutach - Födler dokładnie to odnotował, aby wiedzieć, czy Schlaffler wpadł gdzieś jeszcze po drodze - sekretarka zameldowała przybycie umundurowanego gościa.

I tak rozpoczyna się gra.

- Witam, pułkowniku - mówi Födler swym „oficjalnym“ tonem, powstrzymując się od błaznowania, jakiego zawsze używa wobec rozmówców, którymi pogardza. - Piękny dziś mamy dzień. Co nowego u pana?

- Sądziłem, że to ja się dowiem, co nowego - odpowiada flegmatycznie Schlaffler.- Moja niska funkcja służbowa uniemożliwia mi zdobywanie nowin z kręgów prawdziwej elity władzy.

- Niskie funkcje mają to do siebie, że w sprzyjających okolicznościach zamieniają się w wyższe, oczywiście za sprawą tejże elity władzy.

- Głęboka myśl, panie kanclerzu.

- Proponuję, żebyśmy skończyli z tą salonową konwersacją. Nie pora na żarty. Czas ucieka, dzieją się różne ważne rzeczy, które zna pan lepiej ode mnie.

- Nikt w tym kraju nie wie więcej niż pan, panie kanclerzu.

- To prawda. Ale gdzieś, kiedyś się tego dowiaduję. Dobrze. Co by pan odpowiedział,

gdybym teraz zapytał o zdrowie kapitana Lamcha i jego żony Małgorzaty?

W twarzy Schlafflera nie pojawia się nawet najmniejszy cień zakłopotania lub popłochu. Jest to trudny przeciwnik. Albo trudny i niebezpieczny partner, gdyby został partnerem.

- Odpowiedziałbym - mówi Schlaffler z niezmaconym spokojem - że nie znam takiego oficera, a już oficerskie żony w ogóle mnie nie interesują.

Födler postanawia rozpocząć atak z innej strony.

- Dlaczego generał Severing popełnił samobójstwo?

- Ponieważ był agentem nieprzyjaciela.

- Kontrwywiad wojskowy nic o tym nie wie.

- Źle pracują, to wszystko.

- Dlaczego pańscy ludzie w ekipie śledczej utrudniają ustalenie okoliczności napadu?

- Nie mam żadnych swoich ludzi. Decyzję o zmianie ekipy śledczej podjął mój zwierzchnik, minister Grauder.

- Dlaczego pozwoliliście uciec za granicę kapitanowi Wieboldowi?

- Jak pan mówi, Wiebold? Nie przypominam sobie takiego nazwiska. Ach, ten dowódca batalionu w 14 dywizji? Nie wiem. Nic o tym nie wiem ponad to, co się znalazło w dotychczasowych raportach.

Jest to pierwszy błąd Schlafflera, Födler wie już, że dalszy ciąg rozmowy potoczy się zgodnie z jego zamierzeniem, ale odczuwa jak gdyby lekkie rozczarowanie, że to poszło tak łatwo.

- Ma pan przerażająco krótką pamięć, pułkowniku, jak na stanowisko, które pan zajmuje - mówi ironicznie wicekanclerz, nie ukrywając satysfakcji. - Czy naprawdę nie pamięta pan godzinnej rozmowy z Wieboldem, przeprowadzonej w pańskim gabinecie czternastego lutego bieżącego roku? Nie interesują mnie żadne szczegóły, ale nie powinien pan uważać mnie za naiwnego chłopczyka.

Schlaffler nagle mięknie. To widać nawet po jego twarzy. Födler ma go w ręku. Skąd, do diabła, ten cholerny wieprz wie o rozmowie z Wieboldem? Czyżby Wiebold sypnął? Jeśli tak, to będzie jeszcze pora, żeby go zdjąć z lotniska. A może to pucołowaty porucznik Paneck z adiutantury? Może Födler kazał zainstalować własny podsłuch, o którym nie wie ani MAD, ani Urząd Ochrony Konstytucji?

- Czego pan ode mnie oczekuje? - pyta Schlaffler. - Nie sądzę, abym był gotów dyskutować wszystkie szczegóły...

- Dyskusje, panie pułkowniku, nie są do niczego potrzebne. Zdaje mi się, że w Tajnej

Organizacji nie macie takiego zwyczaju. Proszę mi najpierw powiedzieć, kto porwał tę pierwszą głowicę?

- Sądzę, że terroryści.

- Jacy mianowicie?

- Wydaje mi się, że była to *Grupa M* pod dowództwem tego... no, tego superterrorysty Chally'ego.

- To znaczy, że sami zbudowali laser i wszystkie te zabawki, potrzebne do dokonania napadu? Pańscy ludzie trochę zbyt wolno pracują, pułkowniku. W drugim raporcie Graudera jest mowa o jakimś supertajnym nadajniku, który zginął z dywizyjnego magazynu akurat wtedy, gdy służbę oficera dyżurnego pełnił pański dobry znajomy, kapitan Wiebold. Czy nie mógł pan ukręcić głowy temu, kto o tym doniósł Grauderowi? Ta informacja leży teraz na biurku Lüttnera.

- Nic nie wiem o drugim raporcie. Znam tylko tekst pierwszego.

- Więc przechytrzonego pana, pułkowniku. Pańscy ludzie w ekipie śledczej pokpili sprawę. Tym lepiej. Nie ma pan już żadnego innego wyjścia jak współdziałanie ze mną, gdyż jest już pan bezpośrednio zamieszany w napad na tę szóstkę, jak to nazywacie.

Schlafler siedzi bez ruchu i zastanawia się tylko nad jednym: czego naprawdę chce Födler? Wiadomo, że nie jest lojalny wobec kanclerza.

Wiadomo, że nigdy nie skorzystał z żadnej okazji, aby wyrządzić szkodę Tajnej Organizacji, choć nigdy jej otwarcie nie popierał. Wiadomo, że jest człowiekiem bezwzględny, a jego ambicje są ogromne. Czy wie również, że Schlafler jest formalnym szefem Tajnej Organizacji? Czy zna też nazwisko prawdziwego przywódcy, mieszkającego na stałe w Windhoek?

Ale Födler zmienia nagle ton, przysiadła się bliżej do Schlaflera i przechodzi na płaszczyznę niemal przyjacielską.

- Widzi pan, Schlafler, sytuacja w naszym kraju gwałtownie się zmieniła w ciągu dzisiejszego ranka. Powstał zupełnie nowy układ sił, a wszystko wskazuje, że może się on zmienić również w skali europejskiej, może nawet światowej. Tacy ludzie jak pan i pańscy koledzy muszą bardzo szybko dokonać wyboru. Ale o tym za chwilę. Proszę mi powiedzieć, ale zupełnie szczerze i bez żadnych niedomówień: jaki jest pański pogląd na działalność terrorystów w naszym kraju?

Schlafler zastanawia się przez chwilę. Dochodzi do wniosku, że Födler ma rację. Nie ma powodu, aby się bawić dalej w chowanego z tym człowiekiem.

- Ci, którzy porywają ludzi i podkładają bomby - mówi pułkownik - są bandą

bezwartościowych wykolejenców, których głowy wypełnione są sieczką. Oni najbardziej zagrażają niewinnym przechodniom i takim prominentom, którzy nie zadbali o dostatecznie sprawną ochronę osobistą. Nie zagrażają w ogóle naszemu systemowi, choć są o tym głęboko przekonani. Ot, przykry margines. Mówiąc o naszym systemie mam oczywiście na myśli to, co istnieje w tej chwili. Jeśli jednak spojrzeć na zjawisko terroryzmu w trochę głębszej perspektywie, nie sądzę, żeby było tak szkodliwe, jak to sądzi na przykład kanclerz Lüttner. Uważam, że naszemu narodowi najbardziej zagraża bierność, rozleniwienie, brak czujności w obliczu tylu zagrożeń zewnętrznych. Działalność terrorystów, operujących przecież hasłami rewolucji i zniszczenia burżuazyjnego, jak powiadają, państwa, wnosi do życia społecznego cenny element otrzeźwienia, szacunku dla ludzi w mundurach, tęsknoty za porządkiem, a także poczucia wspólnoty celów narodowych. Dlatego osobiście żałowałbym, gdyby w Republice Federalnej nie został już ani jeden żywy terrorysta.

- Podzielim na razie pański pogląd w całej rozciągłości - mówi Födler. - Proszę mówić dalej.

- I ja, i moi przyjaciele - ciągnie Schläffler, który wyczuwa w Födlerze partnera - sądzimy, że świat zmierza w kierunku ostrej konfrontacji i odrzuci wkrótce cały ten niemoralny nieład, jaki wniosły w życie społeczne ostatnie dziesięciolecia. Im szybciej ulega kompromitacji hasło lewicowe, tym lepiej. Dlatego też terrorystów należy tępić, kiedy się stają zbyt dokuczliwi, ale należy ich otaczać... no, opieką, to może za wiele, ale w każdym razie dyskretnym poparciem, kiedy znikają ze sceny. Jedyny kłopot polega na tym, że z nimi nie ma o czym rozmawiać, przynajmniej tu, na miejscu. Wbili sobie w głowy jakieś idiotyczne frazesy i sami już nie wiedzą, o co im chodzi. Dlatego nie możemy, że tak to nazwę, uzgodnić działań. Oczywiście zupełnie inaczej to wygląda w rozmowach z ich kierownictwem.

- Więc istnieje jakaś międzynarodowa centrala, która tym kieruje?

- Oczywiście. Sądziłem, że pan o tym wie, panie kanclerzu.

- Nie. Tego właśnie nie wiem. Ma pan okazję, aby zdobyć moją wdzięczność poprzez udzielenie mi odpowiednich informacji. Kto kieruje tą centralą?

- Niejaki Khaled. Dość tajemnicza postać, ale nie na tyle, żeby w ogóle nic o nim nie było wiadomo. Mieszka zazwyczaj w Casablance. Chyba Libańczyk z pochodzenia, ale to akurat nie ma znaczenia.

- Związany z mafią?

- Oczywiście. W grę wchodzi zbyt wielkie pieniądze i zbyt wiele broni, żeby mafia mogła na to przymknąć oczy. Ale mafia jest tylko jednym z jego mocodawców czy

finansistów. O innych trudno mi w tej chwili powiedzieć coś więcej.

- Jaka jest ideologia Khaleda? Skoro prowadził pan z nim rozmowy, musiał pan zorientować się, dokąd zmierza.

- Nie sędzę, panie kanclerzu, żeby ten człowiek miał jakiegokolwiek poglądy. Musiał pan widywać wielu takich ludzi, a oni niczym się od siebie nie różnią. Niski, tłusty, czarny, z diamentowym pierścieniem na palcu, w krzykliwym krawacie i skrzypiących butach. Jest przebiegły jak dwustuprocentowy Lewantyńczyk, ale można z nim rozmawiać tylko o sprawach, że się tak wyrażę, technicznych.

- Przy najbliższej okazji powie mi pan więcej o tym człowieku. Teraz musimy kończyć. Pozwoli pan, Schlaffler, że ujmę swoje wnioski w cztery główne punkty. Pierwszy: nie podzielam celów waszej Organizacji, nie zamierzam do niej przystąpić i nie sędzę, żebyście mogli wygrać, co w niczym nie zmienia faktu, że możemy przejść razem spory odcinek drogi, gdyż obaj uważamy, że system, którego ukoronowaniem jest Dagobert Lüttner, nie odpowiada niemieckim interesom. Dlatego pan i pańscy koledzy możecie liczyć na moją dyskrecję. Wniosek drugi: wkrótce powinien się tu pojawić ambasador Roderich-Teutsch z Pekinu, człowiek, który będzie mówił w moim imieniu i działał z mojego polecenia. Zechce pan z nim współpracować w zakresie, jaki obaj uznacie za stosowny. Wniosek trzeci: teraz już obaj będziemy wyrażać pogląd, że porwanie głowic było dziełem agentów strefy wschodniej lub bezpośrednio Rosjan. Tylko niech pańscy ludzie nie popełniają tyłu błędów. Lüttner wysłał na inspekcję swego adiutanta wojskowego, aby sprawdził stan bezpieczeństwa w waszych bazach. To jest bardzo uparty chłopiec.

- Tę sprawę akurat udało się załatwić. Von Riesenthal niczego nie zobaczy i nigdzie się nie dostanie.

- Tu pan przesadził. Przecież musi wykonać swoją misję. Inaczej Lüttner nabierze podejrzeń. On mu uwierzy.

- Oczywiście, w końcu go gdzieś wpuścimy, ale tylko do takiej bazy, w której wszystko będzie w idealnym porządku.

- Dobrze. A teraz, pułkowniku, mam jeszcze wniosek czwarty, być może najważniejszy. Pan zna dobrze, jak wiem, attaché wojskowego ambasady chińskiej. Uważam, że byłoby celowe, aby go pan natychmiast zaprosił i opowiedział mu, jak to Rosjanie porwali głowice neutronowe z naszej bazy.

Schlaffler patrzy z niedowierzaniem na Födlera.

- Powiedzieć to czerwonym Chińczykom? To pachnie zdradą stanu. Waśnią się z Moskwą, to prawda, nie zmienia to jednak faktu, że są komunistami.

- Schlaffler, niech pan nie będzie dzieckiem. Wiem, że pan wierzy w ideologie i jestem gotów to uszanować, choć sam jestem niewierzący. Ale zbyt dobrze znam Chińczyków, żeby mieć jakiegokolwiek złudzenia. Oni w ciągu 24 godzin przejdą na islam lub katolicyzm, jeśli uznają to za celowe. A jeśli chodzi o zdradę stanu, to ma pan już wystarczająco wiele na sumieniu: współudział w wykradzeniu supertajnego nadajnika, kontakty z szefem terrorystów, kierowanie nielegalną organizacją, wreszcie porwanie dziesięciu głowic. À propos: gdzie są te głowice?

- Wkrótce znajdą się w bezpiecznym miejscu.

- Pilnujcie ich dobrze, żeby nie ukradli. Pan wie, że to jest niebezpieczna zabawka. O niebezpieczeństwach wojskowych nie będę pana pouczał, ale polityczne niebezpieczeństwo takich bezpańskich głowic jest dużo większe niż ich nominalna moc.

- Panie kanclerzu, nie rozumiem jednak, dlaczego chce pan, abym tę wiadomość przekazał Chińczykom?

- Ponieważ nie wiemy, jak zareaguje strefa wschodnia i Rosjanie, kiedy im publicznie zarzucimy porwanie głowic. Ponieważ z oczywistych powodów będzie dla nas wygodniejsze, jeżeli Chińczycy akurat wtedy wyrządzą Rosjanom jakiegoś psikus na granicy wschodniej. Mogą uznać, że to leży w ich planach. Ponieważ wreszcie mieliby do nas pretensję, i to słuszną, gdybyśmy ich nie poinformowali o wydarzeniach, które wkrótce ogarną pół świata. Czy to panu wystarcza? Świetnie, Schlaffler. Teraz muszę pana pożegnać. Mam nadzieję, że się zrozumieliśmy. A gdyby miał pan jakieś nieoczekiwane trudności, proszę do mnie dzwonić. Mam nadzieję, że z tym niemądrym chłopczykiem, Lamhuberem, poradzi pan sobie we własnym zakresie.

Nazwisko ministra spraw wewnętrznych, Dietricha Lamhubera, wywołuje na twarzy pułkownika Schlafflera pogardliwy uśmiech. To doprawdy nie jest żadna przeszkoda.

Schlaffler wstaje, podaje wicekanclerzowi rękę, ale przed opuszczeniem gabinetu zwraca od drzwi i pyta:

- Panie kanclerzu, jeszcze jedno pytanie, właściwie prywatne. Skąd pan wiedział o moim spotkaniu z Wieboldem? Sądziłem, że przedsięwzięciem wszystkie bez wyjątku środki ostrożności...

- Chyba pan nie sądzi, że to panu opowiem?

- Czy to sam Wiebold...

- Pułkowniku, pan zadaje za dużo pytań, co w waszej Organizacji jest źle widziane. Żegnam pana.

- Pytam, ponieważ mam zamiar ukarać Wiebolda. Jeśli pan nie zaprzeczy...

- Nie wtrącam się w wasze sprawy. Żegnam pana, pułkowniku. Jestem bardzo zajęty.

Wicekanclerz Födler toczy się na swych krótkich nóżkach do biurka, zapala czwarte w ciągu dzisiejszego dnia cygaro (lekarz pozwolił tylko na dwa, ale w tak wyjątkowym dniu można sobie darować lekarskie przestrogi), rozluźnia sznurowadło, rozpina kamizelkę i dokonuje w myśli krótkiego przeglądu najbliższych zadań.

Pierwsza w kolejności będzie prasa. Födler z całej duszy gardzi dziennikarzami, ale dostatecznie dobrze zna się na polityce, żeby wiedzieć, że żaden polityk dobrze jeszcze nie wyszedł na konflikcie z prasą, choćby miał w ręku wszystkie bez wyjątku atuty. Wicekanclerz sformułował na własny użytek pewną zabawną regułę, którą nazywa w myśli *doktryną Födlera*: uderz na nich, zanim oni uderzą na ciebie. W przekładzie na język praktyki politycznej oznacza to dużo częściej pozyskiwanie niż zastraszanie, gdyż dziennikarzy, wbrew pozorom, bardzo rzadko można kupić za pieniądze, natomiast zawsze można ich kupić łaskawością, pochlebstwem, a już zwłaszcza dopuszczeniem do prawdziwych lub zmyślonych tajników władzy. Jeśli czują swą przydatność i zaufanie, jakim się ich obdarza, gotowi są napisać wszystko. A kiedy piszą z przekonania, trudno przecenić ich użyteczność jako instrumentu oddziaływania na opinię. Można ich również zmusić do pisania, rzecz prosta. Ale rezultaty stają się prędzej czy później oplakane.

Najlepszy byłby oczywiście Ugo Felsenstein, gwiazda gwiazd. Ten człowiek jednak - zresztą z całkowitą wzajemnością - nie cierpi Födlera od czasu tej afery z Arnimem Pauschke, jest uparty, postrzelony i zbyt zadufany w swój talent, którego, mówiąc nawiasem, kwestionować nie sposób. Rzadko się zdarza, żeby palec boży tak uporczywie spoczywał na jednym człowieku, jak to ma miejsce w przypadku Felsensteina. Takie pióra zdarzają się naprawdę raz na pokolenie i Födler żałuje przez chwilę, że zaniedbał szansę pozyskania Felsensteina, kiedy był na to jeszcze czas.

Szef sieci radiowo-telewizyjnej *ARD*, Klammroth, zwisa jak gałązka jemioli u klamki Lüttnera i żadnego pożytku z niego nie będzie. Właściciel i naczelny redaktor największego tygodnika *Der Rückspiegel*, krągły pan Brummstein, jest w gruncie rzeczy małym sklepikarzem, drżącym o wysokość nakładu i nie wda się w żadne rozmowy z Födlerem, które mogłyby zanedbać czytelników.

Födler przypomina sobie, że od kilku dni czekają na rozmowę z nim dwaj dziennikarze zagraniczni. Pierwszym jest korespondent francuskiego dziennika *Le Globe*, ale wicekanclerz nie sądzi, aby prasa francuska była w tej chwili najodpowiedniejszym forum dla przedstawiania poglądów, jakie zamierza wypowiedzieć. Drugim natomiast jest jakiś Polak czy Węgier, reprezentujący, jak twierdzi, wielki tygodnik niekomunistyczny - zaraz, katolicki,

liberalny czy rzemieślniczy? No, wszystko jedno.

Födler poleca wezwać tego Polaka czy Węgra i posłać po niego samochód. Nie bardzo wiadomo, jak tam, na Wschodzie, wyglądają stosunki w prasie, ale dla tego, co Födler zamierza powiedzieć, może to być bardzo wygodne medium.

Ów wschodnioeuropejski korespondent sprawia wyjątkowo antypatyczne wrażenie. Mimo wczesnej pory ma już nieźle w czubie. Zaczyna od ubolewań nad nikczemnością komunizmu, mówi bardzo źle o Rosjanach, zapewnia o swym podziwieniu dla Republiki Federalnej, połykając słowa plecie coś o cywilizacji chrześcijańskiej.

Födler patrzy na niego zimno i nie mówi nic.

Człowieczyna podwaja swą elokwencję, opisuje krzywdy, których doznał od Czerwonych, zapewnia, że Europa Wschodnia nigdy się nie pogodzi z rosyjskim jarzmem.

Födler podnosi się zza biurka i otwiera drzwi.

- Wysłuchałem pańskich opowieści ze współczuciem - powiada - ale odnoszę wrażenie, że to już kiedyś słyszałem. Jeśli panu jest potrzebna jakaś pomoc, proszę się zwrócić do mojego sekretarza, drugi pokój na prawo. Ja osobiście zajmuję się polityką. Do widzenia.

Tak więc sprawę frontu prasowego trzeba chwilowo zawiesić. To niedobrze, że Födler w tej dramatycznej chwili nie ma pod ręką żadnego pewnego, zaufanego człowieka z tej branży. Trudno. Coś się jeszcze wymyśli.

Teraz pora na rozmowę z doktorem Pfeifferem.

XXIII

Bardzo niewielu ludzi, poza dyrektorem CIA i szefem wydziału operacyjnego w Langley, wiedziało, kim jest naprawdę Palmer II. Nawet ludzie pracujący bezpośrednio pod jego rozkazami nie potrafiliby powiedzieć, czy jest to jeden, żywy i konkretny człowiek, czy też zbiorowy pseudonim jakiejś zmieniającej się i okrytej najgłębszą tajemnicą grupy kierowniczej. Rezydentura Centralnej Agencji Wywiadowczej w Monachium koordynuje nie tylko działania wywiadowcze na terenie całej Republiki Federalnej, lecz również wszystkie działania na wschód od Łaby, włącznie z takimi, o których wie tylko kilku ludzi w Waszyngtonie. Kierowanie placówką tej rangi musiało być zorganizowane w taki sposób, żeby nikt, ale to dosłownie nikt nieupoważniony, nie potrafił zidentyfikować szefa

rezydentury.

Dlatego nawet bezpośredni zastępcy Palmera II nigdy nie umieli powiedzieć, czy Dick Gordy, sprawujący w Monachium funkcje „szefa operacji“, jest sam Palmerem II, czy też działa w porozumieniu z kimś, kogo nie widzieli ani razu na własne oczy. Nieraz zdarzało się tak, że w toku najważniejszych narad Dick przerywał na chwilę spotkanie, wychodził do sąsiedniego pokoju i wracał po chwili z decyzją, od której nie było już odwołania. Równie dobrze mógł to być dziecinny trick w rodzaju pomysłów Jamesa Bonda, ponieważ nic nie stało na przeszkodzie, żeby Dick porozmawiał trochę sam ze sobą. Ale mogło być właśnie na odwrót. Dick wyciągał z kieszeni niewielkie, czarne pudełeczko - oczywiście nierozbieralne, oczywiście z nierozbieralnym modulatorem kwarcowym, oczywiście obłożone wewnątrz warstwą srebrnego manizytu, czyli najpotworniejszego materiału miotającego, jaki człowiek wynalazł - i trudno było zgadnąć, czy rzeczywiście nie porozumiewał się z kimś tajemniczym, kto chwilami sprawiał wrażenie nadczłowieka. Z biegiem czasu ludzie Palmera II przywykli do tej absurdalnej sytuacji i przestali się zastanawiać, dla kogo właściwie pracują. Mieli zresztą tyle interesujących zajęć i tyle spraw na głowie, że nie starczało im czasu na rozwiązywanie dodatkowych krzyżówek. Ktoś zresztą zażartował, że Palmerem II jest po prostu wielki, opasły komputer, zainstalowany w Langley, z którym Dick Gordy komunikuje się intymnie przy pomocy swego czarnego pudełeczka. Ale to w końcu nie było najważniejsze.

Palmer II, kimkolwiek był, powinien działać wyłącznie w myśl otrzymywanych instrukcji, a instrukcje te, jak ustalił Kongres, miały być każdorazowo aprobowaną przez dyrektora Agencji, w pewnych zaś wypadkach dodatkowo zatwierdzane przez prezydenta, aby uniknąć owych przykrych przypadków, które tak zaszkodziły interesom Agencji z początkiem lat siedemdziesiątych. Jest to niezły przepis na okresy, kiedy nic szczególnego się nie dzieje. Kiedy jednak liczy się każda minuta, instrukcje nie nadchodzą, czas nagli, ludzie czekają, a ziemia pali się pod stopami - szanowny Kongres może się wypchać ze swymi biurokratycznymi zarządzeniami. Ogłoszenie *alarmu zielonego* stwarza sytuację, w której bierność, wyczekiwanie na wyjaśnienie lub rozkazy, a zwłaszcza brak inicjatywy mogą zaszkodzić gorzej niż nieprzyjaciel. We wszystkich szkołach wojskowych uczą dziś, że zaskoczenie to połowa zwycięstwa.

Dlatego 12 czerwca Palmer II, kimkolwiek był, porozumiał się z dowódcą amerykańskiego 665 batalionu odwodowego w Bambach i naruszając wszystkie instrukcje, regulaminy, zwyczaje i zakazy, przedstawił mu sytuację, jaka wytworzyła się w związku z porwaniem głowicy neutronowej.

Dowódca batalionu nudził się śmiertelnie w tej małej mieścinie niemieckiej i z nieukrywany entuzjazmem powitał plan uratowania główicy, jeśli była amerykańska, lub jej zdobycia, jeśli została wyprodukowana gdzie indziej. Zresztą jego batalion gnuśniał, chlał piwo, handlował narkotykami; nagły alarm, i do tego w sprawie aż tak serio, mógł przywrócić batalionowi dumne miano jednostki bojowej.

Istotnie. Chłopcy spisali się wspaniale. Cała akcja trwała sześć minut. Przed komendę policji na Lützowstrasse pod numerem 12 zjechały trzy łaziki i dwa ciężkie wozy transportowe, wyposażone w dźwigi, odbojnice i hydrauliczne suwnice, które mogły w razie potrzeby przenieść pięć słoni związanych w pęczek. Z łazików wyskoczyli GI⁹ w hełmach bojowych, z odbezpieczonymi pistoletami maszynowymi. Część z nich obstawiła wejście do komendy policji, inni bez trudu rozwarli na oścież stalową bramę. Dowodzący pododdziałem młody porucznik - była to jego pierwsza akcja bojowa w życiu - trzymając w ręku pistolet przepędzał z dziedzińca komendy jakichś szwendających się policjantów, wprowadził na dziedziniec jeden z wozów transportowych, drugiemu zaś kazał staranować porzewiałą furgonetkę z francuskimi numerami rejestracyjnymi. Blacha furgonetki ustąpiła posłusznie pod naciskiem potężnych zderzaków wojskowej superciągarówki i odsłoniła we wnętrzu obły, srebrzysty kształt. Załadowanie główicy na wóz transportowy było kwestią sekund. Zwinięto błyskawicznie posterunki przed wejściem do komendy, zamknięto bramę, wycofano z dziedzińca żołnierzy, którzy przez cały czas trzymali na muszce wszystkie wychodzące na dziedziniec okna. Konwój ruszył w kierunku, który w sprawozdaniach prasowych bywa określony jako bliżej nieznan.

Akcja zakończyła się punktualnie o godzinie 11.30 czasu miejscowego.

Palmer II polecił przesłać dowódcy batalionu odwodowego skrzynkę *Johnny Walkera* z czarną nalepką.

Palmer II wysłał do centrali w Langley lakoniczną depeszę, w której donosił, że główicę zabezpieczono, wszyscy świadkowie zostali skłonieni do milczenia, a on sam, Palmer II, oczekuje na dalsze instrukcje.

Dowódca batalionu odwodowego wygłosił do swych chłopców krótkie, żołnierskie przemówienie, w którym podkreślił wspaniałe tradycje wojsk lądowych, wyraził uznanie uczestnikom akcji oraz zażądał, aby owa niedługa, lecz niezmiernie ważna akcja bojowa została zachowana w bezwzględnej tajemnicy.

Nadkomisarz Pieler, na którego gospodarstwie to wszystko się zdarzyło, usiadł za biurkiem i zastanawiał się przez dobre dziesięć minut, komu zameldować o

⁹ GI - potoczna nazwa żołnierzy amerykańskich.

nieprawdopodobnej akcji, której był świadkiem. W końcu uznał, że Urząd Ochrony Konstytucji będzie jednak najwłaściwszym adresatem. Przynajmniej w pierwszej kolejności.

XXIV

Piątek, 12 czerwca, godzina 6.31 czasu wschodnioamerykańskiego. W Sali Owalnej Białego Domu rozpoczyna się posiedzenie Narodowej Rady Bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych. Obecni:

1. prezydent Howard G. Harrison;
2. wiceprezydent Reginald M. Parker;
3. doradca prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego, dr Nathaniel A. Rubin;
4. szef Połączonych Sztabów, generał John A. Tumbleson III;
5. dyrektor Centralnej Agencji Wywiadowczej, kontradmirał James M. Prescott;
6. sekretarz stanu, David Roscoe Brooman;
7. sekretarz obrony, Nico S. Palakis;
8. szef sztabu Białego Domu, prawa ręka prezydenta, jeden z najbardziej wpływowych ludzi w Stanach, Robert P. Magorski;
9. szef Łączności Specjalnej, pułkownik Korpusu Łączności, Abe Winder;
10. sekretarz Narodowej Rady Bezpieczeństwa, pani Patricia Amelia Vaughan.

- Mamy, o ile wiem, nie więcej niż osiem minut na podjęcie decyzji najwyższej wagi - powiada prezydent Harrison. - Posiedzenie Rady zostało zwołane w trybie nagłym z zupełnie innych powodów, o których powiem później. Zresztą, niektórzy z was już wiedzą, o co chodzi.

- Ja nie wiem, panie prezydencie - przerywa sekretarz stanu. - Obudzono mnie dopiero przed kwadransem i nie zdążyłem, doprawdy...

- Chodzi o to - odpowiada ze zniecierpliwieniem prezydent - że nasz wywiad doniósł o kradzieży lub zagubieniu głowicy neutronowej na obszarze Republiki Federalnej. Ale w tej chwili nie to jest najważniejsze. Głowica znajdzie się prędzej czy później. Powstała jednak nowa, bardzo niepokojąca sytuacja, być może pozostająca w związku z zaginięciem głowicy. Nad terytorium Stanów Zjednoczonych nadlatują obecnie od strony Cieśniny Beringa niezidentyfikowane obiekty latające, widoczne na ekranach radarowych, lecz niedostrzegalne dla lotnictwa myśliwskiego. Na żądanie Lotnictwa Strategicznego ogłosiłem przed chwilą

alarm czerwony, co daje panom miarę powagi sytuacji. Czy poprawnie to referuję, generale?

- Tak jest, panie prezydencie - mówi generał Tumbleson. - Nie umiemy określić pochodzenia owych obiektów i nie wiemy jeszcze, jak je zwalczyć.

- Myślę - wtrąca doktor Rubin - że należy bez żadnej zwłoki skorzystać z gorącej linii do Moskwy. Jest już za późno na domysły i spekulacje.

- Ja też tak myślę - kiwa głową Harrison. - Pułkownik Winder, proszę natychmiast połączyć mnie z sekretarzem Chomienką w Moskwie.

Pułkownik Winder znika. Zatrzymuje się przez chwilę przy skrzyneczce komandora Moore, potem zasiada przy skomplikowanym pulpicie dyspeczerskim w podziemiach Białego Domu.

- Czy mam od razu powiedzieć Chomience o tej główicy? - pyta prezydent.

- Nie radziłbym, panie prezydencie - mówi doktor Rubin. - Gorąca linia działa bez przerwy, w Moskwie jest teraz wczesne popołudnie, zawsze zdążymy ich poinformować o główicy. Należy zresztą przypuszczać, że nic o tej sprawie nie wiedzą. My natomiast musimy mieć natychmiastowe wyjaśnienie w sprawie tych tajemniczych obiektów nad Alaską.

- Pozwolę sobie - wtrąca sekretarz stanu - nie zgodzić się z doktorem Rubinem. A jeżeli Rosjanie za pomocą własnych środków wykrywania lub od własnego wywiadu wiedzą już o porwaniu główicy? Nie uwierzą nam nigdy więcej. Należy im otwarcie powiedzieć, co się stało w Republice Federalnej, i dopiero wtedy zapytać o sytuację na Alasce.

- Nie sądzę - odpowiada ostro sekretarz obrony. - Jeśli to oni wysłali nad Alaskę te dziwne przedmioty, po prostu zaprzeczają wszystkiemu. Wtedy przyznanie się do zagubienia czy skradzenia główicy dostarczy im doskonałego pretekstu.

- Nico, mówisz od rzeczy - przerywa wiceprezydent Parker. - Dopiero kiedy ukryjemy sprawę główicy, mogą stracić do nas zaufanie.

- Niech stracą - odpala Rubin. - Nie możemy prowadzić polityki w wiecznym lęku, że Moskwa się na nas obrazi.

- Nikt się tutaj niczego nie lęka, Nathanielu - mówi chłodno prezydent. - Ale chcę ci przypomnieć, że to nie jest mecz piłki nożnej.

Wchodzi pułkownik Winder.

- Panie prezydencie, sekretarza Chomienko nie ma w tej chwili na Kremlu, ale jest pan połączony z członkiem Biura Politycznego, Konowajewem. Tu proszę nacisnąć ten czerwony przycisk. Tłumaczenie odbywa się automatycznie.

Prezydent Harrison podchodzi do niewielkiego biurka, umieszczonego prostopadle w stosunku do głównego biurka prezydenckiego.

- Pan Konowajew? Tu mówi prezydent Stanów Zjednoczonych, Harrison. Chcemy was prosić o wyjaśnienie, co oznaczają te tajemnicze obiekty, nadlatujące w kierunku Alaski od strony Cieśniny Beringa. Czy możecie nas zapewnić, że nie jest to atak na nas z użyciem nieznannej dotąd broni?

Chwila ciszy, potem z głośnika słychać głos tłumacza.

- Tu Konowajew. Panie prezydencie, nic nie wiadomo nam o żadnych obiektach. Związek Radziecki nie podejmuje żadnych działań ofensywnych wobec Stanów Zjednoczonych. Za chwilę zapytam, co na ten temat wiedzą nasze wojska rakietowe, ale na razie pragnę pana zapewnić, że ze strony radzieckiej nie podjęto żadnych, powtarzam, żadnych kroków, które zagrażałyby bezpieczeństwu Stanów Zjednoczonych.

- Dziękuję za wyjaśnienie - mówi Harrison, ocierając pot z karku. - To znaczy, że możemy podjąć próbę zestrzelenia tych obiektów bez obawy, że zadrażnimy nasze wzajemne stosunki?

- Jeśli o nas chodzi, nie ma przeszkód. Trudno nam mówić za innych.

- Panie Konowajew, mam jeszcze jedną sprawę - ciągnie Harrison. - Otóż dziś rano zdarzyła się w Niemczech zachodnich jakaś niezbyt jasna historia z głowicą neutronową...

- Domyślaliśmy się tego.

- Już wiecie? Gratuluję. Wobec tego nie mam już nic więcej do powiedzenia.

- Panie prezydencie, wiemy tylko tyle, że w jednym z rejonów Republiki Federalnej zanotowano wzrost poziomu promieniowania radioaktywnego, co zostało stwierdzone przez nasze satelity zwiadowcze. Sądziliśmy, że w tej nieszczęsnej elektrowni atomowej Obermahr znów nastąpiła awaria...

- To Niemcy mają taką wadliwą elektrownię?

- Owszem. Ale starają się to ukryć, choć to się kiedyś źle skończy. Niestety, żadnych więcej szczegółów chwilowo nie mamy. Czy mógłby pan powiedzieć coś więcej o tej głowicy?

- Sam niezbyt wiele wiem, ale uważam za swój obowiązek poinformować was o tej sprawie.

- Czy właśnie z tego powodu ogłosiliście *alarm zielony*?

- Tak, tak - mówi niepewnie Harrison. - Właśnie z tego powodu.

- Panie prezydencie, dziękuję za informacje. Nasi wojskowi byli trochę zaniepokojeni.

- My także zachowujemy czujność.

- Czy możemy mieć pewność, że poinformujecie nas o dalszym biegu wydarzeń?

- Ależ oczywiście, panie Konowajew. Musimy mieć do siebie nawzajem pełne

zaufanie.

- My też tak myślimy, panie prezydencie. Ostrzegaliśmy cierpliwie przed przekazywaniem broni neutronowej w ręce innych rządów...

- Ach, panie Konowajew, przecież nie będziemy teraz zaczynali dyskusji na takie tematy.

- Rzeczywiście, na to jest już za późno. Panie prezydencie, czy mimo wszystko może mi pan powiedzieć, co się właściwie stało z tą głowicą?

Doktor Rubin, który słucha rozmowy z Konowajewem, kręci gwałtownie głową, co ma oznaczać, że prezydent nie powinien mówić swemu radzieckiemu rozmówcy nic konkretnego.

Prezydent Harrison lekceważąco macha dłonią.

- Nie mogę się wdawać w szczegóły - mówi do słuchawki - ponieważ musimy się natychmiast zająć, i to bardzo stanowczo, tymi tajemniczymi obiektami znad Alaski. Na razie mogę panu powiedzieć tylko tyle, że głowica, o której mówię, znalazła się poza kontrolą sił zbrojnych Stanów Zjednoczonych i naszych niemieckich sojuszników.

- Została wykradziona?

- Tego jeszcze nie wiemy. Przypuszczalnie tak było.

- Czy wyklucza pan możliwość, że została porwana przez pewne ośrodki w armii zachodniemieckiej?

- Wykluczam to całkowicie, panie Konowajew. Niemiecki system zabezpieczenia... no, mniejsza z tym. Jest to albo przykry przypadek, albo czyjeś złośliwe działanie, obliczone na to, aby nas nawzajem poróżnić.

- Czyje działanie?

- Nie wiem, panie Konowajew. Przykro mi, ale muszę już kończyć tę rozmowę. Powinienem wydać natychmiastowe rozkazy. Proszę poinformować sekretarza Chomienkę o moim telefonie.

- Uczynię to, panie prezydencie. Do widzenia.

- Dowidzenia.

Harrison odkłada słuchawkę i toczy wzrokiem po wszystkich obecnych. Zanim jednak ma szansę wypowiedzieć swój pogląd na sytuację, z pulpitu dyspeczerskiego rozlega się przytłumiony głos sekretarza:

- Telefonuje kanclerz Lüttner z Bonn w sprawie, jak powiada, najwyższej wagi i pilności. Żąda, aby go niezwłocznie z panem połączyć.

- Łączyć - mówi prezydent Harrison, nie zważając na rozpaczliwe gesty generała

Tumblesona.

- Tu Lüttner - słyhać w głośniku słowa tłumacza. - Panie prezydencie, muszę panu donieść o sprawie tak ważnej i potencjalnie groźnej...

Prezydent marszczy nagle brwi i przekreśla wyłącznik koło głośnika. Głos kanclerza Lüttnera nie dociera już do zebranych w Sali Owalnej członków Narodowej Rady Bezpieczeństwa.

- Straszne - mruży pod nosem generał Tumbleson. - Zostało nam najwyżej trzy minuty. To nie jest pora na dyplomatyczne konwersacje, że się tak wyrażę.

- Czy pan wierzy Konowajewowi? - pyta Magorski, zwracając się do dyrektora CIA.

- Och, tak - odpowiada niechętnie admirał Prescott. - Nie ma dowodów, żeby postawili w stan gotowości swe siły strategiczne. Nie ogłosili alarmu w wojskach lotniczych. Nie mamy żadnych informacji o ruchach ich wojsk w Europie.

- Dziwna sprawa - zastanawia się wiceprezydent Parker. - Kto mógł nam urządzić taki kawał? Może Chińczycy? Czy NASA nie ma nic do powiedzenia w tej sprawie?

Pułkownik Winder przypomina sobie o czymś widocznie bardzo pilnym, gdyż zrywa się raptownie i wybiega do sekretariatu.

W tym samym momencie prezydent Harrison odkłada słuchawkę.

- No, pięknie - mówi z przekąsem, a w jego oczach pojawia się chłód. - Bardzo pięknie. Gratuluję, admirale Prescott. Wspaniały jest ten pański wywiad. W Niemczech porwano nie jedną głowicę, jak pan utrzymuje, lecz jednaście, o łącznej mocy sześciuset kiloton. A zatem przypadek nie wchodzi w rachubę. Wszystko wskazuje na to, że porwania dokonali agenci Niemiec wschodnich, co oczywiście nie mogło się odbyć bez wiedzy i zgody Moskwy. Na domiar wszystkiego jedna z porwanych głowic zaczęła wydzielać promieniowanie. Są podstawy do przypuszczania, że głowice znajdują się na terenie Niemiec zachodnich lub Francji.

Admirał Prescott zamienia się w słup soli. Nie zdarzyło się jeszcze przez ostatnie piętnaście lat, żeby Palmer II przysłał fałszywą informację, zwłaszcza w sprawie tak wielkiej wagi. Prescott nie może wykrztusić z siebie ani słowa. Widzi zresztą po oczach prezydenta i Nathaniela Rubina, że CIA w jednej chwili utraciła wiarygodność. To nie jest tuzinkowy błąd. To jest groźna dezinformacja.

- Panie prezydencie - chrząka błagalnie generał Tumbleson - zostało nam najwyżej półtorej minuty na podjęcie decyzji. Nie możemy czekać ani sekundy dłużej.

- Słusznie - powiada spokojnie Harrison. - Wydaję rozkaz, aby te nieznane obiekty zniszczyć przy użyciu wszelkich dostępnych środków. Autoryzuję użycie broni laserowej,

rakiet MIRV¹⁰, tajnych satelitów. Wszystkiego, co będzie konieczne. W tej sytuacji musimy działać szybko i stanowczo.

- Tak jest! - zrywa się Tumbleson. - Czy dobrze rozumiem, że jest pan gotów ogłosić stan wojny... to znaczy, postawić wszystkie nasze siły zbrojne powyżej *alarmu czerwonego*?

- Jestem gotów.

Tumbleson wybiega z Sali Owalnej.

- Teraz - mówi spokojnie Harrison - spróbujmy zwięźle zanalizować sytuację. Wariant pierwszy: Konowajew mówi prawdę. Moskwa rzeczywiście nic nie wie o nadlatujących obiektach, ale upoważniła strefę wschodnią do porwania głowic. Mamy wtedy do czynienia z fatalnym zbiegiem okoliczności, ponieważ sam fakt porwania głowic mieści się, że tak to nazwę, w regułach gry. Rosjanie ostrzegali, żeby nie powierzać broni neutronowej naszym sojusznikom i byłoby zrozumiałe, gdyby nam chcieli udzielić przykrew nauczki, skoro już do tego doszło. Wariant drugi: Konowajew nie mówi prawdy. Moskwa wysłała w naszą stronę jakąś nową, nieznaną broń, o której nic na razie nie wiemy, a jednocześnie poleciła porwanie głowic. Na przykład po to, aby mogły one eksplodować tuż na wschód od Łaby, w jakimś ustronnym miejscu, gdzie nie spowodują ofiar w ludziach, i w ten sposób zdobyć pretekst do oskarżenia nas o agresję. Wariant trzeci: Konowajew mówi prawdę. Moskwa nie ma nic wspólnego z tajemniczymi obiektami i nie ma pojęcia o porwaniu głowic. Wtedy należałoby przyjąć, że głowice porwał ktoś inny. Ale kto? Chińczycy? Tajna organizacja faszystowska w Europie? Francuzi, żeby nam dowieść, jakim błędem było powierzanie broni neutronowej ich wschodnim sąsiadom? Terroryci? A może - nazwij my to tak - konserwatywne elementy w naszych własnych siłach zbrojnych? Udzielam panom głosu. Mamy przed sobą kilka minut, dopóki nie zostaną zestrzelone te przekłete obiekty. Nathanielu?

- Cóż, panie prezydencie - zaczyna dr Rubin, szykując się do wygłoszenia obszernego referatu naukowego - sprawa jest niewątpliwie bardzo skomplikowana...

- Wiem to bez ciebie, Nathanielu. Kto i dlaczego porwał głowicę?

- Och, tego przecież nie mogę wiedzieć, panie prezydencie. Osobiście jednak podejrzewam w tym spisek rosyjski.

- Konkretnie?

- Musiałbym najpierw zreferować swoją tezę.

- Później. Reginald?

- Prawnicy - zaczyna wiceprezydent Parker - mają pewien obyczaj, który może nam

¹⁰ MIRV - wielocelowa, wielogłowicowa rakiet strategiczna o niezależnie zaprogramowanych celach.

się dziś przydać. Ilekroć zostaje popełnione przestępstwo, zaczynają swe dociekania od postawienia sobie pytania *qui prodest* - kto skorzystał na popełnionym przestępstwie.

- *Cui prodest* - poprawia dr Rubin.

- Możliwe - wiceprezydent Parker nie ukrywa zniecierpliwienia, ponieważ przemądrzałość Rubina wszystkim już dojadła do żywego. - Otóż jeśli postawimy sobie takie pytanie, możemy uzyskać trzy odpowiedzi. Po pierwsze...

- Chwileczkę - przerywa Harrison. - Co ma do powiedzenia nasz sekretarz stanu?

- Na razie niewiele, panie prezydencie - wzdycha Brooman. - Przede wszystkim musimy zdać sobie sprawę, że cała ta afera podkopie zaufanie, jakie żywią do nas sojusznicy. A także, obawiam się...

- Panowie - mówi podnosząc się Harrison - zechcą kontynuować swoją sesję naukową, a ja na chwilę opuszczę szanowne zgromadzenie. Robercie, pozwól ze mną.

Prezydent idzie do przyległego saloniku (komandor Moore drepcze za nim krok w krok), potem rzuca się na miękką sofę i zaplata ręce na karku.

- Z takimi ludźmi - cedzi przez zęby - można tylko handlować starzyzną na Orchard Street, ale nie rządzić krajem. Kraj może się znaleźć w śmiertelnym niebezpieczeństwie, a ci profesorkowie popisują się znajomością łaciny. Słuchaj no, Robert: co ty o tym wszystkim myślisz?

- Przede wszystkim, panie prezydencie, myślę, że krzywdzi pan doktora Rubina. Ten człowiek myśli powoli, ale skutecznie. Jest to z pewnością najlepszy doradca, jakiego kiedykolwiek miał prezydent Stanów Zjednoczonych. Rzeczywiście, nie zdaje egzaminu w momentach kryzysu, ale to w końcu jemu zawdzięcza pan przed miesiącem to błyskotliwe rozegranie poprzedniej rundy z Chomienką.

- To ładnie z twojej strony, Robercie, że dobrze mówisz o Nathanielu, którego nie znosisz i uważasz za mojego złego ducha. Ale komplementy odłóżmy na później. Co myślisz o tych przeklętych głowicach?

- Krótko: nie sądzę, żeby to zrobili Rosjanie. Zwłaszcza, żeby do tego użyli komandosów z NRD. Po prostu nie mają powodów. Chińczykom byłoby to ogromnie na rękę, ponieważ taka afera nieuchronnie poróżni nas z Moskwą, ale Chińczycy nie mają nawet ułamka możliwości technicznych, jakie są konieczne do przeprowadzenia takiej operacji. Interesowałem się trochę niemieckim systemem zabezpieczenia głowic i, jak sądzę, jest on wyjątkowo skuteczny. Francuzi oczywiście nie wchodzą w rachubę. Oni mogą porwać skład *fromage á poivre*¹¹, ale nie głowicę atomową. Pozostają tylko trzy możliwości, jedna gorsza

¹¹ Ser otoczony warstwą mielonego pieprzu

od drugiej. Pierwsza: zorganizowany spisek nacjonalistyczno-prawicowy w Bundeswehrze. Druga: jakiś oszalały geniusz. Trzeci: terroryści, choć tę ostatnią możliwość wymieniam tylko dla porządku. Nie wydaje mi się prawdopodobna.

- Wykluczasz możliwość, że tej sprytniej operacji dokonali nasi wspaniali chłopcy? Na przykład ludzie Prescottta bez jego wiedzy i zgody? Albo któryś z naszych walecznych pułkowników? Odkąd zredukowaliśmy tak znacznie stan naszych wojsk w Europie Zachodniej, ci ludzie są głęboko sfrustrowani i piekielnie się nudzą. Może chcieli przypomnieć, że istnieją i źle się czują w obecnej roli?

- Doświadczenie poucza, że niczego nie należy wykluczać. Wszystko może się zdarzyć. Nie sądzę jednak, żeby to było nadmiernie prawdopodobne. Opozycja z prawej znacznie ostatnio osłabła, panie prezydencie. Po serii ostatnich posunięć uchodzi pan wreszcie za twardego człowieka, który potrafi sobie radzić z Czerwonymi. Poza tym porwanie główic byłoby sprawą piekielnie ryzykowną. Sąd wojskowy, śledztwo, degradacja, na pewno surowe wyroki. Prasa zaczęłaby dochodzenie na własną rękę, oni to świetnie umieją od czasów Watergate. Nie. Tę ewentualność musimy wykluczyć.

- Czy pamiętasz, że w latach sześćdziesiątych mieliśmy takiego generała, nazywał się chyba Edwin Walker, który dowodził dywizją w Niemczech zachodnich i rozpoczął przygotowania do użycia broni atomowej? Dopiero kiedy został odwołany przez Kennedy'ego i utworzył jednoosobowy Tymczasowy Rząd Republiki Amerykańskiej, musieli się nim zająć psychiatrzy.

- Ten od Rządu Tymczasowego nazywał się Holdridge. Jeśli się to powtórzyło, to musielibyśmy odmówić zbiorowo modlitwę i czekać pokornie na dalszy bieg wydarzeń. Tak daleko pańska władza nie sięga.

- Więc co radzisz?

- Do udzielania rad prezydentowi powołany jest dr Nathaniel Rubin.

- Magorski, mógłbyś sobie darować te małe dworskie złośliwości. Pewnego dnia wyrzucę was obu.

- Jestem do dyspozycji, panie prezydencie. Nie sądzę, żeby mnie czekało przewlekłe bezrobocie.

- Zamknij się! Rozmawiamy sobie, jak gdyby nie wisiła nad nami groźba apokalipsy. Co proponujesz?

- Proponuję trzy wstępne kroki. Brooman musi natychmiast zawiadomić rządy sojusznicze, że ogłosiliśmy *alarm czerwony*. Prescott powinien w ciągu godziny wyjaśnić, dlaczego CIA wie tylko o jednej porwanej główicy. Tumbleson porozumie się z Naczelnym

Dowódcą Paktu i wyjaśni, że nasz *alarm czerwony* jest związany wyłącznie z sytuacją na Alasce i dotyczy wyłącznie naszych wojsk raketowych i lotniczych.

- Odrzucam wszystkie twoje propozycje, Robercie. Ciebie również zawodzi zmysł szybkiej orientacji w momencie kryzysu. Na zawiadamianie rządów sojusznicznych jest po prostu za późno. Nie mam czasu na wyjaśnienia, a zwłaszcza konsultacje, których się na pewno będą dopominać. Prescott bez rozkazu, we własnym zakresie, poruszy niebo i ziemię, żeby się dowiedzieć, kto go tak skompromitował. Uczyni to w pięć minut po opuszczeniu Białego Domu i nie spocznie, dopóki mi w zębach nie przyniesie głowy winnego. Nie znasz go jeszcze, Magorski. To straszny człowiek. Jeśli chodzi o uspokojenie Paktu, że *alarm czerwony* ma ograniczony zasięg, to jest to technicznie niemożliwe. Zapominasz, że *alarm czerwony* obowiązuje od kilkunastu minut, a teraz wydam wkrótce rozkaz, aby kluczyk w Omaha przekreślono na pozycję WOJNA. Wszystkie instalacje militarne i łącznościowe Paktu zaczną wtedy działać jak w *wypadku W*. Musieliśmy się zabezpieczyć przed możliwością przerwania komunikacji między nami i nimi.

- Więc co pan zamierza robić, panie prezydencie?

Do drzwi saloniku puka komandor Moore. Nie czekając na zezwolenie zbliża się do prezydenta; jego twarz ma kolor popiołu. W prawej ręce niesie przykutą do swego przegubu i lekko rozchylną walizeczkę. W lewej trzyma zapieczętowaną kopertę z modułami programowymi.

- Czy rzeczywiście muszę ogłosić coś w rodzaju stanu wojennego, żeby odpalić jedną jedyną raketę? - pyta Harrison jak gdyby sam siebie.

- Tak, panie prezydencie - mówi Magorski. - Na tym polega ten system. Gdyby wszystkie klucze nie tkwiły w pańskim ręku, każdy generał strzelałby sobie raketami według własnego uznania.

- Ale ogłaszając *wypadek W* stwarzam im taką możliwość.

- Istotnie. Ale nic lepszego na razie nie wymyślono - mówi Magorski, nie ukrywając ironicznego uśmiechu.

Prezydent łamie pieczęć na kopercie, wybiera jedną z dwunastu blaszek i wkłada ją do czytnika.

Nagle zakrywa oczy i kuli się jak po silnym uderzeniu. Nie może sobie przypomnieć kolejności cyfr kodu. A przecież nawet śniły mu się wiele razy.

- Przyrowadź tu Parkera - mówi do Magorskiego schrypniętym, nieswoim głosem. - I zostaw nas samych.

Parker, rozogniony jeszcze toczącą się w Sali Owalnej dyskusją, nieruchomieje u

drzwi saloniku. Obrzuca wzrokiem zmienioną, rozpieczętowaną kopertę z modułami. Nagle rozumie wszystko.

- Cyfry, prędko! - syczy Harrison. - Jaka jest kolejność cyfr kodu?

- Cztery, dziewięć, pięć... - zaczyna Parker. - Ależ panie prezydencie, przecież to oznacza wojnę!

- Uspokój się. Otrzeźwiej trochę. Nie rozpoczynam z nikim wojny. Ale bez przestawienia systemu rozkazodawczego na *wypadek W* nie będziemy mogli uruchomić rakiet. Czy tego nie rozumiesz? Mów cyfry.

- Cztery, dziewięć, pięć...

- Tyle i ja pamiętam. Co dalej?

- Cztery, dziewięć, pięć... zaraz, dalej była końcówka czyjegoś roku urodzenia... aha, znów dziewięć.

- Nieprawda. Po piątce idzie chyba dwójka.

- Słusznie, dwójka.

- Panie prezydencie - rozlega się z walizki głos generała Fawleya - mamy już czterdzieści sekund opóźnienia.

Harrison daje znak adiutantowi, aby wyłączyć fonię.

- No więc? - pyta Harrison. - Dopuszczymy do Bóg wie jakiego nieszczęścia, ponieważ obaj zapomnieliśmy kilku cyfr, jak starzy sklerotycy? Czy te cyfry naprawdę nie są nigdzie zanotowane? Cóż to za idiotyczny pomysł! Gdzie jest Tumbleson? Ach, prawda. Przecież żaden generał nie może znać tych cyfr. Chwilkę. Chyba właśnie Tumbleson, jako Szef Połączonych Sztabów, powinien je mieć zanotowane?

- Panie prezydencie - mówi ściszym głosem Parker. - Czy moglibyśmy na chwilę zostać sami?

- Komandor Moore i tak ode mnie daleko nie odejdzie. A cóż to znów za tajemnica?

- Nie powinienem tego robić, wiem - nachyla się Parker do ucha Harrisona - ale w moim osobistym dzienniku, na ostatniej stronie, zanotowałem te cyfry. Niestety, wbrew instrukcjom i wbrew przysiędze...

- Gdzie jest ten dziennik?

- W sejfie. Na szczęście sejf znajduje się w moim biurze, nie w prywatnej rezydencji.

- Gdzie masz klucz?

- Tutaj - wiceprezydent Parker pokazuje niewielki woreczek, podwieszony pod prawą szelką.

Prezydent otwiera drzwi od saloniku i woła na cały korytarz:

- Magorski!

Robert Magorski, nie spiesząc się, wychodzi z Sali Owalnej.

- Słuchaj, Bob - powiada prezydent. - Zdaję sobie sprawę z idiotyzmu sytuacji, ale od sprawności twoich nóg zależy los naszego kraju. Obydwoj z Reginaldem zapomnieliśmy kodu - no wiesz, o jakim kodzie mówię. On ma to zapisane, niestety, w swoim prywatnym dzienniku, który znajduje się u niego w biurze. Reginald jest zbyt stary i zbyt otyły, aby pobic do sejfu. Dostaniesz teraz klucz...

Wiceprezydent Reginald Parker uświadamia sobie nagle, że w ciągu ostatnich kilku dni zanotował w swym dzienniku wiele wyjątkowo nieprzyjemnych uwag na temat Magorskiego. Są tam również krytyczne uwagi o prezydencie, a co najgorsze, szczegółowy zapis pewnej rozmowy o charakterze finansowym... Nie, wykluczone: dopuszczenie Magorskiego do tego dziennika jest równoznaczne z samobójstwem.

- Panie prezydencie - sapie Parker - ja jednak sam pójdę. Naprawdę, zajmie mi to najwyżej dwie minuty.

Magorski wzrusza ramionami. Wie doskonale, że dwie minuty nie wystarczą Parkerowi nawet na opuszczenie Białego Domu, nie mówiąc już o przecięciu Pennsylvania Avenue i ruchliwej Szesnastej Ulicy Północno-Wschodniej.

- Mogę uratować nasz kraj - powiada z uśmiechem Magorski - bez opuszczania tego szanownego budynku. Znam te cyfry.

- Skąd je znasz? - pyta podniesionym głosem Harrison. - Nie masz do tego prawa.

- Należy to do moich niepisanych obowiązków. W końcu należało się liczyć z tym, że kiedyś może pan zapomnieć kolejności cyfr kodu, panie prezydencie.

- To znaczy, że mogłeś na własną rękę rozpocząć wojnę?

- Tylko w zмовie z pańskim adiutantem oraz z szefem Połączonych Sztabów. Sam nie mogę otworzyć walizki ani posługiwać się Łącznością Specjalną.

- Jest to potworne. Zażądam od Połączonych Sztabów kompletnej przebudowy tego kretyńskiego systemu. Dobrze. Mów te cyfry.

- Myślę - powiada Magorski - że należy mi się mała satysfakcja. Ponieważ włożył pan już do czytnika moduł programowy, pozwoli pan, panie prezydencie, że osobiście naciśnie klawisze.

Nie czekając na przyzwolenie, zbliża się do walizki komandora Moore i wprawnym, szybkim ruchem naciska klawisze.

Na umieszczonym w walizce zegarze widnieje czas rozpoczęcia operacji. Lewa jego część wskazuje minus sto osiem sekund - tyle jest już opóźnień w stosunku do pierwotnego

planu. Prawa część zaczyna teraz odliczać czas od zero sekund i zero minut.

XXV

Inspekcja kapitana von Riesenthala w tajnej Bazie nr 4 trwała dokładnie 33 minuty.

Komendant Bazy ochłonął już z paniki, w jaką popadł na skutek swej własnej gafy, i udzielił adiutantowi kanclerza wyczerpujących wyjaśnień. Sprawa, jak stwierdził komendant, polegała na nieporozumieniu. W najbliższych dniach - zdaje się, że w niedzielę - miał nadejść do TB 4 transport nowej, najściślej tajnej, aparatury łącznościowej, której przeznaczenie nie było znane nawet komendantowi. Ponieważ Generalny Inspektor pragnął zachować tę sprawę w absolutnej tajemnicy, uprzedzono komendanta, że zostaną zastosowane różne działania maskujące i odwracające uwagę osób niepowołanych. Na krótko przed przybyciem transportu z aparaturą miał się pojawić w Bazie niejaki kapitan Lamch. Stąd i całe zamieszanie, za które komendant Bazy gorąco przeprosza. Sądził, że niespodziewane przybycie adiutanta kanclerza jest właśnie manewrem maskującym.

Kuno von Riesenthal wysłuchał w milczeniu wyjaśnień komendanta, ale nie dał po sobie poznać, czy go przekonały. Kazał komendantowi własnoręcznie wszystko to opisać w formie oświadczenia, a także opatrzyć podpisem. W tym celu obaj oficerowie udali się do pomieszczenia kontrolnego Bazy, gdzie oficer dyżurny, niejaki Wülsthoff, posłużył jako świadek. Von Riesenthal schował dokument do kieszeni, po czym poszedł obejrzeć Bazę. Wrócił do pokoju komendanta akurat w tym momencie, kiedy z deszyfratora zaczęła się wysnuwać taśma depeszy.

Generalny Inspektorat domagał się natychmiastowego wyjaśnienia, dlaczego brak meldunków od majora Zoppke i co się właściwie dzieje z dyspozycyjnym śmigłowcem ministra obrony, gdyż śmigłowiec znikł z ekranów radarowych kontroli obszaru powietrznego.

Komendant znów się speszył i spojrzał na von Riesenthala wzrokiem, stanowiącym osobliwe połączenie lęku, wściekłości i błagania. Adiutant kanclerza polecił, aby komendant w jego obecności wysłał do Generalnego Inspektoratu wyjaśnienie następującej treści: „Major Zoppke wykonał swe zadanie wzorowo, dostarczając kapitana von Riesenthala do TB 4. Nie są znane dalsze plany obu oficerów. Kapitan von Riesenthal prosi o zawiadomienie kontroli obszaru powietrznego, aby śmigłowiec został wyłączony z normalnej procedury kontrolnej“.

Komendant, ocierając pot z czoła, bo dzień w istocie stawał się już upalny nie do wytrzymania, wystukał na klawiaturze podyktowany mu tekst.

Ledwo sperfiorowana taśma zdążyła zniknąć w otworze maszyny szyfrującej, z deszyfratora znów zaczęła się wysnuwać taśma. Generalny Inspektorat w bardzo ostrych słowach upominał komendanta Bazy, że nie jest to pora na niemądre żarty. O godzinie 12.31 komendant poinformował, że von Riesenthal zgodnie z rozkazem został odprawiony sprzed bramy wjazdowej Bazy. Jak wobec tego może się znajdować w TB 4? Generalny Inspektorat ponownie żądał natychmiastowego, wyraźnego wyjaśnienia w sprawie majora Zoppke, który nie nadał przewidywanych meldunków o ustalonych godzinach.

Von Riesenthal przeczytał tę wymianę depesz z niezmaconym spokojem, nie patrząc na rozdygotane dłonie komendanta i jego przerażone oczy. Podszedł do klawiatury i własnoręcznie wystukał następujący tekst:

„O swoich spostrzeżeniach informuję osobiście kanclerza federalnego oraz prokuraturę wojskową. Major Zoppke nie będzie nadawał do końca mojej podróży inspekcyjnej żadnych meldunków, a po powrocie zażądam jego aresztowania z powodu podejrzenia o uczestnictwo w spisku. Na mocy wydanych mi pełnomocnictw kanclerskich zabraniam jakichkolwiek działań utrudniających moją misję. Von Riesenthal, kapitan”.

Nie podając ręki komendantowi, Kuno von Riesenthal wyszedł z budynku sztabowego, krzyknął na majora Zoppke i wydał rozkaz startu. Zoppke zażądał bezpiecznika od radiostacji. Jego pasażer odmówił. Zoppke oświadczył, że w tych warunkach nie może wykonywać lotu. Kapitan osobiście włożył bezpiecznik w gniazdko i zapowiedział, że bezpiecznik zostanie znów wyciągnięty po osiągnięciu następnego celu.

Kurs śmigłowca prowadził teraz na wschód, w kierunku Tajnej Bazy nr 3.

W tym samym kierunku zmierzał konwój, wiozący dziesięć głowic neutronowych o łącznej mocy 599,5 kilotony.

XXVI

Bonn, 12.06, godz. 12.38 GMT

AKCJA NIETOPERZ - RAPORT NR 3

Tajne najwyższego znaczenia - jeden egzemplarz!

Tylko przez oficera!

Tylko dla kanclerza federalnego!

1. Informuję, że o godz. 11.30 grupa nieznanymi osobami, przebranych w mundury amerykańskie i wyposażonych w amerykański sprzęt wojskowy, porwała z komendy policji w Maierhof składowaną tam tymczasowo głowicę neutronową o mocy 0,5 kT, tę samą, która rano została odnaleziona przez policję. Napastnicy zagrozili pracownikom komendy użyciem broni i oddalili się w nieznanym kierunku. Zarządziłem pościg, o rezultatach zawiadomię. Przypominam, że jedna z porwanych głowic prawdopodobnie wykazuje podwyższone promieniowanie, którego natężenie będzie wzrastać proporcjonalnie do kwadratu czasu.

2. Zmiana ekipy śledczej, badającej wydarzenia w Tajnej Bazie nr 6, ujawniła bardzo poważne zaniedbania i niewątpliwe dowody sabotażu, uprawianego przez agentów nieprzyjaciela w dowództwie dywizji. Nic nie podważa pierwotnego założenia, iż porwanie wszystkich głowic było dziełem służb specjalnych strefy wschodniej.

3. Wokół Bazy znaleziono rozmieszczone w różnych punktach amatorskie radiostacje małego zasięgu typu walkie-talkie, produkcji krajowej. Ustalono, że nabywał je przed tygodniem młody człowiek, którego rysopis został odtworzony i przekazany policji.

4. Porwanie głowicy z Maierhof jest już znane mieszkańcom miasteczka. Konieczne są natychmiastowe działania wyjaśniające wobec prasy. Dywersanci byli tak starannie wyposażeni w oryginalne produkty USA, że w miejscu napadu znaleziono opakowanie od autentycznej amerykańskiej gumy do żucia, puszkę po piwie *Schlitz* z Milwaukee oraz rozpieczętowaną paczkę papierosów *Winston*, sprzedawaną tylko w amerykańskich sklepach wojskowych. Każde to oczekiwać dalszych, bardzo groźnych prowokacji nieprzyjaciela.

Peter Grauder, minister obrony

XXVII

Po przeczytaniu tego raportu kanclerz Lüttner zażądał, aby mu podano podwójną wzmocnioną kawę. Następnie podszedł do ukrytego za kotarą barku i nalał sobie szklaneczkę ulubionej marynarskiej wódki kminkowej *köm*.

Amerykanie porywający amerykańską głowicę bez wiedzy amerykańskiego prezydenta - tego było już trochę za dużo.

Tak się bowiem złożyło, że przed kilkoma minutami kanclerz uzyskał z najzupełniej niezawodnego źródła wiadomość, która go najpierw rozśmieszyła, a potem wprawiła w

osłupienie. Głowicę z Maierhof porwali po raz drugi nie żadni dywersanci przebrani za Amerykanów, lecz całkiem autentyczni żołnierze amerykańscy z 665 batalionu odwodowego w Bambach. Ani minister Grauder, ani dr Pfeiffer nic jeszcze o tym nie wiedzieli, lecz kanclerz Lüttner miał własne źródło informacji, niedostępne dla nich obydwu.

Był to niejaki Helmut Schördwahn, dawny kolega z lat dzieciństwa kanclerza, jeden z niewielu ludzi, którym kanclerz ufał prawie bez zastrzeżeń. Różnica ośmiu lat między nimi sprawiła, że Helmut traktował Dagoberta jak młodszego brata.

Helmut Schördwahn od bardzo wielu lat używał nazwiska William Blair Thompson. Jego fałszywe dokumenty, sporządzone w roku 1945 przez najlepsze laboratorium Abwehry, były tak doskonałe, że nawet w oczach FBI, która dokładnie zbadała jego rodowód i referencje, uchodził za potomka starej, szanowanej rodziny z Milwaukee, wywodzącej się wprawdzie z niemieckiej imigracji, lecz nieposzlakowanej pod względem lojalności wobec republiki amerykańskiej.

Było to stosunkowo proste. Prawdziwy William Blair Thompson, podporucznik piechoty morskiej, poległ podczas lądowania aliantów na Sycylii. Jego dokumenty, listy, fotografie i notatki dostały się w ręce inteligentnego oficera Abwehry. Wkrótce potem cała niemal rodzina prawdziwego Thompsona wymarła niemal równocześnie podczas głośnej epidemii szkarlatyny. Ten sam los spotkał najbliższych sąsiadów, a jedyny wuj Thompsona zginął w wypadku. Rezydent Abwehry w Nowym Jorku przez przypadek wpadł na trop tego niezwykłego zbiegu okoliczności i zebrał wszelkie niezbędne informacje. W Berlinie podjęto odpowiednie decyzje. Młody, wyróżniający się podporucznik Abwehry, Helmut Schördwahn, mówiący bezbłędnie po angielsku, powędrował we wrześniu 1943 roku do obozu jenieckiego Oflag III-c, wraz z grupą alianckich oficerów. Przesiedział tam do końca wojny, w nie najlepszych zresztą warunkach. Przypadek zdarzył, że akurat tę część akt Abwehry, która zawierała informacje o Schördwahn, usunięto z sejfów przy Bendlerstrasse, kiedy Rosjanie i Polacy przekraczali Odrę; spłonęły podczas oblężenia Berlina. Natomiast pułkownik Abwehry, który kierował akcją „Thompson”, został w styczniu 1945 roku rozstrzelany przez Gestapo razem z Canarisem. Po prawdziwym życiu Helmuta Schördwahna zaginął wszelki ślad. Rodzinę zawiadomiono jeszcze jesienią 1943 roku, że Helmut poległ na froncie, zresztą rodzice nie przetrzymali stycznia 1945 roku w okolicach Królewca, a jedyna siostra Helmuta zginęła pod gruzami Drezna.

Po wojnie Helmut Schördwahn-Thompson nie miał już wprawdzie żadnych powinności służbowych, ale nie zamierzał się pozbywać tak wspaniałego alibi. Pojechał do Kalifornii, szybko ożenił się z głupawą i krowiastą córką jakiegoś farmera, rozwiódł się

najszybciej jak mógł i zaczął się rozglądać za jakimś zajęciem. Nie spieszył się zbyt, ponieważ adwokaci wydusili niemałą sumkę od towarzystw ubezpieczeniowych z powodu śmierci całej rodziny Thompsona. Helmut był zresztą pewien, że prędzej czy później przyda się jeszcze prawdziwym interesom niemieckim.

Doszło do tego dopiero w dwadzieścia lat po wojnie, latem 1965 roku, kiedy to major William Blair Thompson został odkomenderowany do służby w Republice Federalnej Niemiec, na czym zaważyła i jego piękna przeszłość frontowa, i bezbłędna znajomość języka niemieckiego, której nabył, jak stwierdzono w tajnych aktach personalnych, podczas pobytu w Oflagu III-c, gdzie zresztą zachowywał się godnie, jak przystało na amerykańskiego oficera. Tylko przez pierwsze miesiące Schördwahn musiał się trochę natrudzić, aby swej niemczyźnie nadać rozlewny, amerykański akcent ze Środkowego Zachodu. Zmienił się zresztą bardzo od czasów, gdy był młodym, dziarskim podporucznikiem Abwehry; zdarzało się, że ludzie, którzy go kiedyś dobrze znali, witali go jak zupełnie obcego człowieka.

Z Dagobertem Lüttnerem Schördwahn nawiązał kontakt dopiero po kilku latach pobytu w Republice Federalnej, kiedy Lüttner został premierem Nadrenii-Palatynatu. Wiedzieli o sobie nawzajem tak wiele, że Schördwahn nie uważał za konieczne, aby ukrywać swe powojenne losy. Zresztą odzywał się do Lüttnera rzadko i tylko w takich sprawach, które wydawały mu się ważne dla polityki niemieckiej.

Tak było i tym razem. Schördwahn-Thompson zadzwonił do kanclerza z ulicznej budki telefonicznej, podając pewne nazwisko, które na polecenie kanclerza zapewniało mu natychmiastowe połączenie bez względu na okoliczności. Schördwahn poinformował, że głowicę porwali z Maierhof Amerykanie, że była to głowica produkcji amerykańskiej, co natychmiast stwierdzono, i że cała ta operacja odbyła się bez autoryzacji Waszyngtonu.

Należy bowiem dodać, że mimo nadwątlonego zdrowia Mr. Schördwahn-Thompson pełnił pewne delikatne funkcje w rezydenturze CIA w Monachium, a o jego prawdziwym życiorysie do roku 1943 nie wiedział nawet Palmer II, który wie wszystko.

Kanclerz Dagobert Lüttner dopił kawę i poszedł do sali posiedzeń gabinetu, gdzie oczekiwali wzburzeni i zaniepokojeni ministrowie. Rząd Republiki Federalnej postanowił w obliczu tej groźnej i niejasnej sytuacji obradować w permanencji.

Tak więc o godzinie 6.44 czasu wschodnioamerykańskiego legendarny kluczyk w stanowisku dowodzenia SAC w Omaha został przekreślony na pozycję WOJNA.

Amerykański system rozkazodawczy jest tak pomyślany, że nawet w tej sytuacji wojna jeszcze się nie rozpoczyna.

Najpierw odsłaniają się pokrywy podziemnych silosów ze strategicznymi pociskami transkontynentalnymi. W ciągu 40 sekund wielkie dźwigi ustawiają każdy pocisk w pozycji pionowej, a maszyny matematyczne wytyczają mu cel i kurs. Właśnie dlatego prezydent wybiera na chybił trafił jeden z dwunastu modułów programowych, żeby do najostatniejszej chwili nie było wiadomo, jakie jest docelowe przeznaczenie każdej rakiety z osobna. Moduły są tak skonstruowane, że każdy z nich pozwala rakietom osiągnąć wszystkie zaplanowane cele, jednakże w każdej z dwunastu kombinacji ten sam cel zostaje przypisany innej spośród 2180 rakiet strategicznych.

Okręty podwodne, płynące już od chwili ogłoszenia *alarmu czerwonego* w kierunku tajnych akwenów, skąd oddadzą swe śmiertelne salwy, zwiększają zanurzenie i włączają potężne urządzenia zagłuszające. Samoloty myśliwskie czają się na pasach startowych, zatankowane po brzegi zbiorników i zaopatrzone w komplet rakiet bojowych. Z barek desantowych piechoty morskiej wypadają z chrzęstem wielkie, łakome burty i połykają jeden po drugim lekkie czołgi. Krążące w przestrzeni kosmicznej satelity wypuszczają dodatkowe anteny i przyspieszają ruch swych martwych, precyzyjnych źrenic elektronicznych, patrzących na dziesiątki kilometrów nawet poprzez najgęstszą warstwę chmur i ciemności. Rakiety krążące, uzbrojone w głowice neutronowe, wędrują ze stanowisk składowania na ruchome wyrzutnie i otrzymują programy w postaci niewielkiego klocka układów scalonych. Rakiety MX-2 przesuwają się w swych podziemnych tunelach, liczących od pięciu do trzydziestu kilometrów. Artyleria atomowa w Europie wysuwa krępe, czarne lufy z siatek maskujących. Dywizje pancerne rozpełzają się na stanowiska wyjściowe, z których jedno znajduje się o 300 metrów od Bramy Brandenburskiej w Berlinie, inne zaś, zatopione we wzgórzach Czeskiego Lasu, leży zaledwie o kilometr od granicy. Oficerowie z Dziesiątej Grupy Dywersyjno-Desantowej w Bad Tölz fasują ampułki z bakteriami węglika i riketsjami, materiały wybuchowe i zapalające, waluty krajów socjalistycznych i wieczne pióra, z których można strzelać miniaturowym pociskiem z gazem neutronowym.

Jest to właściwie stan wojny, ale początkowo nie dzieje się właściwie nic, czego nie można by już było odwrócić.

Jedyna istotna różnica polega na tym, że od momentu ogłoszenia *wypadku W* prezydent Stanów Zjednoczonych traci wyłączność na dysponowanie mocą uderzeniową

swych sił zbrojnych na lądzie, na morzu i w powietrzu. System rozkazodawczy zostaje odblokowany i każdy bez wyjątku uprawniony dowódca wyższego szczebla - a jest ich w sumie około czterdziestu - może na własną rękę rozpocząć działania wojenne. Należy dodać do tego 276 dowódców amerykańskich i alianckich w Europie, mających prawo dysponowania taktyczną bronią neutronową w sytuacjach, które ich zdaniem uzasadniają użycie tej broni. W odróżnieniu od wyższych dowódców amerykańskich, ich możliwości rozpętania wojny na własną rękę są ograniczone. To jednak nie znaczy, że nie istnieją.

Również dowództwo Strategicznych Sił Powietrznych po ogłoszeniu *wypadku W* nie ma już żadnych ograniczeń w dysponowaniu raketami najdalszego zasięgu i dziewięcioma tysiącami samolotów bojowych, niosących na pokładach broń atomową wszystkich odmian i kalibrów.

W piątek, 12 czerwca, wypadki potoczyły się jednak zupełnie inaczej niż w roku 1962, kiedy to po raz pierwszy w historii ogłoszono *wypadek W*.

W ciągu trzech minut po ogłoszeniu *wypadku W* dowództwo SAC w Omaha wiedziało już, że nadlatujące obiekty, które przekroczyły amerykańskie wody terytorialne, nie są samolotami. Ułatwiało to wybór środków obronnych i wyłączało, przynajmniej w pierwszej fazie, konieczność użycia lotnictwa myśliwskiego. Problem polegał jednak na tym, że żaden z konsultowanych specjalistów nie potrafił określić natury tych tajemniczych obiektów. Kpiły sobie z praw mechaniki, pędziły po trajektorii, która przyprawiała komputery o paranoję, wyprawiały na niebie nedorzeczne harce, jak stado rozdokazywanych psiaków. Na domiar wszystkiego, kiedy najszybszy komputer obliczył ich prawdopodobny punkt docelowy, w dowództwie SAC zapanowała chwila przygnębiającego milczenia. Tajemnicze punkty zmierzały w kierunku południowej granicy Meksyku, zapewne do trójkąta Tuxtla Gutierrez - Tapachula - Tehuantepec. Jest to najodludniejszy rejon pasma górskiego Sierra Madre, położony tuż nad granicą Gwatemali, niemal całkowicie bezludny i pozbawiony dosłownie czegokolwiek, co mogłoby mieć choć cień znaczenia wojskowego.

Zapadła decyzja, aby użyć wielogłowicowej rakiety MIRV, stacjonującej w silosie nr 2091, położonym gdzieś w pustynnych bezdrożach Nowego Meksyku. Co prawda dokonanie wybuchu atomowego na pograniczu troposfery i przestrzeni kosmicznej oznaczało naruszenie litery układu moskiewskiego z 1963 roku, ze względu jednak na rozmowę, jaką Harrison przeprowadził z Konowajewem, uznano za zbędne zawiadomianie Moskwy, a także innych sygnatariuszy układu.

O godzinie 6.50, kiedy tajemnicze obiekty zbliżały się już na odległość zaledwie tysiąca mil od stanu Waszyngton, generał Fawley wydał rozkaz odpalenia rakiety.

W tym samym momencie urwała się wszelka łączność z rejonowym stanowiskiem dowodzenia w Nowym Meksyku. Trzy sąsiednie rejony zameldowały niemal natychmiast o nieszczęściu: zanim jeszcze rakieta nr 2091 stanęła w pozycji bojowej, nastąpił wybuch płynnego tlenu. Silos został całkowicie zniszczony. Los sześciu głowic atomowych o łącznej mocy dwustu kiloton, w które była uzbrojona rakieta 2091, był chwilowo nieznanym.

O godzinie 6.57, kiedy tajemnicze obiekty, jak gdyby przeczuwając zagładę, znów zwiększyły wysokość lotu i znajdowały się już tylko o trzy minuty lotu od Seattle, generał Fawley polecił odpalić rakietę nr 1731, stacjonowaną w Arizonie, a także przygotować do odpalenia rakietę MX-2 nr 0023, ukrytą w Górach Skalistych.

Rakieta nr 1731 wystartowała w 26 sekund po wydaniu rozkazu. Punktualnie o godzinie 7.00 na ekranach radarowych zaobserwowano oślepiająco białe, chaotyczne smugi promieniowania po wybuchu.

Tajemnicze obiekty znikły.

Groźba wisząca nad Stanami Zjednoczonymi została zażegnana.

Generał Fawley sięgnął po słuchawkę, aby za pośrednictwem szefa Połączonych Sztabów zameldować prezydentowi o wykonaniu rozkazu, kiedy nagle na ekranach pojawiły się, jeden po drugim, trzy kolejne błyski. Oficer nadzorujący stan arsenałów krzyknął, że silosy nr 1732, 1733 i 1734 odpaliły rakiety bez rozkazu.

Po sekundzie nastąpił piąty i szósty wybuch. Po następnych dwóch sekundach - siódmy i ósmy. Potem w dowództwie SAC stracono już rachubę. Próby przełączenia kluczyka na inną pozycję nie skutkowały, a sworznia blokującego *położenie W* nie można było cofnąć bez sygnału od prezydenta. Wszystko to działo się tak szybko, że ani oficerowie dyżurni, ani sam generał Fawley nie mogli się zorientować, co się właściwie dzieje. Wyskakujące na tablicy świetlnej błyski ostrzegawcze informowały, że częściowo lub całkowicie opustoszały podziemne arsenały atomowe Arizony, Nevady, Oklahomy, Colorado, Wyoming i Południowej Dakoty. Łącuch przerywał się dopiero w Nowym Meksyku - właśnie tam, gdzie pożar unieruchomił pierwszą rakietę.

W ciągu dwóch minut i piętnastu sekund poranne niebo nad stanem Waszyngton przeżyło wybuch 85 głowic o łącznej mocy sześćdziesięciu siedmiu megaton. Tak prawdopodobnie musiał wyglądać pierwotny chaos przed powstaniem Wszechświata. Drobiny rozrzedzonego powietrza rozpadały się na oszalałe od żaru atomy; straszliwe fale podmuchu zderzały się ze sobą czołowo, wydając ryk, który słyszano w San Diego; słup ognia osiągnął wysokość prawie dwudziestu kilometrów. Nigdy jeszcze w całych dziejach planety nie wyzwolono tak straszliwej energii na tak małym skrawku przestrzeni, ponieważ

kolejne rakiety z nieopisaną precyzją trafiały stale w ten sam, podobny do sześcianu skrawek przestrzeni o boku zaledwie pięciuset metrów. Potem nad gigantyczną wyrwą w atmosferze zapadła nieprzenikniona ciemność, a z miejsca eksplozji ruszyły w cztery strony świata mordercze tajfuny, gotowe zmiażdżyć wszystko, co spotkają na swej drodze.

Nie trzeba było nawet długo zastanawiać się nad przyczynami katastrofy.

Jeden z dwóch równoległych układów elektronicznych - ten, który pozwalał na odpalenie pojedynczych rakiet z dowolnymi przerwami między poszczególnymi wystrzałami - został po prostu błędnie podłączony, prawdopodobnie w centrali sterowniczej w Omaha. Naciskając spust dla rakiety nr 1731, dyżurny oficer uruchomił bezwiednie tak zwany *układ łańcuchowy*, powodujący odpalenie całej salwy nawet wówczas, gdyby przy życiu nie pozostał ani jeden żywy człowiek, zdolny do wydawania rozkazów.

Układ łańcuchowy był wielokrotnie zabezpieczony na całej długości, ale jego końcówka, dochodząca do przekaźnika w centrali sterowniczej, również składała się z przewodu, oczka i zacisku, tak samo jak końcówka układu ognia pojedynczego. To prawda, że ta groźniejsza była oznaczona kolorem szkarłatnym, że miała być w końcowym odcinku wygięta w pętlę i że przyczepiono do niej tabliczkę **PODŁĄCZAĆ W OSTATNIEJ KOLEJNOŚCI**. Ale nawet najwymyślniejsze mechanizmy są w końcu montowane przez ludzi, których pracę nadzorują inni ludzie. Nikt już nigdy nie odnajdzie montera, który pomylił obie końcówki przy montażu lub okresowym przeglądzie. W razie wojny i tak nie miało to wielkiego znaczenia.

Nikt natomiast nie wiedział, dlaczego *układ łańcuchowy* odpalił wszystkie rakiety równocześnie i skierował je w to samo miejsce. Każda z nich miała przecież osiągnąć inny cel na terytorium nieprzyjaciela.

O godzinie 7.06 w płonącej rakiecie nr 2091 stopiły się pod działaniem tlenu tytanowe pancerze głowic, a w chwilę później również potężne stalowe sprężyny, rozpierające ładunki plutonu. W ciągu ułamka sekundy izolator grafitowy rozsypał się w proszek. Ładunki wpadły na siebie, masa krytyczna została osiągnięta i w pustkowiu Nowego Meksyku rozległ się potworny, rezonujący grzmot. Z pustyni podniósł się w niebo czarny słup z opalizującym, błękitno-białym grzybem na szczycie.

O godzinie 7.07, zanim jeszcze dowództwo SAC zdążyło poinformować prezydenta o katastrofie, wpadł do Sali Owalnej pułkownik Winder, szef Łączności Specjalnej. Zdyszany głosem zameldował prezydentowi, że istota tajemniczych obiektów została wyjaśniona i że użycie broni raketowej jest zbędne.

Sprawa wyglądała tak. Około godziny 2.00 nad ranem czasu wschodnio

amerykańskiego uległ awarii w Kosmosie tajny amerykański satelita badawczy z serii G, opatrzony kolejnym numerem 63. Przy pomocy tej serii NASA¹² prowadziła swe najtajniejsze bodaj badania, które w niedalekiej już przyszłości miały doprowadzić do skonstruowania broni grawitacyjnej. Na pokładzie satelity nr 63 zainstalowano pierwsze prawidłowo działające urządzenie, wytwarzające sztuczne pole grawitacyjne. Właśnie za kilka dni NASA miała zamiar wysłać na próbę w przestrzeń kosmiczną kilka różnorodnych obiektów w pobliże satelity. Z chwilą uruchomienia aparatury zaczął on działać jak przepotężny magnes na wszystko, co znalazło się w promieniu kilku kilometrów od niego. Jednakże na skutek awarii satelita zaczął nagle tracić wysokość. Wzrost temperatury spowodował samoczynne uruchomienie aparatury, ale działała ona w sposób pulsacyjny. Satelita G-63 działał więc chwilami jak mała planeta na wszystkie obiekty, jakie napotykał na swym chimerycznym torze lotu. Zniszczył, jak później ustalono, cztery sputniki radzieckie, dwa francuskie, jeden chiński i aż dwanaście amerykańskich, nie licząc złomu kosmicznego. Część z nich przyłgnęła do satelity, zwiększając jego masę i zmieniając mu bezustannie orbitę. Potem, kiedy aparatura znów przestawała działać, przyciągnięte przedmioty odskakiwały od satelity, wtrącając go w jakieś piekielne piruety. Inne napotkane obiekty nie mogły się uwolnić od przyciągania satelity, ale stawiały mu skuteczny opór; tor ich lotu był wypadkową tak wielu sprzecznych ze sobą czynników, że komputery naprawdę mogły powariować.

Wszystko to powinno być zaobserwowane przez *Tracking Center* w Maryland najpóźniej w ciągu pół godziny po awarii. Niestety, NASA jest instytucją cywilną o dość skromnym budżecie i niedopuszczalnych nawykach z punktu widzenia pojęć, jakie obowiązują w wojsku. Tej fatalnej nocy w *Tracking Center* dyżurował tylko jeden specjalista, dr Ronald Rafferty, jr., ponieważ drugi uległ wieczorem lekkim wypadkowi samochodowemu i zawiadomił, że nie przyjdzie na dyżur, a w NASA nie ma zwyczaju, aby chorego kolegę zastępował ściągnięty z domu uczonec, który, powiedzmy, wybiera się na weekend. Zawiadomiono wprawdzie wojska lotnicze, ale zdaje się, że nikt nie przejął się zbyt tym meldunkiem, ponieważ NASA zajmowała się tylko satelitami doświadczalnymi, do czego jeden mędrzec w zupełności wystarczał.

Wyjątkowo pechowy zbieg okoliczności sprawił, że około godziny 5 nad ranem dr Ronald Rafferty zmarł nagle przy swoim biurku na zawał serca. Bardzo możliwe, że to awaria satelity G-63 stała się przyczyną jego śmierci. Rafferty był jednym z rzeczników badań nad sztuczną grawitacją, choć te kosztowne i długotrwałe badania miały licznych przeciwników w

¹² NASA - zarząd lotnictwa i badań kosmicznych w USA

Kongresie. Katastrofa satelity, który przez 18 dni pracował w kosmosie zgodnie z programem, mogła oznaczać zablokowanie budżetu na dalsze badania, a tym samym - klęskę naukową dra Raffety'ego.

Dopiero energiczna interwencja pułkownika Windera pozwoliła ustalić wszystkie te okoliczności. Praca w *Tracking Center* rozpoczyna się o godzinie 8.00.

Prezydent Harrison, po wysłuchaniu tych informacji, polecił natychmiast odwołać *alarm czerwony* i polecił, aby tylko siły powietrzne jeszcze przez jakiś czas pozostawały w stanie *alarmu zielonego*.

Było już jednak za późno. Niemal w tej samej chwili generał Tumbleson przekazał zwięzłą, dramatyczną relację o tym, co się zdarzyło nad stanami Waszyngton, Oregon i Kalifornia. Już nad trzema, ponieważ chmura radioaktywna, pędzona straszliwymi wichrami, przesuwała się na południe z szybkością ponad 200 mil na godzinę. Eksplozja nastąpiła co prawda na wysokości 45 kilometrów nad ziemią i nie spowodowała chwilowo żadnych zniszczeń na ziemi. Jednak nie trzeba było być fizykiem, aby uświadomić sobie rozmiary szkód, jakie wkrótce wyrządzi opad radioaktywny i uderzenie trąb powietrznych.

Nie wybuchła żadna wojna, a jednak Stany Zjednoczone stanęły w obliczu największego kataklizmu w swych dziejach.

Ale to nie było wszystko. O godzinie 11.59 czasu środkowoeuropejskiego, czyli na minutę przed eksplozją w USA, zdarzyło się coś jeszcze, o czym na razie prezydent Harrison nie wiedział.

Dowódca VI Floty amerykańskiej, stacjonującej w rejonie Morza Śródziemnego, wiceadmirał MacGregor, otrzymał meldunek, że przez cieśninę dardaneelską przepłynął właśnie radziecki krążownik rakietowy o napędzie atomowym, *Nachimow*. Towarzyszył mu kontrtorpedowiec *Smiełyj* i wielocelowy okręt bojowy *Tbilisi*. Eskadra przegrupowała się u wyjścia z Dardaneli i zaczęła płynąć na południe.

Bosfor i Dardanele są na mocy konwencji międzynarodowych otwarte dla wszystkich flot świata. Radzieckie okręty wojenne przepływały tędy często i nie budziły żadnych szczególnych reakcji w dowództwie VI Floty, poza dokładnym odnotowaniem nazw i klas okrętów, oraz włączeniem nasłuchu radiowego.

Teraz jednak - po raz pierwszy za pamięci dowódcy wszystkich wyższych oficerów sztabu VI Floty - obowiązywał *wypadek W*. Trudno było oczekiwać, że rozkazy z Waszyngtonu nadejdą dostatecznie szybko, a przepuszczenie tak silnej eskadry na Morze Śródziemne mogło fatalnie zagrozić losom VI Floty.

Dlatego wiceadmirał MacGregor wydał rozkaz, aby czatujące u wyjścia z cieśniny

torpedowce amerykańskie przekazały eskadrze radzieckiej sygnał „stop”. Kiedy żaden z radzieckich okrętów nie zareagował nawet sygnałem „rozumiem”, MacGregor polecił odpalić salwę torpedową w kierunku *Nachimowa*.

Trzy z pięciu torped osiągnęły cel. MacGregor natychmiast poinformował o tym sztab marynarki w tonie nieco triumfalnym, gdyż *Nachimow*, ugodzony w rufę, zatrzymał się w miejscu. Ale załoga nie ściągnęła nawet pokrowców z dział, a na pokładach nie można było dostrzec żadnego poruszenia.

XXIX

Śledztwo, które zaczął rano prowadzić na własną rękę Georg Pförtner, toczyło się powoli, ale z każdym kwadransiem przynosiło coraz bardziej zdumiewające rezultaty. Przede wszystkim Pförtner dowiedział się od pewnej pielęgniarki w szpitalu Św. Jana, z którą łączyły go niegdyś - no, bliskie więzy - że, mimo wszelkich zaprzeczeń, w silnie strzeżonej separacie znajduje się od kilku godzin ciężko ranny pacjent nazwiskiem Willibert Pauschke. U wejścia do separatki siedziało dwóch cywilnych agentów Urzędu Ochrony Konstytucji, a dyrektor szpitala i lekarz dyżurny otrzymali bezwzględny zakaz udzielania jakichkolwiek informacji na temat pacjenta. Mogło to oznaczać tylko tyle, że Urząd świadomie zataił jakiś grubszy skandal i pozwolił sobie na kłamstwo w żywe oczy wobec przedstawiciela prasy.

Wobec tego Pförtner udał się ponownie na ulicę Wschodnią, aby nakłonić pana Knauppe do złamania podpisanego właśnie zobowiązania o zachowaniu tajemnicy. W świetle dotychczasowych ustaleń Pförtnera było ono bezprawne i wymuszone.

Zakład pana Knauppe był otwarty, lecz wewnątrz nie było nikogo. Pförtner rozejrzał się ze zdumieniem, dostrzegł nie domkniętą szufladę z pieniędzmi, porzuconą na biurku pieczętkę firmową i jakieś porzrzucone przez wiatr rachunki na podłodze. Nic dobrego to nie mogło oznaczać.

Ulica Wschodnia była o tej porze pusta, tylko przed witryną sklepu filatelistycznego stał mały, może dziesięcioletni chłopiec, wpatrujący się kątem oka w drzwi zakładu pana Knauppego.

- Czy nie wiesz, gdzie jest pan Knauppe? - spytał Pförtner, nie oczekując zresztą odpowiedzi.

- Pewnie, że wiem - odparł malec. - Trzej panowie wzięli pana Knauppe pod pachy.

Bach-bach, pam-pam! Wcisnęli go do samochodu. Opel Express. Model Ventura. Odjechali.

- A numeru samochodu nie pamiętasz?

- Pewnie, że pamiętam. MAI 3650.

- Słuchaj, jesteś wspaniały.

- Pewnie, że jestem.

- Jak się nazywasz?

- Hanns-Martin Schlengel. We wrześniu skończę dziesięć lat. Mieszkam tu obok, przy ulicy Lessinga pod numerem 15, na drugim piętrze. Mój tata jest maszynistą, a mój brat chodzi do gimnazjum. Nie poszedłem dzisiaj do szkoły, bo mi się nie chciało.

Pförtner pomyślał, że od samego rana za dobrze mu się wiedzie, jak na konkretne wyniki śledztwa. Wielka *story* nie była ani o trochę realniejsza, choć obrastała, jak polip, w coraz nowe zagadki. Porwanie Knaupego mogło oznaczać tylko jedno: że Urząd Ochrony Konstytucji, z którym zresztą Pförtner miał na pieńku od czasów studenckich, szykuje jakąś potężną prowokację. Szkoda, że Petera wysłano poza miasto. Ale trzeba sobie radzić samemu.

Z najbliższej budki telefonicznej Pförtner zatelefonował do komendy policji, aby się dowiedzieć, kto jest właścicielem samochodu z rejestracją MAI 3650. Znajoma urzędniczka, z którą Pförtnera w swoim czasie łączyły - no, bliskie więzy - nie ukrywała radości, Georg znów się odezwał. Nie przerywając szczebiotu wertowała rejestr samochodów, ale zamilkła nagle w pół słowa i po chwili powiedziała ściszym głosem, że nie może Georgowi udzielić żadnych informacji. Rejestracja MAI 3650 jest zastrzeżona do wiadomości nadkomisarza Pielerera. A w ogóle to ma ona obowiązek natychmiast powiadomić komisarza o każdym, kto się o tę informację dopytuje.

Pförtner odparł, że uczyni to sam, nakręcił ponownie numer komendy i zażądał połączenia z nadkomisarzem Pielerem.

- Witam, panie komisarzu - powiedział rześko i wesoło, jak gdyby nawiązywał towarzyską pogawędkę. - Tu mówi miejscowy korespondent *Ostatnich Wiadomości*, Georg Pförtner. Cieszę się, że mnie pan tak dobrze pamięta. Że z nie najlepszej strony? Cóż robić, panie nadkomisarzu, obaj mamy niewdzięczne zawody. Otóż i tym razem muszę sprawić panu trochę kłopotu. Stwierdziłem mianowicie, że niejaki pan Friedrich Wilhelm Knauppe, właściciel zakładu pogrzebowego przy ulicy Wschodniej, w dość tajemniczy i chyba niedobrowolny sposób znikł ze swego zakładu. Co gorsza, znam numer samochodu, którym go uwieziono, ale pański personel odmawia mi wyjaśnień, kto jest właścicielem tego pojazdu. Maierhof nie jest wielkim miastem, jak pan wie, i prędzej czy później ustalę to sam, wolałbym jednak usłyszeć to od pana.

- Panie Pförtner - powiedział znękany głosem nadkomisarz - czy pan naprawdę nie ma innych zmartwień? Czy pan już nigdy nie wyrośnie z zabawy w Sherlocka Holmesa? Czy mam znów prosić doktora Putthoffera, aby panu wybił z głowy to, pan wybaczy, nieprzyjemne i bezpodstawne węszyć w sprawach?

- Nie jest takie bezpodstawne. Na przykład w szpitalu Św. Jana, mimo waszych zaprzeczeń, przebywa jednak ciężko ranny pacjent nazwiskiem Pauschke.

- Zakładając nawet, że to prawda, co pana skłania, u diabła, żeby węszyć w sprawach, które do pana nie należą?

- Panie nadkomisarzu, wykonuję tylko swój zawód. Szykuję właśnie spory artykuł o wydarzeniach dzisiejszego poranka w Maierhof i nie sądzi pan chyba, że machnę na to wszystko ręką?

- Pan doprawdy ma nadzieję, młody człowieku, że doktor Putthoffer wszystko to panu zamieści?

- Och, nie. Mam dość *Ostatnich Wiadomości*. Ten artykuł ukaże się gdzie indziej.

- W takim razie powinienem wydać nakaz pańskiego aresztowania. Przed chwilą przedstawił się pan jako korespondent *Ostatnich Wiadomości*, co oznacza świadome wprowadzenie w błąd przedstawiciela policji. Ale chwilowo z tego zrezygnuję. Skoro jednak jest pan osobą najzupełniej prywatną, tym bardziej nie mogę udzielić panu żadnych informacji. Zaraz zresztą zawiadomię doktora Putthoffera, że stracił korespondenta w Maierhof, nad czym, jak myślę, nie będzie zbytnio ubolewał.

I nadkomisarz Pieler odłożył słuchawkę.

W tej sytuacji Georg Pförtner uznał, że sam nie rozwiąże zagadki, i postanowił zadzwonić do jedyne go dziennikarza w całej Republice Federalnej, który mógł to wyjaśnić.

Był to sam wielki Ugo Felsenstein, gwiazda gwiazd, pierwsze pióro Republiki Federalnej, postrach kanclerzy i ministrów, człowiek, który śniadanie jadał w Tokio, obiad w Paryżu i kolację w Nowym Jorku, po czym okazywało się, że pisał reportaż o małej mieścinie holsztyńskiej, a Sekretarz Generalny ONZ, szef koncernu Mitsubishi i minister spraw wewnętrznych Francji byli mu potrzebni tylko do wyjaśnienia jakichś drobnych szczegółów w owym reportażu. Fama głosiła, że Ugo Felsenstein był niegdyś pilotem myśliwskim i tuż przed końcem wojny otrzymał od samego Führera Krzyż Rycerski z liśćmi dębowymi i mieczami, choć złośliwi obliczali, że mógł mieć pod koniec wojny najwyżej osiem lat. W niczym to jednak nie przeszkadzało, że Felsenstein korzystał z każdej plotki i każdej legendy na własny temat. Wysoki, o interesującej łysinie i szarych, bystrych oczach, zawsze w miękkich mokasynach i skórzanej kurtce, zawsze gotów do zadania jakiegoś druzgocącego

pytania - Ugo Wspaniały, jak go z przekąsem nazywali zawistni koledzy po piórze, nie miał sobie równych w prasie europejskiej.

Georg Pförtner został mu kiedyś przedstawiony jako młody, zdolny i obiecujący dziennikarz. Felsenstein klepnął go po ramieniu (co Pförtner poczytał za oznakę wylewnej sympatii), po czym przez pomyłkę wręczył Pförtnerowi swoją wizytówkę z domowym adresem i telefonem, zamiast bogato ilustrowanej, służbowej wizytówki tygodnika *Dabei*.

Szczęście znów dopisało Pförtnerowi. Przez niewytłumaczalny zbieg okoliczności wielki Ugo Felsenstein siedział właśnie we własnym domu i przy własnym biurku i osobiście odebrał telefon. Oczywiście nie pamiętał żadnego Pförtnera i pewno zbyłby go szybko niegrzeczną odpowiedzią, gdyby nie to, że nieco wcześniej dowiedział się kilku interesujących szczegółów od pani minister Renaty Schwellenberg, z którą to panią minister łączyły ostatnio Felsensteina bliskie więzy. Nawiązywanie takich więzów zawsze przychodziło Felsensteinowi z nieopisaną łatwością, jednakże pani minister stanowiła na jego długiej liście pozycję ze wszech miar wyjątkową. Ostatecznie, nie od każdej damy w Republice Federalnej można się dowiedzieć, jak to szef Urzędu Ochrony Konstytucji i minister obrony wpadają półprzytomni do gabinetu kanclerza, przepędzając u progu inne, bardzo ważne i od dawna umówione z kanclerzem osoby.

Felsenstein natychmiast skojarzył dziwną opowieść pani Renaty z jeszcze dziwniejszą opowieścią, jaką usłyszał od tego młodego szpicla z Maierhof. Superreporter nieraz już dobrze wyszedł na dociekliwości młodych, rozgorączkowanych kolegów, którzy często dostarczali mu różnych sensacyjnych i prawie zawsze prawdziwych tropów tylko po to, aby ich nazwisko mogło się ukazać razem z nazwiskiem Felsensteina, choćby nawet w przypisku, że reportaż „powstał przy współpracy...”.

Felsenstein polecił Pförtnerowi bardzo szczegółowo opowiedzieć o wszystkim, co wie, i nagrał tę relację na magnetofon, ponieważ na przyjazd Pförtnera do Hamburga nie było czasu. Następnie pogratulował młodemu koledze dociekliwości, wydał mu kilka poleceń, a sam zwrócił się z odpowiednimi pytaniami do rzeczników prasowych Urzędu Ochrony Konstytucji i ministerstwa obrony.

O godzinie 11.40 zawiadomił redaktora naczelnego, że zdobył *story*, która podniesie nakład tygodnika *Dabei* o następne sto tysięcy egzemplarzy. Naczelnny nie pytał o szczegóły. Zbyt dobrze znał Felsensteina i wiedział, że Ugo zaryzykuje wszystko na świecie z wyjątkiem swej reputacji dziennikarskiej. Nie zdarzyło się jeszcze, żeby jakakolwiek *story* Felsensteina, choćby najbardziej nieprawdopodobna, mijała się z faktami. Ten człowiek był chodzącą kopalnią złota, ponieważ z ankiet wynikało, że aż 3/4 czytelników nabywa dość szmatławy

skądinał tygodnik *Dabei* wyłącznie z powodu materiałów Felsensteina.

Tygodnik szedł właśnie na maszyny. Wstrzymano natychmiast druk, zdjęto jakiś nudnawy materiał o aferach przemysłowych, linotypiści i metrapaże zatarli ręce, szykując się do błyskawicznego wmontowania nowej sensacji Felsensteina.

Tytuł, jak zwykle u tego autora, był nie do odparcia: „DZIEWIĘCIOLETNI HANNS-MARTIN SCHLENGEL JEST JEDYNYM OBYWATELEM REPUBLIKI FEDERALNEJ, KTÓRY MÓWI PRAWDĘ REPORTEROM”. Jako ramkę zdecydowano włamać pełny tekst rzekomej korespondencji z Maierhof, którą *Ostatnie Wiadomości* zamieściły pod literkami Pförtnera. Naczelny tygodnika *Dabei* aż podskoczył z radości, ponieważ nie znośił Putthoffera i rad był niezmiernie, że tego starego faszystę uda się ośmieszyć i skompromitować.

Jednakże o godzinie 12.30, kiedy Felsenstein był mniej więcej w połowie tekstu, naczelny zadzwonił do niego i powiedział, aby przerwał pisanie. A to mianowicie dlatego, że *story* już nikogo nie zainteresuje. Kiedy Felsenstein uznał to za wyjątkowo głupi żart i chciał odłożyć słuchawkę, naczelny powiedział:

- Uspokój się. Ja nie żartuję. Wybuchła wojna amerykańsko-rosyjska. Zbierz natychmiast swoje manatki i postaraj się uciec jak najdalej od Hamburga. Szkoda cię, Ugo. Masz talent. Może to wszystko jakoś przeżyjesz i opisziesz dla potomności.

Ugo Felsenstein zerknął najpierw w lustro, potem podszedł do okna. Nie mógł tego uważać za żart lub plotkę. Naczelny miał zbyt dobre kontakty w najwęższym kręgu elity władzy, żeby ktoś mógł go świadomie dezinformować. Felsenstein rozejrzał się po pracowni, pełnej książek, dobrego malarstwa i pamiątek z niezliczonych podróży. Nie odczuwał lęku. Może dlatego, że zupełnie nagle, z przyczyn, których nie umiałby wyjaśnić, opuściła go ochota do życia. Poczul, że ma już dość pań, które ciągną do niego jak osy do beczki z miodem; dość pogoni za tematami, wojny podjazdowej, nie przespanych nocy w samolotach, wykrywania afer, zdawkowych pochwał, zawiści kolegów, nawet podziwu czytelników. Jeśli to jest naprawdę wojna - choć ruch na ulicach jest zupełnie normalny, nikt nie ogłasza alarmu, nie widać wojska, radio coś tam rzępoli bez przekonania - nie ma sensu uciekać przed siebie.

Postanowił nie opuszczać Hamburga i spokojnie czekać, aż spadną bomby. W przemysłowej skrytce chińskiej sekretary trzymał kupiony kiedyś za ogromną sumę wenecki pierścień z trucizną. Wystarczy nieznaczne draśnięcie naskórka na języku. Trucizna, sporządzona jeszcze w epoce Borgiów, działała niezawodnie. Zostało to kiedyś wypróbowane na świnie morskiej.

Stało się jednak coś, co skłoniło Ugo Felsensteina do zmiany postanowienia. Ów młody dziennikarz z Maierhof zadzwonił ponownie i łamiącym się głosem doniósł o kilku sprawach, z których jedna była bardziej niewiarygodna od drugiej.

Przede wszystkim Willibert Pauschke odzyskał przytomność i oświadczył - na szczęście w obecności zaprzyjaźnionej z Pförtnerem pielęgniarki - że na jakąś tajną bazę Bundeswehry dokonała napadu grupa terrorystów, która porwała prawdopodobnie cały zapas głowic neutronowych. Pauschke podał ich dokładne rysopisy; była wśród nich jedna dziewczyna, uderzająco urodziwa, a także niski, szpetny człowiek, do którego reszta grupy zwracała się per „doktorze“. Po wtóre pewna *Putzfrau*, której Pförtner załatwił kiedyś podwyżkę renty wdowiej, a która dorabiała sobie sprząaniem w koszarach 14 dywizji, była świadkiem, jak z gabinetu wynoszono pokrwawione zwłoki dowódcy dywizji, generała Severinga. Po trzecie - i to było wręcz nie do uwierzenia - przed kilkoma minutami grupa umundurowanych żołnierzy amerykańskich dokonała formalnego napadu na komendę policji w Maierhof i porwała stamtąd tę nieszczęsną głowicę.

Ugo Felsenstein odzyskał ochotę do życia czy przynajmniej nabrał ochoty na interesującą, dziennikarską śmierć, jeśli już nie da się jej uniknąć. Przede wszystkim zawiadomił sekretarkę Arnima Pauschke, że jego ciężko ranny syn leży w szpitalu Św. Jana w miasteczku Maierhof koło Bambach. Następnie zadzwonił do dyrektora trzeciej sieci telewizyjnej BAR i zaproponował, że za dwadzieścia minut, kiedy cały kraj zamrze w oczekiwaniu na wiadomości - on, Felsenstein, wystąpi przed kamerami i opowie telewidzom o prawdziwych kulisach tego, co się obecnie dzieje.

Wreszcie Felsenstein dokonał jeszcze jednej, nadzwyczaj delikatnej operacji. W rezydenturze wywiadu amerykańskiego w Monachium pracował podobno niejaki major Thompson. Kilka miesięcy temu Felsenstein otrzymał pocztą od anonimowego nadawcy kopie niezmiernie interesujących dokumentów na temat tegoż Thompsona. Wynikało z nich, że major Thompson był Niemcem, i to na dokładkę porucznikiem Abwehry w latach wojny. Felsenstein nie miał zdania na temat autentyczności przesłanych mu dokumentów, nie przepadał zresztą za aferami w stylu *Płaszczka i sztyletu*; nie miał także zamiaru, aby się wplątać w jakieś mętne historie z wywiadami, ponieważ jeśli nawet dokumenty w sprawie Thompsona były prawdziwe, to mógł je podrzucić do wykorzystania tylko konkurencyjny wywiad.

Teraz jednak Felsenstein postanowił skorzystać z tej szansy. Jeśli Amerykanie porywają amerykańską głowicę z rąk niemieckiej policji, grożąc przy tym użyciem broni, to jedyne pozytywne tropy można znaleźć u źródła, to znaczy u Amerykanów. Felsenstein

połączył się z pewnym numerem w Monachium, który nie figurował oczywiście w książce telefonicznej. Felsenstein zawdzięczał znajomość tego numeru jednemu z bohaterów swego głośnego reportażu o kulisach tzw. afery Lattremonta. Zanotował go wówczas w nadziei, że kiedyś się przyda.

Telefonistka bez słowa wyjaśnienia spytała, o którego majora Thompsona chodzi. Było ich widocznie dwóch lub kilku. Felsenstein zapomniał pierwszego imienia majora, ale pamiętał drugie: Blair. Telefonistka podała mu czterocyfrowy numer i odłożyła słuchawkę. Problem polegał na tym, że w Monachium nie było w ogóle czterocyfrowych numerów. Felsenstein pomyślał przez chwilę, wykręcił numer kodu monachijskiego i podane mu cztery cyfry. Nie było oczywiście żadnego sygnału. Wykręcił ponownie numer CIA w Monachium i po zgłoszeniu się telefonistki podał te same cztery cyfry.

W słuchawce rozległ się brzęczyk, ostrzegający, że rozmowa jest nagrywana na taśmę magnetofonową. Po chwili Felsenstein usłyszał niski głos:

- Dwieście dwadzieścia cztery. Słucham.

- Chciałbym mówić z majorem Thompsonem - powiedział niepewnie Felsenstein.

- Dwieście dwadzieścia cztery. Słucham.

- Dzwonię z redakcji tygodnika *Dabei*. Pragnę uzyskać od pana potwierdzenie pewnych informacji. Po pierwsze: czy prawdą jest, że żołnierze amerykańscy porwali pewien przedmiot, znajdujący się w komendzie policji w miasteczku Maierhof. Po drugie, gdzie ten przedmiot obecnie się znajduje. Po trzecie, jak brzmi wasza oficjalna wersja na ten temat. Po czwarte...

Felsenstein przerwał na chwilę i w tym samym momencie usłyszał w słuchawce:

- Dwieście dwadzieścia cztery. Proszę mówić dalej, a jeżeli rozmowa jest skończona, proszę podać swój numer telefonu i nazwisko. Odpowiemy we właściwym czasie.

Felsenstein zrozumiał, że rozmawia z automatem. Mimo to bardzo wyraźnie podał swój domowy numer telefonu oraz pierwsze lepsze nazwisko, jakie mu przyszło na myśl: Günther Siegen.

Nie upłynęło więcej niż półtorej minuty, kiedy na biurku Felsensteina zaterkotał telefon.

- Czy to pan Günther Siegen? Pan do nas przed chwilą dzwonił? W redakcji tygodnika *Dabei* nie ma dziennikarza o tym nazwisku. Kim pan właściwie jest?

- Przede wszystkim chciałbym wiedzieć, czy mówię z majorem Thompsonem.

- Tak.

- Otóż, panie majorze, chcę z wami zagrać w otwarte karty. Wiem dobrze, że jest pan

podporucznikiem Abwehry, a pańskie prawdziwe nazwisko brzmi Helmut Schördwahn. Pańską sprawę prowadził VI wydział Abwehry, kierowany przez pułkownika de Larche. Pańskie powojenne losy są mi też dobrze znane. Nie zamierzam tego wszystkiego ujawniać, pod warunkiem, że udzieli mi pan odpowiedzi na pytania, które poprzednio postawiłem waszemu automatowi. Sprawa jest tak nagła, że muszę mieć odpowiedź natychmiast.

- Kim pan jest, panie Siegen?

- Moje nazwisko brzmi Ugo Felsenstein, chyba to coś panu mówi?

- Panie Felsenstein, pan się wplątał w bardzo niebezpieczną zabawę albo też w czyimś imieniu podjął się pan groźnej prowokacji. Nasza rozmowa jest nagrywana na taśmę i zostanie przekazana do odpowiednich władz. Co do mnie, nazywam się Kenneth Richard Thompson, pochodzę z Kalifornii i jestem w Niemczech dopiero od roku, wobec czego pańskie oszczerstwa są wyssane z palca. Mój kolega, William Blair Thompson, był oficerem piechoty morskiej podczas wojny, nie mógł więc służyć w Abwehrze, ale przekażę mu oczywiście pańskie informacje. Gdybym nie rozmawiał z wielkim Felsensteinem i gdybym nie miał zupełnej pewności, że rozmawiam właśnie z nim, a nie z kim innym, nie usłyszałby pan ode mnie tylu wyjaśnień. Chcę jednak stanowczo pana przestrzec przed kontynuowaniem prowokacji. Co do Maierhof, to rzeczywiście miały tam miejsce pewne wydarzenia, o których zostanie opublikowany komunikat. W każdym razie niech pan sobie wybije z głowy jakiegokolwiek publikacje na ten temat. Pan chyba już wie, co się dzieje na świecie. Na tym na razie kończę. Zgłosimy się do pana z żądaniem wyjaśnień, panie Felsenstein. Zachowanie tego wszystkiego w najgłębszej tajemnicy leży w pańskim własnym interesie. Mam nadzieję, że się rozumiemy.

- Nie, majorze Thompson - odparł spokojnie Felsenstein. - Pan się głęboko myli. W moim interesie leży coś akurat odwrotnego. Za dziesięć minut dowie się o waszych poczynaniach cała Republika Federalna.

- Życzę powodzenia, panie Felsenstein. Ale niech pan bardzo na siebie uważa. Prawa stanu wojennego są bardzo surowe.

- Mój rząd nie wypowiedział nikomu wojny.

- Co pan może o tym wiedzieć, panie Felsenstein? Tak doświadczony dziennikarz powinien lepiej się znać na polityce.

- Czy porywanie niewinnych obywateli Republiki Federalnej, na przykład pana Knauppe, też mam przemilczeć?

- Zły moment wybrał pan sobie na zadrażnienie sojuszniczych stosunków, panie F. Bardzo zły. Czy pan myśli, że w obecnej sytuacji ktokolwiek będzie się przejmował losami

pana Knauppe?

- Tak właśnie myślę. Nie chodzi o tego człowieka. Chodzi o wasze postępowanie. Ponieważ to wy, dla jakichś swoich celów, porwaliście tę głowicę i na pewno wy rozpętaliście tę wojnę, jeśli to jest naprawdę wojna.

- A, to jesteśmy w domu, panie Felsenstein. Zupełnie jakbym czytał *Neues Deutschland* lub nawet *Prawdę*. Niepoprawni hitlerowcy do spółki z amerykańskimi imperialistami rozpętali wojnę mimo ostrzeżeń miłujących pokój krajów socjalistycznych. Czy tak właśnie zamierza pan przedstawić tę sprawę swoim czytelnikom?

Felsenstein zrozumiał, że walka z CIA będzie trudna.

- Będę mówił tylko o stwierdzonych faktach - powiedział mniej już pewnym głosem. - Wyciąganie wniosków należy do opinii publicznej.

- Życzę powodzenia, powtarzam. Ale na pańskim miejscu zastanowiłbym się bardzo poważnie nad swym postępowaniem w ciągu najbliższych minut. Nieszczęścia mają do siebie to, że lubią chodzić parami.

- Jak to parami?

- Pierwsze już się panu zdarzyło: koniec wspaniałej kariery zawodowej. Chyba pan nie przypuszcza, aby człowiek, podejmujący się prowokacyjnych poczynań dla wywiadu strefy wschodniej lub nawet bezpośrednio dla Rosjan, mógł nadal rządzić opinią publiczną. Pańskie akta personalne są niezmiernie bogate i obfitują w pasjonujące i nader pikantne szczegóły. Nie wyłączając, na przykład, intymnych zdjęć z udziałem pani minister Schwellenberg. Istnieje interesujący fotoreportaż z pańskich tajnych odwiedzin w pewnym domu schadzek w Hongkongu, który to dom jest, jak pan wie, zakonspirowaną palarnią opium. Tę nastolatkę z Duisburga też mamy na kliszy, zajmujący temat dla prokuratora. Nie wspominam już o pańskim wspaniałym wozie Porsche Adagio ani o Mercedesie 650 SEL; tak się składa, że dysponujemy nagraniem z rozmów, które poprzedziły pańskie posiadanie tych wozów. Myślę też, że pański sfalszowany życiorys, włącznie z tym nieszczęsnym Krzyżem Rycerskim, będzie z największą chęcią skomentowany przez prasę Springera na podstawie naszych materiałów, a Springer, jak pan wie, nie ma żadnego powodu, aby pana darzyć miłością. No i zawsze też możemy opublikować dokumenty na temat pańskiej wieloletniej współpracy z Seppem Kraussem, który, jak pan pamięta, dostał jedenaście lat za pracę dla strefy wschodniej. A może pan woli, żebyśmy porozmawiali z dziewczętami z Reeperbahn na temat pańskich szczególnych upodobań, którym, przyznając, rzadko daje pan wyraz? Wyobrażam sobie, że następne wydanie *Sankt-Pauli Nachrichten* będzie rozchwytywane.

Ugo Felsenstein wysłuchał Thompsona ze zdumieniem, ale bez paniki. Zapadła w nim

decyzja, żeby nie poddać się bez walki, a jeśli już trzeba przegrać, to z największymi stratami dla tych ludzi. Uświadomił sobie, że nie doceniał jednak Amerykanów. Jeśli przetrwa to wszystko, odpłaci im pięknym za nadobne.

- Bardzo ładne są te pańskie bajeczki, panie Thompson - warknął w słuchawkę. - Obawiam się jednak, że panowie przeceniają swoje możliwości. Czy wy naprawdę sądzicie, że ktokolwiek w to wszystko uwierzy, skoro ujawnię wasze intrygi? Za chwilę moje nazwisko będzie na ustach całego świata. Gdybyście nawet ujawnili cały mój skomplikowany życiorys za jednym zamachem - przyjmijmy na chwilę, że wszystkie te brednie odpowiadają prawdzie - będzie to i tak wyglądać na niezdnarą, nieudolną zemstę za to, że was zdemaskowałem. Watergate było fraszką w porównaniu z tym, co was czeka. I niech mnie pan nie straszy, panie Thompson. Wiem, do kogo mam się zwrócić o pomoc. Żegnam pana.

U drzwi rozległ się dzwonek. Felsenstein rzucił słuchawkę i poszedł otworzyć. Do holu weszło czterech rostrych mężczyzn o twarzach z kamienia.

- Pan Ugo Felsenstein? Jest pan aresztowany. Tu jest nakaz aresztowania, wystawiony na wniosek Urzędu Ochrony Konstytucji przez okręgowego sędziego śledczego. Później pan sobie przeczyta. A tu jest nakaz rewizji. Proszę się ubrać. Pan pójdzie z nami.

Jeden z przybyszów podszedł do biurka, na którym Felsenstein rozłożył kopie dokumentów, dotyczących majora Thompsona.

- No to mamy i dowody winy - powiedział agent. - Kto by to pomyślał. Jazda, Felsenstein. Nie mamy czasu.

XXX

Około godziny 13.10 kupiec branży chemicznej, pan Gottlieb Zauschmann, oczekujący w poczekalni frankfurckiego dworca lotniczego na odlot samolotu do Johannesburga, odczuł potrzebę udania się do toalety. Przeszedł zaledwie kilka kroków, kiedy dostrzegł, że w poczekalni odbywa się kontrola pasażerów. Dwaj cywilni agenci podchodzili do oczekujących i sprawdzali ich dokumenty, szczerząc zęby w zdawkowym uśmiechu. O dwadzieścia kroków za nimi szło dwóch umundurowanych ludzi z GSG; każdy z nich trzymał prawą rękę w kieszeni.

Gottlieb Zauschmann zamarł na chwilę w bezruchu i to go właśnie zgubiło. Spoza jego pleców dobiegł krótki, zduszony okrzyk „stać!“. Obrócił się błyskawicznie, ale było już

za późno. Okazało się, że grupę, która kontrolowała dokumenty w poczekalni, ubezpieczało pod ścianami jeszcze trzech cywilnych agentów.

Jeden z agentów, obejmując ramię Zauschmanna łokciem zgiętym jak stalowa obręcz, syknął Zauschmannowi do ucha:

- Mamy cię, Wiebold. Tak się spieszyłeś, żeś nawet wąsów nie zgolił? Jesteś aresztowany. Ostrzegam, żadnych hałasów, żadnych gwałtownych ruchów. W tej chwili są w ciebie wycelowane lufy czterech pistoletów. Będziemy strzelać bez uprzedzenia. Idź spokojnie obok mnie.

Wszystko to stało się tak błyskawicznie, że nikt z oczekujących w poczekalni pasażerów nie zauważył momentu aresztowania.

W ten sposób kupiec branży chemicznej nazwiskiem Gottlieb Zauschmann przestał istnieć. Natomiast kapitan Heinrich Wiebold nie miał już żadnych nadziei, że uda mu się wypłatać z tej afery. W jednej chwili powziął jednak postanowienie, że powie sędziemu śledczemu całą prawdę. Całą. Z najmniejszymi szczegółami. I tę rozmowę z pułkownikiem Schlafflerem powtórzy również.

W momencie, kiedy agenci wyprowadzili Wiebolda z budynku lotniska, z głośników rozległ się komunikat, że z ważnych powodów technicznych wszystkie loty samolotów komunikacyjnych zostają wstrzymane na czas nieokreślony. Następny komunikat zostanie nadany za pół godziny. Wiebold przyjął tę wiadomość z uczuciem przewrotnej satysfakcji. On nie poleci już do Johannesburga, ale innym się to też nie uda.

Wiebolda popchnięto do niewielkiego Fiata z cywilną numeracją. Kierowca - rudy, milczący chłopak o twarzy ptaka - przekręcił kluczyk w stacyjce i zamierzał ruszyć, ale nagle z lewej strony śmignął koło niego zielony Volkswagen Mistral i zająchał drogę na odległość dwóch metrów. Z Volkswagena wyskoczyło trzech mężczyzn, którzy wezwali gestem towarzyszących Wieboldowi agentów. Razem z nimi wysiadł rozwścieczony kierowca, który dosłownie o włos uniknął wypadku.

Kapitan Wiebold nie umiałby odtworzyć tego, co nastąpiło później, choć wszystko to nie trwało dłużej niż kilkanaście sekund. Jego pierwszą myślą było, że nie założono mu na ręce kajdanków i że na krawężniku stoi duża grupa turystów. Wiebold zgiął się wpół, aby agenci stojący z lewej strony wozu nie mogli go dostrzec, i jednym susem znalazł się w grupie roześmianych, ożywionych ludzi, którzy prawdopodobnie oczekiwali na autokar. Odczekał między nimi sekundę, może dwie, i powolnym, nawet ociężałym krokiem wszedł z powrotem do budynku dworca. Zatrzymał się przy najbliższym stoisku informacyjnym Lufthansy, nachylił się do dyżurującej hostessy i szeptem, jak człowiek dotknięty chorobą

krtani, zaczął wypytywać o samolot do Johannesburga. Usłyszał za sobą podniesione głosy, jakiś tupot, moment naglej ciszy, znów czyjś krzyk. Ale do stoiska informacyjnego nie podbiegł nikt. Hostessa zawiesiła na moment głos, przyglądając się zamieszaniu w holu.

- Znów jakaś obława - powiedziała z irytacją. - Rzucę tę pracę, nie nadaję się do walk na froncie. Więc powtarzam, proszę pana, że lot do Johannesburga, jak wszystkie inne loty, jest zawieszony do odwołania. Nie znamy przyczyny. W każdym razie nie jest to katastrofa. Osobiście sędzę, że to ma jakiś związek z polityką. Proszę mi pokazać swój bilet, wydam panu bloczek na bezpłatny obiad.

Wiebold sięgnął do kieszeni, lecz nie wyciągnął biletu. Dostrzegł bowiem rozszerzone z przerażenia i złości oczy stewardesy. Odwrócił się. Stał za nim podoficer GSG z mikropistoletem gotowym do strzału. Bez słowa, szybkim, sprawnym ruchem przejechał po ciele Wiebolda w poszukiwaniu broni, popatrzył obojętnie w twarz Wiebolda i powiedział:

- Proszę pozostać na swoim miejscu. Proszę się nie oddalać, dopóki nie zakończymy kontroli.

Kiedy odszedł, aby skontrolować następnego pasażera, hostessa wybuchnęła płaczem. Podoficer GSG spojrział w jej stronę i położył palec na ustach, po czym znów zaczął obszukiwać stojącego przed nim pasażera. Hostessa szlochała nadal, tusz z rzęs rozmazywał się na jej policzkach.

- Odprowadzę panią do toalety - powiedział Wiebold.

Wszedł za kontuar i delikatnie podniósł płaczącą hostessę za ramię.

Wstała posłusznie, pokazała służbowe przejście i mały korytarzyk, po którego lewej stronie znajdowała się damska toaleta.

- Poczekam tu na panią - oznajmił Wiebold. - Proszę się nie martwić. Nic się przecież nie stało.

Schował się w załomie muru, a kiedy hostessa, umyta już i trochę uspokojona, opuściła toaletę, wśliznął się błyskawicznie w drzwi oznaczone napisem *Damen*. Oprócz małego pomieszczenia klozetowego i miniaturowej umywalni, znajdował się tam jeszcze schowek o powierzchni niecałego metra kwadratowego, w którym sprzątaczkę trzymały swe kubły, szczotki i środki czyszczące. W zamku komórki tkwił klucz. Wiebold wszedł do schowka, roztrącając jakieś naczynia. Przekręcił od wewnątrz klucz w zamku. Było zupełnie ciemno.

- Jak szczur - pomyślał z rozpaczą. - Jak szczur. Po co ja właściwie uciekałem? Jeśli mnie teraz znajdą, będą strzelać jak do uciekającego szczura.

Z daleka dochodziły niejasne odgłosy, słycać było chwilami łagodną muzykę, co

pewien czas otwierały się drzwi do toalety, przez ścianę dobiegał szum wody.

Łowy na frankfurckim dworcu lotniczym trwały przez dwie godziny. Szef ochrony portu, komendant GSG i dowódca plutonu żandarmerii, a także nadkomisarz policji i szef placówki Urzędu Ochrony Konstytucji zostali powiadomieni za sprawą pułkownika Schlafflera, że pożegnają się ze swymi stanowiskami, jeśli Wiebold nie zostanie odnaleziony. Polecono strzelać do niego w razie najmniejszego oporu, a nawet bez szczególnego pretekstu. Sprawdzone każdy zakamarek w budynkach dworcowych, sprowadzono psy policyjne, polowe rentgenoskopy i kamery podczerwone dla wykrywania śladów ciepła. Zniknięcie Wiebolda z samochodu graniczyło z czarną magią. Został on przedstawiony wszystkim biorącym udział w obławie jako szczególnie groźny szpieg i terrorysta, dysponujący nie tylko bronią palną, lecz również środkami chemicznymi dla samoobrony.

Po dziewięćdziesięciu minutach od rozpoczęcia obławy znaleziono wreszcie punkt zahaczenia. Okazało się, że jedna z hostess w stoisku Lufthansy dostała ataku hysterii i poprosiła o zwolnienie z pracy do końca dnia. Nazywała się Hannelore Richtmann. Kiedy agenci z Ochrony Konstytucji weszli do jej pokoju na szesnastym piętrze, zaczęła w nich rzucać butami i poduszkami, podnosząc przy tym wrzask na cały dwudziestopiętrowy blok. Agenci przemocą sprowadzili ją na dół, lekarz zaaplikował panie Richtmann zastrzyk uspokajający. Po pięciu minutach mogła już spokojnie odpowiadać na pytania. Okazało się, że nie tylko widziała Wiebolda, ale pozwoliła mu odprowadzić się do toalety.

Grupa GSG dokonała szturm na toaletę damską na lotnisku frankfurckim. Wyłamano zamek do schowka sprzątaczek, psy zaczęły skowyczeć.

Ale Heinricha Wiebolda już tam nie było. Na wysokości jego wyciągniętej ręki znajdował się włącznik do instalacji klimatyzacyjnej. Przypuszczalnie o godzinie 14.15 były kapitan Bundeswehry wcisnął się do tego włącznika i usiłował wspiąć się wyżej, w zupełnej ciemności, macając rękami dokoła. W pewnej chwili poczuł pod stopami pustkę. Jego obie dłonie uchwyciły się grubych przewodów wysokiego napięcia, zerwały z nich izolację i dotknęły zimnej miedzi, przez którą przepływał prąd o napięciu półtora kilowolta i natężeniu sześćdziesięciu amperów.

Dyżurny elektryk portu lotniczego usunął skutki zwarcia jednym ruchem ręki, wyłączając uszkodzoną linię i przerzucając zasilanie na drugi z trzech kabli zapasowych. Usunięcie uszkodzenia pozostawił do bardziej sprzyjającej chwili; stan nerwowości i zamętu, związany z trwającą na dworcu obławą, uniemożliwił ekipie naprawczej ustalenie przyczyn potężnego zwarcia.

Zwęglone ciało Heinricha Wiebolda przewieziono do kostnicy więziennej w

oczekiwaniu na dalsze rozkazy.

Po otrzymaniu informacji o śmierci Wiebolda pułkownik Schlafler porozumiał się po raz trzeci w ciągu tego feralnego poranka z szefem Urzędu Ochrony Konstytucji, doktorem Pfeifferem. Z zadowoleniem przyjął informację, że laboratorium kończy już przygotowywanie kompletu niepodważalnych dokumentów, wskazujących, że Wiebold był od dawna, może od początku swej służby w Bundeswehrze, agentem wywiadu Niemieckiej Republiki Demokratycznej.

Do Windhoek przekazano zaszyfowaną wiadomość, aby wilę z czarną służbą, samochód i wierzchowca zatrzymano do dyspozycji innego oficera, gdyż kapitan Heinrich Wiebold nie przyjedzie.

XXXI

Piątek, 12 czerwca, godzina 16.05 czasu moskiewskiego, to znaczy 13.05 w Europie Zachodniej i 8.05 w Waszyngtonie. Dowódca wojsk rakietowych ZSRR, marszałek Udałow, referuje przywódcom radzieckim wydarzenia ostatnich minut.

- W tej sytuacji - mówi, wodząc palcem po wielkiej mapie świata - uważamy za niezbędne, aby zarządzić stan najwyższej gotowości we wszystkich jednostkach naszych sił zbrojnych, a także postawić w stan alarmu bojowego wszystkie siły zbrojne Układu Warszawskiego. Amerykanie postępują w sposób podejrzany i zagadkowy, a w każdym razie nadzwyczaj niejasny. Najpierw uległ awarii ich satelita z serii G, niszcząc przy okazji cztery nasze satelity, które, mówiąc nawiasem, również były przeznaczone do badań nad sztuczną grawitacją. Najprawdopodobniej był to przypadek, ale o wszystkich awariach tego rodzaju informujemy się nawzajem, jak tego wymaga układ waszyngtoński, najdalej w ciągu pół godziny po fakcie. Tymczasem Amerykanie nie przekazali nam żadnej informacji. Jest niemal niemożliwe, żeby nie wiedzieli o awarii i o zniszczeniu naszych satelitów, toteż musimy przyjąć, że chcieli to przed nami ukryć i zobaczyć, jak zareagujemy. Co więcej, Harrison w rozmowie z towarzyszem Konowajewem wręcz pytał, czy mamy coś wspólnego z tą awarią, czyli że znów chciał nas wprowadzić w błąd. Po drugie, zaobserwowaliśmy w zachodniej części RFN niewielki wzrost promieniowania radioaktywnego, na tyle jednak słaby, że mógł być dziełem przypadku i dlatego nie zawiadamialiśmy kierownictwa partii. Początkowo nasi specjaliści sądzili, że to, jak zwykle, wystąpiły przecieki w tej ich nieszczęsnej elektrowni

atomowej w Obermahr. Tymczasem Harrison twierdzi, że w Niemczech porwali jakąś głowicę neutronową. Skąd możemy wiedzieć, czy to prawda? Poza tym, jeśli ją porwano w stanie nieuzbrojonym, to nie powinna wydzielać żadnego promieniowania, czyli że jeszcze i w tej sprawie Harrison mija się z prawdą.

- Chyba że to także awaria - wtrąca Konowajew.

- Byłoby trochę za dużo tych zbiegów okoliczności. Po trzecie, i to jest najważniejsze, Amerykanie dokonali nad własnym terytorium gigantycznej eksplozji jądrowej w górnych warstwach atmosfery. Oceniamy, że jej moc wyniosła przynajmniej 50 do 60 megaton. Największa głowica, jaką Amerykanie dotychczas eksplodowali, w sierpniu 1961 roku, miała moc 42 megaton, z tym że zdarzyło się to na całkowitym odludziu. Trudno to w ogóle wyjaśnić. Gdyby Amerykanie istotnie z jakichś powodów chcieli zestrzelić uszkodzonego satelitę, wystarczyłaby jedna rakietą MIRV o mocy kilkunastu kiloton. Czyli jakieś cztery tysiące razy słabsza. Dokonując tak potwornej eksplozji w atmosferze, strona amerykańska dopuściła się jawnego pogwałcenia układu moskiewskiego, ponieważ zaś również o tym nie zostaliśmy zawiadomieni, musimy to uznać co najmniej za groźną prowokację pod naszym adresem. Taka ilość opadu radioaktywnego musi zagrozić wszystkim krajom bez wyjątku. Po czwarte, Amerykanie dokonali również eksplozji naziemnej w stanie Nowy Meksyk. Po piąte wreszcie, okręty VI Floty ostrzelały torpedami nasz krążownik *Nachimow* bez jakichkolwiek powodów z naszej strony. Jeśli napaść na otwartym morzu nie jest agresją, to nie wiadomo, co jeszcze mogłoby nią być. Sumując: uważam, że strona amerykańska wiarołomnie i podstępnie przygotowuje się do rozpoczęcia wojny i naszą powinnością jest podjęcie wszelkich niezbędnych kroków. To znaczy ogłoszenie *godziny W* i przygotowanie kroków odwetowych.

- Chwileczkę, towarzyszu marszałku - mówi Sekretarz Generalny, Witalij Chomienko.

- Pozwólcie zadać sobie pytanie. Dlaczego Amerykanie odpalili rakietę nad własnym terytorium, a nie skierowali ich w naszą stronę?

- Nie wiem - odpowiada marszałek Udałow. - Może chodziło o odwrócenie naszej uwagi. Ich siły zbrojne w Europie stoją na pozycjach bojowych.

- Ale nie ruszają naprzód?

- Nie.

- A co z wojskami Paktu?

- Nie ma oznak alarmu. Zachowują się, jakby nic nie wiedzieli.

- To znaczy, że to wszystko może być rezultatem nieporozumienia?

- Towarzyszu Sekretarzu Generalny - powiada minister obrony, marszałek

Mandzurów - nieporozumienia nigdy wykluczyć nie można, ale jest ono bardzo mało prawdopodobne. To nie są manewry. Tak gigantyczny wybuch jądrowy, mimo że dokonany na wysokości 45 kilometrów, musi pociągnąć za sobą ofiary w ludziach, choćby na skutek opadu, a także opóźnionych skutków podmuchu. Również eksplozja w Nowym Meksyku, mimo że dokonana w terenie pustynnym, też przecież nie minie bez następstw. Ostatecznie jest to pierwszy od 1945 roku ładunek jądrowy, jaki wybuchł na ziemi amerykańskiej. Jeśli był to rzeczywiście rezultat nieporozumienia, Ameryka zatrzęsie się w posiadach. Harrison i całe dowództwo wojskowe staną przed sądem.

- Może powinniśmy spokojnie poczekać na taki właśnie rozwój wydarzeń?

- Nie, beczynnie czekać nie wolno - ucina Chomienko. - Dobrze. Załóżmy na chwilę, że Harrison mówił prawdę, że porwano im tę głowicę i że w atmosferze powszechnego zdenerwowania coś tam się popsło w ich systemie rozkazodawczym. Kto mógł porwać tę głowicę i jaki to ma związek z wybuchem?

- Próbujemy to właśnie ustalić - mówi przewodniczący Komitetu Bezpieczeństwa Państwowego, Bielawin - ale na razie nie wiemy jeszcze nic konkretnego. Mamy od dawna sygnały, że tajna organizacja faszystowska w Bundeswehrze zamyślała wiele razy o zawładnięciu bronią neutronową, musiała jednak zaniechać takiej akcji ze względu na bardzo skuteczny system zabezpieczenia. Istnieje możliwość, że uczynili to jacyś terroryści, ale to z kolei wymagałoby zupełnie nadzwyczajnych środków technicznych. Osobiście skłaniam się do poglądu, nie opartego chwilowo na żadnych faktach, że porwania głowicy, jeżeli rzeczywiście miało ono miejsce, dokonali sami Amerykanie.

- Jak to? Po co?

- Po to, aby mieć wygodny pretekst przeciw nam. Mogą dokonać wybuchu tej głowicy na terytorium RFN i oskarżyć nas lub NRD o agresję, a przy okazji pozyskać sobie ludność Niemiec zachodnich.

- Pragnę przypomnieć - wtrąca minister spraw zagranicznych, Kowalewski - że doradca prezydenta, Nathaniel Rubin, od dawna już zmierza do stworzenia tak zwanych faktów dokonanych, które umożliwiłyby powrót do sytuacji z wczesnych lat pięćdziesiątych. Rubin publicznie i prywatnie wyraża pogląd, że Stany Zjednoczone ponoszą straty wskutek przedłużającego się współistnienia.

- Ale oprócz Rubina są tam jeszcze inni - odrzuca Chomienko.

- W takiej chwili nie wolno się poddawać emocjom.

- Nie chodzi o emocje, towarzyszu Sekretarzu Generalny - mówi marszałek Mandzurów - lecz o to, że zostaliśmy już postawieni w obliczu owych faktów dokonanych.

Każdy błąd oceny może nas bardzo drogo kosztować.

- Podziela ten pogląd - dorzuca minister Kowalewski. - Nawet gdyby przyjął, że Amerykanom zdarzyła się seria dziwnych przypadków, faktem jest przecież, że nie konsultują się z nami w tej niebezpiecznej sytuacji, jak gdyby zapomnieli o istnieniu *gorącej linii*. Przyjmijmy, że wybuch nad terytorium amerykańskim był także dziełem przypadku - więc czym w takim razie wyjaśnić storpedowanie *Nachimowa*?

- Na przykład idiotyzmem dowódcy VI Floty - powiada spokojnie Konowajew.

- Co słyszeć na granicy wschodniej? - pyta Chomienko.

- Na razie spokój - odpowiada marszałek Mandżurów. - Drobne przesunięcia straży granicznej, przerzut jednej eskadry myśliwców w pobliże bazy Xiang-zhi.

- Czy Chińczycy szybko dowiedzą się o amerykańskiej eksplozji?

- Już o niej wiedzą. Czegoś takiego nie można ukryć, towarzyszu Sekretarzu Generalny.

- Co wiemy o reakcjach rządów Paktu?

- Prawie nic - odpowiada Bielawin. - Można odnieść wrażenie, że Amerykanie zapomnieli nie tylko o istnieniu Związku Radzieckiego, lecz również całego Paktu.

Marszałek Udałow z powątpiewaniem kręci głową.

- Znam się trochę na raketach - powiada - ale nie mieści mi się w głowie, aby dokonywano wybuchu o mocy pięćdziesięciu lub więcej megaton po prostu dlatego, że coś się popsulo. Jeżeli amerykański system rozkazodawczy jest tak kruchy, to dziw, że świat do tej pory istnieje. Iwanie Maksymowiczu - mówi zwracając się do Bielawina - a jak oceniacie prawdopodobieństwo spisku wojskowego przeciw Harrisonowi? Na przykład pod kierownictwem Rubina i tego Magorskiego, o którym tak źle się wyrażacie w swych raportach?

- Doświadczenie poucza, że w Ameryce niczego wykluczyć nie można - odpowiada z namysłem Bielawin. - W tym stuleciu zamordowano już trzech prezydentów, na czterech urządzono zamachy, jednego ciężko raniono. Drobna w końcu sprawa Watergate doprowadziła do upadku Nixona, ale dużo poważniejsza afera Bobby Bakera w latach pięćdziesiątych nie przyniosła żadnych następstw. To trudny kraj, towarzyszu marszałku. Jednakże na podstawie materiałów, jakimi dysponujemy, musiałbym raczej wykluczyć możliwość spisku. Przynajmniej rozgałęzionego spisku, obejmującego wielu wyższych oficerów. O czymś takim musielibyśmy choć trochę wiedzieć.

- No to co właściwie dzieje się w Ameryce? - pyta Chomienko.

- Zamierzam zaraz porozmawiać z Harrisonem, ale musimy przecież ustalić, o co

mam pytać.

- Moim zdaniem - powtarza z uporem marszałek Mandżurów - na taką rozmowę jest za późno. Okażemy wahanie, a to Amerykanie zawsze poczytują za objaw słabości. A Niemcy tylko na to czekają.

- Jeśli wolno, towarzyszu Sekretarzu Generalny - wtrąca Konowajew - chciałbym wypowiedzieć pogląd akurat odwrotny niż Michaił Leonidowicz. Rzeczywiście, Amerykanie zachowują się dziwnie. Ale poza jednym jedynym wypadkiem ostrzelania *Nachimowa* nie mamy dotąd do odnotowania żadnych agresywnych poczynań wobec nas lub naszych sojuszników.

- A ogłoszenie *alarmu czerwonego*? - pyta Mandżurów. - A stan gotowości sił amerykańskich w Europie?

Otwierają się drzwi, wchodzi młody, czarnowłosy adiutant i melduje, że jest pilna depesza do towarzysza Bielawina.

Przewodniczący Państwowego Komitetu Bezpieczeństwa nakłada okulary, czyta przez chwilę i mówi, nie ukrywając zdziwienia:

- W Niemczech zachodnich poważne koła polityczne są przekonane, że wybuchła wojna amerykańsko-radziecka. Zaobserwowano ożywioną działalność wicekanclerza Födlera, którego, jak wiemy, trudno zaliczyć do przyjaciół pokoju. Spotyka się z wojskowymi i prowadzi jakieś rokowania z Urzędem Ochrony Konstytucji.

Do telefonu zostaje wezwany marszałek Udałow. Potakuje do słuchawki swym tubalnym głosem, a potem melduje Chomience, jakby się znalazł we frontowym okopie:

- Melduję, towarzyszu Sekretarzu Generalny, że Chińczycy postawili w stan gotowości baterie swych rakiet przeciwlotniczych. To są niewielkie, ale bardzo celne wyrzutnie produkcji angielskiej. Ponadto zdjęcia z naszych satelitów zwiadowczych wskazują, że od dwóch godzin następują poważne przerzuty wojsk lądowych w różnych kierunkach, w tym również w kierunku naszej granicy wschodniej.

Zapada sekunda ciszy.

- Cóż - Chomienko bębni palcami po biurku - trzeba zarządzić alarm i podjąć wszystkie niezbędne środki wojskowe na całym obszarze kraju i poza jego granicami. Uruchomić *system kosmiczny S*. Postawić w stan gotowości obronę cywilną. Zamknąć chwilowo granice powietrzne. Siły zbrojne muszą zachować czujność, ale i spokój. Dowódcę *Nachimowa* przedstawić do odznaczenia, za to, że zachował zimną krew i nie działał bez rozkazu. Nie pozwólmy się sprowokować. A ja teraz porozmawiam z Harrisonem.

XXXII

Mniej więcej około godziny 13.50 wicekanclerz Hans-Viking Födler kazał sobie podać do gabinetu skromny posiłek (sznycel cielęcy, sałatka z jarzyn, chrupkie pieczywo oraz dwie butelki piwa *Kölsch*, które to piwo Födler pijał tylko przy pracy), po czym zaczął spacerować po gabinecie.

Miał wszelkie powody do zadowolenia. W przeciwieństwie do wielu swych rozhisteryzowanych kolegów nie wierzył, oczywiście, w żadną tam wojnę amerykańsko-radziecką, choć powody tej potwornej eksplozji, jaka nastąpiła nad Ameryką, nie były dla niego jasne. Nie wierzył jednak w wojnę. Za dużo wiedział o przebiegu ostatniego spotkania Harrisona z Chomienką. Odrzucał prawdopodobieństwo kompletnego zablokowania kanałów informacyjnych między obydwoma przywódcami. A co najważniejsze, miał dostatecznie dobre rozeznanie w prawdziwych zamiarach wewnętrznego rdzenia amerykańskiej elity władzy, aby wykluczyć możliwość spisku. Do rozpoczęcia wojny nie palił się nikt, włącznie z najbardziej hałaśliwymi *jastrzębiami*, natomiast zwolenników zaostrenia sytuacji było do licha i trochę.

Z punktu widzenia Födlera była to sytuacja najlepsza z możliwych, ponieważ nie lepiej nie służy niemieckim interesom niż napięcie między byłymi aliantami z okresu II wojny światowej. Od dwóch godzin wicekanclerz nie miał już żadnych wątpliwości, że z kryzysu, jaki wybuchł trochę przypadkowo, Republika Federalna powinna wyjść jako jedyny zwycięzca. Co mianowicie miałyby to zwycięstwo oznaczać, o tym Födler chwilowo nie myślał. Najpierw trzeba było zdobyć maksymalną ilość atutów, później dopiero przyjdzie pora na rozgrywanie partii.

W tym właśnie duchu wicekanclerz przeprowadził przed południem kilka zasadniczych rozmów z ludźmi, którzy wiedzieli, czego chcą. Rozmowa z pułkownikiem Schlafflerem pozwoliła pozyskać Tajną Organizację przynajmniej do współdziałania, a to było już bardzo dużo. Rozmowa z pierwszym zastępcą Födlera, hrabią Konstantinem von Dolgohanyi, była właściwie nie tyle rozmową, ile odprawą służbową. Wytworny hrabia otrzymał kilka instrukcji do wykonania i wykaz ambasadorów państw obcych w Bonn, których miał niezwłocznie do siebie wezwać. Przy okazji wyszło na jaw, że von Dolgohanyi nie miał oczywiście pojęcia o wydarzeniach tego czerwcowego poranka, co przyprawiło Födlera o satysfakcję, że jednak nie popełnia błędów w ocenie ludzi.

Najtrudniejsza okazała się półgodzinna rozmowa z szefem Urzędu Ochrony

Konstytucji, doktorem Pfeifferem. Przede wszystkim jego poglądy na działalność terrorystów były dużo bardziej skrajne niż poglądy pułkownika Schlafflera. Urząd Pfeiffera zwalczał terrorystów naprawdę, z tępawą zaciekłością i z całkowitym brakiem czegoś, co Födler lubił określać jako wyobraźnię polityczną. Pfeiffer ponadto żywił zniecierpliwienie i lekką pogardę wobec wojskowych w ogóle, zwłaszcza zaś wobec Tajnej Organizacji, o której wiedział prawie wszystko. Niemniej jednak Pfeiffer nie ukrywał swej nieufności do rządów kanclerza Lüttnera, organicznie wprost nie znosił wszelkich czerwonych, różowych i buraczkowych, nie miał też wątpliwości, że zjednoczenie Niemiec prędzej czy później musi nastąpić, a rozdział niemieckiej hańby, zapoczątkowany przez Willy Brandta, powinien być zamknięty i zmaszany ze stronic niemieckiej historii. Födlerowi nigdy nie przeszłyby przez usta podobnie patetyczne określenia, ale to nie było najważniejsze. Pfeiffer był starszy od Födlera o jedenaście lat i widocznie nie umiał już pozbyć się pewnej niedorzecznej terminologii.

Talent polityczny wicekanclerza Födlera nie zawiódł i tym razem. Bez zbędnych słów, bez jednego choćby militarnego kroku, w Bonn dokonało się coś w rodzaju cichego, niewidocznego zamachu stanu. Prawdziwą władzę sprawowali teraz w Republice Federalnej tylko trzech ludzie: wicekanclerz i minister spraw zagranicznych Hans-Viking Födler, szef gabinetu ministra obrony, pułkownik Günther Schlaffler i szef Urzędu Ochrony Konstytucji, dr Otto Pfeiffer. Można to było nazwać władzą, ponieważ we trzech kontrolowali prawie wszystkie kanały informacji, bez informacji zaś - rzetelnej, szybkiej i inteligentnej - rządzić dziś nie można. Kontrolowali również w całości (lub prawie w całości, lecz w stopniu zupełnie wystarczającym) najważniejsze instrumenty sprawowania władzy: siły zbrojne, wywiad, policję polityczną, służbę zagraniczną, sekretariaty najważniejszych osobistości politycznych, a także sieć wewnętrznej łączności. W tej sytuacji było rzeczą właściwie bez znaczenia, że obradujący w permanencji rząd RFN z kanclerzem włącznie uważał się jeszcze za centralną administrację. Rządzenie w nowoczesnym państwie nie polega na parlamentarnej gadaninie lub wystąpieniach w telewizji, lecz opiera się na tych, którzy milczą i trzymają w rękę techniczne środki sprawowania władzy.

Co prawda jedno dość ważne ogniwo sprawowania władzy, mianowicie ministerstwo spraw wewnętrznych i podległe mu oddziały GSG, znajdowało się poza zasięgiem tego porozumienia, lecz Födler nie przywiązywał do tego wielkiej wagi. Minister spraw wewnętrznych, Dietrich Lammhuber, był właściwie figurantem. Miał zaledwie 37 lat i objął swe stanowisko dopiero przed kilku miesiącami, ponieważ Lüttner, po serii zeszłorocznych zaburzeń robotniczych i studenckich, a zwłaszcza po aferze Arnima Pauschkego, chciał mieć na tym stanowisku człowieka młodego, z liberalną przeszłością i nie skompromitowanego

żadną brudną robotą. Poza tym GSG miały wprowadzić jakiś tam własny aparat śledczy, lecz większość podstawowych informacji i tak otrzymywały od Urzędu Ochrony Konstytucji, a o to już dr Pfeiffer zatroszczy się z właściwą mu dokładnością.

Födler był pewien, że trzyma w ręku wszystkie nici.

Porozumienie trzech panów trudno było nazwać spiskiem. Uzgodniono właściwie tylko jedno: że Dagobert Lüttner nie potrafi sprostać nadciągającemu kryzysowi, a co gorsza, nie ma wcale pewności, czy w ogóle chciałby to uczynić. Konieczne było zatem podjęcie energicznych działań, służących szeroko pojętym interesom narodu niemieckiego. Nie mówiono o ideologii, nie ustalono płaszczyzny współpracy. Na propozycję Schlaflera przyjęto tylko jeden roboczy kryptonim - oczywiście *Nietoperz* - który umożliwił komunikację w nagłych wypadkach. Uczestnicy porozumienia zdawali sobie sprawę, że wdali się w grę w najwyższym stopniu niebezpieczną i oszczędzili sobie nawzajem zapewnień o konieczności dochowania tajemnicy. Gdyby którykolwiek z uczestników porozumienia wypaplał choć słowo lub wręcz doniósł o spotkaniu Lüttnerowi - nie obeszłoby się bez trzęsienia ziemi i niewyobrażalnych szkód dla Republiki Federalnej.

Nie uzgadniano również, kto będzie koordynatorem działań, gdyż wynikło to samo przez się. Nikt poza wicekanclerzem Födlerem nie dysponował takim doświadczeniem politycznym i nie znał tak biegle tajemnic dyplomacji. Födler także nie domagał się posłuszeństwa ani nie zapowiadał, że ma zamiar wydawać rozkazy. Zbyt dobrze znał się na psychologii. O wiele skuteczniejsze są takie porozumienia, w których każdy z partnerów ma pełne poczucie własnej wartości. Wtedy najłatwiej jest manipulować partnerami. A co do tego Födler nie miał żadnych skrupułów.

Plan działania na najbliższe godziny składał się z sześciu punktów.

Po pierwsze, należało doprowadzić do obezwładnienia kanclerza Lüttnera w sensie politycznym. Konieczne były poczynania - dobrze, nazwijmy je intrygami - które poderwałyby wiarygodność Lüttnera wobec prasy i opinii publicznej, wobec Bundestagu, wobec sojuszników, wobec Rosjan i wreszcie wobec sił zbrojnych Republiki Federalnej. Lüttner powinien otrzymywać fałszywe raporty i niedokładne informacje. Jego rozmówcy musieli uzyskiwać od niego wiadomości na tyle spreparowane, aby jedna przeczyła drugiej. Konieczny był pośpiech, ponieważ kanclerz prędzej czy później zechce wystąpić publicznie, a wtedy powinien już być dokładnie ośmieszony i skompromitowany.

Po drugie, konieczne było uchwycenie pełnej kontroli nad prasą i telewizją. W tym celu Födler zwołał u siebie na godzinę 14.30 nadzwyczajną, lecz poufną konferencję prasową, a jego sekretarz przekazał wszystkim gazetom i stacjom radiowo-telewizyjnym osobistą

prośbę wicekanclerza, aby do zakończenia konferencji powstrzymywano się od wszelkich publikacji na temat delikatnych spraw międzynarodowych.

Po trzecie, cały wysiłek porozumienia trzech musiał się kierować na całkowitą izolację i kompromitację strefy wschodniej. Ludzie Pfeiffera mieli już gotowy komplet dokumentów, wskazujących w sposób nieodparty, że to na polecenie kierownictwa NRD porwano z Tajnej Bazy nr 6 jedenaście głowic neutronowych, porwaniem zaś kierowali Severing i Wiebold. Izolacja NRD powinna być całkowita i nieodwołalna. Födler nie mógł oczywiście wezwać ambasadora radzieckiego w Bonn, żeby mu okazać dokumentację, przygotowaną przez ludzi Pfeiffera; ambasador po prostu nie uwierzyłby w tego rodzaju gest i zapewne nie spieszyłby się z przekazaniem nowiny do Moskwy. Dlatego Födler wymyślił operację nieco bardziej skomplikowaną. Von Dolgohanyi otrzymał polecenie, aby wezwać czternastu ambasadorów krajów zachodnich, którym miał poufnie zakomunikować, że NRD dopuściła się straszliwej prowokacji, i poprzeć tę informację odbitkami kompletu dokumentów. Wśród wezwanych ambasadorów jako trzeci miał się znajdować ambasador Belgii, którego łączyły dawne więzy osobistej przyjaźni z ambasadorem czechosłowackim w Bonn. Födler miał nadzieję, że droga do Moskwy przez Pragę będzie skuteczniejsza. Ponadto Pfeiffer zaproponował udział swych doświadczonych ludzi w *operacji bezpośredniej*. W samochodzie radcy handlowego przedstawicielstwa NRD w Bonn miały się znaleźć najzupełniej oryginalne dokumenty dotyczące Severinga i Wiebolda, a więc dwóch skompromitowanych agentów Berlina wschodniego. Radca powinien zostać aresztowany pod jakimkolwiek pretekstem mimo immunitetu, a dokumenty znalezione w jego samochodzie miały być okazane prasie podczas konferencji. Zresztą, może nawet nie będzie trzeba go aresztować; są lepsze sposoby. Chodziło o to, aby wzbudzić wrogość wobec NRD nie tylko na Zachodzie, lecz również odciąć *strefę* od jej własnych sojuszników na Wschodzie. Zanim Berlin zdąży się wytłumaczyć z zarzutów, będzie już za późno.

Po czwarte, należało inteligentnie rozegrać kryzys wśród krajów członkowskich Paktu. Stosunkowo najłatwiejsze było sparaliżowanie Francji; wystarczyło podsunąć Paryżowi poufne informacje, że Amerykanie i Rosjanie pozorują jakieś nieporozumienia między sobą, aby je potem triumfalnie przezwyciężyć i tym samym umocnić swą dominującą pozycję w polityce światowej. Tą sprawą zajmie się bez kłopotu ambasada Republiki Federalnej w Paryżu oraz stacjonujący w Brukseli ludzie z Tajnej Organizacji, mający niezłe kontakty ze swymi francuskimi kolegami. W stosunku do pozostałych sojuszników taktyka powinna być bardziej subtelna. To także zostało szczegółowo omówione.

Punkt piąty planu przewidywał ofensywne działania wobec Amerykanów. Födler

postanowił użyć w tym celu swej karty atutowej, z której nigdy nie korzystał. Na samym dnie sejfu przechowywał oryginalne akta Abwehry na temat pewnego człowieka, który kiedyś nazywał się Schördwahn, a potem przybrał nazwisko Thompson. Człowiek ten pełnił dość wysokie funkcje w rezydenturze CIA w Monachium. Zostanie on wezwany przez ludzi Schlafflera, wśród których znajdują się przecież byli oficerowie Abwehry, oraz przez ludzi Pfeiffera, którzy umieją rozmawiać z podwójnymi agentami. Zażąda się od niego, aby przekazał swemu szefowi odpowiednio spreparowane informacje; w końcu, niemieckim oficerem zostaje się raz na całe życie, a wykonywanie rozkazów oficer powinien mieć we krwi. Chodzi o to, aby Amerykanie z własnych źródeł wywiadowczych dowiedzieli się, że porwanie głowic było wyłącznym dziełem agentów strefy wschodniej. I aby nabrali wyobrażenia, czym to wkrótce grozi. W istocie pułkownik Schlaffler był gotów dokonać natychmiastowej eksplozji jednej z głowic, kiedy tylko transport dotrze do Tajnej Bazy nr 3. Wydał nawet odpowiednie rozkazy. Oczywiście miał zamiar działać w taki sposób, aby nikt nie miał wątpliwości, że wybuchu dokonała NRD. Był pewien, że 14 dywizja zrobi to należycie. Wtedy Amerykanie będą się mogli przekonać, że informacje ich wywiadu są dokładne.

Punkt szósty planu przewidywał wciągnięcie do gry Chińczyków. Wstęp został już przez Schlafflera uczyniony, ale ciąg dalszy był trudny do przewidzenia. Födler podejrzewał, że Pekin ograniczy się do jakichś mało znaczących gestów, a w gruncie rzeczy będzie spokojnie i nie bez satysfakcji obserwował narastanie kryzysu wśród *tlustych, białych ludzi*. Być może pułkownik Roderich-Teutsch przywiezie ze sobą jakieś pomysły, ale nie należało się spodziewać jego przylotu przed północą.

Plan Födlera był z logicznego punktu widzenia bezbłędny, ponieważ nic tak nie podsycy nieufności i wzajemnych podejrzeń, jak wzmożona nieufność i następne podejrzania. Jednakże plan zawierał kilka niebezpiecznych luk, które koniecznie należało zlikwidować przed przystąpieniem do działań.

Födler uznał, że będzie dużo lepiej, jeśli likwidowaniem owych luk panowie Schlaffler i Pfeiffer zajmą się sami, bez udziału osobistości tak eksponowanej jak wicekanclerz. Födler tylko przez jedno mgnienie oka popatrzył na twarze obu swych partnerów, kiedy za pomocą kilku półsłówek przesądzi o losach kilku osób. Byli to ludzie mocni, nie skłonni do sentymentów, a przede wszystkim sprawni w działaniu. Trzeba się będzie szybko ich pozbyć, kiedy Födler zostanie kanclerzem.

XXXIII

Pierwsza z tych luk wiązała się z działalnością pewnego młodego dziennikarza nazwiskiem Georg Pförtner.

Nadkomisarz Pieler otrzymał rozkaz, aby natychmiast ustalić, gdzie znajduje się Pförtner. Maierhof nie jest dużym miastem i nadkomisarz Pieler wykonał rozkaz w ciągu kwadransa. Przez godzinę samochód policyjny jeździł trop w trop za Pförtnerem, przy czym kierowca informował komendę przez radio o trasach, które obiera śledzony przez niego człowiek w starym, wiśniowym Volkswagencie.

O godzinie 14.27 Georg Pförtner opuścił niewielką kawiarenkę, gdzie spotkał się z pielęgniarką ze szpitala Św. Jana, wszedł do swego gruchota i ruszył prosto szosą na Bambach.

To był właśnie ten moment. Na ósmym kilometrze od Maierhof z bocznej drogi wyjechała na szosę potężna cysterna wojskowa. Jednocześnie z tyłu dopadły Pförtnera dwa szybkie samochody, z których jeden nosił rejestrację MAI 6070. Cysterna jechała coraz szybciej, Pförtner bezwiednie również przyspieszył. Po lewej stronie jechał równoległe z nim jeden z samochodów.

Nagle cysterna zahamowała tak, jak to potrafią hamować wielkie ciężarówki - w ciągu kilku sekund wytraciła szybkość z 90 kilometrów na godzinę do prawie zera. Pförtner próbował najpierw hamować, potem skrócić na lewe pasmo, ale było ono zablokowane przez dwa samochody. Kiedy postanowił w ostatniej chwili skrócić na prawe pobocze, samochód MAI 6070 zajechał mu drogę z prawej strony.

Stary wiśniowy Volkswagen wpadł z całym impetem na stojącą już w miejscu cysternę. Zderzenie było silne, ale nie na tyle silne, aby z samochodu została miazga. Niestety cysterna przewoziła sprężony butan i w momencie zderzenia z nie wyjaśnionych powodów uległ awarii główny zawór, przez który chlusnęła na rozpaloną od słońca szosę struga parującego gazu. Iskry, powstałe podczas zderzenia, dokonały reszty. Volkswagen wraz z Pförtnerem spłonął w ciągu niecałej minuty.

Przyczyn awarii nigdy nie wyjaśniono, choć policja z Maierhof oraz żandarmeria prowadziły wnikliwe i długotrwałe śledztwo, które osobiście nadzorował nadkomisarz Siegfried Pieler.

XXXIV

Drugą lukę w planie Födlera udało się zlikwidować w ciągu kilkunastu sekund.

Do separatki, w której leżał nieprzytomny sierżant Willibert Pauschke, wszedł w białym fartuchu pewien pracownik Urzędu Ochrony Konstytucji. Obejrzał dokładnie wnętrze separatki, sprawdził kraty przy oknach i wydał dyżurującej pielęgniarce kilka poleceń, co sprawiło, że oddaliła się ona z pokoju na kilka minut. Był to moment wystarczająco długi, aby do pojemnika kroplówki wlać zawartość dwóch ampulek ze stężoną morfiną. Tym samym Pauschke nie będzie nikomu opowiadał bredni o jakichś nie istniejących terrorystach. Poza tym i tak nie przeżyłby długo. Jego rany były zbyt liczne i zbyt ciężkie.

XXXV

Wypełnienie trzeciej luki wiązało się równocześnie z realizacją kolejnego punktu w planie Födlera.

Ustalono, że radca handlowy stałego przedstawicielstwa NRD, doktor Andreas Scheiter, spotyka się o godzinie 13.30 na śniadaniu z przedstawicielem pewnego wielkiego koncernu maszyn elektrycznych. Spotkanie odbywało się w Kolonii, w niewielkiej, stylowej restauracyjce na Obermarspforten, nie opodal ratusza. Samochód Scheitera zaparkowany był o 150 metrów stamtąd, na Augustinerstrasse.

Wobec tego o godzinie 13.42, kiedy tylko Scheiter zamknął swój samochód i udał się do restauracji, specjalna ekipa wydziału komunikacji - założmy, że byli to istotnie pracownicy wydziału komunikacji magistratu kolońskiego - zawiesiła na Augustinerstrasse znaki bezwzględного zakazu parkowania. W chwilę potem podjechał policyjny dźwig i odholował zamknięty samochód Scheitera na parking policyjny. Dla niepoznaki taki sam los spotkał dwa inne samochody.

Na parkingu policyjnym otwarcie samochodu Scheitera było fraszką. Odpowiednie dokumenty, dotyczące szpiegowskiej działalności Severinga i Wiebolda, zostały umieszczone pod obiciem wewnątrz wozu, tuż przy tylnej szybie. Samochód został ponownie zamknięty, a podpiłowanie zwrotnicy zajęło specjalistom nie więcej niż minutę.

Kiedy zdenerwowany doktor Scheiter zgłosił się po odbiór wozu, tłumacząc, że

osobiście sprawdzał znaki na Augustinerstrasse i nie dostrzegł żadnego zakazu - dyżurny urzędnik policyjny wzruszył ramionami. Wypisał Scheiterowi kwit na 50 marek i oddał kluczyki.

Katastrofa nastąpiła na rogu Chlodwigplatz i Karolingerringu. Doktor Scheiter doznał złamania podudzia. Ambulans zawiózł go natychmiast do szpitala, ponieważ tak się złożyło, że w chwili wypadku było na miejscu pogotowie i radiowóz policyjny. O godzinie 14.35 tajne dokumenty z samochodu Scheitera znajdowały się już w rękach wicekanclerza Födlera, który szedł właśnie na konferencję prasową.

XXXVI

William Blair Thompson miał już prawie sześćdziesiąt cztery lata, dokuczało mu serce, wystrzegał się więc nadmiernie porywczych ruchów. Toteż początkowo nie zareagował, kiedy nie opodal Englischer Garten wpadł na niego mężczyzna w nieokreślonym wieku, sprawiający wrażenie trochę zmęczonego.

Oslabione serce majora Thompsona zabiło mocno dopiero wtedy, gdy do owego mężczyzny dołączył drugi i gdy obaj wyłuszczyli interes, jaki mieli do Thompsona.

Rozmowa - był to właściwie monolog dwóch nieznanomych - trwała nie więcej niż trzy minuty. Thompson otrzymał kopie dokumentów, znalezionych w samochodzie radcy handlowego NRD, Andreasa Scheitera. Wraz z dokumentami dostarczono mu pomysły i bardzo szczegółowy opis sposobu, dzięki któremu Thompson wszedł w posiadanie tak ciekawych informacji. Na pierwsze wejrzenie była to wersja nie do podważenia.

Ale major Thompson wiedział już, że prawdziwe losy Helmuta Schördwahn nie stanowią dla nikogo tajemnicy. Zgodził się wykonać polecenie nieznanomych, których dokumenty starannie przedtem obejrzał. Dobrze, przekaże dokumenty swemu szefowi. Dobrze, zachowa tę sprawę w tajemnicy. Oczywiście, nie będzie dociekał, skąd ten pośpiech. Nie może natomiast przyrzec, że zgłosi się pod podany adres o godzinie 23.30. Jest po prostu bardzo zmęczony, źle się czuje i wolałby nie ryzykować żadnych wypraw nocą w nieznaną.

Kiedy nieznanymi oddalili się, Thompson-Schördwahn miał przez chwilę zamiar jeszcze raz zatelefonować do kanclerza Lüttnera. Ale zaraz zrezygnował z tego pomysłu.

Miał już dość tej nie kończącej się gry, trwającej przez prawie cztery dziesięciolecia. Chciał po prostu odpocząć.

XXXVII

Świat współczesny nie tylko skurczył się i zmałał; nauka z pomocą elektroniki sprawiła, że stał się również całkowicie przezroczysty. Coraz trudniej ukryć w nim coś naprawdę ważnego, cóż dopiero wybuch jądrowy w atmosferze o mocy sześćdziesięciu siedmiu megaton.

Prezydent Harrison nie zdążył wydać wszystkich niezbędnych decyzji w związku z ogłoszeniem stanu wyjątkowego w stanach północno-zachodnich, kiedy na jego pulpicie dyspeczerskim powstał największy zator, jaki zanotowały dzieje Białego Domu.

Premier Kanady, Jean Lespinasse, nie przebierał w słowach i nie żądał nawet wyjaśnień. Zapowiedział, że Kanada rezerwuje sobie prawo dochodzenia roszczeń z tytułu wszelkich szkód, jakie mogą wynikać na skutek wybuchu, a on, Lespinasse, wezwie Kanadyjczyków, aby byli bardzo sumienni w szacowaniu swych strat i wliczali do nich na przykład trwałą bezpłodność w rezultacie napromieniowania. Lespinasse dodał, że zdaniem kanadyjskich wojsk lotniczych nic, ale to nic dosłownie, nie uzasadniało urządzenia takiego fajerwerku w Kosmosie i jeśli amerykański *parasol atomowy* ma tak funkcjonować, to lepiej może będzie obyć się bez niego w niedalekiej przyszłości.

Premier Wielkiej Brytanii, Cecil Duncan Wight, wyraził najpierw zdumienie, że *specjalne stosunki*, łączące oba kraje, stają się frazesem bez pokrycia w momencie kryzysu. Gdyby nie brytyjska sieć satelitarna i własne środki rozpoznania elektronicznego, Londyn do tej pory nie miałby pojęcia, co się stało. Wight z goryczą zapytał prezydenta, czy może rozpoczęła się już jakaś wojna, w której poddani Jego Królewskiej Mości mają obowiązek umierania za tajemnicze poczynania Stanów Zjednoczonych.

Prezydent Francji, Pierre Payot, mówił najpierw długo o tym, jak to przez dziesięć minut nie chciano go połączyć z Harrisonem, pod pozorem, że Harrison rozmawia z innymi szefami rządów. Payot oświadczył, że Francja jest tylko jedna, czy to się w Waszyngtonie podoba, czy nie, i że on, Payot, zamierza dziś wieczorem wystąpić w telewizji z orędziem do Francuzów, w którym powie pewne rzeczy niezbyt zapewne miłe dla Amerykanów, bo nie jest to pora na prawienie duserów. Payot podkreślił z naciskiem, że Francja pozostaje w tej sytuacji całkowicie neutralna i nie zamierza w najmniejszej nawet mierze uczestniczyć w antyrosyjskich prowokacjach, których, zdaniem francuskiego dowództwa, nic nie usprawiedliwia.

Sekretarz Generalny ONZ, Mohammad Al-Tanoussi, wyraził zaniepokojenie ogólnym

rozwojem sytuacji, zaoferował swe usługi mediacyjne i spytał, czy Stany Zjednoczone będą się domagać zwołania Rady Bezpieczeństwa, a jeśli tak, to kto będzie pozwanym.

Premier Izraela, Salomon Kuflik, zawiadomił prezydenta Harrisona, że w sytuacji, jaka się wytworzyła, wojska izraelskie musiały zbombardować Kuneitrę i południowy Liban, a także zająć ponownie kilka strategicznych punktów na Synaju i w rejonie cieśniny Szarm El-szeik. Profilaktycznie również rozpoczęły działania zbrojne na granicy iracko-syryjskiej, wysadzając tam dywizję spadochronową, jak również obsadziły pewne dodatkowe obszary w strefie Wzgórz Golan. Kuflik zapewnił jednak, że wszystkie te działania mają charakter czysto obronny i zostaną wstrzymane natychmiast po osiągnięciu zamierzonych celów. Premier Kuflik wyraził solidarność ze Stanami Zjednoczonymi i nie dopytywał się nawet o żadne szczegóły.

Premier Japonii, Hiramoto Ichitaki, długo przeproszał za swą śmiałość i niepokojenie pana prezydenta o tak późnej porze - w istocie, w Tokio dochodziła już dziesiąta wieczorem. Po czym, chrząkając i krztusząc się przy co drugim słowie, zapytał, czy przypadkiem Stany Zjednoczone nie znalazły się w stanie wojny ze Związkiem Radzieckim. Uczeni japońscy stwierdzili bowiem na podstawie sumiennej obserwacji nieba - Ichitaki tak to właśnie określił - że nad Ameryką Północną nastąpiły bardzo silne wybuchy jądrowe. Oczywiście, uczeni japońscy mogą się mylić, nawet na pewno się mylą, ponieważ prezydent Harrison chyba zawiadomiłby swych japońskich przyjaciół, gdyby się coś poważnego wydarzyło. Ichitaki gaworzył w ten sposób jeszcze przez kilka minut, dopóki Harrison nie przerwał mu brutalnie, obiecując bliższe wyjaśnienia po południu.

W kolejce czekało jeszcze z siedmiu premierów, kiedy sekretarz stanu, Brooman, przyniósł superbłyskawiczne depesze szyfrowe od ambasadorów amerykańskich za granicą. Wynikało z nich, że cały niemal świat rozregulował się jak popsuty mechanizm.

Wojska Republiki Południowej Afryki dokonały najazdu na Angolę i Zimbabwe z lądu i powietrza.

Wojna argentyńsko-chilijska rozgorzała na nowo.

W Himalajach podjęto pojedynek artyleryjski.

Flota indonezyjska wpłynęła na wody terytorialne Malezji.

Wojska egipskie zajęły cztery miejscowości na granicy z Libią.

Mechanizm pokoju świata zaczynał się stopniowo rozpadać, jak werk popsutego zegarka.

Harrison oddał depesze Broomanowi i znów zaczął przyjmować telefony.

Premier Włoch, Giancarlo Ruggieri, pytał w wielkim zaufaniu, czy prawdą jest, jak to

utrzymuje wywiad włoski, że doszło do jakiegoś sporu amerykańsko-radzieckiego. Jest to sprawa pilna, ponieważ po południu zbiera się parlament dla przezwyciężenia kolejnego kryzysu rządowego, więc gdyby chrześcijańska demokracja miała w ręku odpowiednie argumenty...

Premier Szwecji, Sven Gustafson, zapytał krótko, czy Szwecja ma zgłaszać swe roszczenia z powodu wybuchu do Trybunału Haskiego, czy też Ameryka będzie gotowa sama uregulować odszkodowania. Uczni szwedzcy oceniają, że chmura radioaktywna najdalej za 30 godzin dotrze nad Laplandię, potem zagrozi kopalniom rudy w Kirunie, z których rozpoczęto już ewakuację załóg i mieszkańców osiedli. Prowizoryczny szacunek strat opiewa na 6 miliardów koron. Gustafson dodał, że nie interesują go powody eksplozji, gdyż wie z własnych, szwedzkich źródeł, że nie oznaczają one wojny.

Sekretarz Generalny Paktu, Hendrijk van der Meegen, poinformował, że ministrowie obrony większości krajów Paktu złożyli pospiesznie zastrzeżenia, wykluczające właściwie użycie poszczególnych armii narodowych w razie dalszej eskalacji konfliktu.

Prezydent Szwajcarii, Louis Zierli, zawiadomił, że nastąpił run na banki szwajcarskie. Wkłady wycofywane są tak masowo, że systemowi walutowemu Zachodu grozi katastrofa.

Prezydent Harrison udzielał wszystkim swym rozmówcom identycznych wyjaśnień. To, co się stało, nie oznacza wojny i wcale jej nie zapowiada. Nastąpiła katastrofalna awaria systemu rozkazodawczego, której przyczyny i następstwa badają obecnie specjaliści. Ambasadory wszystkich krajów w Waszyngtonie otrzymują za kilka godzin wyczerpujące wyjaśnienia. Nie ma żadnych powodów do paniki. Jest to sprawa tragiczna, lecz dotycząca wyłącznie Stanów Zjednoczonych. Rząd amerykański rozpatrzy wszystkie uzasadnione wnioski i roszczenia z tytułu ewentualnych szkód. Rząd amerykański nie miał technicznych możliwości wcześniejszego zawiadomienia sojusznicznych i zaprzyjaźnionych rządów o przypadkowym nieszczęściu, jakie dotknęło północno-zachodnie stany. Rząd amerykański zapewnia o swych przyjaznych uczuciach.

Na koniec w odbiorniku rozległ się zirytowany, pełen napięcia głos kanclerza Lüttnera. Kanclerz zbyt długo czekał na połączenie z Harrisonem, aby zachowywać dobre manieri. Spytał oziębło, czy mógłby się ewentualnie dowiedzieć, dlaczego na licznikach promieniowania, jakie zainstalowano w zachodniemieckich satelitach, zabrakło nagle skali, skoro eksplozje w przestrzeni kosmicznej są zabronione. Dodał, że specjalne stosunki, jakie łączą Stany Zjednoczone i Republikę Federalną, uzasadniałyby informowanie Bonn w pierwszej kolejności. Nie mówiąc o konsultacjach. Ostatecznie, Republika Federalna jest państwem frontowym i jej kanclerz ma chyba prawo wiedzieć, z jakich to powodów Stany

Zjednoczone dokonują prawdziwej masakry nieba nad swym własnym terytorium. On, Lüttner, będzie musiał niebawem wystąpić w telewizji z orędziem do narodu i nie może ukrywać, że trudno mu będzie przedstawić stosunki sojusznicze w szczególnie korzystnym świetle. Musi też wyrazić swoje głębokie rozczarowanie z powodu wysoce niełojalnego, żeby to tak delikatnie nazwać, postępowania strony amerykańskiej. On, Lüttner, poinformował przecież najszybciej, jak to było możliwe, o porwaniu głowicy i mógł oczekiwać wzajemności. Skoro jednak oddział amerykański odbiera siłą tę głowicę, nie troszcząc się nawet o zawiadomienie władz niemieckich...

- O czym pan mówi, panie kanclerzu? - przerwał Harrison.

- Chyba wyrażam się dostatecznie jasno, panie prezydencie. Mówię o porwaniu przez waszych żołnierzy głowicy z Maierhof. Właśnie otrzymałem raport w tej sprawie. Chyba nie chce mi pan powiedzieć, że to się stało bez pańskiej wiedzy.

- Panie kanclerzu federalny - powiedział Harrison znużonym głosem - proszę o szczegóły. Naprawdę nic o tym nie wiem.

- Doprawdy nic pan nie wie, czym się dziś zajmował 665 batalion odwodowy, stacjonowany w Bambach?

- Nie. Nie wiem.

Lüttner zamilkł.

- Taak - rzekł po chwili. - To znaczy, że sprawa jest jeszcze groźniejsza, niż sądziłem. Muszę wobec tego uznać, że pańscy generałowie nie informują pana o tym, co wyprawiają za granicą. Skoro mnie pan zapewnia, że nie rozpoczęliście wojny z Rosją i nie zamierzacie tego uczynić, to znaczy, że ta wojna dopiero się zacznie. Może nawet niebawem. Nie rozumiem tylko, po co porywali jedną głowicę, skoro musieli mieć informacje o jedenastu.

- Ale skąd ma pan pewność, że to byli nasi żołnierze? Może ktoś zmyślił to z jakichś nieznanych nam powodów? Może to byli dywersanci tamtej strony, przebrani w nasze mundury?

- Nie opierałbym swoich poglądów wyłącznie na doniesieniach Urzędu. Mam własne, najzupełniej niezawodne źródła informacji. Nie mogę się mylić. Cóż, będziemy rozwiązywać tę zagadkę na własną rękę. Liczę, że i pan dołoży ze swej strony wszelkich starań. Ostatecznie chodzi o broń, która może zabić około pół miliona ludzi. Aha: chcę jeszcze donieść, że na wschód od Łaby, a także na wschód od Odry zaobserwowano ruchy wojsk.

- Nic dziwnego. I tak już długo z tym czekali. Nie wiem, naprawdę nie wiem, co panu powiedzieć, panie kanclerzu. Zarządę natychmiastowe śledztwo. Wydam polecenie, aby pana łączono ze mną w pierwszej kolejności. Proszę pozostawać ze mną w kontakcie.

Harrison odłożył słuchawkę, otarł pot z karku i podszedł do generała Tumblesona.

- Wywiad mamy wprowadzić do niczego - zaczął, patrząc mu prosto w oczy - ale za to siły zbrojne, panie generale, wykonują swe zadania na sto dwadzieścia procent. Dosyć! Dosyć tej żołdackiej samowoli! Proszę natychmiast sprawdzić, czym się zajmował przez ostatnie trzy godziny 665 batalion odwodowy, stacjonowany w mieście Bambach w Niemczech zachodnich. Muszę mieć raport w ciągu godziny, czy pan rozumie, Tumbleson? Jeżeli zostaną stwierdzone jakiegokolwiek nieprawidłowości, zarządzam natychmiastowe aresztowanie dowódcy i jego zastępców, rozbrownienie całej jednostki i zajęcie koszar przez żandarmerię.

- Tak jest, panie prezydencie - wyszeptał Tumbleson. - Co to za jednostka, o której pan mówi?

- Niech pan nie udaje, Tumbleson, że pan nie wie, o czym mówię. 665 batalion odwodowy dopuścił się dziś zbrojnego buntu przeciw prezydentowi Stanów Zjednoczonych i Kongresowi. Jeśli pan nic o tym nie słyszał, zastanawiam się, co pan właściwie robi na stanowisku szefa Połączonych Sztabów. Proszę odejść i jak najszybciej przedstawić mi raport.

- Tak jest, panie prezydencie - wyprostował się Tumbleson. - Ale mam tu jeszcze meldunek sztabu marynarki wojennej, który...

Harrison rzucił okiem na meldunek i poczuł, że uginają się pod nim nogi. Storpedowanie okrętu radzieckiego na otwartym morzu oznaczało, że Moskwa nie uwierzy już w ani jedno słowo wyjaśnień z Waszyngtonu. Musieliby stracić rozum, aby uwierzyć, że w ciągu kilku godzin jakiś piekielny przypadek spowodował porwanie głowic, awarię satelity i ostrzelanie ich krążownika.

Harrison pomyślał, że stało się najgorsze, co się stać mogło: jego własne siły zbrojne, którymi w teorii dowodził, wepchnęły Amerykę na drogę, z której prawdopodobnie nie było już odwrotu. A jeśli był, to nie wiadomo którądy.

W tym momencie pułkownik Winder zameldował, że na *gorącej linii* czeka sekretarz Chomienko.

Rozmowa prezydenta Stanów Zjednoczonych z radzieckim Sekretarzem Generalnym trwała trzy minuty i trzydzieści pięć sekund.

Nie była to rozmowa kurtuazyjna. Jej przebieg, utrwalony na taśmie magnetofonowej i natychmiast opatrzony w archiwum najwyższą klasą tajności, pozwoliłyby historykom zrozumieć wiele spraw, które współczesnym wydają się niepojęte.

Prezydent Harrison zdał sobie sprawę, że sytuacja jest groźniejsza niż kiedykolwiek w całych dziejach ludzkości, gdyż wojna atomowa mogła wybuchnąć w każdej chwili. Ale nie wszystko było jeszcze stracone.

Dlatego po zakończeniu rozmowy z Chomienką Harrison polecił ponownie ogłosić *alarm czerwony* we wszystkich jednostkach amerykańskich na kuli ziemskiej i polecił sekretarzowi stanu, aby natychmiast, choćby spod ziemi, sprowadził ambasadora radzieckiego w Waszyngtonie, Czeboriewa. Tylko rozmowa z żywym człowiekiem mogła jeszcze uratować sytuację.

Prezydent zawiadomił członków Narodowej Rady Bezpieczeństwa, że Czeboriew będzie uczestniczył w posiedzeniu Rady dopóty, dopóki kryzys nie zostanie zażegnany. Rzecznik prasowy prezydenta otrzymał polecenie, aby na godzinę 10.00 zwołać konferencję prasową w Białym Domu, transmitowaną przez wszystkie stacje telewizyjne, a poprzez sieć satelitarną również do Europy, na koszt rządu Stanów Zjednoczonych.

Prezydent wydał dyspozycje członkom Rady i polecił im być w gotowości, aby wznowić posiedzenie, kiedy znajdzie się Czeboriew.

Kiedy Howard Geoffrey Harrison wszedł do swego gabinetu, sekretarka osobista prezydenta zerwała się z przerażeniem zza biurka. Prezydent postarzał się o dziesięć lat. Jego kuczka, bujna czupryna była pełna nitek siwizny.

XXXVIII

Sytuację, jaka wytworzyła się w świecie około godziny 14.00 czasu zachodnioeuropejskiego, można było scharakteryzować następująco:

Kierownictwo radzieckie nie wierzyło Harrisonowi i jego doradcom.

Harrison nie wierzył własnym siłom zbrojnym, Centralnej Agencji Wywiadowczej, kanclerzowi RFN i jego tajnym służbom, a miał także wątpliwości, czy może wierzyć we wszystkie zapewnienia strony radzieckiej.

Przewodniczący radzieckiego Państwowego Komitetu Bezpieczeństwa, Bielawin, nie wierzył w żadne w ogóle wyjaśnienia amerykańskie, ponieważ za dużo wiedział o metodach działania CIA.

Dyrektor CIA, kontradmirał Prescott, nie wierzył w żadne zapewnienia radzieckie, nie wierzył w tajemniczy atak serca dyżurnego specjalisty w *Tracking Center*, dodatkowo zaś stracił wszelkie zaufanie do Palmera II, którego podejrzewał, że dla swych własnych celów - może po to, aby objąć stanowisko dyrektora CIA - wplątał swego szefa w kompromitującą sytuację.

Szef Połączonych Sztabów, generał Tumbleson, nie wierzył oczywiście w wyjątkowo łagodną reakcję strony radzieckiej, nie wierzył Prescottowi, którego od dawna podejrzewał o montowanie jakiegoś spisku, dodatkowo zaś nie wierzył wszystkim Niemcom razem i każdemu z osobna. Jako młody kapral, John Tumbleson, uczestniczył w wyzwaniu obozu w Bergen-Belsen.

Radziecki minister obrony, marszałek Mandżurów, nie wierzył w celowość dalszych pertraktacji z Waszyngtonem, ponieważ czas pracował dla Amerykanów. Ponadto Michaił Mandżurów, jako młody kapral uczestniczył w wyzwaniu obozu w Stutthofie i nigdy nie mógł się wyzbyć podejrzeń, że za każdym kryzysem tego rodzaju kryje się niemiecka ręka.

Rząd chiński nie wierzył w zapewnienia z Delhi, że Indie nie zamierzają wykorzystać napięcia dla zbrojnego rozstrzygnięcia spornych spraw terytorialnych.

Rząd indyjski nie wierzył w zapewnienia z Pekinu, że Chiny zachowają neutralność w tak pogmatwanej i napiętej sytuacji.

Kanclerz Lüttner nie wierzył Harrisonowi ani żadnemu z jego generałów i doradców. Nie wierzył Urzędowi Ochrony Konstytucji i wicekanclerzowi Födlerowi. Przez chwilę zaczął powątpiewać, czy słusznie robi, ufając wszystkim informacjom swego przyjaciela i kolegi Schördwahna-Thompsona, a zaczął się też zastanawiać, czy wolno mu wierzyć w informacje dostarczane przez wojsko.

Doradca prezydenta Harrisona, dr Nathaniel Rubin, nie wierzył oczywiście nikomu z Centralnej Agencji Wywiadowczej, Rosjanom, Niemcom, amerykańskim generałom, Francuzom, zwłaszcza zaś Robertowi Magorskiemu, którego uważał za cynicznego chłystka bez kwalifikacji.

Robert Magorski nie wierzył Rubinowi, którego uważał za nadętą, przemądrzałą ropuchę i sądził, że Rubin dla zaspokojenia własnej pychy podpowie Harrisonowi, któremu zresztą Magorski także nie wierzył, najgorsze możliwe decyzje.

Minister obrony RFN, Peter Grauder, został nieprzyjemnie zaskoczony wydarzeniami w 14 dywizji i niewiarygodnym wprost tempem zmian personalnych, jakich dokonał w dywizji Generalny Inspektorat. Grauder zaczął podejrzewać, że owa mityczna Tajna Organizacja, o której przebąkiwano w ministerstwie, nie jest może aż tak mityczna, jak dotychczas sądził.

Prezydent Francji, Payot, nie wierzył Amerykanom, Niemcom i Rosjanom. Nie wierzył w ogóle w nic, poza wielkością Francji, w związku z czym postawił na nogi wszystkie sześć rodzajów francuskiego wywiadu, aby się zorientować w rzeczywistym rozwoju wydarzeń. Potem jednak uświadomił sobie, że zawiódł się już parokrotnie na

informacjach DST¹³, wobec czego pozostało tylko pięć wywiadów. Szef specjalnego wywiadu politycznego, Lacroix, zażądał najpierw streszczenia rozmów z Harrisonem i Lüttnerem, które to żądanie Payot odrzucił. Doszło do wymiany zdań. Badaniem sytuacji, jak w bajce o dziesięciu małych Murzynkach, zajęły się już tylko cztery wywiady. Trzy z nich nie nadawały się do niczego, poza znoszeniem nudnych plotek sypialnianych i wycinków z zagranicznej prasy. Ten czwarty rozpoczął swą działalność rozpoznawczą od nawiązania przyjacielskiego kontaktu z Urzędem Ochrony Konstytucji w ościennym kraju.

Rządy członkowskie Paktu nie wierzyły Amerykanom i Rosjanom, zgodnie nie wierzyły też Niemcom, ponadto zaś nie wierzyły jeden drugiemu, podejrzewając się nawzajem o zamiar dezercji lub o potajemne konszachty z Waszyngtonem.

Palmer II nie wierzył już więcej dyrektorowi CIA, który przysłał jakąś histeryczną depeszę z żądaniem wyjaśnień. Nie wierzył dowódcy 665 batalionu, gdyż wbrew zobowiązaniom musiał on widocznie coś wypaplać swym przełożonym. Co najgorsze, Palmer II, kimkolwiek był, nie mógł już wierzyć swym najbliższym współpracownikom. Najpierw okazało się, że z rezydentury w niewyjaśniony sposób przeciekła do Niemców wiadomość o tym, że drugie porwanie głowic odbyło się bez wiedzy Waszyngtonu. Potem ten cały Felsenstein ujawnił zagadkowe dokumenty na temat majora Thompsona. Jeśli Thompson rzeczywiście pracował dla Niemców przez całe lata, to przede wszystkim należy się zastanowić, dla których Niemców. Ponadto akurat wtedy, kiedy wieloletnia działalność wywiadowcza i dywersyjna mogłaby się okazać bezcenna, rezydentura będzie miała związane ręce. Wreszcie i dokumenty, które Palmer II otrzymał od Thompsona, też nie pomogły w rozwikłaniu zagadki. Nie można być przecież potrójnym agentem, jeśli są tylko dwie strony frontu. Po diabła Thompson miałby przekazywać dowody, że to NRD zorganizowała porwanie głowic, jeżeli pracował dla NRD? A jeśli nie pracował, to dlaczego zachodni Niemcy postanowili go sypanąć? Palmer II nie miał wątpliwości, że Felsenstein pracował dla MAD lub Urzędu Ochrony Konstytucji - bez takiego poparcia jego wyczyny byłyby niemożliwe.

Arnim Pauschke nie wierzył w ostatni telefon Ugo Felsensteina i wzruszył ramionami, kiedy mu powtórzono, że syn jego Willibert leży w szpitalu w jakimś Maierhof.

Friedrich Wilhelm Knauppe nie wierzył już nawet samemu sobie. Był gotów uznać, że to wszystko, co zobaczył na ulicy Wschodniej o godzinie 8.30 rano, było po prostu rezultatem przywidzenia.

Grupa M nie wierzyła doktorowi Pichon-Laleaux, który to wszystko wymyślił.

¹³ DST - francuski kontrwywiad polityczny.

Impas trwał. Tymczasem pokrywy silosów raketowych pozostawały odsunięte. Radary przeczesywały niebo. Samoloty czekały na pasach startowych i pokładach lotniskowców. W eterze panowała złowroga cisza przed burzą. Po obu stronach Łaby stały naprzeciw siebie na odległość strzału bezpośredniego wielkie, opasłe czołgi. Załogom okrętów podwodnych na Atlantyku i Oceanie Indyjskim wydzielano specjalne porcje tlenu i wysokokaloryczne posiłki. Uszkodzony krążownik *Nachimow* stał na kotwicy w odległości pół mili morskiej od amerykańskich kutrów torpedowych, które go okaleczyły.

Szpital w Brytyjskiej Kolumbii i stanie Waszyngton zaczęły przyjmować pierwszych pacjentów z oznakami choroby popromiennej. Ludność miasta Albuquerque w stanie Nowy Meksyk uległa panice, zanotowano osiemdziesiąt wypadków samochodowych i sześćdziesiąt ofiar. Powietrze nad pustynią stało jednak nieruchomo; chmura znad miejsca wybuchu mogła nadpłynąć nad Albuquerque najwcześniej koło północy.

Dzieci w Europie i w Ameryce Północnej siedziały w szkołach, obgryzały końce długopisów, przeklinały ułamki. Nie wiedziały, że ich własny los zostanie niebawem rozstrzygnięty na podstawie wzorów i rysunków, jakie kreśli na tablicy nauczyciel fizyki.

Ciągle jeszcze trwał stan, który nazywano pokojem.

XXXIX

Plan wicekanclerza Födlera zaczął się załamywać z najmniej oczekiwanej strony w półtorej godziny po tym, jak zaczęto go wprowadzać w życie. Nastąpiło to w miejscu, którego nikt nie brał pod uwagę: w małym miasteczku Maierhof.

Wspólny patrol policji z Maierhof oraz niewielkiej grupy GSG, ściągniętej z Bamburg wczesnym rankiem, przyjechał do stacji benzynowej w sześć minut po dokonaniu zabójstwa dzierżawcy stacji i mieszkającej z nim dziewczyny. Policja przewiozła zwłoki do kostnicy szpitala Św. Jana, natomiast dowódca grupy GSG, porucznik Edwin Engel, zajął się porzuconym na stacji samochodem, o którym od pierwszej chwili przypuszczano, że był własnością mordercy.

Porucznik Engel był człowiekiem systematycznym, fachowym i przywykłym do szybkiego działania.

W ciągu kwadransa ustalił, że znaleziona pod siedzeniem Mini-Morrisa beretta jest tą samą bronią, z której nad ranem zamordowano jadącego do Tajnej Bazy nr 6 porucznika

Weitmarka. Wystarczyło posłużyć się przenośnym, elektronicznym identyfikatorem żłobin lufy i za pomocą zwykłego aparatu telefonicznego porównać charakterystykę broni z zawartością pamięci komputera w centrali GSG. W ten sposób porucznik Engel był w posiadaniu nieodpartego dowodu, że sprawcą dwóch morderstw na stacji benzynowej, a także morderstwa na poruczniku Weitmarku, był jeden i ten sam człowiek, mianowicie niejaki Karl-Christian Stoeppé, pseudonim Ryba, najgroźniejszy z członków *Grupy M*, poszukiwany od lat przez policje całej Europy.

Co więcej, trzy z pięciu pocisków, jakie wydobyto ze zwłok sierżanta Pauschke, zostały wystrzelone z tej samej broni. Dwa pozostałe pochodziły z pistoletu maszynowego Uzi, produkcji izraelskiej, opatrzonego w pamięci centralnego komputera GSG numerem 133. Należał on, jak to było już wiadomo od roku, do przywódcy *Grupy M*, niejakiego Chally'ego.

Porucznik Engel, mimo sprzeciwu ludzi z Ochrony Konstytucji, przesłuchał szczegółowo lekarza dyżurnego i pielęgniarkę ze szpitala Św. Jana, którzy byli obecni w ciągu tych trzech krótkich minut, kiedy Pauschke odzyskał przytomność i dość niewyraźnie zaczął zeznawać. Potwierdzili oni słowa sierżanta o jakiejś dziewczynie, która brała udział w napadzie, lecz o której GSG nic na razie nie wiedziały. Oboje zwrócili też uwagę na to, co Pauschke mówił o niskim, odrażająco brzydkim mężczyźnie. Porucznik Engel odniósł wrażenie, że jego pobieżny opis odpowiada osobie niejakiego doktora Pichona-Laleaux. Ponieważ jednak GSG nic nie wiedziały, jakoby dr Pichon przyłączył się do *Grupy M*, Engel chwilowo pozostawił tę sprawę bez komentarzy, na użytek dalszego śledztwa.

Ludzie z GSG stwierdzili w Düsseldorfie, że człowiek, który w ubiegłym tygodniu kupował po kilka sztuk przenośnych radiostacji typu walkie-talkie, odpowiada rysopisowi następnego z poszukiwanych od dawna członków *Grupy M*.

Nie ulegało wątpliwości, że napadu na Tajną Bazę nr 6 dokonała *Grupa M*, być może z udziałem innych osób, o których dotychczas nie wiadano.

Śledztwo potoczyło się tak błyskawicznie, a ustalenia były tak oczywiste, że komendant GSG, pułkownik Zellhagen, uznał za konieczne zameldować się u swego przełożonego, ministra spraw wewnętrznych, Dietricha Lammhubera. Jednolity system łączności, sprawny komputer i fachowość doświadczonych oficerów śledczych sprawiły, że *Grupa M* została zidentyfikowana, zlokalizowana i osaczona tak ściśle, jak jeszcze nigdy dotąd.

Minister Lammhuber nie mógł ukryć satysfakcji. Potrzebny mu był koniecznie dowód na sprawne i stanowcze działanie nowo objętego resortu. Uwolniłoby to samego Lammhubera od przykrego odium liberała i mięczaka, które się za nim wlokło, a rozgromienie *Grupy M*, z

którą od tylu lat nie umiały sobie poradzić policje, kontrwywiady i służby specjalne kilkunastu krajów, przysporzyłoby na pewno nie opisanych autorów w dalszej rozgrywce politycznej. Dietrich Lamnhuber dobrze pamiętał z przeszłości, że energiczny i rzutki minister spraw wewnętrznych może zostać wicekanclerzem, a potem... potem...

Dlatego minister Lamnhuber, nie informując o niczym swych bezpośrednich podwładnych w ministerstwie, a tym bardziej doktora Pfeiffera z Urzędu Ochrony Konstytucji, zażądał natychmiastowej rozmowy w cztery oczy z kanclerzem Lüttnerem. Jednocześnie zaś polecił, aby pułkownik Zellhagen zmobilizował wszystkie siły GSG w celu ujęcia *Grupy M*, która przecież nie mogła się rozproszyć zbyt daleko od Maierhof.

W związku z tym Edwin Engel zasiadł w gabinecie nadkomisarza Pieler i zaczął kierować operacją *Nietoperz*. W ciągu pierwszego kwadransu dowiedział się tylu zastanawiających rzeczy, że uznał za niezbędne, aby do Maierhof przybył bez zwłoki sam komendant GSG, pułkownik Zellhagen, lub któryś z jego zastępców.

Na przykład zgłosiła się do nadkomisarza Pieler stara, zapłakana kobieta i oświadczyła, że jej mąż Friedrich Wilhelm Knauppe został dziś rano porwany przez nieznanych sprawców. Pieler próbował ją jak najszybciej odprawić, ale Engel przepytał szczegółowo panią Knauppe i stwierdził ze zdumieniem, że Knauppe był jedynym świadkiem znalezienia furgonetki i asystował przy tym, jak policja otwierała jej wnętrze.

Engel stwierdził, że furgonetka została zniszczona w niewyjaśniony sposób na dziedzińcu komendy policji, a Pieler udziela w tej sprawie zadziwiająco mętnych i wykrętnych wyjaśnień.

Engel stwierdził, że pielęgniarka ze szpitala Św. Jana, która okazała tyle nerwowości podczas pierwszego przesłuchania, ma pewne dodatkowe powody do zdenerwowania. Utrzymywała mianowicie, jak stwierdził Engel podczas drugiej z nią rozmowy, bliskie stosunki z młodym dziennikarzem miejscowym, nazwiskiem Georg Pförtner. Wiedział on jakoby bardzo dużo na temat tych dziwnych wydarzeń, chyba zbyt dużo, gdyż pielęgniarka obawiała się o jego los. Kiedy Engel zapytał Pieler, czy nie wie, co się dzieje z takim młodym dziennikarzem, Pförtnerem - nadkomisarz stracił na chwilę zdolność mówienia, a następnie zaczął pośpiesznie wyjaśniać, że z roztargnienia zapomniał poinformować porucznika o przykrym wypadku samochodowym, jaki tu miał niedawno miejsce. Georg Pförtner zginął mianowicie wskutek zderzenia z cysterną wojskową.

W umyśle porucznika Engla po raz pierwszy powstało podejrzenie, że komenda policji w Maierhof jest w jakiś sposób związana z działalnością *Grupy M*. Używając pewnego specjalnego kodu, Engel poinformował o tym komendanta GSG i ponownie zażądał jego

przyjazdu.

Fakty ustalone przez Engla trafiły do raportu, jaki minister Lammhuber miał zamiar przedstawić kanclerzowi. Niestety, miało to jeszcze potrwać. Kanclerz był bardzo zajęty i wyznaczył spotkanie dopiero za półtorej godziny.

W tej sytuacji Lammhuber postanowił stworzyć fakty dokonane. Redaktorem działu politycznego pewnego niewielkiego dziennika w Osnabrücku był jego bliski przyjaciel z lat studenckich, który nieraz już wyświadczał ministrowi drobne, lecz cenne przysługi. Minister przekazał mu telefonicznie zwięzłą informację o tym, że *Grupa M* porwała z arsenału Bundeswehry pewne szczególnie niebezpieczne przedmioty, ale właśnie w tej chwili odbywa się w pewnym rejonie Republiki Federalnej wielka obława na nią. Ponieważ dziennik z Osnabrücku ukazywał się po południu, minister prosił, aby ta wiadomość, podana w możliwie sensacyjnej formie, ukazała się dosłownie natychmiast, wraz z apelem, aby wszyscy obywatele RFN okazali maksymalną pomoc jednostkom GSG.

Doświadczony polityk nie popełniałby takich błędów i nie organizował przecieków do prasy, zanim jeszcze *Grupa M* została ujęta i zanim wieść o tym dotarła do kanclerza. Nigdzie jednak nie jest powiedziane, że wszędzie i zawsze ważne funkcje w aparacie władzy pełnią wyłącznie ludzie przebiegli, doświadczeni i dalekowzroczni.

Zresztą, Dietrich Lammhuber miał się za takiego człowieka. Zapowiedział mianowicie swemu przyjacielowi, że zdementuje stanowczo podane przez niego informacje i zaprzeczy, jeśli ktoś będzie się dopytywał, czy przeciek nastąpił z kół zbliżonych do ministerstwa spraw wewnętrznych. Na wścibstwo prasy nie ma, jak wiadomo, żadnej rady.

W ten sposób niewielka i mało znana za granicą gazeta *Osnabrücker Rundschau* jako pierwsza na świecie wydrukowała na czołówce informację o wydarzeniach w Maierhof, obciążając odpowiedzialnością za porwanie tajnych przedmiotów terrorystyczną *Grupą M* i nikogo poza nią.

XL

Bonn, 12.06 godz. 14.59 GMT

AKCJA NIETOPERZ - RAPORT NR 4

Tajne najwyższego znaczenia - jeden egzemplarz

Tylko przez oficera!

Tylko dla kanclerza federalnego!

1. Informuję, że zdobyto dalsze dowody, iż porwanie głowic z TB6 było dziełem agentów strefy wschodniej. Na lotnisku frankfurckim schwytano byłego kapitana Wiebolda, który w ubraniu cywilnym i z fałszywym paszportem na nazwisko Zauschmann usiłował odlecieć przez Rzym i Warszawę do Berlina wschodniego. Ekipa śledcza w sztabie 14 dywizji ustaliła, że Wiebold osobiście wydał nadajnik agentowi strefy wschodniej, używając do tego celu znajomej kelnerki z kasyna. Kelnerkę aresztowano.

2. Informuję poufnie, że doszły do mnie skargi kilku wyższych oficerów, m.in. komendanta Tajnej Bazy nr 4, na aroganckie i sprzeczne z regulaminem postępowanie kapitana von Riesenthala. Miał on uniemożliwić łączność radiową pilotowi mojego dyspozycyjnego śmigłowca, stwarzając zagrożenie dla bezpieczeństwa lotów.

3. Proszę pana kanclerza federalnego o jak najrychlejsze wyznaczenie mi spotkania, ponieważ pewne sprawy w resorcie obrony budzą mój niepokój.

4. Niezależnie od przekazanego poprzednio komunikatu wywiadu polowego Generalnego Inspektoratu informuję, że ruchy wojsk Układu Warszawskiego trwają. Jednostki raketowe strefy wschodniej znajdują się w stanie pełnego pogotowia bojowego, jednostki radzieckie w strefie - w stanie podwyższonej gotowości. Zaobserwowano ruchy okrętów bojowych na Morzu Bałtyckim.

5. Ponieważ dowództwo Paktu nie może uzyskać z Waszyngtonu wystarczająco jasnych rozkazów, proponuję natychmiastowe podjęcie decyzji o ogłoszeniu stanu pełnej gotowości bojowej dla wszystkich sił zbrojnych Republiki Federalnej.

Peter Grauder, minister obrony.

XLI

Około godziny 14.50 major William Blair Thompson poczuł się tak źle, że ostatkiem sił zatrzasnął pancerny sejf i powlókł się na kanapkę, na której zazwyczaj sadowił swych gości. Dzień był parny, przesycony elektrycznością, pełen wilgotnego zaduchu. Thompson nie znosił sztucznej klimatyzacji, okno w jego gabinecie było otwarte na oścież.

Thompson pomyślał, że bez względu na sprzeciwy Palmera II przejdzie jednak na emeryturę. Miał w stanie Vermont niewielki, lecz wygodny dom z ogrodem, wynajmowany obecnie jakimś Japończykom. Wspomnienie tego staroświeckiego domu, tonącego w zieleni

okolicznych wzgórz, było tak wyraziste, że Thompson doznał nieodpartej tęsknoty, aby usiąść na werandzie z gazetą i szklanką whisky w rękę, popatrzeć na las, odetchnąć zapachem trawy i kwiatów. Trzeba będzie jutro uporządkować sprawy służbowe i wystąpić dziś jeszcze z raportem o zwolnienie ze służby czynnej. Thompson ze zdumieniem stwierdził, że cały ten kryzys, jaki od rana rozwija się na świecie, przestał go zupełnie interesować. A w końcu na taki moment czekał prawie czterdzieści lat.

Wtedy właśnie poczuł w mostku ostry, piekący ból. Sięgnął po pastylki nitrogliceryny i uświadomił sobie, że załatwienie spraw służbowych nie będzie jednak łatwe. Dick Gordy zachowywał się bardzo dziwnie, kiedy Thompson wręczył mu dokumenty otrzymane od nieznajomych. Zresztą, jeżeli Urząd Ochrony Konstytucji i ministerstwo obrony znają już tajemnicę Thompsona, jest tylko kwestią czasu, zanim pozna ją również Palmer II. Odpowiedzialność karna pewno za to nie będzie grozić, ale jednak odejście ze służby po zdemaskowaniu fałszerstwa w życiorysie nie jest tym samym, co *honorable discharge* - zwolnienie z powodu złego stanu zdrowia i osiągnięcia wieku emerytalnego. Ostatecznie, William Blair Thompson zawsze lojalnie pracował dla Centralnej Agencji Wywiadowczej i rządu Stanów Zjednoczonych, a rozmowy z Lüttnerem, nawet gdyby Palmer II też się o nich dowiedział, będzie można jakoś wytłumaczyć.

Tak. A jeżeli jacyś ludzie sfabrykują dowody, że Thompson zachowywał się jednak niełojalnie wobec CIA? Thompson zaczął liczyć w myśli agentów CIA, rozlokowanych w Ochronie Konstytucji i ministerstwie obrony, lecz przy dziesiątym pseudonimie ból znów zmaćił jego myśli. Kto może wejrzeć w prawdziwe intencje tylu ludzi? Kto i dlaczego miałby oszczędzać starego, podwójnego agenta? Thompson zbyt dobrze wie, jak się fabrykuje niepodważalne dowody, stuprocentowo oryginalne dokumenty i niebudzące żadnych wątpliwości fakty.

W jednym krótkim błysku świadomości Schördwahn-Thompson ujrzał cały bezsens swego życia. Amerykanie szpiegują Niemców, Niemcy szpiegują Amerykanów, a w tym kraju nigdy naprawdę nie wiadomo, kto pracuje dla kogo. Ilu z niemieckich agentów CIA ma powiązania ze *Stasi*? Czyż nie było tu już wypadku, że sam szef Urzędu Ochrony Konstytucji znalazł się pewnego dnia w Lipsku i udzielał wywiadów prasie zagranicznej? Do tej pory nie wiadomo, co naprawdę sądzić o tym człowieku.

Z archiwów pamięci zaczęły przyplływać postrzępione obrazy, jak w filmie dokumentalnym, zmontowanym przez szaleńca. Młody Helmut Schördwahn w mundurze HJ, prężący się w Berlinie przed Baldurem von Schirachem; podporucznik Schördwahn na tarasie warszawskiej kawiarni, wiosną 1940 roku, zaraz po rozgromieniu pierwszej polskiej

organizacji podziemnej; ta straszna noc w obozie jenieckim, kiedy komendant obozu w odwet za ucieczkę grupy brytyjskich pilotów wydał w ręce Gestapo dziesięciu zakładników, wśród nich podporucznika Thompsona; pierwszy rok w Ameryce, pełen lęku i bezustannego napięcia; major Thompson na dworcu lotniczym we Frankfurcie nad Menem, 17 września 1965 roku, patrzący ze zdumieniem i niewiarą na swą niemiecką ojczyznę; i ta rozmowa z nieznajomymi przed godziną.

William Blair Thompson myśli na przemian po angielsku i po niemiecku. Zadaje sobie pytanie, czemu właściwie służyło jego pokręcone, zwariowane życie. Nie ma rodziny, prawdziwego nazwiska, majątku - nie ma właściwie nic, oprócz tego starego domu w Vermontcie i stu tysięcy dolarów w banku, co starczy na względnie dostatnie przeżycie starości. Ale Thompson uświadamia sobie coś jeszcze dużo bardziej przygnębiającego: nie wie, kim jest. Jest starym, doświadczonym agentem wywiadu, lecz sam już nie wie, dla kogo pracuje - dla Niemców? Dla Amerykanów? Dla Zachodu w ogóle? A skąd wiadomo, czy Palmer II, polecając dziś rano porwanie główicy, nie działał jeszcze dla kogoś innego, o kim Thompson nie ma już ochoty myśleć?

Przychodzi nowa fala bólu śródpiersia - tak ostra, że Thompson błędnie i pragnie wołać pomocy. Nie ma już jednak siły. Najostatniejszym wysiłkiem woli wtyka sobie między zęby klucz od sejfu i gryzie go z bólu tak długo, aż zwiotczałe mięśnie szczęk odmówią posłuszeństwa.

Tak właśnie, z kluczem od sejfu w zębach, znaleziono go po kilku godzinach w gabinecie. Znaleziono go zresztą przypadkiem. Palmer II był przekonany, że Thompson zdezerterował i kazał rozpocząć poszukiwania. Dopiero kiedy nie dały rezultatu, postanowiono sprawdzić, co też były major Thompson zostawił w swym gabinecie.

Palmer II zarządził, że zwłok Thompsona nie będzie się przewozić za ocean na koszt Agencji. Pochowano go na cmentarzu komunalnym w Monachium, żeby jednak wywiad przeciwnika nie mógł się zorientować, jak i gdzie zaginął jego człowiek, na nagrobku umieszczono napis:

WILLIAM SMITH

1918 - 1971

Ponieważ dyrekcja cmentarza sprzeciwiła się umieszczeniu nieprawdziwej daty zgonu i domagała się zbyt wielu dokumentów, w sprawę musiała wdać się monachijska policja, a ściśle biorąc, jeden z jej urzędników, który pracował niegdyś dla majora Thompsona.

XLII

Piątek, 12 czerwca, godzina 17.05 czasu moskiewskiego. W pokoju generalskim przy stanowisku dowodzenia strategicznych wojsk raketowych Związku Radzieckiego siedzą dwaj niemłodzi mężczyźni o zmęczonych, pobrużdżonych twarzach: minister obrony ZSRR, główny marszałek Michaił Leonidowicz Mandżurów, i dowódca wojsk raketowych, marszałek Gleb Władimirowicz Udałow. Czekają na zakończenie rozmowy, którą Sekretarz Generalny, Witalij Chomienko, przeprowadza właśnie z ministrem spraw zagranicznych, Kowalewskim, i z przewodniczącym Państwowego Komitetu Bezpieczeństwa, Bielawinem. Za dziesięć minut ma się rozpocząć decydujące posiedzenie Biura Politycznego, zwołane po raz pierwszy w historii nie na Kremlu, lecz w stanowisku dowodzenia. W miarę upływu czasu sytuacja międzynarodowa wcale się nie wyjaśnia; pojawia się coraz więcej zagadkowych przypadków i niewytłumaczalnych komplikacji.

- Więc jak to, Glebie Władimirowiczu - mówi marszałek Mandżurów, rozluźniając kołnierz kurtki - czyżby to naprawdę miała być wojna? Czy to możliwe, żeby zaczynała się tak ospale, w tylu niejasnościach, w takiej niepewności? Czy do ostatniej chwili będziemy działać po omacku tylko dlatego, żeby nas nie zaskoczono?

- Ja sam też nie chcę w to wierzyć - odpowiada marszałek Udałow. - Pamiętajcie, Michaile Leonidowiczu, jak się to zaczęło w czterdziestym pierwszym? Byłem wtedy dowódcą działonu niedaleko od granicy zachodniej...

- Tak. Pamiętam. Tyle lat minęło, a ja pamiętam jak dziś. Piękny czerwcowy poranek, telefon z dowództwa zachodniego okręgu wojskowego... Glebie Władimirowiczu, ile my jeszcze razy musimy wojować z Niemcami?

- Wygląda na razie na to, że Niemcy odgrywają w tym wszystkim podrzędną rolę.

- Podrzedną rolę?! A cóż wy opowiadacie! Ja ich znam, towarzyszu marszałku. Za dobrze ich znam. Za dużo widziałem na froncie. Nawet przez moment nie uwierzę, żeby w tym, co się teraz dzieje, nie maczali swoich brudnych łap ci stamtąd, zza Łaby. Na pewno wplątali Amerykanów w jakąś intrygę. Czy ja wam opowiadałem, że w kwietniu czterdziestego piątego roku mój pułk spotkał się z Amerykanami w Torgau nad Łabą? I pomyśleć, że za chwilę możemy zacząć do siebie strzelać...

- Nie jest to jeszcze pewne, towarzyszu marszałku. Nie ma na razie żadnych oznak, że wojna jest już nie do uniknięcia.

Mandżurów przeciera łyse czoło, zdejmuje okulary i podpira głowę rękami.

- Ja sobie też to powtarzam od dwóch godzin - powiada w zadumie. - Ale mamy obowiązki wobec ojczyzny, Glebie Władimirowiczu, w których nas nikt nie zastąpi. Nikt z nas nie zdejmie odpowiedzialności. Jest zbyt mało czasu na rozważania. Jaką mamy gwarancję, że te wszystkie opowieści Harrisona nie są tylko sztuczką, która ma uspić naszą czujność?

- Nie mamy takiej gwarancji. Sam Harrison może by i nie poszedł na tak groźne prowokacje, ale ludzie wokół niego są zdolni do wszystkiego. Ten Rubin... ten Magorski...

- Przyszło mi na myśl, że Amerykanie unieruchomili nasz *system kosmiczny S* i dlatego nie mamy żadnych informacji o ich działaniach. Może już lecą w naszą stronę ich rakiety?

- Unieruchomienie *systemu S* jest teoretycznie wykluczone. Można przypadkowo zniszczyć jeden z jego elementów, nigdy jednak nie można zniszczyć w całości.

- A jeżeli Witalij Pawłowicz zapyta nas obu za chwilę: co proponujecie, towarzysze marszałkowie?

Obaj marszałkowie milczą przez chwilę. Potem otwierają się drzwi, ukazuje się w nich minister Kowalewski i Iwan Maksymowicz Bielawin. Twarze mają ściągnięte i pełne napięcia.

- Towarzysz Chomienko prosi, abyśmy rozpoczynali posiedzenie Biura Politycznego - mówi Kowalewski, obracając w ręce wieczne pióro. - Nie ma czasu do stracenia.

- Czy jest coś nowego? - pyta marszałek Mandżurów.

- Od tej chwili nowiny będziecie dostarczać tylko wy, towarzyszu marszałku - odpowiada minister Kowalewski. - Moja rola jest chyba skończona, przynajmniej na najbliższe godziny.

Bielawin przegląda plik depech, wręczonych mu przez adiutanta.

- Ciekawe - mówi do marszałków. - Wygląda na to, że Pakt rozpadł się na kawałki, zanim ktokolwiek oddał pierwszy strzał. Czyżbyśmy mieli zostać sam na sam z Amerykanami?

- Jak to? - wykrzykuje Mandżurów. - A Niemcy?

- Tak, rzeczywiście - odpowiada Bielawin, przeglądając nadal depeche. - Z Niemiec zachodnich mamy jak najgorsze wiadomości.

XLIII

O godzinie 14.20 czasu środkowoeuropejskiego kanclerz Lüttner wezwał do siebie szefa Urzędu Ochrony Konstytucji, doktora Pfeiffera, z zamiarem przeprowadzenia z nim zasadniczej rozmowy.

- Rozumiem - zaczął kanclerz tonem, który zapowiadał bardzo chłodny klimat rozmowy - że przy kryzysach tego rodzaju zaczyna działać reakcja łańcuchowa. Jeden błąd pociąga za sobą następny, ogólna nerwowość powoduje nieprzemyślane decyzje. Natomiast nie potrafię zrozumieć, dlaczego pan, doktorze Pfeiffer, przyczynia się swymi działaniami do zaostrzenia i tak już niezmiernie napiętej sytuacji. Wygląda mi to na świadome działanie, sprzeczne z naszą konstytucją i wymierzone przeciw istniejącemu systemowi politycznemu. Nie mówię już o tym, że od naszej porannej rozmowy nie złożył mi pan żadnego meldunku o postępach śledztwa, bo mam nadzieję, że prowadzicie jakieś śledztwo w sprawie porwania głowic. Od ministra Graudera mam już cztery meldunki, bardzo cenne i dobrze świadczące o ministerstwie obrony. Ale nawet nie tylko o to chodzi. Proszę mi powiedzieć - i zechce pan traktować moje pytanie najzupełniej oficjalnie - na jakiej podstawie wydał pan nakaz aresztowania Ugo Felsensteina? I to jeszcze na krótko przed jego zapowiedzianą audycją telewizyjną? Co się stało z maszynopisem artykułu, jaki pisał dla tygodnika *Dabei*? Czy pan sobie zdaje sprawę z następstw politycznych, jakie to za sobą pociągnie? Czy pan sądzi, że zniknięcie Felsensteina akurat w tym momencie skłoni kogokolwiek w tym kraju do milczenia lub przestradchu?

Otto Pfeiffer rozsiadł się wygodnie w fotelu, zapalił cygaro i popatrzył kanclerzowi prosto w oczy.

- Co do Felsensteina - zaczął z kamiennym spokojem - sprawa jest prosta i jasna jak słońce. Czy pan pamięta sprawę Seppa Kraussa, który pracował dla strefy wschodniej? Otóż jesteśmy w posiadaniu dowodów, że część swych kompromitujących materiałów, dotyczących działalności niektórych osób podczas II wojny światowej, Felsenstein otrzymywał właśnie od Kraussa, a po jego skazaniu bezpośrednio z Berlina wschodniego.

- I stwierdziliście to akurat dziś?

- Och, nie, panie kanclerzu. Uznałem tylko za stosowne dziś właśnie dokonać aresztu.

- Pfeiffer, to pachnie prowokacją. Jak dawno byliście w posiadaniu tych dowodów?

- Mniej więcej od dwóch lat.

- Czy nigdy nie ostrzeżliście Felsensteina, że takie kontakty mogą mu zaszkodzić?

- Ostrzeżenie przed czymkolwiek byłoby bezcelowe. Zresztą, pani minister Schwellenberg...

- Nie interesują mnie sypialniane plotki. Renata Schwellenberg jest moim lojalnym i

zdyscyplinowanym współpracownikiem.

- Może podczas godzin służbowych, panie kanclerzu.

- Więc co, zamierza pan wytoczyć Felsensteinowi proces?

- Oczywiście. Tak samo jak Arnimowi Pauschkemu. Tak samo jak wszystkim, którzy szkalują Republikę Federalną i szkodzą jej żywotnym interesom.

- Jak pan wytłumaczy opinii publicznej fakt, że Felsensteina aresztowano akurat dziś? Przecież wszyscy uznają to za prowokację, zwłaszcza że tygodnik *Dabei* ukaże się z wielką białą plamą na trzy strony, a o odwołaniu audycji telewizyjnej z braku prelegenta szumi już cały kraj. Czy tak pan zamierza robić politykę?

- Niezupełnie, panie kanclerzu. Przede wszystkim mamy prokuratorski nakaz aresztowania z datą, powiedzmy, wczorajszą. Chodzi o przykrą dla Felsensteina sprawę z pewną nieletnią w Duisburgu...

- Słyszałem.

- Właśnie. W ten sposób Felsensteinowi odbierzemy od razu aureolę bohatera. Dopiero kiedy się ta sprawa wyjaśni - gdyż myślę, że po przewlekłym procesie jednak się wyjaśni, ta nieletnia nie była w gruncie rzeczy taka znów nieletnia - mój Urząd wystąpi z kolejnym oskarżeniem. Tak się składa, że zapowiedziany przez Felsensteina artykuł w *Dabei* bardzo się przyda jako materiał dowodowy. Został on bowiem napisany w oparciu o relację pewnego człowieka, który już zresztą nie żyje, ale to czysto... czysto przypadkowa śmierć. Nazywał się Georg Pförtner. Możemy przedstawić dowolną liczbą dowodów, że Pförtner był agentem strefy wschodniej. Możemy dostarczyć prokuraturze jego szyfry, raporty, a także obszerną korespondencję Pförtnera z Felsensteinem. Czyli z jednej strony Pförtner, z drugiej Sepp Krauss. Żaden prokurator nie odrzuci tylu dowodów. A jeśli przegra proces, to jego sprawa. W ten sposób i pańskie życie stanie się lżejsze, panie kanclerzu. Nie muszę przypominać, ile razy Felsenstein komplikował pańską odpowiedzialną pracę, ile zadał panu publicznych ciosów.

- Zgoda - powiedział Lüttner po chwili namysłu - zostawmy na razie sprawę Felsensteina. Muszę nad tym pomyśleć. Wrócę do tego wkrótce. Ale co słyhać z pańskim śledztwem? Co się dzieje z porwanymi głowicami?

- Tego jeszcze nie wiem, panie kanclerzu, i nie sądzę, żebym się tego prędko dowiedział.

- Jak mam to rozumieć?

Pfeiffer pochylił się w stronę kanclerskiego biurka i zniżył głos.

- Panie kanclerzu, nadeszła chyba pora, abyśmy porozmawiali szczerze. Zupełnie

szczerze. Zapewne różnimy się poglądami na różne sprawy - co do mnie, nigdy tego nie ukrywałem - sędzę jednak, że dobro narodu niemieckiego obu nam leży jednakowo na sercu.

- Nie lubię takich wstępów, doktorze Pfeiffer. Do rzeczy, proszę.

- Właśnie mówię do rzeczy, panie kanclerzu. I to bardziej, niż pan sądzi. Otóż jest w tej chwili dowiedzione ponad wątpliwość, że głowice z TB 6 zostały porwane przez agentów nieprzyjaciela. Czy było to działanie na polecenie Rosjan, czy też niezależny pomysł strefy wschodniej - tego jeszcze nie wiemy. Nie myślę jednak, żeby to było najważniejsze. Problem polega na tym, że być może nie wszystkie głowice trafiły bezpośrednio do rąk agentów nieprzyjaciela. Jedną udało się odzyskać niemal natychmiast, ale i nie wszystkie z pozostałych posłużą zapewne naszym wrogom zgodnie z ich zamierzeniami.

- Co takiego? O czym pan mówi, Pfeiffer? Nic z tego nie rozumiem.

- Panie kanclerzu, chciałbym zaproponować panu chwilę pełnego, stuprocentowego realizmu w myśleniu o polityce. Nie wiem wprawdzie nic na tyle konkretnego, żebym mógł panu udokumentować moje domysły. Ale wie pan, że w naszej służbie po pewnym czasie intuicja staje się równie ważna jak poparte dowodami podejrzenia. Ja nie jestem wyjątkiem, oczywiście. Dlatego...

- Doktorze Pfeiffer, uważam za konieczne, aby włączyć magnetofon i przechować pański monolog dla przyszłych historyków. Po raz pierwszy udało się panu mnie zaintrygować.

- Włączanie magnetofonu jest o tyle zbyteczne, że taśma magnetofonowa jest tworzywem ogromnie nietrwałym, a w krytycznych momentach, jak pan może pamiętać z doświadczeń prezydenta Nixona, zapis potrafi zniknąć jak plama pod dotknięciem środka czyszczącego. Ale proszę, jeśli to jest dla pana niezbędne, niech pan włączy magnetofon.

- Okay, moja własna pamięć wystarczy. Proszę mówić dalej.

- Wspominałem więc, że zuchwały i groźny plan agentów nieprzyjacielskich powiódł się, niestety, w całej rozciągłości. Sądząc z ilości ludzi rozlokowanych w sztabie 14 dywizji, musieli się do tego skoku już dawno przygotować. Mam nadzieję, że nasz niezawodny minister Grauder ustali wszystkie okoliczności włamania do TB 6 i przedstawi panu odpowiednie wnioski na przyszłość. Odnoszę jednak wrażenie - niepoparte na razie żadnymi konkretnymi faktami - że pewną liczbę tych głowic nasi dzielni wojskowi zdołali jednak odzyskać.

- Ile? Kto to uczynił?

- Ach, nie wiem, panie kanclerzu, i wolałbym się nie interesować takimi detalami. Mam raczej na myśli zasadę postępowania, a nie zabawę w detektywów. Na pewnym

poziomie kontrwywiad przestaje być po prostu maszyną śledczą.

- No więc co się stało z tymi głowicami?

- Także nie wiem. Jednakże...

- To co pan w końcu wie, doktorze Pfeiffer, po pięciu godzinach intensywnego śledztwa? Czy przyszedł pan tutaj, aby złożyć raport kanclerzowi federalnemu, czy na towarzyską pogawędkę? Jeśli to drugie, to obawiam się, że mój czas jest ograniczony.

- Panie kanclerzu federalny, nikt nie jest bardziej pełen respektu wobec pańskiego urzędu niż ja. Niech mi pan pozwoli wypowiedzieć się do końca. Mam podstawy do przypuszczenia, że część głowic została odzyskana przez nasze siły zbrojne, ale przypuszczalnie nie trafią one z powrotem do magazynów TB 6. Nie oceniam, nie bronię i nie potępiam nikogo, po prostu staram się myśleć. Otóż jestem pewien, że informacja o losie porwanych głowic dotrze do pana niebawem. I wtedy różni ludzie zechcą pana namawiać do podjęcia tak zwanej energicznej akcji. Będą mówić, że pewne koła Bundeswehry przywłaszczyły sobie broń neutronową z pominięciem ministerstwa obrony i Generalnego Inspektoratu. Będą się od pana domagać, aby położył pan kres spiskom i samowoli wojska. Tych ludzi - a ja ich dobrze znam, panie kanclerzu, ponieważ mam na co dzień do czynienia z ich szkodliwą dla nas działalnością - nie będzie w ogóle interesował fakt, że napadu na TB 6 dokonali agenci nieprzyjaciela, lecz to tylko, że jakaś tam ilość głowic została zabezpieczona przez te ośrodki, które tak czy inaczej mają prawo dysponowania bronią neutronową.

- Pan ma na myśli Bundeswehrę?

- Raczej nie armię holenderską, panie kanclerzu.

- W takim razie znów nic nie rozumiem. Takie działanie byłoby równoznaczne ze spiskiem, który należałoby karać z całą surowością prawa. Nie bardzo w to wszystko wierzę, doktorze Pfeiffer, bo gdybym wierzył, musiałbym uznać, że w tym kraju nastąpiło coś w rodzaju zamachu stanu. A wówczas musiałbym się niezwłocznie odwołać do narodu.

- Nie znam wszystkich szczegółów, panie kanclerzu, ale w tym wypadku nie one są najważniejsze. Proszę sobie tylko wyobrazić, że odwołuje się pan do narodu w sprawie, jak pan powiada, spisku prawicowo-wojskowego. Z konieczności musi się pan posługiwać językiem zbliżonym do tego, jaki jest w użyciu w NRD. Czy pan sądzi, że to zachwyci pańskich przeciwników z prawej strony? Poza tym będzie pan musiał przekonać na przykład wicekanclerza Födlera i cały rząd federalny, że ma pan w ręku dowody istnienia spisku, a o takie dowody jest niezmiernie trudno. Jedno jest pewne: głowice porwał nieprzyjaciel i do tej pory nie udało się ich odnaleźć. To wszystko. Nic więcej pan się nie dowie, panie kanclerzu. Z jakimi dowodami zamierza pan wystąpić? Wobec swego rządu, Bundestagu, opinii

publicznej? Nie ma również pod ręką Felsensteina, który w tym wypadku wziąłby może pańską stronę i odpowiednio udratyzował całą sprawę na użytek opinii publicznej. Na mnie też może pan nie liczyć, ponieważ dzielę się teraz tylko swymi luźnymi domysłami, a faktów nie znam i nie sędzę, żebym je poznał. Wreszcie będzie pan miał nieopisane trudności, żeby to wszystko wytłumaczyć Amerykanom, kiedy się uspokoją, choć sądząc z doniesień radiowych, nieprędko to nastąpi. Podobno senat chce postawić Harrisona w stan oskarżenia. Załóżmy nawet, że Harrison pozostanie w Białym Domu - jak mu pan to wyjaśni: że spisek zawiązał się nagle w celu porwania głowic, czy też istniał od dawna, a pan nic o tym nie wiedział? Proszę także wziąć pod uwagę, panie kanclerzu, że Rosjanie mogą na takie oświadczenie zareagować bardzo nerwowo. Strefa wschodnia, a już zwłaszcza Polacy, na pewno im doradzą, aby panu nie wierzyć. Mogą potraktować pańskie oświadczenie jako jeszcze jeden dowód podejrzanych niemieckich matactw. Kto wie, czy nie uznają tego za pretekst do działań wojskowych. Zachodnioniemieccy faszyści porywają bombę neutronową, a rząd Lüttnera jest bezsilny - cóż za wspaniałe potwierdzenie ich ostrzeżeń i co za argument, żeby faszyzmowi wreszcie położyć kres.

- Czy chce mnie pan przekonać, że minister Grauder nie pisze mi prawdy w swych raportach?

- Och, nie. Minister Grauder jest bardzo poczciwym starszym panem. Osobiście ogromnie go lubię. Obawiam się jednak, że ma dość powierzchowne informacje o niektórych ludziach w podległym mu resorcie, zwłaszcza w Generalnym Inspektoracie. Nie przypuszczam, żeby prędko wpadł na trop tego, jak pan to nazwał, spisku. Gdyby się tak nawet stało, to, jak go znam, uczyni jedno, na co go stać, mianowicie poda się do dymisji, zostawiając panu cały ten kram na głowie. W takim wypadku urząd kanclerski będzie musiał polegać tylko na tym, co na przykład Generalny Inspektorat zechce ujawnić lub ustalić. Nie ma pan przecież własnego aparatu śledczego ani odpowiednio zaufanych ludzi.

- Mam takich ludzi, Pfeiffer.

- Pan ma na myśli Helmuta Schördwahn, zwanego Thompsonem?

Kanclerz Lüttner zrozumiał, że z Pfeifferem można już grać tylko w otwarte karty. Nie został mu już ani jeden atut w rozgrywce z tym strasznym i przebiegłym człowiekiem.

- O tym też pan wie? Sądziłem...

- My wszystko wiemy, panie kanclerzu.

- Ale Schördwahn dla was nie pracuje?

- Tego nie powiedziałem. Wystarczy zresztą, że znamy jego prawdziwy życiorys. No i pewne akta Abwehry.

- Przecież spłonęły podczas bitwy o Berlin?

- Różnie o tym mówią.

- Czego się pan właściwie domaga, Pfeiffer? Żebym w ogóle przemilczał przed społeczeństwem i przed sojusznikami, a także przed przeciwnikiem, tę nieprawdopodobną aferę? Żebym przymknął oczy na tak niesłychany wypadek niesubordynacji i pogodził się z tym, że ktoś schował sobie własną broń neutronową? To nie są żarty, doktorze. Sześćset kiloton. Zagrożenie życia dla setek tysięcy ludzi. Nie. Nie mogę udać, że jest to po prostu błahy przypadek nieporządków w wojsku. Czy pan naprawdę nie wie, gdzie są te głowice i kto nimi teraz dysponuje?

- Nie wiem, panie kanclerzu. I, jak już mówiłem, bardzo wątpię, żebym się o tym dowiedział, nawet gdyby wszyscy moi ludzie zostali postawieni na nogi przez całą dobę. Są pewne sprawy i pewne obszary, wobec których mój Urząd jest całkowicie bezsilny. Mam po prostu przecucie, że głowice zostały bardzo dobrze ukryte.

- Ale gdzie, na miłość boską, gdzie? Przecież to nie pudełko zapalek. Na domiar jedna z tych głowic... ale może to też nieprawda?

- I o tym nie wiem nic pewnego. Moje informacje pochodzą z poufnych źródeł wojskowych, do czego, mówiąc nawiasem, nie jestem uprawniony. Natomiast ukryć te odzyskane głowice można o wiele łatwiej, niż pan sądzi. W Republice Federalnej znajduje się około półtora tysiąca dobrze strzeżonych miejsc, do których wstęp mają tylko ludzie z odpowiednimi uprawnieniami. O wydawaniu tych uprawnień decyduje MAD, czyli, krótko mówiąc, mniej więcej te same ośrodki, które mogłyby ewentualnie stać za zabezpieczeniem części odzyskanych głowic. Zgodzi się pan ze mną, że to jest rzeczywiście błędne koło.

Lüttner zacisnął dłoń, aż zatrzeszczały stawy.

Tak. Ten diabeł wcielony miał rację. Kanclerz nigdy nie będzie wiedział, czy Pfeiffer należy do tego przekłętą spisku i został wysłany, aby zamydląć mu oczy, czy przemawia przez niego zawodowa zawiść wobec konkurentów, czy wreszcie mówi jak doświadczony, wytrawny polityk, dla którego żadne skrupuły nie mają znaczenia.

- Co pan proponuje, doktorze? Chyba nie przyszedł pan tutaj, żeby mnie straszyć? Jak pan wie, nie należę do osób nerwowych, mam wystarczająco wiele władzy i zawsze, mimo wszystko, mogę się odwołać do opinii publicznej. Jeśli nie w tej chwili, co rzeczywiście byłoby trudne, to w niedalekiej przyszłości. Może mi pan zdradzi swój genialny pomysł.

- Z chęcią, panie kanclerzu. Należy po prostu uznać, że wszystkie głowice w liczbie jedenastu zostały porwane przez nieprzyjaciela. Jedną z nich, dzięki energicznym wysiłkom kontrwywiadu wojskowego oraz Urzędu Ochrony Konstytucji, udało się odzyskać. Los

pozostałych jest nieznan. Trwa energiczne śledztwo. O jego wynikach rząd będzie informował na bieżąco. Niebezpieczeństwo istnieje, lecz nie należy go przeceniać. Wszyscy obywatele powinni współdziałać z organami bezpieczeństwa.

- Nonsens. Nikt w to nie uwierzy. Poza tym, czy pan sobie wyobraża, co się tu zacznie dziać, kiedy sześćdziesiąt milionów ludzi zacznie na własną rękę poszukiwać ukrytych głowic?

- Owszem. Wyobrażam to sobie. Sądzę, że niezależnie od pewnych ujemnych, lecz chwilowych następstw w życiu społecznym, bilans tej operacji będzie dla naszej republiki dodatni. Nigdy przedtem nie mieliśmy takiego stanu zagrożenia. Wszystkie służby federalne, zobowiązane przez Konstytucję do obrony pokoju i porządku, zyskają powszechną aprobatę. Czy pan sądzi, kanclerzu federalny, że to będzie takie złe wyjście?

- Pan, doktorze Pfeiffer, trzyma z ludźmi, którzy się targnęli na podstawowe postanowienia Konstytucji, a teraz występuje pan nagle jako gorący rzecznik tejże Konstytucji.

- Z nikim nie trzymam. Staram się po prostu myśleć realistycznie. Świat jest, jaki jest, i nie sądzę, żebyśmy tu we dwóch mogli go zmienić.

- Inaczej mówiąc, proponuje pan, aby sprawcy ponownego zagarnięcia kilku głowic pozostali bezkarni, kimkolwiek są. I żeby sobie zachowali te głowice dla jakichś nieznanych, własnych celów?

- Czy ma pan lepsze wyjście, panie kanclerzu?

- Nie mam, doktorze Pfeiffer. I dlatego chwilowo przystaję na pańskie propozycje, przynajmniej dopóki się nad tym wszystkim nie zastanowię. Ale pod jednym warunkiem: zwolni pan Felsensteina.

- Jest to technicznie, politycznie i formalnie niemożliwe. Felsenstein podważyłby oficjalną wersję, zaczął węszyć ze zdwojoną energią i mógłby wpaść na różne tropy, zagrażające interesom Republiki Federalnej. Zakładam, że w tym wypadku byłby gotów współdziałać z panem. Ale pan zna tego człowieka - nigdy nie można przewidzieć, co mu przyjdzie do głowy. Zresztą, i tak jest na to za późno. Poza tym, jak pan wie, Felsenstein brał udział w kilku imprezach Światowej Rady Pokoju, wypowiadał się w sprawie Wietnamu i Chile, potępiał wyścig zbrojeń...

- Ależ nie jest to żaden człowiek lewicy. Ma Krzyż Rycerski...

- Nie ma. Drobny retusz w życiorysie. Ten człowiek jest prawicą i lewicą jednocześnie, ma zbyt wysokie mniemanie o sobie i chwilami potrafi być groźny. Osobiście głęboko szanuję wolność prasy, pod warunkiem wszakże, iż nie zagraża podstawowym

interesom kraju.

- To znaczy interesom pańskich mocodawców, Pfeiffer?

- Nie mam mocodawców, panie kanclerzu federalny. Staram się wykonywać swe obowiązki zgodnie z mandatem, jaki mi powierzono. Ponadto staram się myśleć w kategoriach dużo szerszych niż branżowy partykularz Urzędu, którym kieruję.

- Postawiłbym panu piątkę za tę deklarację. Wynika z tego, że ja i mój rząd nie myślimy w owych szerszych kategoriach.

- Tego nie powiedziałem. Właśnie dał pan dowód takiego myślenia.

- Dziękuję za komplement. Jeszcze jedno pytanie, panie doktorze. Co będzie, jeśli ci, którzy, jak pan powiada, zabezpieczyli część porwanych głowic, dokonają na przykład ataku na terytorium NRD?

- Jeśli mnie nie zawodzi analiza środowisk, które ewentualnie mogły tego dokonać, pańskie obawy są bezpodstawne. Te głowice lepiej spełnią swą rolę polityczną spoczywając spokojnie w jakichś składach i bazach. Zresztą, gdyby nawet coś takiego nastąpiło, ma pan przecież pod ręką gorącą linię do Berlina wschodniego.

- Świetny pomysł. Najpierw Harrison wyjaśnia Rosjanom, że przez pomyłkę rozpętał piekło atomowe nad własnym krajem, potem ja z kolei mam wyjaśniać Berlinowi, że przez pomyłkę jacyś ludzie, o których nic nie wiem, dokonali ataku na NRD z użyciem broni neutronowej. Kapitalne. A tamci mają w to wszystko cierpliwie wierzyć i nie ruszyć nawet palcem, żeby nas nie zdenerwować.

- Pytam ponownie, panie kanclerzu: czy mamy lepsze wyjście? Na mój Urząd nie może pan liczyć, gdyż sami nie ustalimy ani sprawców porwania, ani nazwisk tych, którzy zabezpieczyli część głowic, ani miejsca, w którym się znajdują skradzione i nie odzyskane dotąd głowice. Na kontrwywiad wojskowy, Generalny Inspektorat i Ministerstwo Obrony też liczyć nie można, ponieważ... no, ale to wyjaśniałem. Opinia publiczna też przecież nic panu nie pomoże: ci, którzy sympatyzują z, jak pan to nazywa, spiskowcami, w niczym rządowi nie pomogą, ci natomiast, których sympatie określiłbym jako pacyfistyczne, nie dostaną się przecież do różnych tajnych miejsc. W końcu, chodzi tu o naprawdę bardzo niewielki potencjał atomowy, w porównaniu z tym, czym dysponują wielkie mocarstwa. Nie widzę żadnego wyjścia, powtarzam. Myślę natomiast, że w niedalekiej przyszłości można będzie zacząć ostrożne negocjacje z pewnymi ludźmi, skupionymi wokół Generalnego Inspektoratu...

- Negocjacje? Ja mam negocjować z jakimiś spiskowcami? I na jakiz to temat?

- Na temat zwrotu głowic i, powiedzmy, węzłowych problemów polityki niemieckiej.

Proszę nie zapominać, że ci ludzie weszli dziś w posiadanie niezwykle wymownego argumentu, to znaczy głowic, z którymi się umieją obchodzić i wiedzą, jak ich użyć w razie potrzeby.

- Czyli sądzi pan, doktorze, że nie powinienem w ogóle występować w telewizji dziś o dziewiętnastej?

- Wręcz przeciwnie. Tylko obszerne i szczere wyjaśnienie kanclerza federalnego, złożone całemu narodowi, może uspokoić szalejące obecnie plotki i uśmierzyć histerię.

- Szczere i obszerne, powiada pan. Cóż - spróbuję.

Pfeiffer podniósł się i ostentacyjnym jak na niego gestem wyciągnął dłoń do kanclerza. Lüttner zawahał się przez chwilę, potem podał Pfeifferowi rękę z wyrazem nieukrywanej antypatii.

- Aha, jeszcze jedno - rzekł Pfeiffer już w drzwiach. - Co się dzieje z pańskim adiutantem wojskowym? Podobno nie widać go od samego rana? Czyżby...

- Widzę - odparł podniesionym głosem Lüttner - że ma pan swoich ludzi nawet w moim osobistym sekretariacie. Nie życzę sobie tego, Pfeiffer! Kapitan Kuno von Riesenthal otrzymał ode mnie tajną, specjalną misję do wykonania.

- Rozumiem. Mam nadzieję, że nie naraża pan bez potrzeby tego pięknego chłopca. Może warto go odwołać? To bardzo przedsiębiorczy człowiek, o ile wiem. Może łatwo napytać sobie nieszczęścia. No, żegnam, panie kanclerzu.

XLIV

Piątek, 12 czerwca, godzina 13.59 czasu zachodnioeuropejskiego. Małe miasteczko Werdenberg, ostatnia stacja kolejowa w RFN, odległa już tylko o półtora kilometra od granicy francuskiej.

Przy kasie biletowej, w tłumie podróżnych, których jest tu dziś wyjątkowo wiele, kręci się Ryba. Udaje, że nie dostrzega Rudiego, z roztargnieniem studiującego rozkład jazdy.

Wchodzi Łucja - boso, z rozpuszczonymi włosami, z płócienną torbą przewieszoną przez ramię. Wygląda jak studentka na wakacjach. Obejmuje Rybę, całują się, biorą za ręce. Nikt nie może mieć wątpliwości, że ta sympatyczna para umówiła się tutaj dla zupełnie innych celów niż polityka.

Punktualnie o czternastej wchodzi Chally z Pichonem. Stają przy rozkładzie jazdy.

Podchodzi do nich niespiesznie Rudi, potem jakby przypadkiem, Ryba z Łucją.

- Ten pociąg o czternastej siedem nie kursuje w piątki - mówi półgłosem Chally. - Następny mamy dopiero za dwie godziny. Idziemy teraz oddzielnie na obiad, ale trzeba uważać, pełno tu glin i tajniaków, chyba zarządzili jakieś pogotowie.

- Połowa GSG musiała się tu zebrać - śmieje się Ryba. - Musimy sobie nawzajem opowiedzieć, jak tu dotarliśmy. Ja miałem tyle przygód...

- Przestań - mówi Chally. - Nie ma powodu, żebyśmy tu stali. Wychodzimy. Uważajcie: sto metrów prosto przed siebie, dalej skręt w prawo koło apteki. Jasne? Potem trzysta metrów prosto. Zobaczycie sklep z butami Baty i delikatesy Meinla. Obok, po schodkach w dół od ulicy, jest chińska restauracja Mei Wong. Jasne? Spotykamy się w sali na prawo, w odstępach trzyminutowych.

Chally i Pichon wychodzą ze stacji pierwsi. Za nimi niepewnym krokiem wlecze się Rudi. Źle się czuje od godziny. Ma zawroty głowy, może od upału. Raz po raz traci ostrość wzroku i wtedy świat wygląda jak oglądany przez mrożoną szybę.

Rudi nie może się skupić, myli wskazówki Chally'ego. Skręca w lewo zamiast w prawo, nie może znaleźć sklepu z butami. Kiedy wreszcie dowleka się do Mei Wonga, *Grupa M* zajada już *chow mein*.

Chally otwiera usta, żeby zwymyślać Rudiego za spóźnienie, lecz urywa w pół słowa.

- Coś ty narozrabiał? - mówi ściszym głosem. - Krew ci cieknie z ucha. Idź natychmiast do toalety i umyj się.

- I z nosa też mu leci - dziwi się Ryba.

Rudi nie mówi nic. Przechyla głowę jak papierowa kukła, krew kapie do porcelanowych miseczek, miesza się z sosem sojowym, plami obrus. Podbiegają kelnerzy.

- Lekarza! - woła Łucja. - Trzeba natychmiast wezwać lekarza!

- Zamknij się! - warczy Chally. - Jemu już żaden lekarz nie pomoże.

- Skąd wiesz, Chally? - odrzuca Łucja. - Może to tylko jakiś mały krwotok.

- Kurzy mózdzek! Już zapomniałaś, co wieźliśmy dziś rano? Musimy stąd pryskać, ale już. Wychodź razem ze mną. Ryba zapłaci. Spotkamy się za pięć czwarta na stacji, tylko nie szwendać mi się po mieście. Idźcie do kina. Hej, Pichon, a ty dokąd? Przecież powiedziałem ci, że pożyjesz tylko kwadrans, jeśli ktoś z nas zachoruje.

- Chally - podnosi głos Łucja, nie zważając na stojących wokoło kelnerów. - Nie zgadzam się. Rudiego nie można tu zostawić samego.

Chally nie ma czasu na odpowiedź. Znika w jakichś drzwiach, wiodących na zaplecze, ponieważ u wejścia staje lekarz w białym kitlu. Pogotowie już przyjechało. Werdenberg nie

jest wielkim miastem, a Chińczycy widocznie woleli nie mieć kłopotu.

Lekarz rozrywa koszulę na piersiach Rudiego, próbuje zatamować krew płynącą z nosa, kręci głową.

- Czy to państwa przyjaciel? - pyta. - Bardzo dziwny wypadek. To już koniec. Wygląda na otrucie talem lub arsenikiem. Proszę się stąd nie oddalać. Zaraz wezwę policję.

Ryba staje przy lekarzu i przez krótką chwilę patrzy mu bez słowa w oczy, po czym powoli opuszcza restaurację. Lekarz zdumionym wzrokiem spogląda na Łucję i Pichona.

- Doprawdy, nie rozumiem... - wzrusza ramionami. - Przecież to jest karna sprawa, państwo na pewno będą zatrzymani, dopóki sekcja nie stwierdzi przyczyny zgonu...

André Pichon rzuca się do tych samych drzwi, którymi uciekł Chally. Zastępują mu drogę kelnerzy, z kuchni wypada pomywacz i kucharz. Szamotanina, brzęk tłuczonych naczyń, Pichon nie wytrzymuje ciosu w żołądek, pada i zwija się z bólu. Dwaj kelnerzy przygważdżają go do ziemi. W drzwiach sali staje policjant, błyskawicznie wyciąga pistolet. Nakłada Pichonowi kajdanki, potem bierze za rękę Łucję, lecz kiedy sięga po drugą parę kajdanków, zamiera ze zdumienia. Patrzy na skutego Pichona, gładzi się po brodzie i mówi:

- Ładna historia! Tygodniami patrzyłem na pańską podobiznę w liście gończym. Wisiał w komisariacie. Pan się nazywa Pichon-Laleaux i jest doktorem czegoś tam. No, ptaszku, spotkaliśmy się.

Policjantowi przemyka przez myśl, że nagroda dla osób cywilnych za odnalezienie Pichona-Laleaux miała wynieść trzydzieści tysięcy marek. Policji to oczywiście nie dotyczy, ale na pewno nie obejdzie się bez awansu, no i jakiejś gratyfikacji, która bardzo się przyda na rozbudowę domu, bo dzieci dorastają.

XLV

Chally zza szyby u Meinla obserwuje, jak skutego Pichona, a potem Łucję policja ładuje do wozu. Nie zastanawia się długo. Spacerowym, niedbałym krokiem przemierza kilka przecznic, potem nagle przyspiesza i wchodzi do budki telefonicznej. Zamawia rozmowę R z Casablanką; należność opłaci tamten rozmówca.

Trwa to zadziwiająco krótko; sieć telefoniczna w Republice Federalnej ustępuje tylko amerykańskiej. Doskonale słyszalny głos męski mówi coś po arabsku, na co Chally odpowiada po angielsku, że pada ulewny deszcz, a mimo to świecą gwiazdy. Tamten

przechodzi na angielski;

- Kto mówi?

- Chally...

- Halo, Casablanca! - przerywa telefonistka. - Czy pan się zgadza na tę kredytową rozmowę?

- Skąd mogę wiedzieć, kiedy nie wiem, kto chce ze mną mówić?

- Więc proszę się szybko zdecydować, bo rozłączę - złości się telefonistka.

- Mówi Chally. Szef będzie wiedział. Bardzo ważna i pilna sprawa.

- Pilnych spraw nie załatwia się po południu, kiedy wszyscy drzemią, a ważnych nie załatwia się przez telefon.

- Halo, Casablanca! Proszę natychmiast potwierdzić przyjęcie rozmowy, inaczej rozłączam.

- Co za pośpiech, panienko? Ten pan ciągle nie może się wysłowić. No dobrze, przyjmuję rozmowę. Więc czego pan chce, panie Chally?

- Muszę mówić z szefem.

- Z szefem? Pan chyba źle spał, panie Chally.

- Zamknij pysk, do cholery! - wrzeszczy Chally w słuchawkę. - Nie pora na żarty. Dawaj mi natychmiast Khaleda, a jak nie, to pożałujesz.

- Trzeba tak było od razu mówić. Chwileczkę. Boss śpi. Nie, już właśnie idzie.

Chally wie doskonale, że te idiotyczne pogwarki były konieczne, aby ochrona Khaleda mogła sprawdzić w centrali telefonicznej w Casablance, czy rozmowa rzeczywiście została zamówiona z zagranicy.

- Insz'Allah! - powiada wreszcie szef. - Po diabła dzwonicz? Co się znów stało?

- Niedobrze, szefie. Dwóch moich ludzi nabyło u jubilera bransoletki. Jedna dziewczyna, która zaczęła zaraz paplać, ale ona mało wie, a drugi to jest ten... no, wiesz kto.

- Doktorek?

- Nie chciałem tego powiedzieć, ale owszem, to on. Trzeci umarł niedawno...

- Przyfastrygowali go?

- Nie. Umarł. Zwyczajnie. To jest długa historia, ale to już przy okazji. Ja też mogę kipnąć.

- Zwariowałeś, Chally?

- Nie. Nie mogę przez telefon. Mieliliśmy dziś rano pewną przygodę miłosną i niezupełnie nam wyszło. Chyba wiesz, o czym mówię. Szefie, problem jest taki. Jestem dosłownie bez grosza, będę miał teraz trochę wydatków, poprzednie inkaso przekazałem.

Przyślij mi...

- Nic ci nie przyślę, Chally. Od dziś cię nie znam i nigdy o tobie nie slyszalem. Nie lubię partaczy. Nie slyszalem, zeby moi ludzie umierali w łozku i pozwalali się wybierać jak węgorze z saka. Jestem przesadny i lękam się takich, co to zapowiadają, że kipną. Idź sobie do lekarza, weź jakieś proszki, tylko mnie już w to wszystko nie mieszaj. Forbę, którą ci dałem, możesz zatrzymać. Nie masz nic? Twoja sprawa. I zajmij się jednak czymś innym, bo do tej roboty zupełnie się nie nadajesz. Nie przerywaj! Dostyc się już nagadałeś. Jeszcze jedno: slyszalem, że jednak zdobyliście ten fajny, mały przedmiot. Zostaw go w umówionym miejscu. I wolałbym, zebyś z tym nie marudził, a wiesz, że ja to mówię tylko raz. To wszystko. A gdybyś zaczął być zbyt rozmowny, radzę ci dwa razy pomysleć, zanim coś wypapiesz. Co do mnie, od dwóch minut nazywam się zupełnie inaczej, nigdy w życiu nie byłem w Casablance i nie próbuj nawet kogokolwiek o mnie pytać. Zrozumiałe? Jasne? No to *ciao*.

XLVI

Khaled ben-Thammoun - tak brzmiało aktualne nazwisko króla terrorystów, jak sam się lubił w myśli nazywać - rzucił słuchawkę i przeciągnął się, aż mu zatrzeszczały kości. Wysłał jednego z goryli po porcję południowej poczty, nalał sobie piwa i pograżył się w rozmyślaniach.

Szkoda było trochę *Grupy M*. Dokonywała naprawdę pomysłowych operacji. Okresami dostarczała Khaledowi po prostu strumienia pieniędzy z okupów i napadów na banki, a dodatkowo też i ze sprzedaży różnych *prochów*. Ale prędzej czy później to się musiało tak skończyć. Odkąd przystał do nich ten zwariowany doktorek, grali dosłownie na nosie policjantom całej Europy. Oczywiście, gdyby nie kontakty Khaleda, wyłapano by ich już doszczętnie dwa lub trzy lata temu. Gliniarze nie są aż tak niezaradni. Ale *Grupa M* miała jednak i takich wrogów, których nie można było zblatować.

Trudno. Trzeba będzie wysłać ludzi na uniwersytety, niech wyszukają jakichś nowych, rewolucyjnych młodzieniaszków, co to się pokłócili z tatusiem i postanowili zająć się zburzeniem niesprawiedliwego świata. Znajdą się na pewno. A ci ideowcy są jednak dużo lepsi niż zawodowcy z branży. Żyją byle czym, nie chandryczą się o podział doli, są odważni do szaleństwa i przepadają wprost za mokrą robotą. Tylko rozumek mają króciutki. Oj, jaki

króciutki!

Khaled ben-Thammoun miał rozum za siebie i za nich wszystkich razem wziętych. Dziesięć lat temu, kiedy na polecenie *ojczulka* Antonia zaczął robić w *terroryzmie*, nie przypuszczał nawet, że tak łatwo jest w pojedynkę rządzić światem. No, powiedzmy, sporą częścią świata. Któregoś ranka Khaled wykonywał po prostu kilka telefonów, a już następnego dnia premierzy występowali w telewizji, parlamenty odbywały burzliwe posiedzenia, pędziły samochody policyjne, gazety nie nadały ze składaniem sensacyjnych nagłówków.

Khaleda trochę to wszystko śmieszyło. Był człowiekiem z branży, pilnował interesów i nigdy przedtem nie interesował się polityką. Jego rodzony brat, Mustafa, zajmował się na przykład handlem kradzionymi samochodami - och, nie żaden tam nędzny detal, lecz hurt, trzydzieści tysięcy sztuk rocznie. Kuzyn Kifar pracował z dziewczętami. Brat Kifara, Abdullah Husajn, pilnował pilnujących, czyli dostarczał *ojczulkom* wypróbowanych chłopaków do ochrony osobistej. Wszyscy trzej mieli akurat tyle samo wspólnego z polityką, co ich ojciec i stryj, Shain Khaled Thammoun, właściciel osiemnastu burdeli, słynnych niegdyś w całym Lewancie, od Izmiru po Aleksandrię. A tu nagle on, Khaled, kieruje legendarną Centralą, o której istnieniu przebakują policje całej Europy. Kto jak kto, ale Khaled zna dokładnie skład tej centrali, gdyż składa się ona z jednego człowieka, czyli Khaleda. Zna również jej dalekosiężne cele, które polegają po prostu na tym, aby poszczególne grupy dostarczały w rozsądnych terminach odpowiednio wysokich sum, *wydartych burżuazji*, jak to się nazywa w komunikatach.

Prawdą jest, że Khaled zatrudnia u siebie dwóch takich jajogłowych mydlków, którzy w imieniu Centrali publikują co pewien czas jakieś komunikaty bojowe czy jak to się tam nazywa. Ale Khaled nigdy nie miał cierpliwości, żeby te brednie przeczytać. Wszystko było dobre - maoizm, rewolucja, anarchizm - co przynosiło *ojczulkom* forszę i pozwalało sprzątnąć co pewien czas jakiegoś dokuczliwego gliniarza.

Maoizm, rewolucja, anarchizm. Khaled musiał się tych trzech słów nauczyć na pamięć, choć stale mu się myliły i początkowo mówił nawet „archanizm”. Spotykał się jednak od czasu do czasu z przywódcami niektórych co bardziej energicznych grup, aby podtrzymać mit Centrali i dodać im przeświadczenia, że służą wielkiej i ważnej sprawie. Było to niezbędne dla interesów, gdyż odczuwali potrzebę takiej wiary. Po rozmowach z nimi Khaled długo nieraz myślał, jak bardzo ludzie potrafią zgłupieć, i to nawet tacy, co pokonczyli różne nadzwyczajne uniwersytety. W jego branży nikt nie pozwoliłby się tak łatwo nabrać, jak oni nabierali się na Khaleda.

Khaled nie ukończył nigdy szkoły średniej, to jednak, co wiedział o życiu i świecie, starczało mu z powodzeniem za dziesięć dyplomów. Słyszał nieraz w telewizji, jak rozmaici mądrale w okularkach łamali sobie głowy *nad tajemniczym buntem młodego pokolenia*. A Khaled wiedział najlepiej, że nie ma w tym nic tajemniczego. Chłopcy się nudzą, nie chce im się iść do jakiejś głupiej roboty, a żyć przecież trzeba. Dawniej tacy chłopcy trafiali do branży, terminowali w obstawie, dostawali najpierw mniejsze, potem większe roboty, w końcu, jak Khaled, otrzymywali od *ojczulków* kierownictwo całym działem. Tak było zawsze, a teraz coś się nagle zmieniło. Żeby dorwać trochę grosza z banku lub wydoić parę milionów od rodziny porwanej córeczki milionera, muszą powykrzykiwać coś tam o burżuazji i, jak mu tam, anarchizmie. Czy rewolucji. A niech sobie wykrzykują. Co to w końcu za różnica, skoro pracują jak starzy fachmani, oddają forszę co do grosza i na domiar ubierają się w jakieś szmaty? Najdziwniejsze było tylko to, że nikt nigdy nie zadał sobie pytania, gdzie się podziewają te miliony marek, lirów, franków i dolarów.

Khaled ben-Thammoun był zadowolony ze swej roboty. Tak wyspecjalizował się w organizowaniu grup terrorystycznych, że w ubiegłym roku wezwał go do siebie sam Chigirossa, *ojciec ojców*, i przedstawił go szefom pięciu *rodzin* jako zdolnego, rzutkiego chłopaka, godnego wszelkich pochwał. Chigirossa podarował mu pierścień ze sporym brylantem i długo mówił, że w robocie nie wystarczy mieć głowę na karku i nie dać się zdmuchnąć glińiarzom. Trzeba jeszcze rozumieć, co jest grane.

To prawda, Khaled wiedział, co jest grane. Płacił na przykład sporo grosza pewnemu belgijskiemu inżynierowi tylko za to, żeby ten co pewien czas udostępniał jego ludziom taśmy z nagraniami rozmów w Kwaterze Głównej Paktu. Miał swojego człowieka w Interpolu, w rzymskiej komendzie policji, w dyrekcji pewnej linii lotniczej. W zarządzie ceł, w porcie rotterdamskim. To wszystko kosztowało sporo, ale opłacało się sowicie. Poprzez zaprzyjaźnionych oficerów w armii zachodnioniemieckiej Khaled wiedział też, co się święci w polityce - nie tej gadanej i gazetowej, która jest dobra do mydlenia oczu różnym głupkom, lecz tej prawdziwej, od której mogą zależeć interesy.

A ten numer z wicedyrektorem amerykańskiej FBI? Facet podróżował kiedyś prywatnie po Europie. Khaled dopadł go znienacka i zaprosił na kolację. Tak, powiada, jestem człowiekiem z mafii, mamy różne porachunki. Ale jest taka sprawa, my też nie znosimy Czerwonych. Psują nam interesy, wysługują się Rosji. Więc oto lista stu trzydziestu obywateli amerykańskich, którzy przebywają na stałe w Europie i trzymają z Czerwonymi. Sam Chigirossa powiedział, że FBI od razu zmiękła w kilku ważnych dla *rodziny* sprawach.

Khaled wiedział, *co jest grane*, i dlatego nie miał zamiaru rozpaczać nad klęską *Grupy*

M. Zdaży się jeszcze dowiedzieć, co im się takiego przytrafiło. W przyszły czwartek - nie, w piątek - wpadnie do Bonn, spotka się z pułkownikiem Schlafflerem i z pewnym wysokim urzędnikiem policyjnym. Trzeba im będzie wyperswadować, żeby za bardzo chłopców nie przyciskali do muru. Rzeczywiście, porwanie tej atomówki mogło różnych ludzi poirytować. Ale przecież *Grupa M* i tak nie zaczęły wojny na własną rękę.

Dopiero kiedy goryl z ochrony przyniósł wraz z pocztą popołudniowe gazety, Khaledowi przyszło do głowy, że niepotrzebnie przegonił Chally'ego. Świat jak gdyby zaczynał się chwiać, działy się jakieś piekielnie skomplikowane rzeczy, których Khaled nie mógł zrozumieć. Jak to, *Grupa M* porwała bombę w Niemczech, a bomba wybuchła w Ameryce? Khaled nigdy nie miał głowy do tych technicznych zawiłości; przez długi czas był przekonany, że Ameryka ma tylko jedną Wielką Bombę, i dziwił się nawet, kiedy dwa lata temu przewieziono ją do Niemiec, o czym bez końca pisały gazety. Teraz pojął, że tych bomb musi być dużo. Skoro *Grupa M* dostała w swoje ręce jedną - mogłaby przecież dostać i następne.

Khaled zadumał się nad tym głęboko. Ładna historia! Przecież *Grupa M*, kierowana przez tego doktora - bo Chally'ego trzeba by jednak wyrzucić lub sprzątnąć - mogłaby dać Khaledowi do ręki atut, o jakim nigdy nawet nie śmiał marzyć. Mogłoby na przykład być tak: Khaled przychodzi do Chigirossy, pokazuje mu zdjęcia kilkunastu bomb, uśmiecha się i powiada: przykro mi, *ojczulku*, ale ja teraz jestem mocarstwo atomowe i przejmuję kontrolę nad wszystkimi *rodzinami*.

Khaled roześmiał się do siebie. Oczywiście nigdy by do tego nie doszło. Ale może warto jednak spróbować i pójść trochę wyżej w *Cosa Nostra*?

Jeszcze raz przeczytał wielkie nagłówki gazet. Wyglądało na to, że szykuje się jakaś wojna, chyba Rosjan z Amerykanami. Khaled pomyślał, że wojna może fatalnie popsuć jego interesy. Krzyknął na goryla i kazał przynieść jeszcze jedną flaszkę piwa.

Natomiast Chally po rozmowie z Khaledem poczuł, że dalsze życie nie ma wielkiego sensu.

Nigdy nie wiedział zbyt wiele o swym szefie i nigdy nie wspominał o jego istnieniu członkom *Grupy M*, kiedy była jeszcze prawdziwą grupą bojową. Chally nie pamięta już nawet dokładnie, jak się to wszystko zaczęło. Chyba w Berlinie zachodnim, w sześćdziesiątym ósmym? A może wtedy, w Mediolanie? Jakież to dawne czasy! Chally próbował wtedy dopasować do swego dziwaczego życia jakieś teorie, które uzasadniłyby miotającą nim nienawiść do wszystkiego. Nie mieścił się w tym zafajdanym świecie, chciał działać, rozkazywać, przeżywać mocne wrażenia. Miał dość głupiej roboty w zarządzie

miejskim, dość kretyńskiej telewizji i głupich dziewczyn, dość liczenia się z każdym groszem. Poznał Khaleda przez pewnego kumpla, asystenta zoologii na uniwersytecie w Tybindze, i w jednej chwili pojął, że z tym człowiekiem potrafi się dogadać. Khaled mówił mało, nie używał oklepanych frazesów, a sam fakt, że był Arabem, przyprawiał Chally'ego o podziw. W końcu, to właściwie towarzysze arabscy dokonywali wtedy najwspanialszych aktów bojowych. Przez kilka lat Chally, stopniowo wzrastając na przywódcę *Grupy M*, uważał Khaleda za przywódcę całego chyba ruchu wyzwolenczego, nie idącego na żaden kompromis z burżuazją. Khaled zaprosił go kiedyś na weekend w St.-Tropez i był to na pewno najpiękniejszy moment w życiu Chally'ego. Nawet dziś Chally doznaje uczucia smutku i słodyczy jednocześnie, kiedy wspomina te trzy cudowne dni. Ale wkrótce wyszło na jaw, że Khaled zachowuje się chwilami jak gangster, domaga się coraz więcej pieniędzy i nie ma w sobie właściwie nic z bojownika. Gorzej: płacze podstawowe pojęcia, o które ludzie Chally'ego gotowi byli kiedyś klócić się całymi nocami.

Ale było już za późno, żeby się wycofać. Za dużo trupów, za dużo napadów, porwań, bomb, strzelanin. *Grupa M* zaczęła topnieć, a jej *commandante* nie miał już czasu na rozmyślanie. Zwłaszcza że przerwał naukę na drugiej klasie gimnazjum, nie miał żadnego zawodu, a już w żaden sposób nie potrafił sobie wyobrazić siebie samego, jak znów idzie na siódmą do pracy, potem przelicza tygodniówkę i kupuje jakieś bambetle.

Rozmowa z Khaledem wprawiła Chally'ego w dziwny nastrój. Dostał dreszczy, nogi pod nim zwiotczały. Wszedł z budki na rozpaloną od czerwcowego słońca ulicę i powoli powlókł się przed siebie, kątem oka obserwując szalejące po miasteczku wozy policyjne. Teraz było mu już wszystko jedno. To fatalne samopoczucie mogło mieć tylko jedną przyczynę.

XLVII

I tak oto, zanim jeszcze odjechał pociąg z Werdenberg do Anvers, *Grupa M* rozpadła się jak stary sparciwały łachman.

Chally był już przekonany, że on także umrze na chorobę popromienną, przedtem jednak pragnął jeszcze coś zjeść. Wszedł więc do pobliskiego kantoru wymiany, wyciągnął pistolet i zażądał kasy. Miał jednak pecha. W tym samym momencie przypadkowo wszedł do kantoru tajniak z policji; nie czekając na nic, wpakował Chally'emu trzy sztuki w płuca i

nerki. Chally, nierozpoznany do końca, zmarł po przewiezieniu do szpitala.

Ryba, który trzymał topniejącą już, ale jeszcze ciągle dość zasobną kasę *Grupy M*, wsiadł w pociąg jadący do Bremy. Znał tam od dawna pewnego specjalistę od tatuażu, który zajmował się też po cichu chirurgią kosmetyczną. Ryba przeląkł się nie na żarty i postanowił poddać się operacji kosmetycznej, gdyż miał zamiar rozpocząć zupełnie nowe życie. Co też, mówiąc nawiasem, w zupełności mu się udało; nikt już więcej nie słyszał o człowieku, który przez jakiś czas nosił nazwisko Karl-Christian Stoeppel, zabił około czterdziestu ludzi i uchodził z życiem z najprzemysłniejszych pułapek.

Łucja dostała w areszcie ataku hysterii. Najpierw zaczęła bezładnie opowiadać jakieś niestworzone historie, z których wynikało, że w restauracji Mei Wonga znalazła się przypadkiem i nie zna nikogo z siedzących przy stole. Potem popadła w depresję i przestała odpowiadać na jakiegokolwiek pytania. Wsłuchiwała się we własny organizm w poszukiwaniu choroby popromiennej; potem uznała, że jej to spotkać nie może, lecz obliczyła, że kiedy wyjdzie z więzienia, będzie miała pod pięćdziesiątkę, a obecnie ma lat 23.

Natomiast dr Pichon-Laleaux oświadczył, że nie powie ani jednego słowa - dziś, jutro i za rok - dopóki nie zostanie mu przedstawiony dokument lekarski, stwierdzający przyczynę śmierci Rudiego. Nie, nie na odwrót: najpierw dokument, dopiero potem ewentualne zeznania. Ścisły umysł Pichona wykalkulował, że jeśli Rudi zmarł na chorobę popromienną, ten sam los spotka wkrótce wszystkich innych członków grupy, włącznie z nim samym. Nie ma więc powodu, aby przysparzać policjantom triumfu. Jeśli natomiast przyczyna śmierci Rudiego była inna - wtedy Pichon będzie miał swój wielki dzień. Powie wszystko - policjantom, sądowi, prasie. Wygłosi swą wielką mowę oskarżycielską. Stanie się nowym bohaterem młodego pokolenia. I dotrzyma wreszcie obietnicy; panna Margot o nim usłyszy. Na pewno rozdziawi ze zdumienia tę swoją śliczną buzię. Pichon? - będzie mówić znajomym - ależ ja go doskonale znałam, no, więcej nawet... Panna Margot najlepiej wie, że nic więcej nie było, gorzko tego pożałuje, i to będzie właśnie ten moment, któremu dyżurny geniusz *Grupy M* poświęcił pięć lat swego życia.

Dopiero przed wieczorem wręczono Pichonowi urzędowy protokół sekcji zwłok Rudiego, ponieważ żaden przepis nie zabraniał okazania tego dokumentu osobie podejrzanej, zaś sędzia śledczy nie zgłosił sprzeciwu. Pichon przeczytał dokument kilkakrotnie i zawiadomił strażnika, że jest gotów zeznawać.

Mózg Rudiego od dzieciństwa wykazywał tak zwane zrosty epileptyczne. Miały one stosunkowo łagodną postać i z rzadka tylko powodowały stany zamroczenia, jednakże sport pięściarski, jaki Rudi przez dłuższy czas uprawiał, pogorszył sprawę. W ów feralny piątek

mózg Rudiego po prostu pękł jak zetlały ubiór. Oficjalnie stwierdzoną przyczyną śmierci był śródmózgowy, wielonaczyniowy wylew. Objawów choroby popromiennej nie stwierdzono: morfologiczny obraz krwi był zupełnie prawidłowy.

Śmierć Rudiego Staara była więc sprawą czystego przypadku. Pięćdziesiąt procent szans doktora Pichona zamieniło się w pewność. Z tą tylko różnicą, że głowica o podwyższonym poziomie promieniowania musiała znajdować się gdzieś indziej. Lecz z tym była *Grupa M* nie miała już nic wspólnego.

André Pichon-Laleaux zaczął składać swe zeznania akurat w tym samym momencie, kiedy sędzia śledczy w sąsiednim skrzydle aresztu podpisywał nakaz zwolnienia Łucji Moniki Verramonte. Przebywanie w towarzystwie osoby, która zmarła nagle na wylew krwi do mózgu, nie jest oczywiście przestępstwem. Pichon zdążył jednak powiedzieć wystarczająco wiele, aby Łucję zatrzymano dosłownie o krok od bramy więziennej i zaprowadzono ją z powrotem do celi. Mimo to zdążyła przemyścić ze sobą pewną białą ampułkę, którą Pichon wręczył jej kiedyś w przyływie dobrego humoru.

W piętnaście minut po zażyciu ampułki wystąpiły konwulsje, pojawiły się gwałtowne torsje, a potem zapadła ciemność.

Łucję pochowano na przywieziennym cmentarzu dopiero po pięciu dniach, ponieważ toksykolodzy nigdy przedtem nie spotkali się z tak wymyślną trucizną i chcieli ustalić jej pochodzenie. Nie wiedzieli, że jej wynalazcą był również André Pichon. Dopiero w wiele tygodni później Pichon poinformował mimochodem, że kilogram tej strasznej trucizny, wyprodukowanej domowym sposobem ze stosunkowo prostych składników, schował w którejś z kolejnych melin *Grupy M*, ale nie pamięta już w której.

Trucizna przypominała puder cukrowy i pachniała wanilią.

XLVIII

Piątek, 12 czerwca, godzina 15.15 czasu środkowoeuropejskiego. Minister spraw wewnętrznych Republiki Federalnej, Dietrich Lammhuber, składa wreszcie raport kanclerzowi federalnemu. Czekał prawie dwie godziny na ten moment; im dłużej, tym bardziej się denerwował.

- Witam cię, Dietrich - powiada kanclerz Lüttner. Jego twarz zdradza napięcie i gorycz. - Witam cię i przepraszam za tę zwłokę, ale wiesz chyba, co się dzieje. Rozumiem, że

oddałeś swoje GSG do dyspozycji ministerstwa obrony, jak o tym mówiliśmy na pierwszym posiedzeniu gabinetu?

- Nie, panie kanclerzu federalny - odpowiada Lammhuber. - Nie uczyniłem tego i chyba dobrze się stało. Minister Grauder polecił mi bezpośredni kontakt z Generalnym Inspektoratem, tam zaczęto marudzić, stawiać jakieś warunki, generał von Bleinitz wręcz powiedział, że jest to niezgodne z konstytucją... no, mniejsza z tym. Chcę panu zameldować, panie kanclerzu, że wiem już, kto porwał głowice z Tajnej Bazy nr 6.

- Ja to też wiem, Dietrichu. I wiem również, że nie zdołamy ich odzyskać.

- Nie byłbym taki pewny, panie kanclerzu. Moi ludzie siedzą już na karku *Grupie M* i być może wkrótce ją schwytają.

- Komu? *Grupie M*? O czym ty znów mówisz?

- No, chyba nie muszę wyjaśniać, co to za grupa.

- A co oni mają wspólnego z porwaniem głowic?

- Jak to? Proszę, tu jest kompletne dossier. Przecież to oni dokonali napadu na tę Tajną Bazę. Tu jest identyfikacja broni niejakiego Ryby, tu otrzymana z Rzymu charakterystyka Łucji Verramonte, tu dowody na współudział Chally'ego.

- Dietrich, czyś ty zwariował? Co to ma wszystko znaczyć? Przecież głowice porwali agenci Berlina wschodniego!

Lammhuber patrzy na kanclerza oczami rozszerzonymi ze zdumienia.

- Panie kanclerzu, naprawdę nie wiem, co mam powiedzieć... Chyba wyniki śledztwa, przeprowadzonego tak szybko przez ludzi z GSG, nie zostały wyssane z palca? Nie natrafiliśmy na żaden ślad obcych agentów. Przecież mamy w ręku broń, z której zastrzelono oficera dyżurnego Tajnej Bazy, postrzelono sierżanta Pauschke i zamordowano dwoje ludzi na stacji benzynowej, a broń ta jest od dawna doskonale znana i należy do niejakiego Ryby, głównego mordercy w *Grupie M*. Proszę, niech pan spojrzy...

Lüttner podnosi się zza biurka i przerzuca pospiesznie teczkę z dokumentami. Zdjęcia, odczyty z komputera, badania laboratoryjne, meldunki porucznika Engla, telefonogramy z oddziału GSG w Bambach...

To nie do wiary. Kto tu właściwie kłamie kanclerzowi w żywe oczy - Pfeiffer czy Lammhuber? Urząd Ochrony Konstytucji czy ministerstwo spraw wewnętrznych? Wojsko czy cywile?

- Gdzie jest ta *Grupa M*? - pyta kanclerz ochryplym głosem.

- Tego jeszcze dokładnie nie wiemy, ale została ona z całą pewnością zlokalizowana w pobliżu granicy francuskiej, w trójkącie Werdenberg-Eumiz-Peyresee. Bok tego trójkąta

nie przekracza pięciu kilometrów. Posłałem tam prawie sześćset ludzi. Po raz pierwszy jestem pewien, że tym razem nie wymkną się z naszej sieci.

Lüttner kręci głową i opada na fotel.

- Dietrich - powiada kanclerz patrząc prosto w oczy ministrowi.

- Czy ty zdajesz sobie sprawę, o czym mówisz?

Lammhuber rozkłada ręce.

- Pewnie, że zdaję sobie sprawę. Nawet kiedy ich złapiemy, też przecież nie ma gwarancji, że zdradzą od razu miejsce ukrycia głowic.

- Człowieku - ryczy kanclerz. - Przestań udawać idiotę! Czy chcesz we mnie wmówić, że kilku obdartych gówniarzy na własną rękę złamało system LCS i bez niczyjej pomocy wywozilo jedenaście głowic neutronowych? Co ty knujesz, do jasnej cholery? Kto cię tu przysłał, nieszczęsny naiwniaku? Co jeszcze równie mądrego zamierzasz mi powiedzieć?

Lammhuber zrywa się z fotela, w jego twarzy nie ma ani kropli krwi.

- Chwileczkę, Dagobercie - cedzi przez zęby. - Chwileczkę! Te wyzwiska dobrze sobie zapamiętam, kiedy sprawa trafi do Bundestagu. I do opinii publicznej. A trafi. Już trafiła. Właśnie mi doniesiono, że *Osnabrücker Rundschau* już coś wywahała i zamieściła czołówkę na ten temat. Więc ukryć się mojego raportu nie da. Ale to na później, panie kanclerzu, na później. Teraz proszę mi powiedzieć tylko jedno: czy zarzuca mi pan sfalszowanie wyników śledztwa?

- Nic ci nie zarzucam - ton kanclerza jest już nieco mniej ostry.

- I nie strasz mnie prasą. Już nie takie brednie wypisywali. Twierdzą tylko, że albo cię ktoś tu przysłał, żebyś mi zamydlił oczy, albo dałeś się komuś podpuścić i teraz sam w to wszystko wierzysz.

- Zbyt ufam swoim ludziom, Dagobercie - odpowiada jękając się Lammhuber - żebym nawet przez jedną chwilę mógł dyskutować takie podejrzenia. Ale ja też mam na ten temat teorię, panie kanclerzu. Pan po prostu spiskuje coś z Amerykanami, pomijając gabinet i Bundestag. Pańskie zachowanie na posiedzeniu gabinetu już od początku wzbudziło moje podejrzenia.

- Lammhuber, czy ty masz dobrze w głowie?

- Tak. Moja głowa jest na pewno w porządku. Do tego stopnia w porządku, że polecę komendantowi GSG rozszerzyć zakres śledztwa. Zdaje się, że z łatwością ustalimy pewne bardzo ciekawe szczegóły. Pozwoli pan, kanclerzu federalny, że przerwę tę niepotrzebną rozmowę i zabiorę ze sobą materiały śledcze. Po schwytaniu *Grupy M* pozwolę sobie nie informować pana...

Uchylają się drzwi, przez które zagląda szef gabinetu kanclerza, Merker.

- Przepraszam, panie kanclerzu - mówi swym słodkim, jezuickim głosem - ale komendant GSG prosi o natychmiastową rozmowę z panem ministrem Lammhuberem.

Lammhuber, dygocąc jeszcze ze zdenerwowania, wychodzi z gabinetu Lüttnera. Na jego twarzy widnieje wyraz tłumionej wściekłości. Przez niedomknięte drzwi dobiega do Lüttnera krótka rozmowa.

- No więc co, macie ich? - mówi Lammhuber. - Wszystkich? Jak to, co pan mówi? Tylko dwoje? A co z resztą? Rybie pozwoliliście uciec? No, pułkownik... Jak to, i Chally też przysnął? Szukać ich dalej, do diabła! Postawić na nogi wszystkie siły, jakie macie do dyspozycji. Co pan mówi, kim jest ten zatrzymany? Pichon? W *Grupie M* nie było nikogo o tym nazwisku. Co? Ach, tak...

Lammhuber rzuca słuchawkę i wraca do gabinetu kanclerza.

- Pragnę zameldować, panie kanclerzu federalny - powiada lodowato - że *Grupa M* została osaczona i rozbita przez ludzi GSG. Część z nich jeszcze uszła przed pościgiem, ale to już długo nie potrwa. Natomiast mamy w ręku człowieka, który to wszystko wymyślił. On, bo nikt inny nie mógł tego uczynić. To niejaki doktor Pichon, elektronik, fizyk, chemik i coś tam jeszcze. Jest od dawna poszukiwany listami gończymi. Zdaje się, że są to dla pana informacje bez znaczenia, uważam jednak za swój obowiązek poinformować pana, że od tej chwili mam na poparcie swych słów nie tylko wyniki śledztwa, lecz także żywego świadka, który na pewno opowie nam sporo interesujących rzeczy. A gdyby przyszło panu do głowy, żeby mnie na przykład odwołać ze stanowiska, ostrzegam, że mam wystarczająco wiele sposobów, aby do tego nie dopuścić. Żegnam, panie kanclerzu.

Dagobert Lüttner patrzy na odchodzącego Lammhubera i zupełnie cicho mówi:

- Dietrich... Nie chciałem cię obrazić. Ale ja tego naprawdę nie mogę zrozumieć. Wierzę ci. Prowadź dalej to śledztwo. Tylko rób to najszybciej, jak możesz, i nie mów o nim nic i nikomu.

- Nie od dziś zajmuję się policyjną robotą - wzrusza ramionami Lammhuber i bez żadnego pożegnania wychodzi z gabinetu kanclerza.

XLIX

Mniej więcej o tej samej porze dyrektor Centralnej Agencji Wywiadowczej Stanów

Zjednoczonych, kontradmirał James Michael Prescott, przeprowadził w cztery oczy rozmowę na temat poczynąń 665 batalionu odwodowego w mieście Bambach po drugiej stronie oceanu. Jego rozmówcą był szef wydziału operacyjnego CIA, Stanley Whiteridge, znany w centrali jako Puffy.

Rozmowa była stosunkowo krótka i chociaż Prescott mówił początkowo bardzo głośno, pod koniec wymiany zdań obaj panowie coraz bardziej ściszyli głos. Wreszcie zaczęli mówić szeptem.

Puffy wyraził pogląd, że awantura, wszczęta przez prezydenta Harrisona na temat działań 665 batalionu, jest całkowicie bezprzedmiotowa i wynika z niezajomości specyfiki wywiadowczej, albowiem Agencja nie zajmuje się tylko zbieraniem informacji, lecz także, a raczej przede wszystkim, działaniami ofensywnymi, mającymi na celu ochronę należycie pojętego interesu Stanów Zjednoczonych. Interes ten wyraźnie ucierpiał w wyniku porwania głowicy. Palmer II oraz dzielny dowódca 665 batalionu zasłużyli raczej na pochwałę niż na reprimendę. Niestety, nie jest to pierwszy wypadek, kiedy prezydent Harrison, notoryczny zwolennik miękkiego kursu wobec Czerwonych, nie umie docenić prawdziwie patriotycznych postaw.

Admirał Prescott zauważył, że w przeszłości Agencja była już wielokrotnie krytykowana przez prasę, Kongres i opinię publiczną za przywłaszczanie sobie uprawnień do prowadzenia polityki.

Zdaniem Puffy'ego w Bambach nie chodziło o politykę, bo przecież głowice nie zostały porwane przez Amerykanów, lecz o szybkie, skuteczne i godne pochwały przeciwdziałanie wrogim aktom. Wystarczy przedstawić kulisy tej sprawy pewnym patriotycznym senatorom i kongresmenom, a sprawa przybierze zupełnie inny obrót. W każdym razie on, Whiteridge, nie zamierza karać Palmera II za wykazanie błyskawicznego refleksu, inicjatywy i stanowczości. Szczególnie, że pilne instrukcje, o które się dopominał, wcale do tej pory nie nadeszły. Gdyby prezydent Harrison, póki jeszcze urzęduje w Białym Domu, domagał się wyciągnięcia konsekwencji - Whiteridge poda się natychmiast do dymisji. I postara się narobić trochę szumu w prasie, co Harrisonowi na pewno teraz nie wyjdzie na dobre.

Dyrektor CIA stwierdził, że nie jest to stosowna pora na demonstracje. Rezydentura w Monachium zachowała się wprawdzie rozumnie, którą to ocenę admirał podziela, jednakże została całkowicie zaskoczona porwaniem jedenastu głowic, nie zaś jednej, o której dowiedziała się tak szybko. Dyrektor pragnął poznać pogląd szefa wydziału operacyjnego na tę sprawę.

Puffy oświadczył, że sprawa jest istotnie dość zagadkowa. Nie ulega wątpliwości, że miały miejsce dwa porwania głowic, przy tym tę większą partię musiały wywieźć - tu Puffy chwilę zawahał się - osoby z wykształceniem wojskowym, dysponujące przy tym odpowiednim sprzętem. Jeśli można było przyjąć, że jedną, miniaturową głowicę, porwali agenci strefy wschodniej, to podobne przypuszczenie w wypadku drugiej partii głowic byłoby niedorzeczne. Należy zatem przyjąć, że w sprawę tę wdali się nasi zachodni Niemcy przyjaciele. Nie jest tajemnicą, że w Bundeswehrze istnieje dość sprężysta, choć nie zawsze przestrzegająca reguł konspiracji, organizacja oficerska o celach, nazwij my je, bardzo radykalnych. Oczywiście nie ma mowy, aby jakiegokolwiek ogniwa amerykańskiego systemu władzy mogły tym ludziom pomagać, bez względu na takie lub inne zbieżności poglądów ideologicznych. Powstaje jednak pytanie, czy należy im przeszkadzać. On, Whiteridge, pozwala sobie w tej sprawie wypowiedzieć stanowczy pogląd, że tym ludziom nie należy przeszkadzać. Jedno bowiem jest pewne: cokolwiek robią, z pewnością nie przynosi korzyści komunizmowi i Rosjanom, czego nie można, niestety, powiedzieć o prezydencie Harrisonie, sekretarzu obrony Palakisie, sekretarzu stanu Broomanie...

Admirał Prescott zażądał, aby przerwać rozmowę na tak niedopuszczalne w Agencji tematy i przejść do formułowania wniosków, jakie muszą się znaleźć w raporcie dla prezydenta.

Stanley Whiteridge wysunął następującą koncepcję. Wszystkie jedenaście głowic porwała silnie uzbrojona grupa terrorystyczna o nieznanym składzie. Właściwie dwie lub trzy niezależne od siebie grupy. Informacje kanclerza Lüttnera, że porwanie głowic było dziełem komanda dywersyjnego Niemiec wschodnich, nie odpowiadają prawdzie. Dzięki energicznej akcji Palmera II w Monachium i dowódcy 665 batalionu odwodowego w Bambach udało się wydostać z rąk terrorystów jedną głowicę, zresztą nie bez licznych niebezpieczeństw, które można będzie w raporcie malowniczo opisać. Poszukiwania na terenie RFN muszą być prowadzone oczywiście przez niemieckie siły porządkowe i tajne służby. Rola CIA w tej sprawie musi się ograniczyć do lojalnej współpracy. Rzecz prosta, że zniknięcie dziesięciu głowic przedstawia potencjalne niebezpieczeństwo, i tu będzie można puścić do prasy odpowiednio przerażające przecieki. Jest to jednak niebezpieczeństwo ze strony lewicowych ekstremistów, których ściganie, a zwłaszcza karanie, jest od lat niewystarczająco energiczne. Nie mówiąc o zupełnym zaniedbaniu działań prewencyjnych, takich jak wczesne areszty podejrzanych, zakaz wieców studenckich, gdzie najczęściej roznosi się zaraza, czy prawo rewidowania pomieszczeń bez nakazu sądowego.

Dyrektor CIA polecił Puffy'emu przerwać wykład ideologiczny i kontynuować zarys

koncepcji raportu. Dyrektor dodał, że w zasadzie pomysł mu odpowiada.

Zdaniem szefa wydziału operacyjnego takie przedstawienie wydarzeń powinno wystarczyć prezydentowi, zwłaszcza że afera z głowicami zeszła na dalszy plan w porównaniu z tym, co się dzieje na północnym zachodzie i w Nowym Meksyku. Pierwsze raporty były trochę przesadzone, jednakże stwierdzono już ponad sto pięćdziesiąt przypadków, które nasuwają podejrzenie choroby popromiennej. Ciekawe, że w Nowym Meksyku, gdzie wybuchła niemożliwa do opanowania panika i gdzie wybuch atomowy nastąpił na powierzchni ziemi, nie zanotowano dotąd ani jednego wypadku choroby popromiennej.

Admirał Prescott uznał, że tak sporządzony raport rzeczywiście powinien zaspokoić postulaty prezydenta Harrisona. Szczególnie, jeżeli w zakończeniu znajdzie się zdanie o tym, że dalsze śledztwo trwa. Admirał wyraził jednak zaniepokojenie co do losu porwanych głowic. Co będzie, jeżeli sprawcy porwania zechcą ze zdobytej broni uczynić użytek? Czy wywiad amerykański nie zostanie obciążony odpowiedzialnością za to, że w porę nie zapobiegł takiemu właśnie rozwojowi wydarzeń?

Stanley Whiteridge odparł, że on osobiście głowic nie porwał i nie może brać odpowiedzialności za czyjeś poczynania. Pewne jest tylko jedno, że głowice nie zostaną użyte przeciw krajom wolnego świata, a to w zasadzie wyczerpuje problem. Oczywiście, mogą wyniknąć różne komplikacje. Ale kto wie, czy nie okażą się pożyteczne. Być może prezydent Harrison i frakcja *gołębi* w Kongresie zrozumieją przy takiej okazji głęboką niesłuszność i krótkowzroczność swego postępowania. Takie akty, jak karne zwolnienie zasłużonego dowódcy VI Floty, wiceadmirała MacGregora, nie mogą nie budzić niepokoju. Patriotyczne siły w korpusie oficerskim już podobno zamierzają wystąpić w obronie admirała MacGregora. Postąpił tak, jak każdy odpowiedzialny dowódca postąpiłby po ogłoszeniu *alarmu czerwonego*.

Dyrektor Agencji zgodził się z tym punktem widzenia i dodał, że zapowiedziane przez prezydenta postępowanie dyscyplinarne wobec admirała MacGregora ma minimalne szanse powodzenia. Ale mniejsza już o to. Dyrektor wyraził pogląd, że historia najbliższych dni wykaze, kto miał rację, a kto się mylił - z tchórzostwa, z naiwności lub z powodu hołdowania niepoprawnej koncepcji tak zwanego odprężenia.

Puffy nie zamierzał ukrywać radości, że szef wyznaje zapatrywania bliskie jego własnym.

Dyrektor także był rad z tej zbieżności poglądów. Co więcej, powiedział, porwanie głowic przez terrorystów, rzecz sama w sobie niesłychana, odwróci w pewnej mierze uwagę

opinii publicznej od nieszczęścia, jakie się zdarzyło nad stanami północno-zachodnimi i w Nowym Meksyku. Harrisonowi wiele to nie pomoże, ponieważ senat na pewno zażąda jego głowy, ale nadmiar ekscytacji wokół tej sprawy też na pewno nie leżałby w interesie Stanów Zjednoczonych.

L

Właściciel, dyrektor i wydawca *Ostatnich Wiadomości*, doktor Putthoffer, nie należał do ludzi obdarzonych nadmiarem talentu pisarskiego i nader niechętnie siadał do maszyny. Uważał się raczej za organizatora i polityka, który wyświadcza łaskę różnym pisarczykom, zatrudniając ich w swej gazecie. Tak, rezerwował dla siebie wstępniaki podczas kampanii wyborczej, wywiady z kanclerzem i ministrami, czasem pisywał (zresztą pod pseudonimem) rzewne recenzje teatralne, ilekroć wpadła mu w oko jakaś młoda aktoreczka. Uważał jednak za rzecz niestosowną i uciążliwą, aby zajmować się bieżącą pisaniną. Kiedy więc dowiedział się ze swych dobrych, niezawodnych źródeł, że wydarzenia w Stanach, o których bez przerwy donosili zziązani korespondenci, były kwestią jakiegoś przypadku, a cała sprawa zostanie wyjaśniona wieczorem przez Lüttnera w audycji telewizyjnej - zlecił kierownikowi działu publicystyki napisanie odpowiedniego komentarza do sobotniego numeru, zgodnie oczywiście z ogólną linią pisma.

Wkrótce jednak doktor Putthoffer odebrał pewien telefon, po którym zmienił swą poprzednią decyzję. Poleciał przygotować drukarnię do nadzwyczajnego wydania *Ostatnich Wiadomości* i zamknął się w gabinecie. Żywiono do niego tyle zaufania, że gazeta dra Putthoffera jako jedyna w Republice Federalnej otrzymała prawo wyłączności na publikację pewnych niezwykle pikantnych szczegółów politycznych, które *Ostatnim Wiadomościom* przysporzą dziesiątków, może setek tysięcy nowych czytelników i zdobędą prestiż na skalę światową. Naczelnny dyrektor widział już oczami duszy potop kosztownych ogłoszeń, jaki spływa na *Ostatnie Wiadomości*.

Nie wiadomo było, od czego zacząć. Ten cały Ugo Felsenstein, który tylekroć usiłował kompromitować zasłużonych żołnierzy czasu wojny, został aresztowany pod zarzutem czynów nierządnych z nieletnią. Pyszne, naprawdę! Skończy się wreszcie gwiazda gwiazd. Były współpracownik *Ostatnich Wiadomości*, ów Georg Pförtner, o którym dr Putthoffer był zawsze jak najgorszego zdania, okazał się agentem strefy wschodniej i zginął w

podejrzanych okolicznościach, nasuwających przypuszczenie, że padł ofiarą jakichś porachunków. Nie, to źle brzmi. Inaczej: nasuwających przypuszczenie, że służby specjalne strefy wschodniej pozbyły się swego agenta, kiedy stracił dla nich przydatność po wykonaniu zadania. Tak, to dobre. Dalej: kontrwywiad rozbił siatkę szpiegowską strefy wschodniej. Dokonano licznych aresztowań. Jej dwaj czołowi agenci zostali schwytani na gorącym uczynku: generał Severing popełnił samobójstwo przez zażycie trucizny, kapitan Wiebold w ostatniej chwili zdołał umknąć za Łabę. Są doniesienia, że widziano go w Berlinie wschodnim.

Wnioski, jakie z tych oburzających faktów wysnuwał dr Putthoffer, nie były może zupełnie nowe, lecz głęboko słuszne, jak zawsze w publicystyce *Ostatnich Wiadomości*. Wróg jest wszędzie, czyha na każdą okazję, czai się nawet w takich instytucjach i na takich stanowiskach, gdzie najmniej moglibyśmy tego oczekiwać. Nawet redakcja *Ostatnich Wiadomości*, gdzie komunizującym i lewicowym chłystkiem wstęp jest wzbroniony, nie ustrzegła się przed agentem we własnym gronie. Nawet dowódca dywizji Bundeswehry mógł się okazać obcym agentem, co zresztą było do przewidzenia, zważywszy na wysoce niepatriotyczne zachowanie się owego Severinga w niewoli rosyjskiej, o czym oczywiście wiedział departament kadr Generalnego Inspektoratu, lecz kryteria awansów i doboru kadrowego są w tej instytucji bardzo dziwne.

Doktor Putthoffer dopisał jeszcze na zakończenie kilka głębokich zdań o niezbędności rozwagi i czujności, przypomniał, że zdrada zaczyna się zawsze od tak zwanych radykalnych poglądów, które - niestety! - korzystają w Republice Federalnej ze zbyt daleko posuniętej tolerancji, i dodał znacząco, że smutne wydarzenia dnia 12 czerwca powinny uświadomić wszystkim patriotycznym Niemcom, kanclerza i członków jego rządu nie wyłączając, że wojna trwa nadal - święta wojna o prawa narodu niemieckiego, w której nie ma miejsca na pobbłazanie i litość.

W artykule wstępnym doktora Putthoffera nie było ani słowa o porwaniu głowic ani o terrorystach. Uznano po prostu, że do przedstawienia tej sprawy potrzeba lepszego pióra i poczytniejszego pisma. Putthoffer był czymś w rodzaju chłopca na posyłki; załatwiał różne brudne robótki małego kalibru, nikomu jednak w kompetentnych kołach nie przychodziło do głowy, aby go traktować serio.

Dlatego też sekretarz osobisty wicekanclerza Födlera otrzymał zadanie, aby przeprowadzić rozmowę z naczelnym redaktorem tygodnika *Dabei*. Na miejsce nie napisanego artykułu Felsensteina, które to miejsce miało ostentacyjnie pozostać puste w najbliższym, drukującym się numerze, sekretarz zaproponował tygodnikowi pełną wersję

wydarzeń związanych z porwaniem jedenastu głowic neutronowych. Oczywiście na zasadzie pełnej, stuprocentowej wyłączności. Kanclerz poda wprawdzie wieczorem w telewizji ogólny zarys wydarzeń, jednakże żadne inne pismo nie dostanie tylu konkretnych szczegółów.

Naczelnny redaktor tygodnika *Dabei* zastanawiał się tylko przez chwilę. Jego celem życiowym nie było ustalanie żadnych wielkich prawd ani reprezentowanie opinii publicznej, lecz zarabianie pieniędzy. A *story*, którą oferował rzecznik urzędu kanclerskiego, była dużo lepsza z punktu widzenia poczytności pisma niż zapowiedziany artykuł Felsensteina.

W ten sposób późnym popołudniem linotypiści w drukarni *Dabei* zamiast artykułu demaskującego dwuznaczne postępowanie różnych ogniw władzy zaczęli składać artykuł, napisany świetnym zresztą piórem głównego rywala Felsensteina, przedstawiający władzę w najlepszym świetle i obciążający winą za zbrodnicze porwanie jedenastu głowic bliżej nieznanymi sprawcami, zapewne przybyłymi spoza granic RFN. Można się domyślić, skąd przybyli.

Zdjęć domniemanych sprawców dostarczył Urząd Ochrony Konstytucji na osobiste polecenie doktora Pfeiffera. Byli to ludzie zidentyfikowani już dawno jako obywatele NRD; wszyscy, bez wyjątku, znajdowali się na wschód od Łaby.

Zdjęć generała Severinga i kapitana Wiebolda dostarczył wydział kadr dowództwa Bundeswehry.

Szkiców sytuacyjnych napadu na Tajną Bazę nr 6 dostarczył Generalny Inspektor Bundeswehry na prośbę pułkownika Günthera Schlafflera.

Fotokopie tajnych dokumentów, znalezionych przypadkiem w rozbitym samochodzie radcy handlowego NRD, Scheitera, wykonała komenda policji kolońskiej.

Zdjęcia rzekomego ekwipunku szpiegowskiego kapitana Wiebolda pochodziły z archiwów MAD.

Opinii uczonych i ekspertów na temat broni neutronowej w ogóle, a także na temat potencjalnych niebezpieczeństw, jakie niesie ze sobą porwanie głowic, dostarczyło federalne ministerstwo badań naukowych.

U dołu trzeciej kolumny redakcja włamała niewielką, trudno zauważalną ramkę. Informowała w niej, że były współpracownik tygodnika *Dabei*, Ugo Felsenstein, został 12 bm. aresztowany na polecenie prokuratora w związku z zarzutami z art. 129 i 131 federalnego kodeksu kryminalnego. Ze względu na dobro śledztwa redakcja powstrzymuje się od wszelkich komentarzy do czasu wyjaśnienia sprawy.

Dokładnie o tej samej porze dziennik *Osnabrücker Rundschau* zaczął w potrojonym nakładzie drukować największy szlagier w swej historii: szczegółowy opis ujęcia

terrorystycznej *Grupy M*, która dokonała zuchwałego napadu na jedną z tajnych baz Bundeswehry i porwała stamtąd jedenaście głowic neutronowych. Dziennik nie przebierał w doborze słów komentarza i otwarcie zarzucał rządowi federalnemu co najmniej dziwną opieszałość, jeśli nie wręcz podejrzaną chęć ukrycia samego faktu przed opinią publiczną.

Najostrzejsze słowa wymierzono pod adresem kanclerza Lüttnera. *Osnabrücker Rundschau* żądała, aby kanclerz podał się do dymisji. Znając bowiem od rana tak groźne dla Republiki Federalnej fakty i zdając sobie sprawę, że przypadkowy wybuch atomowy nad terytorium Stanów Zjednoczonych sam przez się stwarza ogromne, potencjalne niebezpieczeństwo, starał się te ważne fakty ukryć przed opinią.

Ale o treści sensacyjnego reportażu w *Osnabrücker Rundschau* oraz o wnioskach komentarza redakcyjnego nie wiedział na razie nikt poza pracownikami drukarni oraz kilkoma dziennikarzami, którzy jeszcze nie wyjechali na weekend.

Przyjaciel ministra Dietricha Lamhubera starannie wykonał zlecone mu zadanie.

LI

Przez dwadzieścia minut po rozmowie z Lamhuberem kanclerz Lüttner nie przyjmował żadnych telefonów i nie odzywał się do nikogo. W końcu zażądał, aby natychmiast wezwano wicekanclerza Födlera.

Jeden rzut oka na twarz kanclerza wystarczył Födlerowi, aby wiedzieć, że Dagobert Lüttner jest człowiekiem skończonym i wypadł już z gry.

- Czołem biję do stóp szanownego kanclerza - rozpoczął Födler swą orację. - Nie wolno się tak zapracowywać, nasz drogi ojczy i przywódco. Dzieją się różne rzeczy, nie przeczę, ale pozwolę sobie zauważyć, że różne rzeczy dzieją się zawsze. A tu, widzę, głowa jak u świętych ascetów, oczy zmęczone jak po trzech nocach popijawy. A wszystko idzie ku lepszemu, kanclerzu federalny...

- Przestań, Födler - powiedział znużonym głosem kanclerz. - Przestań raz wreszcie błaznować. I nie pleć, że idzie ku lepszemu.

- Jakżeż to? Rozmawiałem przed chwilą z dobrymi znajomkami zza oceanu. Skutki wybuchu są przykre, ale nie takie znów straszne, to wszystko zdarzyło się na bardzo dużej wysokości. Rosjanie już o wszystkim wiedzą i przyrzekli, że nie zrobią Harrisonowi żadnego kuku, czemu się nie dziwię, bo nawet on jest dla nich mniejszym złem. Czym tu się

zamartwiać? Ja osobiście jestem dziś w znakomitym humorze, drogi nasz przywódco.

- Födler - rzekł kanclerz - nadeszła wreszcie pora, żebyś mi raz powiedział otwarcie, co myślisz. Ostrzegam cię, że od tej odpowiedzi zależy bardzo wiele, z twoimi losami włącznie.

- Moje losy, kanclerzu, zależą tylko od Opatrzności, jeśli mnie w ogóle zauważyła. Ale już zamieniam się w jedno wielkie ucho.

- Kto porwał głowice?

- Ależ kanclerzu, ja nie jestem z policji. Nie prowadzę żadnego śledztwa. Skąd znów miałbym to wiedzieć?

- Pytam jeszcze raz: kto porwał głowice?

Födler zorientował się, że Lüttner musi wiedzieć coś więcej niż to, czego się dowiedział z raportów ministra Graudera i z rozmowy z doktorem Pfeifferem.

- A ja odpowiadam jeszcze raz, że nie wiem.

- Ja zaś, Födler, twierdę, że kłamiesz. Doskonale wiesz, kto to zrobił.

- Nie ośmieliłbym się wiedzieć więcej niż ty, kanclerzu federalny.

- Myślałem, że cię jeszcze interesuje współpraca ze mną. Skoro się jednak pomyliłem, to możesz się stąd wynosić. I nie myśl, że ci puszczę płazem to wszystko, co naopowiadałeś dziennikarzom na konferencji prasowej bez mojego zezwolenia. Na razie jestem jeszcze kanclerzem tego kraju, a ty będziesz moim zastępcą już bardzo niedługo.

Twarz Födlera zmieniła się nagle jak jezioro pod podmuchem gwałtownej wichury. Jego małe, ukryte w fałdach tłuszczu oczki błysnęły jak reflektory ostrzegawcze.

- Widzę, że kanclerz jest rzeczywiście przepracowany. Dosyć to dziwna metoda zwalniania wicekanclerza z urzędu. Tak się odprawia służbę domową, ale nie mnie, przyjacielu. Nie mnie.

- Jeśli cię to interesuje, to mam w ręku dowody, że wdałeś się w bardzo niebezpieczną zabawę. Czy nadal twierdzisz, że porwania głowic dokonali ludzie zza Łaby?

- To chyba nie podlega dyskusji?

- Owszem. Podlega. Przeczytaj sobie taką małą, prowincjonalną gazetę *Osnabrücker Rundschau*. Dowiesz się, kto porwał te głowice.

- Nie mam zwyczaju przejmować się pomysłami byle prowincjonalnego pismaka, a i ze stołecznymi też sobie umiem radzić.

- Bardzo się zmieniłeś od czasu naszej porannej rozmowy. Czy wiesz, że zostało aresztowanych dwoje uczestników napadu na Tajną Bazę nr 6 i że wkrótce zaczną oni zeznawać?

- Ależ cieszy mnie to, kanclerzu, i nie rozumiem, skąd te zarzuty pod moim adresem. Ja chyba nie wyglądam na takiego, który wraz z nimi napadał na tę bazę?

Lüttner poczuł, że ma już absolutnie dość tej rozmowy.

- Powiedziałem ci, żebyś się wynosił, Födler. Nie mam czasu ani ochoty na tę bezsensowną gadaninę. Może i jesteś genialnym graczem, ale tym razem zawiódł cię jednak ten twój osławiony instynkt polityczny. A wiesz dlaczego? Ponieważ przyjmujesz, że zawsze, w każdym wypadku muszą wygrać ci, którzy mają większe siły do dyspozycji, są lepiej usadowieni w siodle i mają większe możliwości działania. Otóż wyobraź sobie, że czasami bywa inaczej. Od pierwszej chwili postanowiłeś trzymać stronę tych ludzi z Bundeswehry, którzy przywłaszczyli sobie odzyskane głowice, czyli działać przeciw mnie. Sądziłem, że masz więcej oleju w głowie i że w momencie kryzysu nie dasz się nabrać na głupie gadanie paru zakutych, żołdackich łbów, które kiedyś traktowałeś tak samo jak ja. Cóż, pomyliłem się. Twoja sprawa. Ale nie licz teraz, żebym cię ratował. Przeciwnie. Będę pierwszy przeciw tobie, kiedy Bundestag rozpocznie śledztwo. Albowiem coś wam się pokreśliło w waszym planie. Niedobitki z *Grupy M* wkrótce też znajdą się pod kluczem, ale ten, który to wszystko wymyślił, jest już w bezpiecznym miejscu.

Födler po raz pierwszy w życiu odczuł strach - prawdziwy, łaskoczący w sercu i krtani strach:

- *Grupa M?* O czym ty mówisz, Dagobercie? Przecież są wszystkie dowody...

- ...spreparowane przez twoich kumpli. Myślisz, że ja w to wszystko uwierzę? Myślisz, że Grauder jest tak bezgranicznie dumny? Ech, Födler, zawiodłem się nawet na twojej inteligencji, bo w lojalność i tak nigdy nie wierzyłem. A teraz wyjdź stąd i powiedz swoim przyjaciołom, że strefa wschodnia nie miała z tym nic wspólnego.

Födler próbował odzyskać równowagę.

- Czy to znaczy - zapytał ściszym głosem - że GSG odzyskała również wszystkie porwane głowice?

- Tak. Wszystkie. Co do jednej. One też znajdują się w bezpiecznym miejscu.

Hans-Viking Födler pomyślał, że popełnił straszliwy błąd, uznając kanclerza za człowieka wyłączonego z gry. Jeżeli rzeczywiście znaleziono te głowice - zapewne przez przypadek lub w wyniku inspekcji von Riesenthala - to cały plan rozpadł się w proch, a Lüttner nie daruje nikomu, kto był zamieszany w *operację Nietoperz*.

- Tak - powiedział jakby do siebie Födler. - Życie jest bardziej pomysłowe niż najdziksza fantazja. Ja teraz rzeczywiście wyjdę, kanclerzu. I wrócę tu za dwadzieścia minut z pewnymi informacjami, które ci się mogą przydać.

- Nie, Födler. Żadne twoje informacje nie są mi więcej potrzebne. Ale jeżeli chcesz jeszcze grać o własną głowę, możesz mi powiedzieć tylko jedno: kto stał na czele spisku w Bundeswehrze?

Födler zastanawiał się przez piętnaście sekund, machinalnie rozpiął guzik u koszuli, zdjął z ręki zegarek, w końcu powiedział dobitnie i wyraźnie:

- Pułkownik Günther Schlaffler.

- No więc, coś ci jeszcze powiem. Szczerść za szczerść. Z jedenastu porwanych głowic dziesięciu do tej pory nie odnaleziono. Zawsze miałeś mnie za dumia, Födler, ale sam widzisz, żeś się jednak pomylił.

LII

W dwadzieścia minut po tej rozmowie dwaj oficerowie GSG aresztowali szefa gabinetu ministra obrony, pułkownika Günthera Schlafflera.

W trzydzieści minut po aresztowaniu pułkownik Schlaffler został zwolniony z aresztu i odwieziony samochodem GSG do gmachu ministra obrony.

Wydarzenie pierwsze nastąpiło na skutek polecenia, jakie kanclerz Lüttner wydał ministrowi spraw wewnętrznych, Lammhuberowi.

Wydarzenie drugie było skutkiem nagłej wizyty, jaką złożył kanclerzowi szef Urzędu Ochrony Konstytucji, doktor Pfeiffer. Przedstawił on pisemne dowody, że szefem spisku był wicekanclerz Födler, który w strachu o własną skórę obciążył całkowicie niewinnego pułkownika Schlafflera. Uwolnienie tego zasłużonego oficera zostało kanclerzowi przedstawione jako żądanie.

Wicekanclerz Födler doznał - jak stwierdzili jego zaufani lekarze - ostrych zaburzeń wieńcowych i został odwieziony do pewnej prywatnej kliniki.

Władza polityczna w Republice Federalnej Niemiec w praktyce przestała istnieć. W tej właśnie sytuacji miejscowy komendant Tajnej Organizacji, pułkownik Günther Schlaffler, postawił w stan gotowości kilka dobranych jednostek Bundeswehry, w tym zwłaszcza 14 Hanowerską Dywizję Zmechanizowaną pod dowództwem podpułkownika Stahma. Wszystko to odbyło się bez wiedzy Bundestagu, prasy, rządów sojusznicznych i wywiadu amerykańskiego. Za jednym zamachem aresztowano bowiem wszystkich znanych agentów CIA w zachodnioniemieckich siłach zbrojnych, w Urzędzie Ochrony Konstytucji i w

kluczowych ministerstwach. To byli właśnie ci, których nie mógł się przed śmiercią doliczyć major Thompson. Doktor Pfeiffer znał ich wszystkich jak własną kieszeń, gdyż z nielicznymi wyjątkami byli to po prostu jego ludzie. Dla dobra sprawy musieli odsiedzieć po kilka dni. Dostaną później premię i urlop.

LIII

Piątek, 12 czerwca, godzina 16.08 czasu środkowoeuropejskiego, 11.03 czasu wschodnioamerykańskiego. Cała Ameryka i Europa słucha odkładanej już po raz trzeci, a teraz wreszcie retransmitowanej na pół świata konferencji prasowej prezydenta Harrisona.

Prezydent kończy właśnie składanie oświadczenia wstępnego, w którym daje wyraz swemu żalowi z powodu tragicznego zbiegu okoliczności. Wyrażając współczucie ofiarom obu wybuchów, prezydent stwierdza zarazem, że wypadek taki stanowi cenę - wysoką, lecz nieuniknioną - jaką Stany Zjednoczone płacą za swe bezpieczeństwo. Liczba ofiar choroby popromiennej, według dotychczasowych ustaleń, nie przekracza stu osób, są to jednak wypadki szczególnie ostrego napromieniowania, które ujawniło swe skutki niemal natychmiast. Należy oczekiwać, że do wieczora liczba ofiar wzrośnie. Cała medycyna amerykańska zostanie zmobilizowana dla ratowania osób napromieniowanych, wszystkie zdobycze nauki zostaną podporządkowane naczelnemu celowi, jakim jest zmniejszenie liczby ofiar. Prezydent Harrison apeluje o oddawanie krwi. Rząd pokryje wszelkie koszty, związane z leczeniem lub pogrzebami ofiar eksplozji, a także, we właściwym czasie i w należyтым trybie konstytucyjnym, wystąpi do Kongresu o rozpatrzenie uzasadnionych i wystarczająco udokumentowanych roszczeń zagranicznych. Stany Zjednoczone okryły się w dniu dzisiejszym żałobą z powodu tragicznej śmierci aż tylu niewinnych osób, jednakże prezydent musi z całą mocą podkreślić, że fatalna niesprawność mechanizmu rozkazodawczego w żadnym wypadku nie odwiedzie rządu Stanów Zjednoczonych od dalszej troski o bezpieczeństwo kraju i nie wpłynie na rozmiary wysiłku wojskowego, ponoszonego obecnie w imię wolności. Prawdą jest, że w atmosferze powszechnej nerwowości i napięcia miały miejsce ubolewania godne wypadki utraty panowania nad sobą, między innymi w postaci nieuzasadnionego storpedowania okrętu radzieckiego na Morzu Śródziemnym. Względny bezpieczeństwa państwowego nie pozwalają na razie na ujawnienie wszystkich przypadków tego rodzaju. Prezydent pragnie jednak zapewnić, że specjalna komisja, która została

powołana dla wyjaśnienia takich przypadków, nie zawiedzie oczekiwań społeczeństwa. Rząd Stanów Zjednoczonych przeprasza rząd ZSRR i wyraża gotowość uregulowania należności za wyrządzone szkody. Prezydent Harrison pragnie wyrazić wdzięczność i uznanie kierownictwu radzieckiemu, że zachowało w tej trudnej sytuacji rozwagę i spokój. Biały Dom ma informacje, że stan gotowości wojsk Układu Warszawskiego został odwołany.

Jeśli chodzi o techniczne przyczyny katastrofy, to prezydent nie może jeszcze przedstawić wyczerpującego sprawozdania. Konieczny jest wszechstronny raport specjalistów cywilnych i wojskowych, którzy z jednej strony zanalizują dokładnie powody obecnej katastrofy, z drugiej zaś przedstawią konkretne propozycje, które dawałyby stuprocentową gwarancję, że nigdy więcej w przyszłości nie dojdzie do podobnej awarii.

Prezydent uważa za swój moralny obowiązek raz jeszcze wyrazić współczucie rodzinom wszystkich poszkodowanych. Ten sam moralny obowiązek skłania go jednak do bardzo stanowczego przeciwstawienia się tym wszystkim, którzy z dzisiejszej tragedii chcieliby wyciągnąć korzyści polityczne. Jeśli senat rzeczywiście zechce postawić prezydenta w stan oskarżenia - on, Geoffrey Howard Harrison, gotów jest w każdej chwili stanąć przed senatem i dowieść, że działał w najlepiej pojętym interesie narodowym. Nikt inny na jego miejscu nie mógłby postąpić inaczej. W godnej opłakania sytuacji nadzwyczajnej, jaka spotkała naród amerykański, nie powinno być miejsca na partykularne kłótnie i niskie kombinacje. Teraz prezydent jest gotów odpowiedzieć na kilka pytań przedstawicieli prasy. Pan Serge Lowenberg, proszę.

Serge Lowenberg, korespondent sieci telewizyjnej *WBC*, pragnie się dowiedzieć, czy Ameryka znajdowała się dziś rano o krok od wojny atomowej.

- Czy zechce pan podać definicję „kroku”? - pyta prezydent.

- Nie mam ochoty na żarty, panie prezydencie - odpala Lowenberg. - Moi słuchacze są ludźmi, czy pan to rozumie - ludźmi! Mają tylko jedno życie. Niektórzy z nich, może nawet nie wiedząc o tym, noszą już w sobie załazek śmierci. Pan, panie prezydencie, nie będzie na pewno wymiotował krwią za kilka godzin. Nie wypadnie panu ta wspaniała czupryna. Nie będzie pan miał krwawych plam na ciele. Proszę, niech się pan tłumaczy. Niech pan powie, co pan ma do powiedzenia.

- Sądzę, że powiedziałem wszystko, co jest istotne. Pan Sedgeman z *New York Timesa*, proszę.

- Panie prezydencie, fakt, że wszyscy tu jeszcze żyjemy, należy zawdzięczać jakiemuś szczęśliwemu zbiegowi okoliczności. Przecież mogły na nas spaść rakiety rosyjskie. Czy pan korzystał z *gorącej linii*?

- Naturalnie. Korzystałem.

- Co panu powiedział sekretarz Chomienko?

- Nie mogę tego ujawnić. Pan Frencher z *Chicago Tribune*, proszę.

- Panie prezydencie, czy może pan powiedzieć, jak zareagowali nasi sojusznicy na tę, jak pan to nazwał, katastrofę?

- Zareagowali w sposób odpowiedzialny i pełen zrozumienia. Nie mam żadnych uwag. Pozostawaliśmy w stałym kontakcie.

- Przepraszam, że będę kontynuował pytanie. Przecież wchodziły w grę losy dziesiątków milionów ludzi. Czy żaden rząd nie odmówił swego uczestnictwa w naszej niefortunnej krucjacie przeciw niczemu? Czy na przykład Francja...

- Odbylem z prezydentem Payotem serdeczną, rzeczową rozmowę. Chcę podkreślić, że wszyscy nasi sojusznicy okazali pełne zrozumienie dla nadzwyczajnej sytuacji, jaka powstała. Możemy być dumni z mechanizmów, jakie wytworzyliśmy w łonie naszego sojuszu, i dumni z przywódców, którzy reprezentują sojusznicze narody. Pani Whither, proszę.

- Nazywam się Cynthia Whither, reprezentuję dziennik *Oregon Daily Examiner* i cieszę się, że po raz pierwszy od siedmiu lat, odkąd obsługuję Biały Dom, udało mi się wreszcie dorwać do głosu. Pańska służba prasowa, panie prezydencie, nie widzi świata poza Wielką Piątką gazet i stacji telewizyjnych. Jestem przekonana, że moi szanowni koledzy z Wielkiej Piątki otrzymali już informacje dużo bardziej wyczerpujące niż te, których udziela się nam, prowincjonalnym szaraczkom. Ale tym razem sytuacja jest inna. Stan Oregon znalazł się w strefie największego zagrożenia na skutek wybuchu. Mój dziennik ukazuje się rano. Czytelnicy, którzy wezmą do ręki jutrzejsze wydanie, mają prawo wiedzieć wszystko, dosłownie wszystko, o nieszczęściu, jakie ich spotkało. Mam do pana cztery pytania, panie prezydencie, i nie pozwolę sobie odebrać głosu, dopóki nie otrzymam dokładnych i wyczerpujących odpowiedzi. Mamy już dość tych dyplomatycznych wykrętów. Pytanie pierwsze: jeśli katastrofa była następstwem jakiegoś błędu technicznego i pociągnie za sobą śmierć lub cierpienia setek ludzi, ktoś w tym kraju musi za to ponieść odpowiedzialność - moralną i sądową. Czy zamierza pan wystąpić do Kongresu o zdymisjonowanie szefa Połączonych Sztabów, generała Tumblesona, lub czy też on sam zamierza się podać do dymisji?

- Nie mam takiego zamiaru, proszę pani. Generał Tumbleson nie popełnił żadnego błędu. To samo mogę powiedzieć o dowódcy Strategicznych Sił Powietrznych, generale Fawleyu. Obaj postępowali tak, jak powinni postępować. Nie sądzę też, żeby generał

Tumbleson sam zamierzał podawać się do dymisji...

Prezydent spogląda w stronę szefa Połączonych Sztabów, który siedzi skromnie w kącie.

- Nie, proszę pani - wstaje Tumbleson - nie mam zamiaru ustępować. Sądzę, że w takiej sytuacji kraj potrzebuje fachowców wojskowych, a osobiście nie poczuwam się do żadnej odpowiedzialności. Czy pani uważa, że należy pociągać ludzi do odpowiedzialności za trzęsienia ziemi i zaćmienia Księżyca? Zdaje się, że w starożytnym Egipcie były takie obyczaje...

Po sali przebiega krótki, zduszony śmiech.

- Dobrze - mówi pani Whither - skomentuję to odpowiednio w mojej dzisiejszej korespondencji. Sami niewinni! Moje drugie pytanie brzmi tak: niektórzy z nas wiedzą, że w Niemczech zachodnich miały dziś rano miejsce jakieś mętne wydarzenia, podobno związane z bombami neutronowymi. Czy nasza nieszczęsna katastrofa miała jakiś związek z tym, co się wydarzyło w Republice Federalnej Niemiec?

- Nie, proszę pani - odpowiada Harrison. - Chyba że psychologiczny. Ale psychologia to nie jest mój departament. Jeśli chodzi o siły zbrojne Stanów Zjednoczonych, to podlegają one mnie w każdej chwili, tym bardziej w momencie kryzysu. Wydarzenia za granicą tylko o tyle mogą wpłynąć na decyzje prezydenta, o ile wiążą się z naszym bezpieczeństwem i z naszymi zamiarami strategicznymi. To nie był ten wypadek.

- Inaczej mówiąc, miały miejsce dwa niezależne od siebie przypadki?

- Tak należy to rozumieć.

- Dobrze. Teraz moje trzecie pytanie. Radio izraelskie doniosło przed godziną, że okręty VI Floty ostrzelały radziecki krążownik na Morzu Śródziemnym. Czy to także był wypadek?

- Droga pani Whither, pani nieuważnie słucha. Mówiłem już o tym, a także zastrzegłem na wstępie, że nie o wszystkim mogę jeszcze mówić. Fakt, o którym pani wspomina, jest przedmiotem dochodzenia.

- Czy sądzi pan, że dowódca VI Floty też nie ponosi odpowiedzialności za ten incydent? A może to pan wydał takie polecenie?

- Nie mogę w tej chwili komentować żadnych wydarzeń tego rodzaju. Jeżeli są jeszcze jakieś inne pytania...

- Chwileczkę! Jeszcze nie skończyłam. Z tego, czego się do tej pory dowiedzieliśmy od pana, wynika, że niemal na całym świecie zdarzyła się cała seria potwornych przypadków, za które nikt nie ponosi odpowiedzialności. Po prostu pech. Jakieś czarodziejskie działania

nieznanych sił. Alaska, Dardanele, Wirtembergia, Nowy Meksyk - pół globu zostało objęte tymi tajemniczymi przypadkami. Zwykli ludzie mają po prostu uwierzyć, że jakieś złośliwe karzełki zaczęły równocześnie wyrządzać psoty w miejscach odległych od siebie o tysiące mil. Napiszę to, panie prezydencie. Napiszę dokładnie tak, jak to powiedziałam. A teraz moje czwarte pytanie, jaka jest gwarancja, że za pół godziny złośliwe karzełki nie wyrządzą światu następnego psikusy? Skąd mieszkańcy mojego stanu mają mieć pewność, że generał Tumbleson nie dopuści do kolejnej katastrofy?

- Obawiam się - przerywa prezydent - że emocje, jakkolwiek uzasadnione, nie pomogą nam w takiej sytuacji. Pan Westhoffer, proszę...

- Chwileczkę! - woła Cynthia Whither. - Nie tak szybko, panie prezydencie! Pytam jeszcze raz: czy to już koniec tej koszmarnej zabawy w ciuciubabkę?

- Tak, koniec, proszę pani. Pan Westhoffer, proszę.

- W imieniu mieszkańców Środkowego Zachodu chciałbym zapytać, czy należy się spodziewać, że chmura atomowa dotrze wkrótce nad pas pszeniczny? Czy może zaszkodzić naszym zasiewom?

- Wydaje mi się, panie Westhoffer, że dużo ważniejszy jest w tej chwili los żywych ludzi niż przyszłość pańskiej pszenicy.

- Nie wiem, panie prezydencie. Część tego ziarna pójdzie na siew w przyszłym roku. Skąd możemy mieć pewność, że nie ulegnie ono mutacji genetycznej i nie zakazi czymś tam następnych pokoleń?

- Nie jestem agrotechnikiem, panie Westhoffer. Proszę się z tą wątpliwością zwrócić do Departamentu Rolnictwa. Pan Kindale, proszę.

- Panie prezydencie, wszyscy wiemy, że intensywne promieniowanie radioaktywne może spowodować bezpłodność. W jaki sposób rząd federalny zamierza zaspokoić roszczenia tych osób, które w wyniku katastrofy nigdy nie będą mogły mieć potomstwa?

- Sprawę odszkodowań już poruszałem. Kto jeszcze? Aha, pan Li z agencji *Xinhua*, bardzo proszę.

- Spisek dwóch supermocarstw przeciwko interesom narodów...

- Panie Li, nie mamy czasu na wykłady ideologiczne.

- ...przeciw interesom narodów stał się faktem. Pragnę zapytać, co uczyniły stany Zjednoczone dla pozyskania zaufania innych narodów?

- Nie sądzę, abym musiał odpowiadać na to pytanie. Nasza konferencja zbliża się do końca. Kto jeszcze? Tak, widzę, pan Schmiede z *Hamburger Allgemeine Zeitung*.

- Panie prezydencie, po raz pierwszy udaje mi się tu zadać panu pytanie i jestem nieco

stremowany. Otrzymałem jednak ze swej gazety niedwuznaczne informacje, że w Europie trwa panika wojenna. Zabrakło benzyny do samochodów, ludzie wycofują wkłady z banków, schrony atomowe są oblężone. Biorąc pod uwagę, że pańska konferencja jest transmitowana również do naszego kraju - czy może pan powiedzieć coś, co by upewniło Europejczyków, że niebezpieczeństwo minęło?

- Dziękuję, panie Schmiede, za to pytanie. Chcę wyraźnie i niedwuznacznie stwierdzić, że ten niefortunny zbieg okoliczności jest już tylko rozdziałem historii, z którego oczywiście wyciągniemy wszystkie wnioski. Niebezpieczeństwo już nie istnieje. Powtarzam - nie ma żadnego niebezpieczeństwa. Wspólnym wysiłkiem rządów ZSRR i Stanów Zjednoczonych udało się uniknąć, że tak to nazwę, samoczynnej eskalacji.

- Dziękuję, panie prezydencie - wygłasza zwyczajową formułę dziekan korpusu prasowego przy Białym Domu, siwowłosa Sylvan Kelly. - Dziękuję państwu. Piszcie teraz, co chcecie, ale pamiętajcie, że od powagi waszych słów i od waszej odpowiedzialności zależy tym razem więcej niż kiedykolwiek.

LIV

Konferencji prasowej prezydenta Harrisona słucha w napięciu cała Europa. Najwięcej komentarzy budzi pyskata i stanowcza pani Whither. Nie wszyscy z nią oczywiście sympatyzują, ponieważ w pytaniach pani Whither kołacze się jak gdyby zdrożny pacyfizm, coś niemęskiego, jakiś babski lęk przed podjęciem ryzyka. Mało kto jednak ukrywa swój podziw dla tej nieznaney dotąd dziennikarki amerykańskiej z małej, prowincjonalnej gazety. Za jednym zamachem zrobiła sobie nazwisko na dwóch kontynentach.

- Twarda baba - powiada z uznaniem sierżant Stuhr, przekładając bieg. - Taką mieć za żonę... nic, tylko się powiesić.

Sierżant jednostki specjalnej, Hansjakob Stuhr, dowodzi konwojem, który wiezie dziesięć głowic neutronowych z Tajnej Bazy nr 6 do Tajnej Bazy nr 3. Jego podkomendni, chłopcy dobrani troskliwie i nieskłonni do gadulstwa, domyślają się już z grubsza, co wiozą od kilku godzin w swych ciężkich, starannie opancerzonych wozach. Fason jednostek specjalnych zabrania jednak rozmawiać o sprawach służbowych. Mówi się o dziewczętach, o wspomnieniach z ławy szkolnej, o sporcie, w ostatecznym wypadku o pogodzie. Szczerze mówiąc, nawet przenośne radiodbiorniki tranzystorowe nie powinny znajdować się w

kabinach kierowców, ale w jednostkach specjalnych patrzy się przez palce na takie odstępstwa od regulaminu.

Akurat wtedy, kiedy dziekan korpusu dziennikarskiego przy Białym Domu wypowiada zwyczajowe „dziękuję”, sierżant Stuhr dostrzega w lusterku wstecznym miganie światłami. Kierowca wozu jadącego z tyłu coś sygnalizuje. Raz, dwa, przerwa, raz, dwa, trzy. Znak, że trzeba się zatrzymać.

Konwój zjeżdża na pobocze, Stuhr wysiada, niezadowolony ze zwłoki; jego podkomendni nic do tej pory nie jedli, Tajna Baza nr 3 jest już tylko odległa o piętnaście kilometrów.

- Panie sierżancie - powiada kierowca wozu nr 3 - coś jest nie w porządku. Licznik promieniowania w moim wozie chyba się popsuł. Wskazówka przekroczyła czerwone pole i zatrzymała się o opór na skali.

- Nie wiesz, co się robi w takim wypadku?

- Nie wiem, panie sierżancie. Instrukcja mówi tylko o sytuacji, kiedy wskazówka licznika promieniowania przekroczy połowę białego pola.

Sierżant Stuhr uświadamia sobie, że sam również nie bardzo wie, jak trzeba postąpić w takiej sytuacji. Ogląda kabinę wozu nr 3, sprawdza instalacje deski rozdzielczej, puka palcem w tarczę licznika promieniowania. Bez skutku.

- Widocznie wieziemy jakieś bardzo gorące świństwo - mówi starszy kapral Kroll. - Jeszcze nas napromieniuje...

- Starczy tego gadania - ucina Stuhr. - Sami sobie z tym nie poradzimy, a rozkaz wykonać trzeba. Ewald! Widzisz ten las po prawej? Wjedziesz w najbliższy dukt i zostawisz wóz na poboczu. Po przyjeździe do Bazy ściągnie się ekipę techniczną. Nie możemy tak jechać. Licznik może być popsuty, rzeczywiście. Ale może być też inaczej.

Kierowca wozu nr 3 wskakuje pośpiesznie do kabiny i wprowadza wóz do lasu. Sumiennie zamyka wszystkie zamki cyfrowe w drzwiach kabiny i za chwilę melduje Stuhrowi swój powrót.

O godzinie 16.47 konwój staje przed główną bramą wjazdową do Tajnej Bazy nr 3. Żaden z wozów nie ma oczywiście nadajnika otwierającego bramę, lecz wprawne oko Stuhra wykrywa różne rzeczy. Na przykład na murze bazy widnieje stalowa furtka, której nie ma w innych bazach. Co więcej, o pięć kroków przed bramą stoi wartownik w hełmie. Wartownik wyciąga przed siebie pistolet maszynowy i żąda dokumentów.

- Dobrze, chłopcze, w porządku - powiada sierżant Stuhr. - Co to u was tak ostro? Inspekcja jakaś czy komendantowi coś z babami nie wyszło?

- Proszę natychmiast okazać dokumenty albo będę strzelał! - krzyczy wartownik.

- Jak żyję, nie widziałem tak naporzonego chłopaka - kręci głową Stuhr. - A gdybyśmy tak chcieli wjechać do tej twojej zamaskowanej bazy nie okazując żadnych dokumentów?

Wartownik błyskawicznym ruchem wsadza w usta gwizdek. Rozlega się wibrujący, donośny gwizd. Wartownik odbezpiecza spust pistoletu maszynowego i zupełnie serio przymierza się do strzału, na razie w powietrze.

Przez wąską furtkę koło bramy wypada dowódca warty i dwaj wartownicy, dopinając w biegu paski hełmów.

- Co się u was dzieje, na miłość boską? - pyta zdumiony Stuhr. - Wojna czy jak? Odkąd to warta stoi na zewnątrz muru? System LCS popsuł się, co?

- Mamy inspekcję z Generalnego Inspektoratu - powiada półgłosem dowódca warty, pełen respektu dla odznaki jednostek specjalnych, którą dostrzega na bluzie Stuhra. - Jakiś przemądrzały kapitan przyleciał tu śmigłowcem i rozrabia. Musimy się bawić w wojsko. Ależ była draka! Wylądował od razu w bazie.

- No to będziemy mieli kłopot, kolego. Przywieźliśmy dla was jakiś majdan, o którym nie mam prawa nic powiedzieć. Powiem ci jednak po koleżeńsku, że to nie jest wędzonka. Mam polecenie, żeby ci to zostawić, ale nie przywiozłem ze sobą żadnych papierów. To trochę śmierdząca sprawa, jeżeli się znam na medycynie.

- Nie da się zrobić, kolego. Co ty, mam was wpuścić na teren bazy bez żadnych papierów? Nie słyszałeś, co się dzisiaj stało w szóstce?

- A ja ci mówię, że się da zrobić, przyjacielu. Przecież nie zabiorę tego majdanu z powrotem. Gdzie jest twój komendant?

- Chodzi po bazie z tym kapitanem. Jest wściekły. Nie radzę ci, żebyś mu się napatoczył na oczy.

- Moja głowa. Spróbuj go znaleźć.

Dowódca warty kręci wąpiąco głową. Znika w furtce, ale po chwili wraca.

- Nic z tego - mówi. - Nie mogę starego złapać. Wypiszę przepustkę, jak chcesz. Powinien być na czwartym stanowisku składowania.

Stuhr bierze przepustkę, czeka chwilę na otwarcie furtki, potem szybkim, energicznym krokiem idzie w kierunku czwartego stanowiska. Dostrzega z daleka dwóch oficerów. Pierwszy z nich, pękaty, łysy, dyszący wściekłością, ma dystynkcje podpułkownika i jest na pewno komendantem Bazy. Drugi, smukły, elegancki, poruszający się z wdziękiem rasowego konia, jest chyba tym tajemniczym kapitanem z Generalnego Inspektoratu.

- Panie pułkowniku - Stuhr podchodzi na przepisowe trzy kroki od komendanta Bazy - melduje się sierżant sztabowy Hansjakob Stuhr z jednostki specjalnej Adlershorst Süd. Czy mogę z panem pułkownikiem porozmawiać na osobności w pilnej sprawie?

Komendant TB 3, który wie już, co za interesy może mieć do niego sierżant z jednostki specjalnej, zaciska wargi ze złości. Tego jeszcze brakowało! Kapitan Kuno von Riesenthal znalazł w TB 3 ze dwieście powodów do napisania druzgocącego raportu poinspekcyjnego, a tu jeszcze przesyłka, o której rano wspominał telefonicznie Wiebold. Ten durny sierżant mógłby poczekać, aż von Riesenthal się wyniesie.

- Sierżancie - mówi gniewnie komendant - przecież widzicie, że jestem zajęty. Poczekajcie w mesie podoficerskiej, aż będę wolny.

- Panie pułkowniku - napiera Struhr - sprawa jest niestety bardzo pilna.

- A cóż to za sprawa? - pyta z zainteresowaniem kapitan von Riesenthal.

- Mam rozkaz nie rozmawiać na ten temat z nikim oprócz komendanta Bazy - odpowiada zimno Stuhr.

- A ja jestem adiutantem wojskowym kanclerza - mówi ostro von Riesenthal - i przybyłem tu na inspekcję z upoważnienia ministra obrony. Proszę mi natychmiast zdać raport, sierżancie.

Stuhr spogląda pytająco na komendanta. Dostrzega w jego oczach ledwo widoczny błysk sprzeciwu.

- Muszę wykonywać otrzymane rozkazy - ciągnie Stuhr. - Nic mi nie wiadomo, żeby inspektor z ministerstwa obrony miał prawo unieważniać rozkazy wydawane w jednostce specjalnej.

Kuno von Riesenthal patrzy na Stuhra jak na rzadkie, kąśliwe zwierzę.

- Jesteście śmieszni, sierżancie. Dziecinnie śmieszni. Ale skoro tak wam zależy na wykonaniu rozkazu waszych przełożonych, to nie będę stawiał przeszkód. Złóżcie raport komendantowi, a ja za chwilę dowiem się od niego, co to za pilna sprawa.

I Riesenthal odchodzi o kilkanaście kroków, przechadza się pod stanowiskiem składowania, podnosi jakąś nakrętkę i ogląda ją z głębokim zainteresowaniem. Zerka przy tym spod oka na stojący w bazie śmigłowiec, w którym siedzi nieruchomo major Zoppke. Temu nie jest do śmiechu.

- No, mówcie, do diabła! - denerwuje się komendant, ścisząc głos. - Czy nie mogliście trochę poczekać? Podobno do jednostek specjalnych dobiera się ludzi o obniżonym wskaźniku inteligencji. Widzę, że to prawda.

- Melduję, panie pułkowniku, że nie mogłem czekać - odpowiada Stuhr nie urażony

złośliwością. - Przywieźliśmy...

- Wiem, co przywieźliście. To się nie pali i nie gnije.

- Kiedy właśnie zdarzyło się coś w tym rodzaju. W jednym z moich wozów licznik promieniowania przekroczył nie tylko czerwone pole, ale nawet najwyższy odczyt na skali.

- Gdzie jest ten wóz?

- Zostawiliśmy go chwilowo w lesie, kilka kilometrów stąd.

- No, widzę, że was skrzywdziłem, sierzancie. Bardzo rozsądna decyzja. Ale co z resztą?

- Wozy stoją przed bramą wjazdową.

- To niedobrze. Bardzo niedobrze. Ten czaruś gotów jeszcze zauważyć i zacząć zadawać pytania. Papiery jakieś macie?

- Żadnych. Otrzymałem rozkaz dostarczenia ładunku do TB 3 i nic poza tym. Zapewniono mnie, że pan będzie wiedział o wszystkim.

- Wiem, wiem. Ale przydałby się jakiś dokument. Poczekajcie chwilę. Pójdę teraz do kancelarii i każę wydać dokument przewozowy. Wy go później weźmiecie, schowacie do kieszeni i w razie pytań okażecie kapitanowi.

- Zrozumiałem, panie pułkowniku.

- Gdzie zostały załadowane... to znaczy, ten towar, który wieziecie?

- W szczerym polu, na skrzyżowaniu szosy z Escherpfarr do Upperdingen.

- Więc nie w TB 6? No, wszystko jedno. Wpiszemy TB 6 jako punkt załadunku.

- Słyszałem, panie pułkowniku, że w TB 6 coś się tam dziwnego zdarzyło...

- Słusznie, Stuhr. Wpiszemy w takim razie Tajną Bazę nr 4. Wiecie, gdzie to jest?

- Melduję, że nie wiem.

- W połowie drogi między Dortmundem i Lammersdorfem. Sprawdzicie odległość na mapie i wpiszeć stan licznika do dokumentu przewozowego. Mogę na was liczyć?

- Tak jest, panie pułkowniku.

- Widzę, że z jednostkami specjalnymi można się dogadać.

- Służyłem przedtem w GSG.

- To widać, sierzancie. Dobra. Ja się teraz zajmę tym picusiem, a wy róbcie swoje. Aha, muszę jeszcze przedtem pójść do kancelarii.

Sierzant Stuhr przepadał za takimi sytuacjami. Już w GSG miał okazję, aby się przypatrzeć prawdziwemu życiu elity władzy: nieraz spędzał całe noce w obstawie różnych ważnych osób. A odkąd został komandosem, wyżył się ostatecznie wszelkich złudzeń. Każda możliwość wykiwania tych z Bonn wydawała się Stuhrowi pożądana. Gdyby sierżant

otrzymał rozkaz wylądowania ze spadochronem na dziedzińcu pałacu prezydenckiego i porwania starego durnia, Bonkowa - uczyniłby to bez wahania.

Podczas gdy komendant Bazy rozmawiał z sierżantem Stuhrem, kapitan von Riesenthal wyszedł przez tę nieszczęsną furtkę poza teren Bazy (w innych bazach z bronią neutronową nie było żadnego innego wejścia oprócz głównej bramy wjazdowej, otwieranej przez sygnał radiowy) i zobaczył stojący przed nią konwój wozów, używanych do transportu głowic neutronowych. Żołnierze konwoju nie należeli wprawdzie do rozmownych, ale kapitan umiał rozmawiać z żołnierzami. Po trzech minutach Kuno von Riesenthal wiedział już wszystko, co chciał wiedzieć. Teraz dopiero zrozumiał, dlaczego kanclerz wysłał go w tak dziwną i nagłą misję. To było coś więcej niż zwykły bałagan. O trzydziści kilometrów od granicy NRD! Szlify majora były pewne, a i dalsza kariera zapowiadała się nieźle.

Kuno von Riesenthal pomyślał, że jednak szczęście mu sprzyja. Wrócił na teren Bazy i dostrzegł komendanta, rozglądającego się po terenie między stanowiskami składowania.

- No więc, panie pułkowniku - powiada von Riesenthal - zakończyłem swoje czynności. Jeszcze tylko wyjaśnimy sprawę tej dziwnej przesyłki i przestanę sprawiać panu kłopot. Co panu powiedział ten sierżant?

- Przywiózł z Tajnej Bazy nr 4 części mechaniczne do wyrzutni raketowych ziemi-ziemia. To są bardzo nowoczesne konstrukcje i stąd tyle tajemniczości.

- Z Tajnej Bazy nr 4? To ciekawe. Byłem tam dwie godziny temu i nic mi nie mówiono o żadnych częściach do wyrzutni. Sprawdziłem nawet książki magazynowe.

Komendant peszy się, ale tylko na chwilę.

- To jest prawdopodobnie przesyłka specjalna, poza normalnym obiegiem magazynowym. Czasem się to zdarza.

Kuno von Riesenthal patrzy komendantowi w oczy i mówi, cedząc słowo po słowie:

- Pan coś przede mną ukrywa, pułkowniku. Przykro mi, ale będę musiał wyciągnąć z tego wnioski. Ten konwój przywiózł z granicy francuskiej, a nie z Tajnej Bazy nr 4, jakiś tajemniczy ładunek, na który nie ma dokumentów. Pan zamierza go przyjąć i przechować u siebie z naruszeniem wszelkich przepisów w tej sprawie. Za chwilę zażadam od pana wyjaśnień, ale proszę mi na razie powiedzieć, gdzie jest ten sierżant, który dowodzi konwojem?

Komendant nie może już ukryć nagłej bladości twarzy; od frontowych czasów minęło już sporo lat, a sprawa stała się wyjątkowo paskudna.

- Sierżant Stuhr? Zdaje mi się, że poszedł do kancelarii. Ale nie wiem, doprawdy, na czym opiera pan swoje podejrzenia...

- Panie pułkowniku, mam rzeczywiście mniej lat, niż trwa pańska służba wojskowa, obawiam się jednak, że zanadto liczy pan na moje niedoświadczenie czy naiwność. Pan się chyba domyśla, że skoro kanclerz federalny wysłał mnie z misją podobnego rodzaju, musiał mieć swoje powody, aby powątpiewać o porządkach, jakie panują w naszej armii. Nie sądzi pan chyba, że zawiodę jego zaufanie.

- Wcale tak nie sądzę, panie kapitanie. Ale myślę czasem, jeśli pan pozwoli na chwilę szczerości, że młodzi oficerowie naszych sił zbrojnych nie mają w sobie dostatecznych...

- Czego nie mają?

- Dostatecznie silnych uczuć, że się tak wyrażę, patriotycznych.

- Interesująca koncepcja, panie pułkowniku. Pozwolę sobie zauważyć, że nazywam się Kuno von Riesenthal. Moi przodkowie służyli już pod Henrykiem Lwem, mój pradziad był generałem u Gneisenau'a, a mój ojciec dowodził korpusem podczas ostatniej wojny. Czyżby to była niewystarczająca dla pana legitymacja patriotyzmu?

- A ja - powiada nagle komendant, krztusząc się z gniewu - nazywam się Schmidt. Po prostu Schmidt. Mój ojciec był rzeźnikiem, mój dziad był parobkiem u książąt holsztyńskich. Dopiero w III Rzeszy poczułem, że jestem człowiekiem. Moje doświadczenie wskazuje, że panowie hrabiowie dwa razy w tym stuleciu przefrymarczyli sprawę niemiecką, a tylko prości żołnierze bronili naszych interesów.

- W SS?

- Tak. Również w SS.

- Czasy się zmieniły, panie pułkowniku. Nikt panu nie czyni wyrzutów z powodu służby w SS, ale jeśli za jedyną wykładnię niemieckiego patriotyzmu uznaje pan nadal wskazania Führera...

W tym momencie podchodzi do obu rozmawiających oficerów sierżant Stuhr.

- Panie pułkowniku, melduję, że wszystkie formalności są załatwione.

Von Riesenthal spogląda na sierżanta jak na powietrze.

- Sierżancie - mówi oschłym, służbistym tonem. - Proszę mi okazać dokumenty transportu, który tu przywieźliście.

- Tak jest, panie kapitanie - mówi z uśmiechem Stuhr i wyciąga z kieszeni wypisany przed pięcioma minutami dokument przewozowy.

Von Riesenthal rzuca okiem na arkusz i zwraca dokument Stuhrowi.

- Jesteście winni trzech przestępstw równocześnie, a za każde grozi oprócz kary dyscyplinarnej również kara więzienia. Po pierwsze, świadomie wprowadzacie w błąd przełożonego, to znaczy pułkownika Schmidta, okazując mu nieprawdziwe dokumenty. Po

drugie, fałszujecie dokument wojskowy, ponieważ jest w nim podana fałszywa odległość przewozu, fałszywe miejsce załadowania i sfałszowany podpis wystawiającego dokument. Po trzecie, świadomie utrudniacie inspekcję najwyższego dowództwa wojskowego, co skłania do podejrzenia, że nie działacie sami, lecz w zмовie z jakimiś innymi ośrodkami. Wystarczy, żeby was posłać pod sąd. Pokażcie mi swoją książeczkę wojskową.

Sierżant Stuhr przypomina teraz buldoga szykującego się do skoku.

- Gówno - cedzi przez zęby. - Zjeżdżaj stąd, ty picusiu!

Von Riesenthal sięga ręką do pasa, lecz zmienia zamiar, gdyż Stuhr szykuje się do ciosu. Tą samą prawą dłonią kapitan bije Stuhra z rozmachem w twarz. Raz, drugi, trzeci. Stuhr zwija się w kłębek, odskakuje, uderza głową w podbrzusze von Riesenthala, poprawia pięścią w skroń. Von Riesenthal rozciąga się bezwładnie na przystrzyżonym trawniku.

- Co z nim teraz zrobić? - mówi przez zęby Schmidt. - Stuhr, po co to zrobiliście? Nie ma rady, trzeba go gdzieś uprzętnąć. Jakiś wypadek... upadek... bo ja wiem? To jest adiutant kanclerza.

- Ja się tym zajmę, panie pułkowniku - odpowiada zdyszany Stuhr. - Ja go już gdzieś umieszczę, niech pan będzie spokojny.

- Dobra, Stuhr. Wasza głowa w tym, żeby tu nie miał kłopotów. Teraz każcie waszym chłopcom wjechać tutaj z majdanem.

Przez główną bramę, otwartą sygnałem radiowym od wewnątrz, wjeżdżają trzy ciężarówki konwoju, a równocześnie wojskowy łazik, prowadzony przez Stuhra, opuszcza teren TB 3. Na tylnym siedzeniu łazika leży bezwładnie kapitan Kuno von Riesenthal. Obok niego siedzi milczący, ponury kapral z załogi Stuhra. Nic jeszcze nie wie o przyczynach, dla których tego przystojnego kapitana znokautowano do nieprzytomności, ale kaprala wzięto do jednostek specjalnych dlatego, że nie zadawał głupich pytań.

Major Zoppke patrzy na to z kabiny śmigłowca, ale nie reaguje, choć właściwie powinien odzyskać bezpiecznik od radiostacji, znajdujący się w kieszeni von Riesenthala. Woli jednak nie mieć z tym nic wspólnego.

O godzinie 17.00 łazik zajeżdża na leśną drogę, gdzie stoi zaparkowany wóz transportowy z głowicą o podwyższonym poziomie promieniowania. Stuhr wręcza kapralowi kluczyk, każe mu otworzyć kabinę kierowcy i zluzować rygle ładowni. We wnętrzu lśni bladą poświatą obły, srebrzysty kształt.

Stuhr zaciska szczęki, chwyta za nogi kapitana von Riesenthala, krzyczy na kaprala, aby trzymał za łokcie, a nie za dłonie, po czym obaj z rozmachem wrzucają kapitana do wnętrza wozu, tuż obok głowicy. W tym momencie von Riesenthal odzyskuje przytomność,

usiłuje coś krzyżeć, ale Stuhr błyskawicznie zatrzaskuje pancerne drzwi ładowni. Kapral zamyka kabinę i oddaje klucz sierżantowi.

Sierżant Stuhr myśli, że jeżeli nawet wóz zostanie odnaleziony, ten wymuskany kapitan dostanie taką dawkę promieniowania, że go wyniosą nogami do przodu za kilka godzin. Ktoś, kto sierżanta Stuhra uderzył w twarz, może nie liczyć, że mu to ujdzie płazem.

W dwadzieścia minut później konwój sierżanta Stuhra opuszcza Tajną Bazę nr 3 i kieruje się z powrotem na zachód, do miejsca postoju jednostki specjalnej.

Stuhr włącza radio i z zadowoleniem wysłuchuje jazgotu zdyszanych sprawozdawców. Zdaje się, że na chwilę świat zatrzęsł się w posadach. Na to wygląda, sądząc z hysterii w eterze. Sierżant sztabowy Stuhr doznaje zadowolenia, że wykonał swoje zadanie w sposób przynoszący satysfakcję. Ten śliczny picuś ma za swoje. A Stuhrowi włos z głowy nie spadnie.

Komentator rozgłośni *ADF* powiada właśnie, że prezydent Harrison wstępnym bojem wygrał pojedynek z opinią publiczną i najprawdopodobniej nie grozi mu już dochodzenie senackie. Nikt przy zdrowych zmysłach, może z wyjątkiem jakichś niepczytalnych pacyfistów, nie będzie przecież domagał się ustąpienia przywódcy, który okazał tyle zimnej krwi w momencie nieszczęścia. Teraz, mówi komentator, pora na kanclerza RFN. Cała Europa będzie słuchać o dziewiętnastej, co ma do powiedzenia własnemu narodowi i sojusznikom kanclerz Dagobert Lüttner.

Podpułkownik Johann Schmidt, komendant Tajnej Bazy nr 3, przeciera czoło, po czym zamyka się w swym gabinecie. Wypija duszkiem szklanę koniaku. Z ukrytego w ścianie sejfu wyciąga coś, co mu zawsze pomaga w chwilach przemęczenia i napięcia. Jest to album ze starymi fotografiami z czasów wojny. Za okładką albumu ukryte są różne stare dokumenty, legitymacje, listy gratulacyjne od Standartenführern Obsta, a także banknoty z różnych krajów, w których los zdarzył bywać Johannowi Schmidtowi. Najosobliwszy z nich pochodzi z getta w mieście, które nazywało się wówczas Litzmannstadt. Johann Schmidt miał tam wówczas sporo zajęć i wyciągnął ten banknot z czapki jakiemuś pejsatemu brodaczkowi. Wkrótce potem getto przestało istnieć i te śmieszne papierki straciły jakąkolwiek wartość. Przyjemnie to wszystko powspominać.

Podpułkownik Schmidt zamyka album, spogląda na zegarek i sięga po telefon, aby zameldować, że *operacja Nietoperz* dobiegła końca. Jego rozmówcą będzie podpułkownik Heinz Pionteck. Z Wehrmachtu co prawda, ale zdrowo myślący.

Kapitan Kuno von Riesenthal odzyskał na dobre przytomność w pół godziny po odjeździe sierżanta Stuhra. Wnętrze wozu było zupełnie ciemne i bardzo chłodne. Kapitan

namacał koło siebie obły, metalowy kształt, co do którego nie miał wątpliwości. Wiedział, że była to głowica atomowa; szybko się domyślił, że została skradziona lub nielegalnie przewożona z jednego miejsca na drugie; nie miał wątpliwości, że komendant Tajnej Bazy nr 3 i sierżant Stuhr musieli należeć do jakiejś konspiracyjnej organizacji.

Kuno von Riesenthal nie wiedział tylko, że w każdej sekundzie pobytu w zamkniętym wnętrzu wozu transportowego w jego ciało biją niewidoczne, zabójcze, bezlitosne promienie.

Z głodu, zimna i oszołomienia po uderzeniach Kuno von Riesenthal ponownie stracił przytomność. Odzyskał ją dopiero około godziny 23.00, kiedy wóz pancerny zatrząsł się od uderzenia. Kapitan pomyślał, że ratunek nadchodzi w samą porę, ponieważ czuł się coraz gorzej.

Nie był to jednak ratunek.

Do lasu, w którym stał wóz nr 3, wjechał niewielki samochód sportowy. Prowadził go pewien młody inżynier, a pasażerką była znacznie starsza od niego aktorka ratyzbońskiego teatru. Oboje mieli zamiar przeżyć przygodę w nocnym lesie. Inżynier dobrze znał ten fragment drogi, nie oczekiwał na niej żadnych niespodzianek. Kiedy za kolejnym zakrętem wyrósł potężny, nie oświetlony masyw wozu transportowego - było już za późno. W ciągu ułamka sekundy nastąpiło lekkie uszkodzenie kręgosłupa, złamanie obu nóg, czterech żeber i obojczyka. Aktorka odniosła lżejsze obrażenia. Około północy otrząsnęła się z szoku, wypęzła ze zmiążdżonego samochodu i poszła przez las szukać pomocy. Przez chwilę odniosła wrażenie, że z wnętrza wozu transportowego słychać jak gdyby jakieś głosy, lecz szybko położyła to na karb niesprawności własnych zmysłów.

Pogotowie przyjechało do lasu dopiero o godzinie 1.30, gdyż aktorka nie umiała odnaleźć drogi i kilkakrotnie mdlała podczas jazdy. Inżyniera przewieziono do szpitala.

Dyżurny laborant, który badał krew inżyniera dla potrzeb szukającej się transfuzji, zadumał się przez chwilę nad mikroskopem, ponieważ krew pacjenta przypominała krew osób chorych na białaczkę. Lekarz, któremu laborant to zakomunikował, zachnął się i odrzekł, że nie ma czasu na studia kliniczne. Jednakże w sobotę rano nie ulegało wątpliwości, że pacjent cierpi na dziwną, galopującą chorobę krwi. Krwinki topniały po prostu w oczach, płytki krwi rozpadały się, osocze sprawiało wrażenie piany. Krew bluzgała z pacjenta jak z dziurawego worka; trzy kolejne transfuzje nic nie pomagały. Ordynator bąknął, że przypomina mu to jednak chorobę popromienną. Początkowo koledzy wydrwili ten domysł, ale koło południa choroba popromienna była już jedynym wytłumaczeniem zgonu pacjenta. Zawiadomiono policję i dodatkowo Urząd Ochrony Konstytucji. Sprawdzono szybko, że inżynier nie miał żadnej styczności z materiałami radioaktywnymi. Kiedy zaś okazało się, że

krw rannej aktorki też wykazuje pewne nieprawidłowości, choć w mniejszym stopniu - skojarzono wreszcie wszystko z wypadkiem w lesie.

W ten sposób około godziny 13.30 w sobotę sprowadzony przez policję spawacz rozciął palnikiem pancerne drzwi wozu transportowego.

Wewnątrz, w kałuży krwi i skrzepniętych wymiocin, skręcony jak pień nadmorskiej sosny, z wyrazem nieopisanej udręki na twarzy, leżał martwy kapitan Kuno von Riesenthal.

LV

Odkąd elektroniczne maszyny cyfrowe weszły do powszechnego użytku i stały się najposłuszniejszym niewolnikiem człowieka, skłonny wypełnić nawet jego najdziwniejsze polecenia, rozpoczął się trwający do dziś wyścig między tym, co określono żartobliwie jako *duszą komputera*, zwaną z angielska *software*, a jego fizyczną konstrukcją, o której mawia się bez szacunku *hardware*, czyli żelastwo.

Nawet najlepsze konstrukcje elektroniczne byłyby zupełnie bezużyteczne, gdyby nie istniał przemyślny sposób porozumiewania się z nimi, gdyż z punktu widzenia ludzkich wyobrażeń o inteligencji komputery są debilne i nie pojmą nawet najprostszego rozkazu, jeśli nie został rozłożony na najprostsze elementy. Z drugiej jednak strony nawet najbłyskotliwszy program, do którego przygotowania potrzebny jest tylko długopis i kartka papieru, nie spełni wyznaczonych mu zadań, jeśli nie będzie można go zastosować do odpowiednio sprawnej, szybkiej maszyny, obdarzonej dostatecznie pojemną pamięcią wewnętrzną.

Komputery sił zbrojnych Stanów Zjednoczonych były zawsze prawdziwą arystokracją informatyki światowej: najnowocześniejsze i najbardziej niezawodne konstrukcje służyły najinteligentniejszym i najbardziej pomysłowym programom. Dlatego awaria systemu rozkazodawczego, jaka nastąpiła 12 czerwca, przeraziła amerykańskich informatyków wojskowych. Wadliwe połączenie końcówki *układu łańcuchowego* było następstwem błędu mechanicznego, który sam w sobie, jakkolwiek tak fatalny w skutkach, nie oznaczał jeszcze żadnego poważnego zagrożenia o charakterze strategicznym. W ciągu dwudziestu minut opracowano sposób, który miał raz na zawsze wykluczyć tego rodzaju pomyłki: błędne połączenie końcówek powoduje zwarcie w mostku kontrolnym i odłączenie komputera rozkazodawczego. Aż dziw, że nikt na to wcześniej nie wpadł. Może dlatego, że pomysł użycia zwyczajnego bezpiecznika wydawał się inżynierom zbyt prosty i banalny. Istnieje

niepisana zasada, znana wszystkim konstruktorom maszyn: najbardziej podatne na błędy są elementy najprostsze i najlepiej znane, nie zaś urządzenia eksperymentalne czy odznaczające się znacznym stopniem komplikacji.

Dlaczego jednak *układ łańcuchowy* skierował wszystkie rakiety w jedno miejsce? Informatycy zrozumieli, że przez długie lata Stany Zjednoczone były właściwie całkowicie bezbronne na wypadek wojny atomowej. Istota broni strategicznej polega na tym, że pierwsza salwa rakiet z ładunkami jądrowymi powoduje zniszczenie około tysiąca różnych celów na terytorium przeciwnika. Są to cele rozrzucone na całym ogromnym terytorium ZSRR i krajów Układu Warszawskiego, na innych kontynentach, na oceanach, w pobliskiej przestrzeni kosmicznej. Każda z rakiet powinna się sama skierować na inny cel. Co prawda nikomu nie jest on z góry znany, gdyż dopiero po użyciu modułu programowego przez prezydenta komputer wyznacza każdej rakiecie kurs, parametry trajektorii i punkt docelowy. Niemniej jednak zasada pierwszej salwy pozostawała nie zmieniona: żaden wariant wojny jądrowej nie przewidywał skierowania tylu rakiet w jedno miejsce na ziemi, w atmosferze lub w przestrzeni kosmicznej. Po prostu nie było takiej potrzeby. Tak zwany współczynnik nadzabijania od dawna już nie przekracza 2,25; inaczej mówiąc, w zupełności wystarczy dosięgnąć celu ładunkiem pozwalającym na zniszczenie celu dwa i jedną czwartą raza.

A zatem w systemie rozkazodawczym musiał tkwić jakiś straszny błąd, za który w wypadku wojny raketowo-jądrowej Stany Zjednoczone zapłaciłyby po prostu klęską.

Informatycy wykluczyli możliwość pomyłek w konstrukcji *hardware*. Centralny komputer w Omaha był zbudowany z elementów wielokrotnie sprawdzonych, o najwyższym stopniu niezawodności, starannie pokrytych pastą krzemową, testowanych pod ciśnieniem. Każdy obwód scalony, każde połączenie i każdą część mechaniczną poddawano próbom po stokroć surowszym niż w jakichkolwiek innych konstrukcjach. Całość aparatury była izolowana od wszelkich wstrząsów, utrzymywana w stałej temperaturze, kontrolowanej z dokładnością do dziesiątych części stopnia, i w stałej wilgotności. Niektóre szczególnie wrażliwe elementy pracowały w warunkach tak wysokiego podciśnienia, że można było mówić o próżni.

Błąd musiał zatem tkwić w *software*, czyli w oprogramowaniu centralnego komputera SAC. Komisja śledcza skoncentrowała więc wszystkie wysiłki na przetrząśnięciu *duszy komputera*, który nosił potoczną nazwę MACAS, od angielskich słów *Main Commanding and Analytical System* - główny system rozkazodawczo-analityczny.

Program dla MACAS-a miał postać grubej książki, liczącej prawie pięćset stron, gdyż każdy stan przerzutników i każdą operację w rejestrach pamięci wewnętrznej trzeba było

MACAS-owi podpowiadać z osobna. Miał on zresztą kilkanaście wejść i był zapewne największym komputerem wszystkich czasów, gdyby uznać, że sprzężone z nim systemy stanowią jego integralną część. Był połączony z centralnym systemem dowodzenia (czyli w praktyce z czarną walizeczką, którą nosił za prezydentem jego adiutant wojskowy), z amerykańskimi wyrzutniami raketowymi na całym świecie, z siecią satelitów zwiadowczych, telekomunikacyjnych i koordynacyjnych w kosmosie, ze stanowiskiem dowodzenia SAC. Jego pamięć zewnętrzna zawierała kilkadziesiąt trylionów informacji, przetwarzanych bezustannie, przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Gdyby symbole programu MACAS-a przełożyć na zrozumiały dla zwykłego człowieka język, a następnie skrócić je tak, aby się ułożyły w mniej więcej zrozumiałą całość, rozmowa z MACAS-em przypominałaby trochę monolog cierpliwego nauczyciela w szkole dla głęboko upośledzonych dzieci. W największym uproszczeniu brzmiała ona tak:

001. Rozpocznij pracę. Ogłoszono *alarm żółty*.

002. Zamelduj, czy jesteś zdrow i czy wszystkie twoje mechanizmy działają należycie.

0021. Jeżeli coś ci dolega, zamelduj, którą część swego mechanizmu uważasz za niesprawną.

0022. Jeżeli jesteś zdrow, zapal lampkę kontrolną nr 066. Sprawdź, czy twoje połączenia z innymi systemami działają należycie.

003. Sprawdź w rejestrze nr 1, czy wszystkie rakiety znajdują się w pozycji bojowej.

0031. Jeżeli wszystkie rakiety spełniają warunki programu nr 500, zapal lampkę kontrolną nr 067.

0032. Jeżeli któraś z rakiet nie znajduje się w pozycji bojowej lub nie spełnia warunków programu nr 500, to:

00321. ustal według programu nr 500 przyczyny niesprawności.

00322. zapal na tablicy kontrolnej numer niesprawnej rakiety.

00323. zapal na tablicy kontrolnej numer przyczyny niesprawności.

004. Zachowaj gotowość.

005. Jeżeli od momentu otrzymania rozkazu 004 upłynęło 180 sekund, wyłącz się i powróć do stanu 002.

006. Jeżeli ponownie otrzymałeś rozkaz 001, powtórz wszystkie czynności od 002 do 005.

007. Jeżeli od momentu otrzymania rozkazu 006 upłynęło 180 sekund, wyłącz się i powróć do stanu 002.

008. Jeżeli ponownie, po raz trzeci, otrzymałeś rozkaz 001, powtórz wszystkie czynności od 002 do 005, lecz:

0081. zasygnalizuj lampką nr 121, że trzykrotne przedłużenie *alarmu żółtego* jest niedozwolone.

0082. uprzedź oficera dyżurnego, że po ponownym, czyli czwartym, otrzymaniu rozkazu 001 poinformujesz o tym *ComOff* (dowódca strategicznych sił lotniczych) oraz *PreAid* (adiutant wojskowy prezydenta).

009. Czy ogłoszono *alarm zielony*? Jeżeli nie ogłoszono *alarmu zielonego*, wykonaj czynności od 0081 do 0082 i wyłącz się. Jeżeli ogłoszono *alarm zielony*, to:

0091. wydaj wszystkim rakietom rozkaz pełnej gotowości według programu B, który masz zanotowany w rejestrze pamięci nr 2.

0092. nadaj sygnał wywoławczy do satelity koordynacyjnego Beta.

00921. jeżeli Beta odpowie na sygnał wywoławczy, zawiadom sprzężony z tobą komputer w *Tracking Center*.

00922. jeżeli Beta nie odpowie na sygnał, zapal lampkę 144 i zamelduj o niesprawności.

0093. wyślij sygnał do *PreAid* i powtarzaj go tak długo, dopóki *PreAid* nie potwierdzi zgłoszenia.

010. Sprawdź, czy wszystkie sprzężone z tobą systemy działają sprawnie. Powtórz wszystkie operacje od 002 do 009. Ich czas trwania nie może przekraczać 130 milisekund. Jeżeli czas ten zostanie przekroczony, zapal lampkę nr 605, włącz automat i powtarzaj wszystkie czynności od 002 do 009, najpierw w normalnej sekwencji, potem odwrotnej. Zapal lampkę awaryjną w systemie Łączności Specjalnej.

011. Czy ogłoszono *alarm czerwony*? Jeżeli *alarmu czerwonego* nie ogłoszono, powtarzaj w odstępach pięciosekundowych czynności od 0091 do 0093. Jeżeli *alarm czerwony* ogłoszono, to:

0111. sprawdź, czy wszystkie ракety znajdują się w stanie pełnej gotowości do odpalenia.

001111. jeżeli którakolwiek z rakiet nie znajduje się w gotowości do odpalenia, postępuj jak po otrzymaniu rozkazu 0032.

0112. połącz się z systemem AWACS¹⁴ i w sposób ciągły informuj o tym,

¹⁴ AWACS - system wczesnego ostrzegania, zainstalowany na pokładach samolotów zwiadowczych o niskim pułapie i poddźwiękowej szybkości.

czego się dowiadujesz w oparciu o program nr 600.

0113. połącz się z satelitą koordynacyjnym *Beta II* i melduj o nawiązaniu łączności. Zapamiętaj, że jeżeli satelita jest sprawny, to i satelita *Beta II* też jest sprawny. Zapamiętaj, że dane satelity *Beta* są podawane w kodzie nr 8, który masz w pamięci nr 28.

0114. notuj w pamięci godzinę i źródło pochodzenia każdego rozkazu, jaki otrzymujesz. Jeżeli którykolwiek z rozkazów nie odpowiada programowi nr 600, wyślij ostrzeżenie do *ComOff* i *PreAid*.

0115. sprawdź stan pustego rejestru nr 3, melduj o niesprawnościach. Sprawdź stan rejestru zapasowego nr 4.

012. Czy otrzymałeś rozkaz z modułu programowego w *PreAid*? Jeżeli nie otrzymałeś, postępuj jak po otrzymaniu rozkazu 0011. Jeżeli rozkaz z *PreAid* otrzymałeś, to:

0121. porównaj program nr 700 z rozkazami modułu programowego. Wyniki porównania pokaż na tablicy świetlnej w sali operacyjnej SAC.

0122. wprowadź dane porównania do rejestru nr 3.

01221. jeżeli rejestr nr 3 jest niesprawny, wykonaj rozkaz 0122 w rejestrze nr 4.

0123. odbierz z rejestru nr 3 lub nr 4 dane dla każdej rakiety z osobna. Sprawdź, czy przewidywane trajektorie zgadzają się z założeniami programu nr 700. Sprawdź, czy wysokość maksymalna trajektorii odpowiada programowi nr 600. Sprawdź, czy został spełniony warunek C w programie nr 700. Sprawdź, czy wartość ładunków jądrowych odpowiada randze celów na terytorium nieprzyjaciela, zgodnie z warunkiem D w programie nr 700. Wskaźnik nadzabijania nie może być niższy od jedności i wyższy niż 2,25.

0124. przyłącz do swej pamięci satelitarny system zwiadowczy i informuj w sposób ciągły o wszystkim, czego się dowiadujesz. Jeżeli satelita dostrzeże nadlatującą ракетę nieprzyjaciela, poleć systemowi *Early Warning II*, aby obliczył jej przypuszczalną trajektorię i przekazał ci wszystkie parametry. Po otrzymaniu tych danych odpalaj kolejno antyrakiety zewnętrznego pierścienia obronnego aż do zniszczenia celu. Melduj o wykonaniu zadania. Wygaś odzworowanie rakiet przeciwnika na tablicy świetlnej po ich zniszczeniu.

0125. przyłącz do swej pamięci system analityczny dowództwa wojsk lądowych.

0126. przyłącz do swej pamięci system analityczny marynarki wojennej.
01261. przywołaj z pamięci nr 8 ostatnie informacje o miejscu zanurzenia strategicznych okrętów podwodnych, porównaj je z programem nr 800 i w sposób ciągły obliczaj przypuszczalne koordynaty kursu i miejsc zanurzenia okrętów. Rysuj na mapie świetlnej przypuszczalne kursy okrętów.
0127. przyłącz do swej pamięci system analityczny wojsk lotniczych.
0128. przyłącz do swej pamięci system analityczny straży przybrzeżnej.
0129. przyłącz do swej pamięci system analityczny piechoty morskiej.
01210. przyłącz do swej pamięci cały zasób pamięci N z systemów Agencji Wywiadu Obronnego. Uszereguj dane w następującym porządku: 01. wielkie zgrupowania wojsk, 02. ośrodki przemysłu zbrojeniowego, 03. centralne i lokalne ośrodki kierownictwa administracyjnego i partyjnego, 04. wielkie ośrodki przemysłowe klasy A, 5. wielkie ośrodki przemysłowe klasy B, 06. węzły komunikacyjne, 7. ujścia rzek, 08. zapadliny i rozległe wgłębienia terenu, 09. miasta powyżej miliona mieszkańców, 10. miasta od 0,5 do 1 mln mieszkańców, 11. miasta od 0,1 do 0,5 mln mieszkańców, 12. drogi przerzutowe kierunku wschód-zachód, 13. drogi rokadowe kierunku północ-południe. Sprawdź, czy kolejność niszczenia celów od 01 do 13 odpowiada założeniom programu nr 700 dla każdego kraju z osobna.
01211. zniszcz klucz elektroniczny do kodu szyfrowego *Sigma* Centralnej Agencji Wywiadowczej. Naucz się tego kodu i zatrzymaj go w rejestrze nr 5.
01212. przyłącz do swej pamięci zespolony system analityczno-informacyjny Centralnej Agencji Wywiadowczej.
01213. porównaj rozkazy modułu programowego z rozkazem 01212. Jeżeli istnieją różnice o stopniu ważności powyżej 0,4. informuj oficera dyżurnego SAC.
01214. Podziel terytorium nieprzyjacielskie na kwadraty o boku 55,5 mili. Uszereguj kwadraty w pasy i słupy.
01215. Wyeliminuj te kwadraty, na których nie ma celów od 01 do 06.
013. Czy jesteś zdrów?
014. Czy wszystkie rejestry twojej pamięci wewnętrznej i zewnętrznej pracują

należycie?

015. Czy pamiętasz program nr 1000?

016. Przemnóż 16447 przez 123456789, podnieś to do trzeciej potęgi i wyciągnij pierwiastek kwadratowy z liczby, jaką uzyskałeś. Napisz na czytniku zdanie kontrolne. Powinno brzmieć LIFE IS A TALE OF AN IDIOT FULL OF SOUND AND FURY. Jeżeli zdanie kontrolne nie zgadza się z tym, co wydrukowałeś, zamelduj o awarii i wykonaj rozkaz 0021.

017. Czy żadne z twoich wejść nie jest zablokowane?

018. Czy zapasowe rejestry nr 6, 7 i 8 są gotowe w każdej chwili do podjęcia operacji?

019. Czy ogłoszono *wypadek W7* Jeżeli nie ogłoszono, to powtarzaj czynności od 0121 do 01213 w sposób ciągły, a rozkazy od 013 do 018 co piętnaście sekund. Jeżeli *wypadek W* został ogłoszony, to:

0191. zewrzyj w stanowisku dowodzenia SAC sworzeń blokujący z lampką WOJNA.

0192. zapal lampkę nr 340 w *PreAid*,

0193. wydaj całą zawartość rejestrów 3 i 4 na tablicę świetlną SAC.

0194. zastosuj wewnętrzną blokadę logiczną w operatorze. Jeżeli rozkaz A przeczy rozkazowi B, suma twoich działań C musi być równa zeru.

0195. jeżeli z AWACS lub sieci satelitarnej otrzymasz informacje odpowiadające programowi nr 900, obliczaj w sposób ciągły trajektorie tych antyrakiet wewnętrznego pierścienia obronnego, które mają być odpalone dla zniszczenia rakiet nieprzyjaciela zgodnie z rozkazami modułu programowego. Nie wolno ci wydać rozkazu odpalenia tych antyrakiet, dopóki nie otrzymasz sygnału, że program nr 1000 zostaje uruchomiony.

0196. jeżeli z systemu CIA otrzymasz informacje, spełniające warunki programu 900, wydaj obsłudze rakiet rozkaz odliczania i podłączenia tlenu.

0197. Poleć satelicie *Argus*, aby obserwował skutki wybuchów w tych kwadratach terytorium przeciwnika, które zawierają cele od 01 do 06 i które wybrałeś w operacjach 01214 i 01215.

0198. Postaw w stan gotowości system ENLOCOMP (ciągłe obliczanie strat przeciwnika).

020. Czy jesteś zdrow? Powtórz zdanie kontrolne. Powtórz operację 016.

021. Włącz automatyczny system nawigacyjny wojsk lotniczych i przyłącz go do swej pamięci. Rysuj na tablicy świetlnej realne i założone kursy samolotów bojowych

eskadr pierwszego uderzenia. Analogowe wielkości plamek świetlnych, odpowiadających poszczególnym samolotom, rysuj w zależności wprost proporcjonalnej do mocy ładunku jądrowego, jaki znajduje się na pokładzie każdego samolotu.

0211. Jeżeli którykolwiek z samolotów którejkolwiek eskadry pierwszego uderzenia zbliży się do granic obszaru nieprzyjacielskiego na odległość mniejszą niż 0,75 założonego zasięgu, wydaj pilotom rozkaz zawrócenia w szyku zwartym *Seagull*, rozproszenia się według wzoru *M* oraz ponownego uformowania się w szyk bojowy *Sealion*.

0212. Jeżeli czynność 0211 będzie trwała krócej niż 360845 milisekund lub dłużej niż 371880 milisekund (te dane uzyskaj od satelity koordynacyjnego *Beta* i porównaj je z danymi od satelity *Beta II*), to powtórz pilotom rozkaz 0211.

022. Wyślij do samolotów eskadr pierwszego uderzenia sygnał WAR EMERGENCY i odblokuj zamki elektroniczne kaset z marszrutami lotów nad cele na terytorium nieprzyjaciela.

023. Porównaj łączną moc niszczyielską ładunków jądrowych na pokładach samolotów z potencjałem jądrowym raket, gotowych do odpalenia w czasie pierwszej salwy na cele od 01 do 03.

024. Oblicz przypuszczalny czas dotarcia samolotów eskadr pierwszego uderzenia nad cele na terytorium nieprzyjaciela. Informacje o sile wiatru uzyskaj od satelity meteorologicznego *WM-2*. Informacje o dewiacji magnetycznej uzyskaj od satelity geodezyjnego *MAS-65*. Informacje o możliwych środkach przeciwdziałania nieprzyjaciela uzyskaj od zintegrowanego systemu zwiadu CIA.

025. Czy otrzymałeś rozkaz odpalenia pierwszej rakiety określonej dalej jako N-1? Jeżeli go nie otrzymałeś, powtarzaj w sposób ciągły czynności od 0191 do 0196. Jeżeli otrzymałeś ten rozkaz, to:

0251. wywołaj z pamięci trajektorię, kurs i punkt docelowy rakiety N-1.

0252. wyniki operacji 0251 przekaz do układów sterowniczych rakiety N-1.

0253. wydaj załodze wyrzutni N-1 rozkaz uruchomienia zapłonu.

0254. wydaj satelitom *Beta* i *Beta II* rozkaz prowadzenia rakiety N-1 na punkt docelowy. Wydaj im rozkaz, aby w razie zakłóceń w łączności radiowej przekazały prowadzenie rakiety N-1 satelicie *Gamma*.

002541. Jeżeli satelita *Gamma* nie zgłosi się na wezwanie, nawiąż

kontakt z satelitą *Gamma I* i postępuj według rozkazu 0254.

0255. włącz system nawigacji gwiazdnej dla rakiety N-1.

0256. porównaj rozkaz modułu programowego ze stanem gotowości następnych rakiet przewidzianych do odpalenia.

026. Przekaż informację 0256 do linii opóźniającej *układu łańcuchowego*. Sprawdź liczbową wartość opóźnienia. Powinno ono wynosić D, to znaczy od 43 minut 45 sekund do 44 minut 20 sekund. Jeżeli wartość przypuszczalnego opóźnienia w układzie łańcuchowym przekracza te wartości, to:

0261. jeżeli wartość opóźnienia jest mniejsza od wartości D, to przyspiesz działanie układu opóźniającego zgodnie z programem 1000-A.

0262. jeżeli wartość opóźnienia jest większa od wartości D, to opóźnij działanie układu opóźniającego zgodnie z programem 1000-B.

027. Czy jesteś zdrow? Powtórz zdanie kontrolne. Powtórz operację 016.

028. Czy rakieta N-1 przebyła już 0,333 odległości do celu? Jeżeli nie przebyła, zamelduj o gotowości do dalszego wyczekiwania. Jeżeli przebyła, wyślij sygnał do rakiet N-2 oraz N-3.

029. Sprawdź stan gotowości wszystkich silosów.

030. Sprawdź stan wszystkich podłączonych systemów. Melduj o niesprawnościach.

031. Wyślij sygnał pełnej gotowości startowej do rakiet N-4...N-66. Wyślij rozkaz podłączenia tlenu.

0311. Jeżeli rakiety od N-4 do N-66 są gotowe do odpalenia, sprawdź, czy przypisane im cele na terytorium przeciwnika nie zostały skreślone z rejestru pamięci systemu CIA.

0312. Jeżeli system CIA zmienił rangę celów od 06 do 13 w którymkolwiek z krajów nieprzyjacielskich, wprowadź te zmiany do swej pamięci operacyjnej nr 2 i zmień odpowiednio cele dla rakiet drugiej salwy.

032. Czy rakieta N-1 osiągnęła cel na terytorium nieprzyjacielskim? Jeżeli nie osiągnęła, powtórz czynności od 029 do 031. Jeżeli osiągnęła, porozum się z satelitami *Beta*, *Beta II*, *Gamma*, *Gamma Iom Saturn*. Uzyskaj od systemu ENLOCOMP odpowiedź, czy zniszczenie celu było całkowite, czy częściowe. Oblicz przypuszczalną trwałość skażenia radioaktywnego i zasięg skażenia. Poinformuj stanowisko dowodzenia SAC. Wyślij sygnał niszczący satelitę *Beta*. Wyślij sygnał niszczący satelitę *Beta II*.

033. Pozostawaj w gotowości. Jeżeli otrzymasz rozkaz 025, to powtórz czynności od

0251 do 0256.

034. Jeżeli nie otrzymujesz dalszych rozkazów z SAC ani z *PreAid*, to:

0341. wydaj rozkaz do *układu łańcuchowego* i przełącz swój własny program od czynności 029 do 032.

0342. jeżeli do *układu łańcuchowego* nie dojdą dodatkowe rozkazy z *PreAid*, zniszcz barierę elektroniczną S-3 między pamięcią *układu łańcuchowego* i twoim urządzeniem wyjściowym.

00343. uruchom specjalną pamięć w rejestrze nr 12, wybierz taką liczbę celów na terytorium nieprzyjacielskim, która będzie odpowiadać iloczynowi rakiet w *układzie łańcuchowym* razy moc ładunków jądrowych w tych rakietach, zoptymalizuj strategię konfliktów C-12 i zlikwiduj rozkazy modułu programowego.

00344. zgodnie z optymalizacją 0343 wydaj rozkaz rakietom *układu łańcuchowego*, aby wystartowały niezależnie od instrukcji lub braku instrukcji obsługi naziemnej i wzięły kurs według systemu nawigacji gwiazdowej, jak w rozkazie 0255.

035. Czy rakiety *układu łańcuchowego* osiągnęły zamierzone cele na terytorium nieprzyjaciela? Jeżeli nie osiągnęły, powtarzaj czynność 0343 i 0344. Jeżeli osiągnęły, a system ENLOCOMP już nie działa, uzyskaj od satelity *Force* informacje o stopniu zniszczenia. Porównaj stopień zniszczenia z programem prawdopodobieństwa w rejestrze pamięci nr 19. Jeżeli procent prawdopodobieństwa (zabita ludność razy zniszczone budynki razy promień rażenia podmuchem razy promień skażenia) przekracza 0,5 - wyłącz się. Jeżeli procent prawdopodobieństwa jest mniejszy od 0,5, powtórz operację 0343 i 0344.

036. Dopóki nie otrzymasz sygnału „nie”, powtarzaj czynność 035 w sposób ciągły.

037. Jeżeli wszystkie satelity nawigacyjne uległy zniszczeniu i nie możesz się z nimi porozumieć, włącz pamięć nr 22 i porównaj jej zawartość z pamięcią nr 3 scalonego systemu CIA. Powtarzaj czynność 035 do 036 dopóty, dopóki pamięć systemu CIA nie zostanie wyczerpana. Zapamiętaj, że cele od 01 do 13 muszą być zniszczone całkowicie, bez względu na straty własne.

038. Wydaj rozkazy wszystkim samolotom eskadr pierwszego uderzenia, aby osiągnęły przewidziane cele na terytorium nieprzyjaciela. Poleć pilotom, aby po wykonaniu zadania wracali do baz dowolnym kursem.

039. Uruchom system Jednorazowej Łączności z okrętami podwodnymi i porównaj

ich przypuszczalne miejsce zanurzenia z aktualnym wykresem, według rozkazu 01261. Wydadz dowódcóm okrétów rozkaz równoczesnego odpalenia wszystkich ładunków jądrowych w kierunku wcześniej ustalonych celów na terytorium nieprzyjacielskim.

040. Nie sprawdzaj, czy jesteś zdrów. Zapamiętaj, że po przekroczeniu progu operacji 038 masz swobodę działania, z wyjątkiem kierowania rakiet na terytorium własne.

041. Wydadz rozkaz zniszczenia własnych obwodów operacyjnych. Wydadz rozkaz zniszczenia rezerwowych satelitów. Zniszcz własną pamięć wewnętrzną. Uruchom ładunek wybuchowy M w miejscach E-4, E-5, E-14 i E-18. Wyłącz się. Koniec.

Kiedy nadzwyczajna komisja, powołana przez prezydenta Harrisona i szefa Połączonych Sztabów, generała Tumblesona, zaczęła studiować program dla MACAS-a, jej pierwsze wrażenie sprowadziło się do podziwu. Był to najdoskonalszy program, jaki kiedykolwiek wymyślono dla komputera. Na tyle precyzyjny, aby odpowiadał potrzebom maszyny centralnej, i na tyle zarazem uogólniony, poprzez połączenie z innymi programami, żeby błąd można było odnaleźć natychmiast.

Trwało to jednak półtorej godziny, zanim pewien młody podporucznik marynarki wojennej, niejaki Dan Shubel, wykrzyknął triumfalnie, że wie już, na czym polega błąd. Dwudziestu pięciu członków komisji śledczej spojrzęło na niego z niedowierzaniem, ponieważ program wydawał się im szczytem przejrzystej logiki.

Dan Shubel spostrzegł, że między rozkazem 026 i 0341 istnieje nie tyle może logiczna sprzeczność, gdyż wtedy MACAS wyłączyłby się sam, co raczej fatalne założenia intelektualne. Cały program MACAS-a był przygotowany na jeden tylko wariant: pełnej wojny nuklearno-rakietowej. Uruchomienie *układu łańcuchowego* następowało w sytuacji, kiedy wszystkie ośrodki dowodzenia, włącznie z prezydentem, dowództwem SAC i systemem satelitarnym, zostały zniszczone. Brak rozkazów powyżej operacji 035 był sam przez się rozkazem dla *układu łańcuchowego*. Nikomu najwidoczniej nie przyszło do głowy, że strategiczna broń rakietowa Stanów Zjednoczonych może być kiedykolwiek użyta pojedynczo, selektywnie, dla zniszczenia jednego określonego obiektu. Troska o zniszczenie przeciwnika obróciła się więc we własne przeciwieństwo: rakiety pierwszej salwy uległy odpaleniu niemal na ślepo.

W dalszym ciągu jednak nie wyjaśniało to zagadkowej kwestii, dlaczego wszystkie rakiety drugiej salwy zostały skierowane w jedno miejsce. I to akurat tam, gdzie wymierzono pierwszą raketę nr 1731. Gdyby spadły na terytorium przeciwnika, na z góry określone cele,

można by to jeszcze zrozumieć. Ale dlaczego 85 rakiet podążyło, jak bezmyślne owce, w ślad jednej jedynej rakiety nr 1731?

Trwało to jeszcze półtorej godziny, zanim udało się ustalić przyczynę. Tym razem podporucznik Dan Shubel podzielił honor odkrycia z kapitanem Benjaminem Bikelem. Ponieważ program MACAS-a nie wykazywał żadnych więcej błędów logicznych, komisja zaczęła się przypatrywać programowi nr 1000, to znaczy programowi, który przewidywał wszystkie działania na wypadek drugiej fazy wojny jądrowej.

Tam właśnie stwierdzono koszmarny, niewiarygodny błąd. W operacji 1000-01-0032 ktoś - maszynista? programista? naczelny informatyk? - wpisał zamiast słowa *if* słowo *and*. Prawidłowy rozkaz dla MACAS-a powinien brzmieć: jeżeli nie otrzymasz innych rozkazów, skieruj następne rakiety w to samo miejsce. W praktyce polecono komputerowi, aby wystrzelił rakietę N-1 oraz skierował następne rakiety z drugiej salwy w to samo miejsce, obliczone przez satelity koordynacyjne. Rozkaz ten był wprawdzie sprzeczny z zawartością pamięci operacyjnej komputera CIA, jednakże w programie nr 1000 zabrakło rozkazu, aby MACAS sprawdził zawartość pamięci i porównał ją z otrzymanym właśnie rozkazem.

To wszystko. Kilkanaście symboli, zapisanych na krążku o średnicy 12 centymetrów. Czyjeś znużenie, przeoczenie, roztargnienie. Jeden jedyne błąd na sto dwadzieścia trzy tysiące osiemset szesnaście instrukcji.

Komisja specjalna sporządziła raport dla prezydenta Harrisona. Miał on postać dwóch kartek maszynopisu i sprowadzał się do wniosku, że przyczyna błędu została ustalona, wykryta i skorygowana. Komisja zapewniała, że teraz po usunięciu błędu amerykański system rozkazodawczy będzie działał niezawodnie.

Komisja zajmowała się tylko tą częścią systemu rozkazodawczego, który jej udostępniono, i nie uważała się za dostatecznie kompetentną, aby wnioskować o czymkolwiek innym.

LVI

Kiedy wiadomość o śmierci kapitana von Riesenthala dotarła do kanclerza Lüttnera, zostało zarządzone natychmiastowe śledztwo. Kanclerz był wyjątkowo przywiązany do swego adiutanta. Uznał też, że wysyłając von Riesenthala w tę niebezpieczną, jak się okazało, misję, ponosi moralną odpowiedzialność za jego tragiczną śmierć. Dagobert Lüttner nie

wierzył ani przez chwilę w kryminalne podłoże zabójstwa i był przekonany, że energiczne, uczciwe śledztwo musi doprowadzić do ustalenia sprawców zabójstwa. Bez względu na to, kto stał za tym zabójstwem. Ostatecznie, znaleziono wóz transportowy Bundeswehry, których to wozów nie ma w Republice Federalnej tak wiele. Poza tym policja zabezpieczyła na miejscu wypadku liczne ślady. Fakt znalezienia kolejnej głowicy neutronowej wiązał śmierć von Riesenthala z tym wszystkim, co się od rana działo w RFN w ten feralny piątek.

Śledztwem pokierował osobiście pułkownik Paul Krenzlau, szef wydziału zadań specjalnych w Generalnym Inspektoracie, człowiek o nienagannych referencjach politycznych i wzorowej karierze służbowej. Został on zarekomendowany ministrowi Grauderowi przez szefa gabinetu, pułkownika Schlafflera. Minister nie miał wielkiego wyboru i po dłuższym namyśle również zarekomendował Krenzlaua kanclerzowi jako człowieka odpowiedzialnego i godnego zaufania.

Pułkownik Krenzlau rozpoczął swoje czynności służbowe od krótkiej, rzeczowej rozmowy z dawnym kolegą frontowym, którego nazwisko brzmiało Karl-Heinz Pionteck. Następnie dobrano starannie ekipę śledczą, której skład znów zatwierdził pułkownik Schlaffler. Założono akta sprawy. Krenzlau udał się osobiście na miejsce wypadku, omijając znajdującą się w pobliżu Tajną Bazę nr 3, jak gdyby była zapowietrzona.

W nocy z soboty na niedzielę grupa śledcza przygotowała raport dla kanclerza, podpisany przez szefa wydziału zadań specjalnych.

Pułkownik Krenzlau stwierdził, że porzucony wóz transportowy został w piątek rano skradziony ze stanu pewnej jednostki saperskiej. (W istocie wypadek taki miał miejsce; wóz wprawdzie odnaleziono, ale - o czym oczywiście kanclerz wiedzieć nie mógł - ludzie Organizacji zajęli się jego szybkim i bezpowrotnym zniszczeniem). Kradzieży wozu dokonali najprawdopodobniej agenci strefy wschodniej. Kapitan von Riesenthal, jak świadczą charakterystyczne obrażenia na jego zwłokach, walczył z napastnikami bardzo dzielnie, broniąc się zapewne przed porwaniem lub usiłując udaremnić przewóz głowicy. Okoliczności, w których to nastąpiło, nigdy zapewne nie zostaną wyjaśnione, gdyż na miejscu wypadku, wbrew początkowym twierdzeniom policji, znaleziono wyłącznie ślady samochodu osobowego, który wpadł na wóz transportowy, a także pojedyncze odciski stóp, pochodzące sprzed trzech i pięciu dni. Licznik wozu transportowego wskazuje dokładnie tę ilość kilometrów, jaka dzieli jego macierzystą jednostkę saperską w Bawarii od miejsca wypadku. Należy zatem wykluczyć, aby sprawcy porwania głowicy nr 2 o mocy stu kiloton zbaczali gdzieś po drodze.

Powody, dla których kapitan von Riesenthal znalazł się akurat w tym miejscu, są

niemożliwe do odtworzenia. Wiadomo, że wczesnym popołudniem dokonał inspekcji w Tajnej Bazie nr 4, natomiast nigdy nie dotarł do znajdującej się niedaleko miejsca wypadku Tajnej Bazy nr 3. Pilot śmigłowca dyspozycyjnego ministra obrony, major Zoppke, stwierdza stanowczo, że von Riesenthal nie miał zamiaru dostać się do TB 3, lecz kazał wylądować w szczerym polu i oddalił się bez wyjaśnień. Wyklucza to bez reszty jakikolwiek związek między morderstwem, popełnionym na Riesenthalu, a ewentualną inspekcją w TB 3. Major Zoppke zeznaje, że zachowanie von Riesenthala było przez cały czas inspekcji dziwne, pełne nerwowości i niezbyt zrozumiałych reakcji. Lądowanie w szczerym polu nastąpiło na wyraźny rozkaz von Riesenthala, przy czym rozkazowi nie towarzyszyły żadne wyjaśnienia. Nie jest również jasne, w jaki sposób porwana z TB 6 głowica neutronowa znalazła się w jednostce saperskiej aż w Bawarii, gdzie ją załadowano na skradziony wóz. Przypuszczalnie agenci strefy wschodniej usiłowali ją przewieźć okrężną drogą w pobliże granicy na Łabie. Są to jednak szczegóły, które zostaną ustalone w toku późniejszego śledztwa. Na razie pułkownik Krenzlau stwierdza, że nie istnieją dowody, wskazujące na inną niż podana w raporcie wersję wydarzeń. Kapitan von Riesenthal padł ofiarą agentów strefy wschodniej - i to jest chwilowo wszystko, co na ten temat wiadomo.

Krenzlau postulował, aby dalsze śledztwo, z uwagi na jego pozawojskowy charakter, przeszło obecnie w ręce Urzędu Ochrony Konstytucji. Raport pułkownika Krenzlaua w alarmujących słowach informował, że prawdopodobnie 26 lub nawet 28 osób miało styczność z głowicą, zanim stwierdzono, że wydziela ona nadmierne promieniowanie, osiągające obecnie około tysiąca dwustu jednostek. Osobom tym należy zapewnić natychmiastową opiekę lekarską. Jest to stosunkowo proste wobec policjantów i żołnierzy, o wiele jednak trudniejsze w przypadku dziesięciu lub dwudziestu osób cywilnych, które się znalazły w pobliżu głowicy. Między innymi kierowca karetki pogotowia, która przybyła pierwsza na miejsce wypadku, wykazuje lekkie na razie oznaki choroby popromiennej. Napromieniowaniu uległo również kilku żołnierzy jednostki specjalnej Adlershorst Süd, którzy zupełnie przypadkowo znajdowali się w pobliżu głowicy podczas przewidzianych planem ćwiczeń.

Poza tym powstaje palący problem dalszego postępowania z odnalezioną głowicą. Pułkownik Krenzlau powątpiewa, czy uda się znaleźć specjalistę, który w tej sytuacji podjąłby się rozbrojenia głowicy, ryzykując pewną śmierć wskutek napromieniowania. Pozostawienie głowicy w jakiegokolwiek bazie nie wchodzi w rachubę. Najlepiej byłoby ją po prostu eksplodować razem z napromieniowanym wozem, jednakże znalezienie odpowiedniego miejsca na dokonanie eksplozji wymaga decyzji politycznej rządu i

parlamentu oraz przygotowania opinii publicznej.

Co do pozostałych dziewięciu zaginionych głów, pułkownik Krenzlau nie miał żadnych informacji i nie usiłował nawet sugerować tropu dalszych poszukiwań. Sprawa nadal pozostała zagadką. Pułkownik Paul Krenzlau był zdyscyplinowanym członkiem Organizacji i nie zawarł w swym raporcie nawet jednego słowa, które mogłoby ułatwić adresatowi poszukiwanie rzeczywistych sprawców zabójstwa. Misja skończyła się dokładnie tak, jak to przepowiadali przez cały dzień kanclerzowi różni przyjaźni mu ludzie w rodzaju doktora Pfeifferra.

Tak więc i to śledztwo utknęło na martwym punkcie. Kanclerz Lüttner przekonał się jeszcze raz, że rządzenie Republiką Federalną tylko w teorii odbywa się z woli wyborców. A i wymiar sprawiedliwości też może napotkać nieoczekiwane przeszkody.

W poniedziałek, piętnastego czerwca, na niewielkim cmentarzu w Bad Godesberg odbył się wspólny pogrzeb dwóch młodych kapitanów Bundeswehry, którzy zginęli, jak to powiedział nad trumnami pastor, w służbie niemieckiej ojczyzny, na zaszczytnym posterunku. Dziedziczne dobra rycerskie obu tych młodych ludzi leżały daleko na wschodzie i od dawna zostały zmienione w państwowe gospodarstwa rolne. Rodowe cmentarze zarosły trawą, wiatr porozkruszał marmurowe nagrobki, dlatego ciała oficerów złożono nad Renem, który w końcu też jest niemiecką rzeką.

Kapitan Adalbert Richard von Wiprecht był pierwszą ofiarą tego tragicznego dnia. Zginął, jak zawsze ginęli żołnierze - od kuli.

Ale kapitan Ulrich Kuno von Riesenthal zmarł śmiercią epoki atomowej - w błocie własnego ciała, w kałuży własnej krwi, w cierpieniach, których opisać nie sposób.

Na obu tych mogiłach kończyła się na zawsze historia dwóch wielkich rodów rycerskich, które przez setki lat uznawały wojowanie za jedyną czynność godną mężczyzny.

LVII

Około godziny 12.05 czasu wschodnioamerykańskiego szef rezydentury CIA w Monachium, Palmer II, nadesłał do centrali w Langley obszerną depezę szyfrową, w której wyjaśnił dyrektorowi Agencji, kontradmirałowi Prescottowi, okoliczności wydarzeń minionego poranka.

Palmer II nie przyjmował do wiadomości postawionych mu zarzutów i dość

lakońicznie, żeby nie rzec, pogardliwie, odsuwał podejrzenie, jakoby działał wbrew instrukcjom.

Palmer II informował, że ze średnio wiarygodnych źródeł uzyskał informację, iż porwania główic z TB 6 dokonali znani z nazwiska agenci nieprzyjaciela. Nie można jednak tych informacji sprawdzić, gdyż człowiek, który ich dostarczył, umarł nagle na zawał serca (jeśli to był zawał serca), natomiast 22 ludzi Palmera II, rozlokowanych w różnych instytucjach i urzędach RFN, zostało jednocześnie aresztowanych.

Szef rezydentury CIA nie ukrywał, że jest to sytuacja zupełnie nowa i niemożliwa do wytłumaczenia. Zbadanie okoliczności wyaresztowania tylu agentów CIA równocześnie potrwa przynajmniej kilka dni. Palmer II musi wykluczyć, aby kryli się za tym ludzie strefy wschodniej, pozostaje więc uznać, że pewne siły w Niemczech zachodnich szykują się do jakiejś operacji na własną rękę. Palmer II stawia na nogi cały swój aparat rozpoznawczy i ma nadzieję, że jego dalsze meldunki nie spotkają się z tak nedorzecznymi i naprawdę irytującymi komentarzami, jak jego dotychczasowa działalność.

Palmer II prosi, aby dyrektor CIA zażądał z archiwów raportów rezydentury z dnia 1 kwietnia, 14 kwietnia, 18 kwietnia, 18 maja i 19 maja br., gdzie został przedstawiony zarys sytuacji wojskowo-politycznej w Republice Federalnej. Palmer II nigdy nie otrzymał pokwitowania opracowań, nie mówiąc już o jednym słowie uznania, jednakże dziś raporty te mogą stanowić punkt wyjścia przy planowaniu polityki amerykańskiej wobec Niemiec zachodnich.

Ze względu na powagę sytuacji Palmer II postanowił uruchomić wszystkich swych głęboko zakonspirowanych agentów w NRD, Polsce, Czechosłowacji i Rumunii. Pierwsze meldunki wskazują, że wojska Układu Warszawskiego, po chwilowych oznakach alarmu, zatrzymały się na pozycjach wyczekiwania.

LVIII

Piątek, 12 czerwca, godzina 13.30 czasu wschodnioamerykańskiego. W Sali Owalnej Białego Domu odbywa się trzecie w ciągu tego feralnego dnia posiedzenie Narodowej Rady Bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych, w którym, oprócz stałych członków, uczestniczy już po raz drugi ambasador Związku Radzieckiego w Waszyngtonie, Wadim Czeboriew.

- No więc widzi pan, panie ambasadorze - mówi prezydent Harrison - że wspólnymi

siłami udało się nam zażegnać najgroźniejszy zapewne kryzys w całych dziejach ludzkości. Bardzo sobie wysoko cenię pańskie zaufanie do naszych słów i pańską gotowość spędzenia tu z nami kilku godzin. Nigdy dotąd żaden cudzoziemiec nie uczestniczył w posiedzeniu Narodowej Rady Bezpieczeństwa. Pewien jednak jestem, że to dzięki pańskim depeszom do Moskwy udało nam się przebrnąć przez najgorsze.

- Dziękuję, panie prezydencie - odpowiada Czeboriew. - Muszę jednak powiedzieć, że moje depesze nie składały się z samych tylko okrzyków entuzjazmu. Odnoszę wrażenie, że wasz system rozkazodawczy zawiera bardzo wiele groźnych niesprawności, i musiałem przygotować swój rząd na różne niespodzianki. Ostatecznie, przypadek ze storpedowaniem *Nachimowa*...

- Czy pan twierdzi, ambasadorze - pyta znacząco doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego, dr Nathaniel Rubin - że wasz system rozkazodawczy jest lepszy?

- Nie za bardzo znam się na sprawach wojskowych, panie doktorze, o czym wielokrotnie miałem okazję wspominać - powiada Czeboriew z rozbijającym uśmiechem. - Sądzę jednak, że u nas tego rodzaju katastrofy... to jest nieporozumienia... przypadki, to chciałem powiedzieć... otóż u nas tego rodzaju przypadki raczej nie mogą się zdarzyć.

- Może wymienilibyśmy naszego sekretarza obrony z waszym ministrem obrony? - żartuje wiceprezydent Parker.

- Zdaje mi się, panie prezydencie - odpowiada Czeboriew - że byłoby znacznie lepiej w ogóle zrezygnować z tak niebezpiecznych rodzajów zbrojeń. I w ogóle, z wszelkich zbrojeń.

- Panie Czeboriew, pańskie poczucie humoru jest doprawdy imponujące - śmieje się sekretarz stanu, Brooman. Pan naprawdę sądzi, że wasz rząd byłby gotów się rozbroić w obliczu chińskiego zagrożenia? I że my także mielibyśmy pozostać obojętni na miliard Chińczyków?

- Od mniej więcej dwudziestu lat - wtrąca sekretarz obrony, Nikos Palakis - zgadzamy się w zasadzie, że coś trzeba by uczynić w kierunku realnej redukcji zbrojeń, ale tak jakoś schodzi. Jednakże...

Uchylają się drzwi, przez które zagląda Robert Magorski.

- Panie prezydencie, czy mogę z panem chwilę porozmawiać?

- Dziś nie mamy tajemnic - odpowiada niechętnie prezydent Harrison. - Nasz radziecki gość gotów pomyśleć, że coś przed nim ukrywamy, a zasada była taka, że pan Czeboriew uczestniczy we wszystkich naszych rozmowach i jest świadkiem podejmowania wszystkich decyzji.

- Rozumiem - mówi Bob Magorski - ale jest to sprawa czysto prywatna, nie związana z polityką.

- Chyba że tak. Przepraszam panów na chwilę.

Czeboriew kątem oka dostrzega w ręku Magorskiego teczkę z wyraźnym czerwonym napisem CLASSIFIED - Tajne.

- Co nowego. Bob? - pyta Harrison?

- Obawiam się, panie prezydencie, że od samego rana jestem zwiastunem złych wieści. Otóż pierwsze reakcje na pańską konferencję prasową są fatalne, przynajmniej tu u nas, bo w Europie pana chwalą. Grupa kongresmenów uważa, że pan okłamał naród amerykański. Córy Rewolucji Amerykańskiej, z którymi miał pan dziś rozmawiać, są tego samego zdania. Pierwsze sondaże opinii, prowadzone przez Yankelovitcha i Skelly'ego, też są wysoce niepokojące. Uważa się dość powszechnie, że eksplozje nad północno-zachodnimi stanami zostały spowodowane przez Rosjan. Pan, jak twierdzi opinia, z lęku przed szantażem rosyjskim, miał to wziąć na siebie i pójść na daleko idące ustępstwa wobec Moskwy. Zaproszenie Czeboriewa do uczestnictwa w posiedzeniu Narodowej Rady Bezpieczeństwa, o czym szeroko się już dyskutuje, ma być dodatkowym dowodem pańskiej, przepraszam za wyrażenie, zdrady.

- Bob, czy ty mi musisz zwracać głowę takimi idiotyzmami?

- Przyznaję, że są to idiotyzmy, ale ich kontekst jest niepokojący. Mamy, zdaje się, otwarty bunt wśród oficerów VI Floty na skutek pańskiej decyzji o karnym zwolnieniu wiceadmirała MacGregora. Nie wiem jeszcze dokładnie, co się tam dzieje, ale mam podstawy sądzić, że nic przyjemnego. Wreszcie przed dwoma godzinami została zawiązana w Kalifornii Liga Ofiar Agresji Atomowej, na której czele stanął senator Roland Peterson. Jako przewodniczący senackiej komisji sił zbrojnych potrafi przysporzyć panu sporych kłopotów.

- Czy mam ci powiedzieć, co o nim myślę?

- Ja myślę mniej więcej tak samo, panie prezydencie, ale to nie zmienia istoty sprawy.

- Co jeszcze?

- Czy to nie wystarczy? Z innych nowin warto zapamiętać, że papież Sykstus VII wezwał do powszechnych modłów za ofiary naszej katastrofy i pozwolił sobie na dość cierpkie uwagi o zawodności mechanizmów. Wiadomo, że to nasze mechanizmy zawiodły, więc wymowa tej wypowiedzi nie przysporzy nam popularności.

- Dobrze, Bob, dziękuję ci. Muszę wrócić do Sali Owalnej, bo Czeboriew pomyśli, że z tobą spiskuję. Rubin też umrze z zazdrości. Zobaczymy się później.

Harrison wraca na posiedzenie Narodowej Rady Bezpieczeństwa ze stanowczym

zamiarem, aby je jak najszybciej zakończyć. Za pół godziny ma posiedzenie nadzwyczajnej komisji rządowo-kongresowej w sprawie organizacji pomocy dla ofiar katastrofy. Za godzinę musi przestudiować raport admirała Prescottta i podjąć decyzję w sprawie działań 665 batalionu w Bambach. Poza tym musi zapoznać się ze szczegółami na temat buntu oficerów VI Floty, podpisać notę cyrkularną do rządów sojusznicznych, wysłuchać propozycji Biura Budżetu i Zarządzania w sprawie nadzwyczajnych kredytów na pomoc dla ofiar eksplozji, przygotować tekst noty do rządu radzieckiego, gdyż szkic, dostarczony przez Departament Stanu nie nadaje się do niczego. Musi wreszcie znaleźć choć minutę, aby się dowiedzieć, czy jego ukochana córka, Rosemary, zdała egzamin z hiszpańskiego.

- Więc na tym chyba zakończymy posiedzenie - mówi rzeško, wychodząc do Sali Owalnej. - Kryzys został zażegnany, mam nadzieję, że wyciągniemy z niego odpowiednie wnioski. Chciałbym przede wszystkim podziękować panu Czeboriewowi za uczestnictwo w naszych pracach. Mam nadzieję, panie ambasadorze, że przy najbliższej wizycie w Moskwie opowie pan szczegółowo o zaufaniu, jakim pana darzyliśmy, a także o trybie, w jakim się u nas podejmuje ważne decyzje. Rad jestem bardzo, że zechciał pan spędzić z nami te trudne godziny. Jestem pewien, że w pańskich pamiętnikach opíše pan te historyczne chwile zgodnie z prawdą, w imię tego wszystkiego, co łączy oba kraje mimo wszelkich istniejących różnic.

Czeboriew otwiera usta, aby się zrewanżować Harrisonowi, ale w tym samym momencie do Sali Owalnej wchodzi adiutant wojskowy prezydenta, major Lavigne, który zmienił przed trzema godzinami komandora Moore. Major niesie w prawej ręce lekko rozwartą czarną walizeczkę i daje znak prezydentowi, że jest do niego telefon z Łączności Specjalnej. Prezydent waha się przez chwilę, ale potem wyciąga z przegródki w walizce miniaturową słuchawkę i podłącza ją do gniazdka.

Twarz Howarda Harrisona zaczyna blednąć po raz drugi w ciągu tego nieszczęsnego dnia. Członkowie Narodowej Rady Bezpieczeństwa usiłują zabawiać ambasadora Czeboriewa jakimiś anegdotami, lecz w końcu milkną, ponieważ z twarzy prezydenta można odczytać, że stało się coś strasznego.

Harrison wylłącza słuchawkę, oddaje walizkę adiutantowi i opiera się o poręcz fotela.

- Panie ambasadorze - mówi po chwili milczenia - stała się rzecz tak potworna, że sam nie mogę w nią uwierzyć. Otrzymałem przed chwilą informację od dowódcy SAC, generała Fawleya, że... Nie, muszę zacząć od początku. Otóż nasz system obrony atomowej, oprócz *układu łańcuchowego*, który przyniósł tak tragiczne rezultaty dziś rano, zawiera również tak zwaną *martwą linię*. Jest to niezależny system elektroniczny, który w ciągu sześciu godzin od

rozpoczęcia wojny atomowej pozostaje całkowicie bezczynny, a jest przy tym całkowicie niewykrywalny. Dopiero z początkiem siódmej godziny uruchamia się samoczynnie, bez udziału człowieka, i kieruje pewną liczbę największych głowic na z góry wyznaczone rejony w waszym kraju. Chodzi tu o to, że na wypadek zniszczenia wszystkich naszych centrów rozkazodawczych, a także na wypadek nieskuteczności *układów łańcuchowych*, możemy jeszcze rozporządzać rezerwą odwetową, przed którą nie mielibyście ratunku. Nie pamiętam już, który z prezydentów autoryzował budowę tego urządzenia. W każdym razie stało się to w najgorszych latach zimnej wojny. Kiedy objąłem urząd, zastanawiałem się nawet, czy nie wydać polecenia, aby *martwą linię* zdemontowano, ale, jak pan sam wie, polityka odprężenia napotyka liczne przeszkody. *Martwa linia* jest, a właściwie była, najsilniej strzeżonym sekretem militarnym naszego kraju. I właśnie przed trzema kwadransami...

Harrison przerywa na chwilę, podchodzi do okna, z którego widać park, gazony barwnych kwiatów i równiutko przystrzyżony żywopłot.

- Przed niecałą godziną - ciągnie prezydent - *martwa linia* uruchomiła się sama. Nie wiadomo, jak to się stało. Przypuszczalnie po ogłoszeniu *wypadku W* należało tę linię jakoś rozłączyć czy zablokować. Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Nie jestem inżynierem wojskowym, nie znam się na tych koszmarnych mechanizmach. Zastanawiam się, czy polityk bez wykształcenia technicznego naprawdę powinien rządzić tym krajem.

- Czy mogę wiedzieć, co się właściwie stało? - pyta spokojnie Wadim Czeboriew.

- Sześć rakiet transkontynentalnych o łącznej mocy dziesięciu megaton poleciało w kierunku wschodnim. Oficerowie z SAC próbowali je zniszczyć natychmiast po starcie, ale bezskutecznie. Tylko częściowo udało się zmienić ich trajektorie. W rezultacie jedna z rakiet wpadła do Morza Arafura - to jest, zdaje się, gdzieś koło Indonezji. Cztery inne spustoszyły północno-zachodnią część Australii w rejonie Port Darwin, powodując ogromne zniszczenia i znaczne straty w ludziach. Szósta rakiet, panie ambasadorze, spadła na wasz kraj, prawdopodobnie w rejonie południowego Kazachstanu. Jej głowica ma moc jednej megatony.

Czeboriew milczy, rozgląda się po twarzach członków Rady, potem matowym, bezbarwnym głosem pyta:

- Pan oczekuje, panie prezydencie, że również tym razem będę przekonywał swój rząd do zachowania cierpliwości? Skąd mogę wiedzieć, czy za następne sześć godzin następna *martwa linia* nie odpali na nasz kraj następnych rakiet o mocy dziesiątków megaton? Przecież wszystko powinno mieć jakieś swoje granice. Chociażby granice zdrowego rozsądku. Nie mogę wykluczyć, że są i takie *martwe linie*, o których pan w ogóle nic nie wie. Na przykład działające z opóźnieniem trzech dni.

- Mogę zapewnić, panie ambasadorze - odpowiada cicho generał Tumbleson - że nie takiego nie istnieje.

- A czy pan jest zupełnie pewien, generale, że pańscy podwładni na własną rękę czegoś takiego nie zbudowali? Często wystarczy tylko przełączenie jednego kabla, jak panom wiadomo. A zresztą, skoro zdarzyło się już tyle przypadków, należy oczekiwać, że nastąpią dalsze.

- Ależ panie ambasadorze - wtrąca zdenerwowany Rubin - przecież Stany Zjednoczone i Australia nie należą do waszego obozu, a stały się terenem eksplozji. Gdybyśmy mieli wobec was jakieś plany, nie zaczynalibyśmy od bombardowania własnych terytoriów.

- Sądzę - odpowiada lodowatym tonem Czeboriew - że zanim wypowiem jakikolwiek pogląd w tej sprawie, powinienem porozumieć się z Moskwą. Pan wybaczy, panie prezydencie...

- Chce pan opuścić posiedzenie akurat w takiej chwili? Każę zaraz połączyć pana z Moskwą przez *gorącą linię*.

- Wygodniej mi będzie - podnosi się Czeboriew - rozmawiać z własnej ambasady.

W drzwiach staje sekretarka Harrisona.

- Moskwa do pana ambasadora Czeboriewa.

Czeboriew wychodzi do sekretariatu, za nim zmierza do toalety Nathaniel Rubin, który doskonale mówi po rosyjsku i ma nadzieję, że przez jakieś nie domknięte drzwi usłyszy choć fragmenty rozmowy. Zawodzi się jednak. Czeboriew odpowiada *da, da*, posługuje się pólśłówkami. Oczywiście rozmowa jest notowana na taśmie, ale Rubin nie ma możliwości, aby odtworzyć ją już, natychmiast. Rozmowa trwa zresztą najwyżej półtorej minuty. Czeboriew wraca do Sali Owalnej z twarzą chmurną i napiętą.

- Panie prezydencie - mówi oficjalnie - otrzymałem od swego rządu polecenie, aby panu przekazać następującą propozycję. Straty w Kazachstanie są znaczne. W sytuacji, jaka się wytworzyła, rząd radziecki zmuszony jest do podjęcia natychmiastowych decyzji o skali historycznej. Istnieją dwie możliwości. Pierwsza: złoży pan natychmiast publiczne oświadczenie, że rząd Stanów Zjednoczonych gotów jest w ciągu najbliższych sześciu miesięcy zlikwidować na zasadzie wzajemności wszystkie strategiczne środki przenoszenia ponad minimalny poziom, ustalony przez obie strony, a także zniszczyć wszystkie głowice neutronowe, będące w posiadaniu wszystkich krajów członkowskich Paktu. Rzecz prosta, rząd radziecki uczyni to samo, przy zaakceptowaniu dowolnych form kontroli. Równocześnie rząd Stanów Zjednoczonych dokona do końca bieżącego roku radykalnej redukcji swych

arsenałów jądrowych, również na zasadzie wzajemności. Rozumie się, że strona amerykańska pokryje wszelkie straty, jakie poniósł Związek Radziecki w wyniku waszych działań w dniu dzisiejszym. To jest pierwsza możliwość. Druga polega na tym, że w wypadku odrzucenia naszych propozycji, rząd radziecki w ciągu najbliższych minut podejmie kroki obronne, jakie sam uzna za niezbędne. Informuję wreszcie, że otrzymałem polecenie, aby opuścić Biały Dom i nie uczestniczyć w dalszym posiedzeniu Narodowej Rady Bezpieczeństwa.

- Co to, ultimatum? - woła sekretarz stanu.

- Nie jest to pora ani okazja na dyplomatyczne subtelności, panie sekretarzu - odpowiada oschle Czeboriew, zbierając się do wyjścia.

- Zdaje się, że stworzyliśmy wystarczająco wiele fałszywych pozorów.

Czeboriew kłania się lekko prezydentowi i wychodzi. W drzwiach spotyka się z Robertem Magorskim.

W Sali Owalnej panuje głęboka, ponura cisza. Magorski błyskawicznie orientuje się w sytuacji.

- Panie prezydencie - mówi półgłosem - ponieważ Czeboriew wyszedł, mogę to powiedzieć przy wszystkich. Przed chwilą telefonował senator Peterson. Za pół godziny zbiera się komisja senacka z zamiarem postawienia pana w stan oskarżenia za zdradę kraju. Koła wojskowe, związane, jak sądzę, z dowództwem lotnictwa, poufnie poinformowały Petersona o zbombardowaniu Australii. Peterson i grupa bliskich mu senatorów są przekonani, że był to kolejny atak rosyjskiej agresji, który pan usiłuje przemilczeć. Peterson domaga się, aby został pan natychmiast pozbawiony prawa wydawania rozkazów siłom zbrojnym.

- To niesłychane - mówi generał Tumbleson. - Przecież to nie ma sensu!

- O panu, generale Tumbleson - krzywi się Magorski - senator Peterson i jego ludzie też są złego zdania. Zarzucają panu świadome lub mimowolne współnictwo w zdradzie. No i kapitulancie wobec Moskwy.

Wiceprezydent Parker nagłym ruchem rozwiązuje krawat i podchodzi do okna. Usiłuje je otworzyć, ale ze względu na aparaturę klimatyzacyjną okno jest zakręcone na potężne śruby.

- Trochę mi słabo - szepce Parker - ale to nic, to przejdzie.

Magorski wyskakuje, aby wezwać lekarza prezydenckiego. Palakis i pani Vaughan odprowadzają Parkera na sofę, układają go na wznak i zaczynają wachlować jakąś teczką z napisem STRICTLY CONFIDENTIAL - ściśle poufne.

- To ten upał - wyjaśnia Parker słabym głosem. - No i napięcie dzisiejszego dnia...

Dyżurny lekarz prezydenta, major Cristobal, dokonuje pobieżnego badania i zawiadamia, że Parker musi być natychmiast przewieziony na oddział intensywnej terapii. Grozi mu stan przedzawałowy.

Kiedy dwaj żołnierze piechoty morskiej, pełniący służbę na półpiętrze, wyprowadzają Parkera do karetki, prezydent Harrison poleca Magorskiemu, aby natychmiast wezwał przewodniczącego Izby Reprezentantów, Charlesa Dermotta. Według konstytucji przejmie on władzę wykonawczą w radzie, gdyby prezydent i wiceprezydent nie mogli sprawować swych obowiązków.

Harrison nie ma wątpliwości, co przyprawiło Reginalda Parkera o chorobę. Po prostu uświadomił sobie, że Harrison może zostać pozbawiony urzędu i wówczas ciężar uporania się z tym wszystkim spadnie na niego, tłustego, zmęczonego Reginalda Parkera.

- Trudno - mówi Harrison - spróbuję jeszcze raz porozumieć się z Chomienką. Pułkowniku Winder, proszę mnie połączyć.

- Czy to znaczy, że pan chce przyjąć ich ultimatum? - pyta z niepokojem Rubin. - Przecież tego nie uda się przeprowadzić przez senat, a prasa zniszczy pana w ciągu tygodnia. Nie mówiąc już o meritum sprawy. Nie możemy im ustępować pod przymusem.

- Podzielam ten pogląd - dorzuca Brooman. - Jedną rzeczą jest kompromis, inną - uleganie presji.

Sekretariat informuje, że na linii czeka premier Australii.

- Nie wiem - powiada Harrison, sięgając po słuchawkę. - Nie wiem, co z tego wszystkiego wyniknie. Wiem tylko, że w tej sytuacji najgorsza byłaby beczynność.

LIX

O godzinie 17.19 podporucznik Narodowej Armii Ludowej NRD, Gustaw Böllmann, pełniący służbę w jednostce pierwszego rzutu w odległości sześciuset metrów od Łaby w jej południowym biegu, stwierdził nagły wzrost promieniowania radioaktywnego w atmosferze.

W ciągu dwóch minut meldunek ten dotarł do dowództwa obszaru wojskowego, został zanalizowany, porównany z innymi danymi i niezwłocznie przekazany do Naczelnego Dowództwa Układu Warszawskiego.

W jednostkach nadgranicznych Narodowej Armii Ludowej NRD zarządzono pełny alarm bojowy.

O godzinie 17.32 stwierdzono, że samoloty transportowe *Midas III-C* kończą przerzucanie 14 Hanowerskiej Dywizji Zmechanizowanej z koszar z Rhemsdorf na pozycje wyjściowe w pobliżu Czeskiego Lasu.

O godzinie 17.35, to znaczy 19.35 czasu moskiewskiego, minister obrony Związku Radzieckiego, marszałek Mandżurów, otrzymał informację, że w rejonie rzeki Ussuri rozpoczęła się na długości stu dwudziestu kilometrów koncentracja jednostek piechoty chińskiej, uzbrojonych w lekką broń automatyczną i niewielką ilość moździerzy.

O godzinie 17.40, czyli 19.40 czasu moskiewskiego, marszałek Mandżurów otrzymał wstępną ocenę strat, jakie powstały w południowym Kazachstanie na skutek wybuchu amerykańskiej rakiety.

O godzinie 17.59 podporucznik Gustaw Böllmann dostrzegł przez szkła lornety polowej lufy lekkich czołgów, wysuwające się spoza gór po drugiej stronie granicy. Nie mógł oczywiście wiedzieć, że dowódcą jednego z tych czołgów jest jego stryjeczny brat, Paul Böllmann.

Mniej więcej w tej samej chwili została przerwana *gorąca linia* między Moskwą a Waszyngtonem. Pewien jej odcinek przebiegał przez północną część Republiki Federalnej Niemiec. Istniały wprawdzie kable zapasowe i dodatkowy, nienaruszalny właściwie tor, jednakże uruchomienie nowego toru łącznościowego wymaga przynajmniej kilku godzin pracy specjalistów po obu stronach.

Na czołowym miejscu europejskich dzienników radiowych o godzinie 18.00 znalazły się doniesienia o szczęśliwie przewyciężonym kryzysie, o coraz bardziej katastrofalnych następstwach wybuchu atomowego nad terytorium amerykańskim, a także o sensacyjnym zwycięstwie tenisisty RFN, Clodwiga Naumanna, nad bezwzględnym faworytem, mistrzem mistrzów tenisa, Pietroangelo Villacortą.

Radiostacja *WDF* nie nudziła słuchaczy nadmiarem polityki. Spiker powiedział wesoło, że wojna wojną, a weekend już się zaczął. Dlatego pozwoli sobie rozpocząć program muzyczny od prastarego, lecz wiecznie przecież miłego szlagieru *Lili Marleen*.

O godzinie 18.11 spiker radiostacji WDF przerwał muzykę i łamiącym się ze zdenerwowania głosem poinformował słuchaczy, że miasto Darwin w Australii zostało zniesione z powierzchni ziemi na skutek ataku atomowego.

Radio Paryż doniosło o tym fakcie minutę później. Spiker powiedział, że Francja pozostaje w tej wojnie neutralna.

O godzinie 18.35 rozgłoszenia moskiewska przerwała nadawanie muzyki. Spiker zaczął odczytywać tekst oświadczenia rządu ZSSR. Było surowe w tonie, lecz powściągliwe w

dobrze słów.